

nr 1 (26)

Rok VIII
ISSN 1231-5451

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik wielowartościowy

Lublin

SCRIPTORES SCHOLARUM

Kwartalnik wielowartościowy

Redagowanie i wydawanie kwartalnika „Scriptores Scholarum” jest jedną z form programu edukacyjnego „Pamięć – Miejsce – Obecność” realizowanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Koordynator programu edukacyjnego: Marcin Skrzypek.

Wydawca: „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Dyrektor Ośrodka: Tomasz Pietrasiewicz.

Adres wydawcy i redakcji: Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin, tel. (0-81) 532-58-67; fax. (0-81) 534-61-10.

e-mail: scriptor@tnn.lublin.pl; adres strony: www.tnn.lublin.pl

Redakcja:

Sławomir J. Żurek – redaktor naczelny, Jacek Wojtysiak – zastępca redaktora naczelnego, Adam Dobrzyński – zastępca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji.

Zespół:

Dział edukacyjny: Barbara Smutek – kierownik, Magdalena Pokrzycka-Walczak, Maciej Serweta, Zbigniew Smutek.

Dział ekumeniczny: Mariusz Orłowski – kierownik, ks. Roman Pracki.

Dział filozoficzny: Piotr Szalek – kierownik.

Dział historyczny: Bartosz Panek – kierownik, Regina Grzeszkiewicz, Lucyna Kujawa.

Dział kulturalny: Anastazja Śniechowska-Karpińska – kierownik, Maciej Krawczyk, Mariusz Krawiec SPP.

Promocja i marketing: Adam Dobrzyński.

Redaktorzy prowadzący: Mariusz Orłowski, Jacek Wojtysiak.

Grafiki: Daniel Grzeszkiewicz, Ryszard Ruzik.

Zdjęcia: Edward Kędziera, Mariusz Orłowski.

Korekta: Piotr Sanetra.

Pismo wyróżnione w roku 1996 Nagrodą Specjalną Ministra Edukacji Narodowej za „wysoki poziom merytoryczny, walory edukacyjne pisma oraz jego oryginalność”.

Kwartalnik „Scriptores Scholarum” może być wykorzystywany jako materiał pomocniczy w nauczaniu szkolnym.

Kuratorium Oświaty w Lublinie

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiustacji, redagowania i zmiany tytułów nadsyłanych tekstów.

© Copyright by Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”.

ISSN 1231 – 5451

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” na terenie całego kraju oraz wydawca.

Zrealizowano przy pomocy finansowej Fundacji im. Stefana Batorego oraz Urzędu Miejskiego w Lublinie – **Dziękujemy!**

Numer zamknięto w sierpniu 2000. Oddano do druku we wrześniu 2000.

Projekt okładki i układ graficzny: Agata Pieńkowska

Przygotowanie komputerowe: IDEAL STUDIO – Jerzy Szatkowski.

Druk: Zakład Poligraficzny KOPIA.

Pismo powstało w środowisku Prywatnego Katolickiego Liceum Ogólnokształcącego im. ks. Kazimierza Gostyńskiego w Lublinie.

Spis treści

Słowo wstępne	5
Rozmowy akademickie o chrześcijaństwie	
„Całe życie się przygotowujemy...” – rozmowa z prof. Stefanem Swieżawskim (KUL)	10
Aktualność chrześcijaństwa – rozmowa z prof. Jerzym Kłoczowskim (KUL)	17
Wyznania agnostyka – rozmowa z prof. Janem Woleńskim (UJ)	22
„Moje całe życie jest związane z Kościołem...” – rozmowa z Prezydentem Macedonii Borisem Trajkovskim (Kościół Ewangelicko-Methodystyczny)	29
Kościół przełomu wieków	
• „Kościół otwarty dla wszystkich” – sesja ekumeniczna w Laskach	
O. Stanisław Celestyn Napiórkowski, franciszkanin, Augsburg 1999 – koniec XVI wieku? ...	34
Grzegorz Linkowski, W tyglu kultur i religii. Refleksje ekumenicznego filmowca	40
Ks. Krzysztof Kaucha, Kościół w XXI wieku	43
Jan Pleszczyński, O pożytkach płynących z wieży Babel	49
Jacek Wojtysiak, Słowo – Wspólnota – Stół. Czym jest dla mnie chrześcijaństwo?	55
• lęki i poszukiwania człowieka	
Ireneusz Ziemiński, Synek	59
Bartosz Panek, Mocny fundament. Ile chrześcijaństwa w zjednoczonej Europie?	62
• strachy i nudy w Kościele	
Małgorzata Kulik, Godzina cudów?!, czyli mały reportaż z niedzielnej Mszy Świętej	67
Małgorzata Bondarenko, Wychowanie religijne w domu dziecka	71
• filozofia chrześcijańska?	
Mariusz Orłowski, Światopoglądy: teistyczny i naturalistyczny. Dwie wizje świata i człowieka? .	76
Michał Kopaczewski, Hiob jako tragiczna jednostka w obliczu paradoksu wiary. Myśl chrześcijańska Sørensa Kierkegaarda	82
Jacek Wojtysiak, Filozofia jako poszukiwanie sensu. W związku z encykliką Jana Pawła II „Fides et ratio”	87
Żydowskie korzenie chrześcijaństwa	
• Dzień Judaizmu	
Sławomir J. Zurek, O Dniu Judaizmu	92
Helena Datner, Szemat. Komentarz żydowski na Dzień Judaizmu	94
Ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkineł, Bojaźń i nadzieja. Komentarz chrześcijański na Dzień Judaizmu	96
Abp Józef Życiński, W stronę wspólnych korzeni. Słowo na zakończenie Dnia Judaizmu.	99
• Żydzi i chrześcijaństwo	
Sebastian Rejak, Refleksje goja z Sederu	103
Sławomir J. Zurek, Na gruncie dialogu. O kolokwium chrześcijańsko-żydowskim w Sztokholmie	107
Wydarzenia ekumeniczne Roku Jubileuszowego	
Regina Grzeszkiewicz, Pielgrzym. Jan Paweł II w Izraelu: 21-26.03.2000.	112
Anna Kulczycka, Kilka słów młodej chrześcijanki o ekumenizmie. Uwagi na marginesie Tygodnia Eklezjologicznego KUL: 10-15.04.2000.	114
Pastor Marek Wólkiewicz, Wielkanoc ekumeniczna. Nabożeństwo Aliansu Lubelskich Kościołów Ewangelicznych: 21.04.2000.	118

Edyta Zarzycka, Jedna tęcza – wiele barw. Nabożeństwo ekumeniczne w Polskim Autokefalicznym Kościele Prawosławnym, w Lublinie: 12.05.2000.	121
Joanna Betlejewska, „Skarb w glinianych naczyniach”. Garść refleksji zainspirowanych nabożeństwem ekumenicznym w Kościele Polskokatolickim, w Lublinie: 14.06.2000.	123
Jadwiga Łucja Skierczyńska, Czym jest dla mnie ekumenizm?	126
Chrześcijaństwo ewangelikalne	
• <i>chrześcijanie ewangeliczni</i>	
Mariusz Orłowski, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej jako jeden z przedstawicieli ruchu zielonoświątkowego w Polsce	130
Pastor Jacek Duda, Historia Zboru Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Lublinie. W co wierzą chrześcijanie ewangeliczni Anno Domini 2000?	140
• <i>świat dla Chrystusa</i>	
Prezb. Ryszard Kwoka, Polska Misja „Świat dla Chrystusa”	144
Edward Kędziera, Aż dotąd pomagał nam Pan (1 Sm 7, 12). Relacja z I podróży misyjnej do Chin zorganizowanej przez Polską Misję „Świat dla Chrystusa”: 31.05. – 30.06.1999.	147
Współczesne ruchy i wspólnoty odnowy w Kościele Rzymskokatolickim	
• <i>prekursorzy Vaticanum II</i>	
Mariola Kozubek, Tomasz Mikusiński, Euzebiusz Bednarz, Ruch <i>Focolari</i>	152
Zbigniew Kusiak, Ruch <i>Światło-Życie</i> . O Słudze Bożym ks. Franciszku Blachnickim	155
Bogdan Opoń, Neokatechumenat	159
• <i>owoce Soboru</i>	
Jarosław Agaciński, Odnowa w Duchu Świętym	163
Anna Błaszczak, <i>Metanoia</i> – Ruch Duszpasterstwa Biblijnego	167
Chrześcijaństwo w sztuce	
• <i>o zabytkach sakralnych</i>	
Tomasz Ziemowit Pieńkowski, Mennonici na Żuławach Wiślanych	172
Jolanta Szafrńska, Mit a rzeczywistość. Rozważania nad sztuką luterańską okresu baroku ..	176
• <i>o wystawach</i>	
Małgorzata Mazur, „Sztuka cenniejsza niż złoto”. Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie	182
Krzysztofa Krajewska, Sztuka sakralna z lamusa. Wystawa w Muzeum Archidiecezji Lubelskiej. .	185
• <i>muzyka chrześcijańska?</i>	
Mariusz Orłowski, Całkiem Ciekawa Muzyka	188
Barbara Bartoszek, <i>Gospel Rain</i>	193
• <i>o festiwalach</i>	
Maciej Krawczyk, <i>Jesus is our friend</i> . Recenzja występu zespołu „Teofil” podczas III Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gospel – Osiek ’99	197
Julita Adamiuk, Europa śpiewa w Hajnówce. O Festiwalu Muzyki Cerkiewnej	199
• <i>o płytach</i>	
Maciej Krawczyk, Dobry żołnierz Chrystusa Jezusa. Recenzja płyty 2 TM 2, 3	203
Maciej Krawczyk, Agnieszka S. Miś, <i>Chociażby na koniec świata...</i> Dwugłos o płycie Marty Siczek & The Company	205
• <i>o poezji</i>	
Rafał Borowski, „Uzdrawiając świat, uzdrów siebie”. O poezji ks. Bogusława Wołyńskiego ..	208
Joanna Pruszkowska, „Jestem tu tylko przelotem”. Recenzja tomiku Haliny Sitarskiej-Ruzik ..	210
Strony przyjazne reformie oświaty	
Bogdan Opoń, O nauczaniu religii w szkole – refleksje katechety	214
Konkurs „Katecheta 2000”	216
Informacje o autorach	217

Słowo wstępne

Jako fundament Europy chrześcijaństwo odegrało rolę zasadniczą, nieporównywalnie większą niż myśl grecka, niż prawo rzymskie. I wartości chrześcijańskie, często zlaicyzowane, są dla niej nadal fundamentalne. (...) Dzisiejsze ruchy praw człowieka, ruchy humanistyczne, które często określają się jako czysto laickie, tak naprawdę są kontynuacją, jeśli nawet nie rzeczywistości historycznej, to tradycji zrodzonych z chrześcijańskiego nauczania. (...) Po prostu: miłuj bliźniego swego jak siebie samego – tego nigdy nie powiedziano w starożytności antycznej. I jeśli w średniowieczu ludzie nie dość kochali swoich bliźnich, to nie zmienia to faktu, że ludzie dobrej woli w dzisiejszej Europie działają pod wpływem ideałów chrześcijańskich, choćby był to wpływ odległy i nieuświadomiony.

Jacques Le Goff

Prawdopodobnie trochę mniej niż dwa tysiące lat temu w okolicach Cezarei Filipowej – gdzieś na terenie dzisiejszej Syrii, u źródeł rzeki Jordan – odbyła się rozmowa. Jeden z jej uczestników miał powiedzieć do swego Rozmówcy: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego” (Mt 16, 16). Być może właśnie wtedy rozpoczęło się to, co nazywamy dziś chrześcijaństwem.

Wspomniane spotkanie wydarzyło się w małym gronie osób, które stopniowo zaczynały dostrzegać w swym nauczycielu Mesjasza, czyli Chrystusa. Obecnie, po dwóch tysiącleciach, liczba jego wyznawców zbliża się na świecie do dwóch miliardów. Z tego jednego ukrytego spotkania osób, z fascynacji Jezusem z Nazaretu, jaką w swych sercach odczuwało kilkunastu ubogich Galilejczyków, narodziła się religia, która ma swe bogate dzieje, rozmaite formy i instytucje, głęboką duchowość, wielką literaturę, ogromny wkład do kultury ludzkości.

Dziś zastanawiamy się nad tym, co nam teraz z chrześcijaństwa pozostało?, czym ono dla nas naprawdę jest?, jakie przed nim rysują się perspektywy?, jacy są współcześni chrześcijanie?... Pytania te stawiają chrześcijanie różnych wyznań, a także niechrześcijanie oraz niewierzący i poszukujący. Dla nich wszystkich chrześcijaństwo niesie jakieś ważne przesłanie, które – wprost lub nie wprost – wpływa na nasze życie: proponuje pewną wizję Boga i człowieka, kosmosu i historii, zmusza do refleksji nad sprawami ostatecznymi, otwiera perspektywę nadprzyrodzoności, dodaje nadziei, nie pozwala przejść obojętnie obok bliźniego.

„Scriptores” dołącza do tych pytań i refleksji. Czyni to w czasie Roku Jubileuszowego. Choć jedni z nas świętują go z entuzjazmem, a inni zachowują do niego pewien dystans, dla nas wszystkich chrześcijaństwo ma fundamentalne znaczenie. Bez względu na to, czy, jak i jak często spełniamy praktyki religijne, to właśnie chrześcijaństwo ukształtowało i kształtuje nasze myślenie, zainteresowania, sumienia, ideały... To ono inspirowało naszą duchowość, wyrażaną w różnych formach kultury: poczynawszy od liturgii i modlitwy, poprzez naukę, filozofię, literaturę, sztukę, muzykę, teatr...

W naszych rozważaniach stawiamy – niebezkrzytyczną – diagnozę stanu Kościoła (Kościołów) dziś i pytamy o kształt Kościoła XXI wieku. Czynimy to w kontekście doświadczeń egzystencjalnych, lęków i poszukiwań, współczesnego człowieka. Nie

ukrywamy, że bliskie jest nam pierwotne chrześcijaństwo ewangeliczne, które próbują odtworzyć, dynamicznie rozwijające się, autentyczne wspólnoty działające w ramach różnych wyznań chrześcijańskich. W niniejszym numerze prezentujemy protestanckie Kościoły ewangelikalne (tzw. Wspólnoty wolnokościelne) oraz ruchy soborowej odnowy w Kościele Rzymskokatolickim. Jak wiele je łączy, Czytelnicy przekonają się sami.

Tradycyjnie „Scripteres” wyróżnia nie tylko perspektywa ekumeniczna, lecz także zainteresowanie judaizmem i problematyką żydowską. Skoro wracamy do pierwotnego chrześcijaństwa, musimy być wrażliwi na jego żydowskie korzenie. Dlatego podajemy pełny zapis lubelskich obchodów Dnia Judaizmu, które odbyły się 17 stycznia 2000 roku w kościele przy katolickim Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym z udziałem przedstawicieli warszawskiej gminy żydowskiej (m.in. Heleny Datner) oraz arcybiskupa lubelskiego (ks. prof. Józefa Życińskiego). To spotkanie – w dialogu, zadumie nad Biblią i we wspólnej modlitwie – napawa nadzieją na przyszłość.

Z ciekawostek, obecnych w naszym zeszycie, odnotujmy jeszcze kronikę wydarzeń ekumenicznych Roku Jubileuszowego (w tym sprawozdanie z entuzjastycznych reakcji na pielgrzymkę Jana Pawła II do Izraela), rozmowę z prezydentem Macedonii (związany z Kościołem Ewangelicko-Methodystycznym), a także teksty referatów wygłoszonych podczas ekumenicznej sesji-rekolekcji w Laskach w dniach od 10 do 14 lutego 2000 roku. Sesję tę – zatytułowaną „Kościół XXI wieku – Kościół otwarty dla wszystkich” – zorganizowała nasza redakcja na zaproszenie wspaniałej siostry Marii Krystyny Rottenberg ze zgromadzenia Franciszkanek Służebnic Krzyża. O sprawach Kościoła, ekumenizmu i współczesności dyskutowaliśmy w gronie ponad sześćdziesięciu młodych ludzi, głównie studentów, z całej Polski. Wśród honorowych prelegentów znaleźli się m.in. biskup rzymskokatolicki (ks. Mieczysław Cisło), duchowny luterański (ks. Roman Pracki), znawca dialogu katolicko-luterańskiego (o. prof. Stanisław Celestyn Napiórkowski), gorący orędownik pojednania chrześcijańsko-żydowskiego (ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkineł), duszpasterz akademicki (ks. Krzysztof Kaucha), dziennikarz „Gazety Wyborczej” (red. Jan Pleszczyński) oraz ekumeniczny filmowiec (reż. Grzegorz Linkowski).

Taki, jak powyższy, różnorodny zestaw autorów jest cechą charakterystyczną naszego pisma. Występują w nim zarówno debiutanci (studenci, a nawet licealiści), jak i dostojne autorytety naukowe. Tym razem do rozmów akademickich zaprosiliśmy dwóch mediewistów z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego: prof. Stefana Swieżawskiego – nestora polskiej filozofii, znawcę myśli św. Tomasza z Akwinu, świeckiego audytora Soboru Watykańskiego II – oraz prof. Jerzego Kłoczowskiego – wybitnego historyka chrześcijaństwa, bohatera Powstania Warszawskiego, założyciela Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej. O wypowiedź poprosiliśmy też znanego filozofa nurtu pozytywizującego, prof. Jana Woleńskiego, który do religii i chrześcijaństwa jest nastawiony sceptycznie. Nasz kwartalnik stanowi bowiem miejsce dialogu, także dialogu światopoglądów lub – jak mówi jeden z naszych autorów – „światoobrazów”. Dopiero dzięki dialogowi, każde zjawisko, w tym chrześcijaństwo, możemy pojąć szeroko, z różnych punktów widzenia. Co więcej, żyjemy w epoce pluralistycznej, stąd rozumienie (coraz powszechniejszych) odmiennych propozycji duchowo-intelektualnych, jest dzisiaj dla chrześcijan szczególnie ważne. By podjąć wyzwania współczesności, chrześcijanie powinni je dobrze znać. Namysł nad intelektualnymi podstawami chrześcijaństwa w kontekście tych wyzwań należy do zadań tzw. filozofii chrześcijańskiej, której młodzi przedstawiciele próbują swych sił na naszych łamach.

Całość prezentowanego tu zeszytu „Scriptores” ubogaca dział „Chrześcijaństwo w sztuce”: opisy zabytków sakralnych, recenzje wystaw, tomików poezji, a nade wszystko

koncertów i płyt nurtu CCM (*Contemporary Christian Music* lub *Całkiem Ciekawa Muzyka*). Dział ten pokazuje, że chrześcijaństwo nie tylko inspiruje tzw. sztukę wysoką (elitarną), lecz także wchodzi coraz odważniej do tzw. kultury popularnej (masowej). Sądzymy, że powinno być także obecne w edukacji – ale jak? Zastanawiając się nad miejscem religii w szkole w czasie reformy oświaty, w promocję której nasze pismo już od kilku numerów się zaangażowało, stawiamy to pytanie w formie konkursu „Katecheta 2000”.

I jeszcze jedna uwaga wprowadzająca do lektury. „Scriptores” wchodzi w nowe tysiąclecie odnowione. Skrócony podtytuł, bardziej przyciągająca okładka, atrakcyjniejsza strona graficzna, przystępniejszy sposób redakcji tekstów – oto nasze nowe walory, którymi chcemy pozyskać Czytelników, dotąd nas nie znających lub nie zwracających na nas większej uwagi. Jaki oddźwięk przyniesie nasza oferta, zobaczymy. Tych, którzy byli do tej pory z nami – i miejmy nadzieję, pozostaną – zapewniamy: zasadnicza linia programowa „Scriptores” nie ulega zmianie. Nadal chcemy być przede wszystkim pismem promującym wartości – jest ich wiele i nie są one nudne, stąd nasz przewrotny podtytuł: „Kwartalnik wielowartościowy”!

Zapraszamy do „Scriptores” – do czytania, pisania, współredagowania, współtworzenia – wszystkich, którym obce są konsumpcjonizm, nijakość, fanatyzm i... brak fantazji czy poczucia humoru. „Scriptores” pragnie być miejscem spotkania ludzi różnych kultur i światopoglądów, religii i wyznań, pokoleń i uzdolnień, wiedzy i wykształcenia, profesji i pozycji społecznej. Szczególnie liczymy na uczniów i nauczycieli, studentów i pracowników wyższych uczelni, a także na wszystkich wrażliwych i poszukujących, nastawionych na dialog. Chcemy uzupełniać luki w naszej polskiej edukacji szkolnej i uniwersyteckiej. Nie narzekając i nie lękając się współczesności, otwarci na jej perspektywy i problemy, zamierzamy formować swą duchowość oraz – w atrakcyjny i aktualny sposób – dawać świadectwo temu, co głębsze, wyższe, wznioślejsze...

Redaktorzy prowadzący z Zespołem

Ekumeniczne spotkania dyskusyjne.

Program prelekcji na rok 2000
(II półrocze):

31 sierpnia

Edward Kędziera
(Z-ca Dyrektora ds. Azji
Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa”,
Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej):

II podróż misyjna do Chin
– relacja z wyprawy

30 listopada

Prezb. Ryszard Kwoka
(Rektor Kolegium Teologicznego
Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej
w Lublinie):

Ruch charyzmatyczny

28 września

Tomasz Pieńkowski
(historyk sztuki, KUL):

Mennonici na Żuławach
Wiślanych

28 grudnia

Julian i Helena Grzesikowie
(Julian Grzesik – autor książki
Alija Izraela – Biblia i fakty):

Wspomnienie o Siostrze
Stanisławie Andronowskiej

26 października

Pastor Jacek Duda
(Przewodniczący Komisji
Prawa Wewnętrznego
Aliansu Ewangelicznego w Polsce,
Kościół Ewangelicznych Chrześcijan):

Alians Ewangeliczny w Polsce

Miejsce spotkań: świetlica *Kościół*
Chrześcijan Baptystów w Lublinie,
ul. Kochanowskiego 38^A,
godz. 19.00.

Organizator: Ekumeniczne
Stowarzyszenie Charytatywne
„UNITAS”,
20-049 Lublin,
Aleje Racławickie 29/27,
tel. 533-12-50



rys. R. Ruzik

Rozmowy akademickie o chrześcijaństwie

„Całe życie się przygotowujemy...”

– rozmowa z prof. Stefanem Swieżawskim

Stefan SWIEŻAWSKI – ur. 1907, historyk filozofii. Doktoryzował się z filozofii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie w r. 1932. 1946-76 jako profesor zwyczajny Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego kieruje Zakładem Historii Filozofii KUL. 1957-63 – pracownik Zakładu Historii Filozofii Średniowiecznej Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, jeden z założycieli tego zakładu. Audytor świecki na II Soborze Watykańskim. 1965-70 – członek Papieskiej Komisji „Iustitia et Pax”. Ważniejsze publikacje książkowe w języku polskim: *Byt – zagadnienia metafizyki tomistycznej*, *Rozum i tajemnica*, *Człowiek i tajemnica*, *Istnienie i tajemnica*, *Dobro i tajemnica*, *Filozofia w dobie Soboru* (wraz z Jerzym Kalinowskim), *Zagadnienie historii filozofii*, *Dzieje filozofii europejskiej w XV wieku* (8 tomów), *Święty Tomasz na nowo odczytany*. Mieszka w Warszawie. Żonaty, dwie córki, siedmioro wnucząt i siedmioro prawnucząt.

Jak Pan Profesor widzi przyszłość chrześcijaństwa?

Prof. Stefan Swieżawski: Dużo racji miał Karl Rahner, który powiedział, że w XXI wieku chrześcijanie albo będą mistykami, albo ich nie będzie. A co to znaczy stać się mistykiem? To głębokie życie kontemplacyjne, gdzie modlitwa nie jest „oklepaniem”, ale naprawdę głębokim życiem. Jeśli chrześcijanie tego nie będą rozumieć, to po prostu nie będzie ich – zostaną stratowani. Ostaną się tylko te środowiska, które autentycznie będą żyć wiarą.

Dlatego wszelka aktywność, nawet jeśli jest to działalność dobroczynna, musi być oparta na głębokiej kontemplacji. Proszę spojrzeć na Matkę Teresę. dyby tam nie było tej bazy kontemplacyjnej, ona i jej Siostry nic by nie zrobiły. Również życie liturgiczne musi być życiem kontemplacyjnym.

Ale czy ta propozycja chrześcijaństwa, wymagająca kontemplacyjnego skupienia i autentyczności życia wiarą, znajdzie szeroką odpowiedź?

To jest cały problem, czego my od Kościoła chcemy. Kościół przyszłości to Kościół prostoty. Nie bałbym się o tłumy w Kościołach – zresztą takie tłumy, jak w czasie spotkań organizowanych przez wspólnotę z Taizé, nie wydają się małe.

Nie nam zresztą osądzać ilość – nie nam też osądzać jakość. Chodzi o to, że ścieżka jest wąska, a Chrystus pokazuje, że nią mamy iść. „Szeroki gościniec” prowadzi zupełnie gdzie indziej.

Czy wobec tego wyrosła z połączenia chrześcijaństwa i dziedzictwa antyku cywilizacja zachodnia jest dziś miejscem sprzyjającym kontemplacji?

Gdy chodzi o czasy dzisiejsze, to z jednej strony mój pogląd jest trochę pesymistyczny.

Nasza kultura europejska, kultura białego człowieka, przestawiła akcent z intelektu na rozum. Z tej *prima operatio* – prostego oglądu – przeszła na rozumowanie. Przyczyniło się to do kolosalnego rozkwitu nauk szczegółowych i techniki, ale zagubiono wartości kontemplacyjne, które w Kościele od samego początku były bardzo silne – weźmy przecież pod uwagę wielkie zakony.

Ale zakony kontemplacyjne w pewnym momencie – w okresie nowożytnym – straszliwie odsunęły się od swojego wzoru – proszę popatrzeć na te szalenie bogate opactwa niemieckie czy austriackie, które przestały być tym, czym być powinny. Również w polskiej kulturze było tak, że zakon kontemplacyjny pojmowany był bardziej jako zakon pokutny niż miejsce, gdzie należało uprawiać kontemplację. Podkreślano raczej ekspiację – dokonywanie pokuty – co jest bardzo ważne – ale jednak kontemplacja jest najważniejsza.

Z drugiej strony, niewątpliwie wielką nadzieją jest odradzanie się zakonów kontemplacyjnych i powrót do pierwotnej reguły. To wielka pociecha obserwować ten wielki wzrost powołań do zakonów kontemplacyjnych. W wielu punktach to odżywa; jest to proces powrotu do źródeł.

Przed wszystkim jednak trzeba ciągle pamiętać, że w Kościele Katolickim dokonało się coś zasadniczego, coś, czego nie było nigdzie indziej – w żadnej innej kulturze – mianowicie Sobór Watykański II. Sobór jest wielkim hasłem powrotu do sedna – jest wezwaniem do kontemplacji. Wszystkie spaczenia i błędne ścieżki, którymi szło się w ciągu wieków, wynikały stąd, że pewne wizje potęgi państwowej, bogactwa czy doczesnego sukcesu przyćmiewały rzeczy najbardziej zasadnicze.

Ale już sam Sobór był owocem odrodzenia się wielkich zakonów kontemplacyjnych – przede wszystkim ośrodków benedyktyńskich, dominikańskich, cysterskich i karmelitańskich. To droga, bez której nie byłoby tych dzisiejszych wielkich wspólnot, które nawiązują do ducha wiel-

kich zakonów i do ducha wielkich kontemplatyków i mistyków epoki, jak Marta Robin czy Ojciec Pio.

Jak słusznie powiedział jeden z architektów ostatniego Soboru, Kardynał Congar, instytucjonalny Kościół Rzymski na obecne czasy przynosił dwa wielkie światła. Tymi światłami dla naszej epoki są „czyści kontemplacyjni”: Mała Teresa od Dzieciątka Jezus i Karol de Foucauld. To przecież typowe modele kontemplacyjne – Mała Droga i Mały Brat. *Najprostsza droga i brat wszystkich ludzi*. Nieprzypadkowo św. Teresa z Lisieux jest najmłodszym, ostatnim Doktorem Kościoła.

Bez powrotu do kontemplacji i ożywienia ośrodków kontemplacyjnych nie ma mowy o prawdziwym *aggiornamento* Kościoła. Kościół Katolicki ma wielkie skarby, do których trzeba sięgnąć i nadrobić wszystkie dysproporcje.

Jednak czy w dzisiejszej kulturze, w której prawidłowy rozwój natury jest tak trudny, wydaje się nawet, że ta kultura to pęknięcie natury ludzkiej pogłębia, czy to wezwanie do budowania życia nadprzyrodzonego na maksymalnie rozwiniętej przyrodzoności jest jeszcze aktualne? Wyniszczenie natury przyrodzonej człowieka wydaje się dziś szczególnie jaskrawe. Takie zjawiska, jak alkoholizm, narkomania czy uzależnienie od pornografii, to przecież sytuacje, które wręcz uniemożliwiają czyste i zarazem naturalne patrzenie. Czy to, co mówi Pan Profesor, jest również propozycją dla tych, którzy sami „podnieść się nie mogą”, którzy nawet nie wiedzą, że upadli?

W tradycji chrześcijańskiej są dwie wizje natury ludzkiej. Jest wizja, która w świecie łacińskim nawiązuje do św. Augustyna, i jest wizja, która nawiązuje do św. Tomasza. Jaka jest różnica między tymi optykami? Każda z nich jako wizja chrześcijańska przyjmuje pęknięcie i ranę zadaną przez grzech pierworodny, który powoduje całą nieodłącznie niedoskonałość natury ludzkiej, ale akcenty – w każdej z tych wizji – są rozłożone inaczej.

U św. Augustyna akcent jest o wiele bardziej pesymistyczny. Człowiek bez łaski Bożej, bez życia nadprzyrodzonego właściwie nic nie może zrobić dobrego. Natura ludzka jest tak gruntownie zepsuta, że zostawiona samej sobie nie może wytworzyć nic dobrego. Tu ma swoje zakotwiczenie program, który uważa, że tylko i wyłącznie głoszenie Słowa Bożego, budzenie wiary, rozwinięcie życia sakramentalnego może dać cokolwiek dobrego.

Wizja św. Tomasza jest inna. Człowiek z natury, bez pomocy życia nadprzyrodzonego w zakresie cnót moralnych i intelektualnych może zbudować i realizować właściwe życie moralne. Życie moralne, które nie będzie doskonałe, ale będzie dobre. Dlatego pełnia doskonałego życia moralnego może się rozwinąć dopiero wtedy, gdy działają cnoty teologiczne. Dopiero w teologicznych cnotach występuje – jako cnota budująca – miłość, która jest właściwie tym cementem dającym możliwość budowy pełni życia moralnego. Niemniej, to bardzo ciekawe, że bez tych cnót teologicznych – wiary, nadziei i miłości – może się jednak rozwinąć etyka, może się rozwinąć właściwa i dobra moralność, ale nie będzie to moralność doskonała. W porządku przyrodzonym nigdy nie możemy dojść do takiej doskonałości. Doskonała będzie dopiero na poziomie nadprzyrodzonym. Ale w realizowanej moralności przyrodzonej stajemy jakby przed tym „otworem” i koniecznością wypełnienia pęknięcia i niedoskonałości, która tkwi w naturze. Ale natura jest dobra, chociaż niedoskonała i zraniona. Potrzebuje koniecznie wypełnienia w całym powołaniu ewangelicznym, ale to nie znaczy, że sama skazana jest tylko na złe rezultaty. Nigdy tak nie można powiedzieć. Owszem, wyniki są niedoskonałe i wymagają nieustannej korekty, ale są dobre.

Nie sądzi Pan Profesor, że te dwie wizje pochodzą stąd, że Tomasz i Augustyn mieli dwa całkowicie różne doświadczenia działania łaski w życiu? Tomasz od samego początku był otoczony warunkami, które jego nadprzyrodzoną

naturę pielęgnowały, a przynajmniej nie dały jej zboczyć na złe ścieżki (w wieku 5 lat trafił do opactwa benedyktynów). Tymczasem Augustyn miał bardzo radykalne doświadczenie życia upadłego i bardzo mocne doświadczenie wyzwolenia pod wpływem łaski.

Jest niewątpliwie prawdą, że w ogóle budowanie tych najprostszych ludzkich cnót intelektualnych i moralnych jest pracą gigantyczną. Oczywiście, że społeczno-kulturalne warunki mogą być takie, że tę pracę praktycznie uniemożliwiają. Dlatego, moim zdaniem, niesłuchanie ważne jest wprowadzanie w przyrodzone życie społeczne takich rozwiązań, które łagodzą złe sytuacje w swoich wszelkich przejawach, ale nie można od razu odwoływać się do życia nadprzyrodzonego.

Zgadzam się, że często występują nawrócenia i przemiany w człowieku dokonywane w sposób rewolucyjny – tak jak u św. Pawła czy u narkomanów, czy nawet zbrodniarzy, którzy nagle się odmieniają dzięki jakiemuś ogromnemu uderzeniu sfery nadprzyrodzonej. Ale, równocześnie, nie wolno zapominać, że trzeba robić wszystko, co tylko jest możliwe, aby sfera przyrodzona, w której żyjemy, była taka, by jak najbardziej sprzyjała normalnemu rozwojowi cnót przyrodzonych w człowieku.

Jeśli będziemy ten naturalny poziom przeskakiwać, to będzie tu coś podobnego do tego, co dzieje się z fideizmem w sferze intelektualnej. Nie wolno nam powiedzieć w ten sposób: ponieważ jest bardzo trudno dojść do pełnej harmonii wiary i intelektu, wobec tego przekreślamy możliwości intelektu i wszelkie najważniejsze sprawy zostawiamy dziedzinie wiary. Jeśli się na to zgodzimy, to wówczas w poznawczej dziedzinie czysto przyrodzonej zostają jedynie czysto wymierne sprawy – logika, a cała reszta staje się dziedziną wiary – a to nie jest prawda o ludzkich możliwościach poznawczych.

Tak samo jest w dziedzinie moralnej. Potrzebne jest uznanie ważności i wartości etyki przyrodzonej – oczywiście przy całym

uznaniu i przyznaniu zasadniczej wartości życia nadprzyrodzonego. Ale na to, by zrozumieć pełne funkcjonowanie cnót teologicznych trzeba zrozumieć, że te cnoty teologiczne mają i muszą mieć swoje oparcie na zdrowej bazie cnót przyrodzonych.

Oczywiście, zgadzam się, iż mogą być takie sytuacje zepsutej kultury i całego zaplecza społecznego, że rzeczywiście uprawianie wszystkich przyrodzonych cnót moralnych i intelektualnych staje się bardzo trudne, ale to nie zwalnia z obowiązku, by tę przyrodzoną sferę ciągle udoskonalać. Nikt nas z tego obowiązku nie zwolni.

Dlatego widzę tu pewną paralelę do problemu fideizmu. W praktyce chrześcijańskiej ostatnich wieków było właśnie tak, że zaniedbano całą sferę przyrodzoną. Ona została rzeczywiście potraktowana jako ta *massa damnata* u św. Augustyna. To surowe spojrzenie dało taką wizję, że rzeczywiście szansę mają tylko ludzie, którzy się absolutnie odcinają od tego świata i idą w zdecydowanym kierunku wprowadzenia czegoś na kształt chrześcijańskiej kontrkultury. Tymczasem Sobór staje na całkowicie odmiennej pozycji. Congar miał rację, kiedy powiedział, że – mimo pozorów – ostatni Sobór jest soborem najbardziej Tomaszowym, bo stanął na stanowisku aprobaty przyrodzoności. Patrząc na przyrodzoność, nie można wyłącznie śledzić pęknięć i na nich zatrzymywać całe spojrzenie. Zasada „zło dobrem zwycięża” – dotyczy sfery nadprzyrodzonej i przyrodzonej.

Jakie wobec tego są powody tak głębokich różnic?

Całe to zagadnienie bardzo mocno wiąże się z tym, co zawsze mocno piętnował ksiądz Korniłowicz. Twierdził mianowicie, że w niektórych kręgach chrześcijaństwo – w zakresie antropologii – stało się angelizmem. Tymczasem ideał człowieka jako anioła jest totalnym nieporozumieniem. Człowiek jest człowiekiem i ma swoją, ludzką naturę w pełni rozwinąć. Nie można powiedzieć, że człowieczeństwo jest złe, niedobre i wydane na łup zepsuciu, dlatego trzeba „skoczyć” w nadprzyrodzo-

ność – a na całe człowieczeństwo zapuścić kurtynę. Moim zdaniem za takim podejściem kryje się jakiś fałszywy dualizm. Dlatego tak ważna jest Tomaszowa antropologia i teologia – przy całej poprawce jej epokowych uwarunkowań.

Zasadniczo Tomaszowa koncepcja człowieka nastawiona jest na całość natury ludzkiej. Nastawiona jest na konieczność zmartwychwstania i na centralną w naszej wierze rolę Wcielenia oraz wszystkich tych dogmatów, które dźwigają naturę ludzką. Tak to trzeba nazwać. Wizja Tomaszowa to ucieczka od hiperspirytualizmu i angelizmu.

Człowiek nie jest powołany do tego, by stać się aniołem. Człowiek jest powołany do tego, by stać się człowiekiem. Chrystus jako człowiek jest na całą wieczność.

Co zatem zrobić ze św. Augustynem?

Augustyn nie jest do odrzucenia, jego wizja jest właśnie dla cudem nawróconych. Ale normalna droga to droga św. Tomasza.

Wielu jednak wątpi w to, że Akwinata dalej jest wzorem.

Bardzo często o tym mówiłem i to od różnych stron. Przede wszystkim aktualna rola św. Tomasza o tyle jest ciągle żywa, o ile aktualna jest filozofia metafizyczna – czyli filozofia bytu. Filozofia bytu nie starzeje się. Po prostu te wątki u św. Tomasza, które stanowią filozofię bytu i jej aplikacje, przede wszystkim jego teoria człowieka – antropologia filozoficzna, są tymi działami jego myśli filozoficznej, które nie starzeją się.

Zawsze powtarzam, że to, co jest słuszne w myśli Platona, Plotyna, Arystotelesa i w myśli jakichkolwiek autorów, jest jakimś uzupełnieniem, a często pogłębieniem refleksji metafizycznej, i to jest zawsze aktualne. Wcale nie chodzi o to, czy to jest Tomasz, Platon czy Heraklit. Chodzi o wielkie osiągnięcia refleksji metafizycznej. Nie chodzi o to, by Tomasza przyjmować dzisiaj integralnie. Przecież każda wielka rzecz powstaje w określonych warunkach historycznych i dzieło Akwinaty trzeba z jednej strony widzieć jako twór

historyczny, ale jednocześnie w tym wytworze XIII wieku – podobnie jak

„Postać Chrystusa i jego nauka jest taka, że z istoty swej przerzuca mosty do innych. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ekumenizm właśnie na tym polega. Tak zwane niebezpieczeństwo rozpląnięcia się to obawa ludzi małej wiary. Człowiek, który nie jest przekonany o prawdziwości własnych poglądów, zawsze będzie miał tego rodzaju obawy.”

w twórczości IV czy III wieku przed Chr. – trzeba widzieć to, co jest ponadczasowe. Ale nawet wówczas trzeba mieć świadomość, że jest to

twórczość określonego *hic et nunc*, wyciągać to, co jest aktualne zawsze. Na tym polega filozofia klasyczna – i dlatego filozofia klasyczna nie starzeje się.

To wielkie nieporozumienie, gdy odwołując się do św. Tomasza, wprowadza się jego filozofię przyrody, czy jego filozofię społeczną. Te dziedziny były u niego bardzo ściśle związane z epoką. Równocześnie jednak całe pokłady jego filozofii – a przede wszystkim teologii – są nieprzemijające. One właśnie dotyczą najgłębszych problemów tkwiących u źródła.

Tu nie tylko chodzi o to, że Tomasz nie może być zideologizowany, podręcznikowy czy drętwy, ale chodzi o to, że pewne działy Tomasza mają ten przywilej, że są wciąż aktualne, tak samo jak wszystkie działy wielkiej filozofii, nie tylko Tomasza. Przecież gdy dziś czytamy dialogi Platona, to odnajdujemy tam również osiągnięcia aktualne do dziś.

Oczywiście trzeba też pamiętać, że Tomasz – tak jak każdy myśliciel średniowieczny – jest przede wszystkim teologiem i jego filozofia jest wpleciona w teologię, która filozofii potrzebuje. Tomasz jednak doskonale widzi różnicę między tym, co jest refleksją filozoficzną, a tym, co jest refleksją teologiczną.

Zmieńmy trochę temat. Czy uważa Pan Profesor, że wracając do własnych

źródeł, możemy się czegoś uczyć od innych religii, czy nawet od całych kultur?

Myślę, że musimy się bardzo dużo uczyć od Wschodniego Chrześcijaństwa. Jestem wielkim entuzjastą zbliżenia się do Wschodniego Kościoła. Niestety on „u góry” jest ciągle strasznie upolityczniony. Jednak jego duchowość zawiera wspaniałe rzeczy. Od dawna mamy z żoną bardzo bliskie kontakty z bazylianami, a więc z unitami, ale mamy też bliskie kontakty z księdzem Paprockim, to wielki prawosławny teolog.

Moja współpracownica robi doktorat o Grzegorzu Palamasie. To jest XIV wiek. Okazuje się, że filozofia i teologia bizantyjska jest nam bardzo bliska i mamy tu bardzo dużo do nauczania się. Św. Tomasz jest znakomitym mostem porozumienia – tylko nie tomizm zideologizowany, ale sam św. Tomasz. Te sprawy dobrze widział Maritain.

We Wschodnim Chrześcijaństwie prawdę jest wielka teologia. Gdyby teologia wschodnia była lepiej znana w średniowieczu łacińskim, gdyby było więcej kontaktów, to myślę, że zupełnie inaczej rozwinęłyby się myśl łacińska. No, a w liturgii... To przecież wspaniała liturgia – bizantyjska i syryjska – która przynosi bardzo wiele ważnych elementów.

Zbliżenie jest bardzo ważne i na pewno wiele byśmy zyskali. Niestety największa trudność polega na tym, że Kościół Moskiewski i Kościół Serbski są przeżarte polityką i te kontakty „od góry” są bardzo ryzykowne, ale „dół” chce zbliżenia.

Przywołał Pan Profesora rolę Chrześcijaństwa Wschodniego, zwłaszcza w zakresie ubogacenia teologii i liturgii. Czy Chrześcijaństwo Protestanckie może nas czymś ubogacić?

Może. Myślę, że protestantyzm już dużo zrobił, zwracając uwagę na ważność kontaktu z Pismem św. To jest pierwsza rzecz. Za moich dziecięcych czasów jeszcze było tak, że nie wolno było czytać Pisma św. kiedy i jak się chciało. Były takie partie,

do których nie bardzo wolno było zaglądać. Tu się bardzo wiele zmieniło i musi się zmienić.

Drugą sprawą jest uproszczenie struktury wspólnoty, chodzi tu o udział świeckich w życiu Kościoła. Mam wrażenie, że również ciągle czeka na odkrycie wiele pięknych doświadczeń życia duchowego protestantów. Natomiast oczywiście, że istnieje pewien problem i trudność – sprawa kapłaństwa i sakramentów. Właściwie tego tam nie ma. Dlatego nadzieja w takich wspólnych ośrodkach, jak Taizé. Oni się jednak do tego zbliżają i widzą ten brak. Ale uważam, że protestantyzm ma bardzo dużo wartościowych elementów. Poza tym chorał protestancki jest niezwykle piękny.

A kultury dalekowschodnie?

Daleki Wschód też nam może bardzo dużo dać. Trochę śmiejemy się z tych wiatraczków buddyjskich i kręconych młynków, ale to jednak jest coś podobnego do naszego Różańca. To jest modlitwa prawdziwa. Fakt, że ona tak kręci... ale my przesuwamy paciorki i mówimy *Zdrowaśki*, które są takim otwieraniem się na Transcendencję, i to jest bardzo podobne.

Osobiście mam głębokie przekonanie, że buddyzm jest bardzo głęboko religijny i teistyczny, że Nirvana to nie jest pustka, że to jedynie pozorna jej interpretacja. Czy nie jest ona po prostu tym, o czym mówią nasi wielcy mistycy – że Bóg jest w ogóle Nie-bytem, w tym sensie, że nie można o nim w ogóle nic orzec?

Nasz przyjaciel Roger – Mały Brat, który od przeszło 30 lat żyje w Hong-Kongu, napisał nam w jednym z listów, że został zaproszony przez Dalajlamę do klasztoru w Indiach, w którym przebywał przez 3 miesiące. Te listy Rogera są bardzo ciekawe. Jest zachwycony zwłaszcza Dalajlamą; twierdzi, że to osoba o niezwyklej głębi, a klasztor tybetański to autentyczne życie duchowe. Dlatego myślę, że nie wolno nam patrzeć na Daleki Wschód z taką nieufnością.

Ale czy rzeczywiście ten np. czciciel Śivy kontempluje to samo, co wierzący chrześcijanin?

Gdy patrzy się na hinduizm, trudno się oprzeć temu, co Klemens Aleksandryjski nazywał *logoi spermatikoi* – ziarna prawdy. Jak mówiłem, myślę, że oni tę rzeczywistość, która kryje się pod nazwą Śivy, wiążą z prawdziwym Bogiem i pośrednikiem między Bogiem i ludźmi. Myślę, że chodzi im o Logos, o Jezusa Chrystusa. I kiedy św. Paweł mówi o nieznanym Bogu, to właśnie ma na myśli. Tak jest z bardzo wieloma religiami – dlatego ekumenizm i dialog międzyreligijny jest tak wielką sprawą.

Ale czy nie istnieje pokusa rozmycia specyfiki każdej z duchowości lub utraty własnej tożsamości religijnej?

Myślę, że Gandhi miał świętą rację, gdy mówił do ludzi, którzy do niego przyjeżdżali i chcieli się od niego uczyć właściwego postępowania: „Czemu wy tutaj przyjeżdżacie, macie przecież Ewangelię!”.

Postać Chrystusa i jego nauka jest taka, że z istoty swej przerzuca mosty do innych. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ekumenizm właśnie na tym polega. Tak zwane niebezpieczeństwo rozpląnięcia się to obawa ludzi małej wiary. Człowiek, który nie jest przekonany o prawdziwości własnych poglądów, zawsze będzie miał tego rodzaju obawy. Myśli mniej więcej w ten sposób: Ja nie chcę mieć kontaktów z innymi, bo kontakt z innymi wytrąci mnie z mojego stanowiska. To samo dzieje się w dziedzinie społecznej, przyrodzonej, w sprawach narodowych czy politycznych. Na przykład: Chcę, żeby Polska była państwem narodowym i żeby wszyscy mieszkańcy w Polsce byli Polakami, a nie jeden Ukraińcem, jeden Cyganem, ktoś znowu kimś innym, gdyż to grozi rozbiciem polskości. Moim zdaniem to jest skutek niewiary w autentyczność i wartość polskiej kultury. Tak samo niechęć do ekumenizmu jest skutkiem niewiary w autentyczną wartość i prawdę chrześcijaństwa. Kto poważnie traktuje swoją wiarę i kulturę, nie będzie bał się kontaktu i otwarcia na innych.

Oczywiście, że lefebryzm uważa obecność Papieża w Asyżu obok Dalajamy za największe sprzeniewierzenie się Kościoła.

Ale taki tradycjonalizm zmierza zupełnie w innym kierunku. Moim zdaniem na tym polega autentyczny ekumenizm, żeby każda autentyczna religia doszła do swoich źródeł. Dojście do tych głębokich źródeł pokaże prawdę i tam się spotkamy.

Problemy jednak rodzą się stąd, że ludzie naprawdę nie traktują chrześcijaństwa poważnie. Jeżeli chrześcijaństwo bierze się jako jakąś rzecz zależną od sytuacji polityczno-gospodarczej świata, to oczywiście, że Kościół się rozleci. Dokładnie to samo słyszałem już przed Soborem: Aa... masoni uważają, że wystarczy zwołać nowy sobór, a Kościół się rozpadnie. Do dziś powtarzają to integryści. To jest straszną pokusa, powiedziałbym nawet: diabelskie wykręcenie prawdy. A przecież Kościół trwa nadal i ciągle odnajduje swe źródło. A Jan Paweł II ma chyba specjalny charyzmat przerzucania mostów do innych religii, bo takiego zbliżenia, jakie się za jego pontyfikatu dokonało, jeszcze nigdy nie było.

Dalajlama mówi, że każdy powinien pozostać w swojej tradycji, a Karol de Foucauld też nie nawraca, tylko świadczy...

Oczywiście, bo nawrócenie przychodzi na zupełnie innej drodze. Św. Tomasz mówi przecież zupełnie to samo: „Grzech śmiertelny popełnia ktoś, kto nawracając się, nie jest do tego przekonany”. Czyli jego obowiązkiem jest żyć autentycznym życiem religijnej wiary, w której został wychowany. A kiedy się do tej *una religio in rituum varietate* dojdzie, i kiedy będzie jedna owczarnia i jeden pasterz – tego nie wiadomo. Na razie każda religia powinna iść do jak największego własnego autentyzmu i każdy wierzący całą siłą winien dążyć do zbliżenia i do jedności. Kiedy to nastąpi – nie wiadomo, ale to jest realizacja prośby

Chrystusa, aby byli jedno – *ut unum sint!* Trzeba się ciągle oczyszczać z wszystkich grzechów przeciw jedności, a wszyscy je czynimy.

Przyzna Pan Profesor, że to poglądy bardzo rewolucyjne...

Ale Sobór jest właśnie taki, cały Sobór jest rewolucyjny...

Ale mało kto mówi, że każdy w swojej religii powinien dążyć do jak największego autentyzmu, raczej mówi się o wezwaniu do nawracania.

Nawracać? Co znaczy nawracać? Nim zaczniesz nawracać, daj drugiemu poznać! Niech pozna! Przede wszystkim dać poznać autentyczne, codzienne, głębokie życie chrześcijańskie.

Zbyt dużo zbrodni i krzywd uczyniono niewłaściwym nawracaniem w imię Krzyża. Rozumiem, dlaczego nie chcą Krzyża. Dla wielu Krzyż jest naprawdę przykrym symbolem. W imię Krzyża zmuszano do nawrócenia. W XIV wieku spalono całą Synagogę ze wszystkimi Żydami wewnątrz – w imię Krzyża. A Krzyżowcy w Jerozolimie? Można tu wymienić bardzo wiele faktów.

A jak wobec powyższego interpretować powiedzenie, że nie ma zbawienia poza Kościołem?

Ludzie żyjący autentycznym przekonaniem w swojej religii, oni prawdziwie należą do Kościoła. Absolutnie! Oni nie są poza – są włączeni w pełnię życia Kościoła. Prawdą jest, że nie ma zbawienia poza Kościołem, ale Kościół to jest coś o wiele szerszego niż Kościół instytucjonalny.

Ale chyba duża liczba katolików nie jest jeszcze przygotowana do takiego postawienia sprawy?

Nigdy nie będzie. Wszyscy całe życie się przygotowujemy...

Rozmawiali:

Marcin Iwanicki, Tomasz Rakowski, Jacek Wojtysiak.

Z przygotowywanej książki Sukces nieważny. Z Profesorem Stefanem Swieżawskim rozmowy o kontemplacji (wyd. „W drodze”) wybrał i opracował: Adam Dobrzyński.

Aktualność chrześcijaństw

– rozmowa z prof. Jerzym Kłoczowskim

Jerzy KŁOCZOWSKI – ur. 1924, historyk (historia kultury polskiej, chrześcijaństwa w Polsce oraz dzieje Europy Środkowo-Wschodniej). Żołnierz AK, współzałożyciel KIK-ów i działacz opozycji. Emerytowany profesor KUL, od 1991 r. dyrektor Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej w Lublinie, przewodniczący Polskiego Komitetu ds. UNESCO. Wykładowca wielu uczelni zagranicznych (m.in. Francji, Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Hiszpanii, Kanady i Wielkiej Brytanii). Autor i redaktor ok. 600 publikacji, m.in. książki: *Dominikanie polscy na Śląsku w XIII-XIV w., Wspólnoty chrześcijańskie, Kościół w Polsce, Europa słowiańska w XIV-XV w., Dzieje polskiego chrześcijaństwa*. Otrzymał tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Grodnie, Akademii Kijowsko-Mohylańskiej, Wolnego Uniwersytetu w Berlinie oraz Czwartego Uniwersytetu Sorbona w Paryżu (wykładał tu w latach 1985-1987).

Zacznijmy od pytania natury ogólnej. Pan Profesor jest jedynym Polakiem współpracującym w realizacji pomnikowego dzieła w skali światowej, mianowicie czternastotomowej historii chrześcijaństwa. Jak z perspektywy historyka przedstawia się sytuacja chrześcijaństwa w roku 2000, w roku jubileuszowym?

Prof. Jerzy Kłoczowski: Wchodzimy w okres, w którym wszystkie tradycyjne kultury, tradycyjne religie ulegają gwałtownym przekształceniom. Zmienia się obraz świata. Weźmy na przykład aspekt statystyczny. Obecnie przekroczyliśmy na świecie 6 miliardów ludzi. Wśród tych 6 miliardów jako chrześcijanie deklaruje się około 1/3, czyli tyle samo ile pod koniec XIX wieku. Przypomnijmy, że pod koniec XVIII wieku tylko około 20% ludzi uważało się za chrześcijan. Ponadto we współczesnym obrazie świata ważne jest również to, że coraz większą rolę odgrywa w nim postawa indyferentna charakteryzująca prawie miliard ludzi. Jest to wielkie, nowe zjawisko drugiej połowy XX wieku.

Bardzo ważne we współczesnym świecie jest również to, że zmienia się przyczyna, dla której ktoś jest wyznawcą takiej, a nie innej religii. Wcześniej była to tradycja rodzinna, miejsce i środowisko, w którym się urodziliśmy. Tradycyjnie przyznawanie się do tradycji chrześcijańskiej (tzn. określenie siebie jako katolika, ewangelika czy prawosławnego) oznaczało deklarację przynależności w dużej mierze motywowaną kulturowo. Obecnie wszyscy stoimy, w dużo większym stopniu niż w przeszłości, przed ogromnymi możliwościami wyboru. Cała współczesna kultura z nowymi środkami społecznego przekazu (np. internetem) stwarza przed każdym człowiekiem bardzo duże możliwości wyboru. Rozpiętość propozycji jest tutaj

Rozmowy akademickie o chrześcijaństwie

ogromna: od wielkiego zła (np. pornografia, zboczenia wszelkiego typu), po wielkie dobro (np. pomoc ubogim). Uważam, że ten stan utrzyma się, a w XXI wieku będzie to zjawisko dominujące. Wpłynie ono także na religię, ludzi wierzących, którym, jak wszystkim, grozić będzie zagubienie w nadmiarze informacji. Także tutaj trzeba będzie wybierać spośród wielu możliwości. Dlatego tak niezwykle potrzebna jest praca edukacyjna, mądre uświadamianie ludzi kim są, w co wierzą, z jaką religią i kulturą się utożsamiają.

Panie Profesorze, wspomniał Pan o tzw. religii indyferentnej. Czym ona jest? Co ją charakteryzuje? Czy to jest ruch, który istnieje tylko w środowisku intelektualistów?

Nie, nie. Broń Boże. Absolutnie nie. Dzisiaj to zjawisko dotarło do mas. Nastąpiła sekularyzacja masowa. To jest dzisiaj kwestia masowego zjawiska. To dawniej były elity w Europie. Dzisiaj to jest masowe zjawisko. Dobrze wiemy dziś, że w Rosji czy na Ukrainie większość ludzi jest indyferentna. A i w Anglii czy Czechach też większość ludzi jest indyferentna. Są też i tacy, którzy mimo formalnej religijności są w istocie indyferentni. Sekularyzacja rozumiana jako „masowa religia” stanowi ogromny problem dla świata, którego konsekwencji nie jesteśmy w stanie w pełni przewidzieć. Nie można tu zamykać oczu. To jest zjawisko, które także w Europie jest bardzo mocno obecne. Zresztą nie tylko w Europie, bo jest to w dużej mierze zjawisko światowe.

A jeśli idzie o samo chrześcijaństwo?

Współczesne chrześcijaństwo jest w swym głębokim nurcie niesłuchanie humanistyczne. Wystarczy wspomnieć II Sobór Watykański, spotkanie ekumeniczne w Asyżu, dialog prowadzony z islamem, judaizmem, oczywiście z innymi Kościołami chrześcijańskimi. Można powiedzieć, że autentyczne chrześcijaństwo zawsze cechuje otwartość na innych ludzi. Zamknięcie się jest kalectwem – kalek jest rzeczywiście bardzo wiele w naszym kraju, ale i na świecie też jest ich wiele. Zamknięcie się – to nie-

wątpliwie choroba. Oczywiście, najłatwiej jest się zamknąć w swoich własnych przekonaniach i wszystkich innych uważać za wrogów. Ale to postawa samobójcza, która może dać w efekcie tylko zniszczenie, chrześcijaństwa w jego historycznych realizacjach nie wspominając.

To, co Pan Profesor mówi, bardzo bliskie jest temu, co głosi papież Jan Paweł II.

Oczywiście, jak najbardziej. Jan Paweł II pokazuje chrześcijaństwo prawdziwe, bo uniwersalne, ze szczególną troską o człowieka. Jednym z bardzo ważnych zjawisk XX wieku jest to, co nazywamy ekumenizmem. Ta zmiana atmosfery między religiami. To jest niesłuchanie ważne zjawisko także dla świata. Bo tutaj rozstrzyga się jego przyszłość. Chrześcijaństwo wraz z innymi religiami jest tym czynnikiem, który może ochronić nas przed barbarzyństwem, przed anarchią, samozniszczeniem. Ale musi to być właśnie chrześcijaństwo i, szerzej, religia otwarte na innych. Umiejące z tymi innymi współpracować dla dobra człowieka. Nie można zamykać się we własnym getcie, bo to droga donikąd. Oczywiście, jasne, że wyjściem nie może być relatywizm i krańcowy pesymizm. Potrzebna jest zarówno otwartość na drugiego człowieka, jak również mocne korzenie, mocna tożsamość kulturowa człowieka, nie zaś zatracenie własnej indywidualności. Bezbarwne „mięczaki” łatwo mogą się dziś stać typem sił zła wszelkiej formy.

Często słyszy się jednak głosy mówiące, iż chrześcijaństwo się przeżyło, że już nic ważnego nie ma nam do zaoferowania. Czy np. znaczy ono coś dla dzisiejszej Europy?

Nie można wątpić, że propozycja chrześcijaństwa jest ciągle i wszędzie aktualna. Nie jest prawdą, że chrześcijaństwo się przeżyło. Ono ciągle niesie ze sobą niesłuchanie ważne wartości, w tym także szacunek, tolerancji wobec inności, odpowiedzialności za przyszłość świata. Nie zapominajmy, że chrześcijaństwo odegrało bardzo ważną rolę w procesie formowania

się Europy, co dziś w dobie tworzącej się jedności europejskiej nabiera szczególnej aktualności. Europa wyrosła z chrześcijańskiego kręgu cywilizacyjnego rozwijającego się bardzo intensywnie w X wieku; Polska wyrosła w tym właśnie kręgu (co stanowi temat mej książki *Młodsza Europa*). Chrześcijaństwo inspirowało wszelkiego rodzaju związki społeczne: od rodziny poprzez lokalne wspólnoty społeczno-administracyjne aż po liczne organizmy państwowe. Proces ten ukształtował specyficzne w skali świata oblicze Europy. Po straszliwej katastrofie II wojny światowej inspiracja chrześcijańska miała zasadnicze znaczenie w początkach jej odbudowy i fundamentów nowej jedności. Ogromną rolę odegrali zwłaszcza w początkowym okresie tego procesu chrześcijańscy demokraci. „Ojcami” nowej Europy nazywamy nie przypadkiem tak znakomitych chrześcijan, jak Szuman, de Gasperi, Adenauer. Istotne zasługi w tym zakresie miał Pius XII, papież, którego najczęściej pamiętamy w związku z kontrowersjami dotyczącymi stosunku do nazizmu i holokaustu. Trzeba jednak pamiętać o nim jako o wielkim Europejczyku. Inspiracja i filozofia chrześcijańska leżą u podstaw tej Europy, którą dziś tworzymy z naszym coraz większym udziałem.

To wszystko prawda, ale czy Pan Profesor nie obawia się tych wszystkich lęków, jakie żywią niektórzy przedstawiciele Kościoła, tzn. chęci zamknięcia się w sobie, postaw obronnych, wręcz ksenofobicznych?

Ludzie bardzo często to mylą, myśląc, że to Europa niesie te niebezpieczeństwa. Nie – to cywilizacja dzisiejsza wraz z wolnością wyboru stwarza takie zagrożenia. Dając wielkie szanse stwarza zarazem kolosalne zagrożenia i to w skali światowej. Globalizacja może prowadzić do zniszczenia bogactwa ludzkich kultur i religii. Człowiek pierwszy raz w swojej całej historii stanął w takiej sytuacji. Jest to zupełnie nowa sytuacja wyboru w takiej skali. Łatwo się wyrwać z każdej tradycji. Przejechać można na inny kontynent (legalnie lub nielegalnie). Migracje do

bogatych krajów stają się dzisiaj zjawiskiem powszechnym. Ludzie będą mieli większe możliwości przemieszczania. Unia Europejska dzisiaj stanowi najbardziej skuteczną obronę odrębności narodowych, także drogę zabezpieczenia polskiej niepodległości i kultury. Jedynie wspólnym wysiłkiem narodów europejskich jesteśmy w stanie przeciwstawić się ogromnym zagrożeniom.

Zabezpieczenie edukacji na wszystkich poziomach, od rodziny poczynając, w humanistycznym duchu solidarności tradycji lokalnych, narodowych i europejskich możliwe staje się tylko w skali kontynentalnej, a więc dla nas – europejskiej. Niebezpieczeństwa i przeciwności na każdym kroku są tak wielkie i różnorodne, tak łatwo przekraczające wszelkie granice, że jedynie skuteczna, nie sloganowa, współpraca międzynarodowa daje szanse zachowania wartości, które uznajemy za niezbędne i ważne. Unia ma w tym sensie służyć także m.in. „sprawie polskiej”, tak jak i „sprawie” każdego innego narodu, każdej wspólnoty na naszym kontynencie. Wszystkie wspólnoty chrześcijańskie w Europie powołane są do odgrywania szczególnie odpowiedzialnej roli w tym wielkim zadaniu.

Czy można jednak, Panie Profesorze, powiedzieć Europejczykowi, że powinien wybrać chrześcijaństwo, a nie np. islam?

Sądzę, iż wchodzimy w czasy, kiedy nie możemy tego nakazać Europejczykowi. Bo nakazy nic tutaj nie zrobią. Znam Europejczyków, którzy od ateizmu poszli do islamu. I nie można im tego zakazać. Możemy jedynie mówić, że Europę – także i Polskę – stworzyło chrześcijaństwo, że jej korzenie tkwią w tej religii i kulturze przez nią stworzonej. Ale nie możemy również milczeć o tym, że np. w Polsce od XV do XVI wieku mamy również rodziny, które są wyznania muzułmańskiego. I nie przeszkadza im to być jednocześnie dobrymi Polakami. Ci ludzie są głęboko patriotyczni. Gdy trzeba, gotowi są nawet oddać życie za kraj, w którym żyją. I o tym nie można zapomnieć.

Panie Profesorze, znamienne jest również to, że tę rozmowę o tolerancji,

szacunku wobec drugiego człowieka, jego wyborów prowadzimy w Lublinie,

„Człowiek jest istotą grzeszną. W związku z tym raju na ziemi nie stworzymy. Należy się pozbyć iluzji. Ale z drugiej strony nie wolno nam zostawiać świata. Jesteśmy zań odpowiedzialni.”

mieście, które w ciągu historii było tygłem wielu kultur, narodowości, religii.

Przypomnijmy również Unię Lubelską z 1569 roku i wielką kulturę Rzeczpospolitej przedrozbiorowej.

W kulturze polskiej w ogóle tkwią głęboko te elementy ogólnoludzkie, humanistyczne, głęboko chrześcijańskie. Uderzający jest nurt niechęci do używania siły w celu narzucenia religii, jakże bliski duchowi II Soboru Watykańskiego i nauczaniu Jana Pawła II. Związani od tysiąca lat kulturowo z Zachodem, łaciną i zachodnim chrześcijaństwem, jednocześnie przez setki lat tworzyliśmy z Wielkim Księstwem Litewskim, czyli dzisiejszymi: Litwą, Białorusią, Ukrainą, federację. Ta unia, która była tworzona stopniowo, poczynając od końca XIV wieku, a ostatecznie ukształtowała się w Lublinie w 1569 roku, jest wielkim doświadczeniem europejskim. Dzisiaj szuka się takich tradycji zjednoczeniowych. Na nasz związek należy spoglądać właśnie jako na bardzo interesujące doświadczenie integracyjne. A było to zarazem na wielką skalę spotkanie chrześcijaństwa zachodniego i wschodniego, dwóch wielkich kręgów religijno-cywilizacyjnych. Wpływ tego spotkania na nasze kraje i ich kultury był ogromny.

„Nie jestem królem ludzkich sumień” – to przecież Zygmunt August.

Tak, to jest niesłuchanie ważne. Jeśli się zastanowimy nad polską tradycją, to jest do dzisiaj jej ogromna siła, a dla nas powód do dumy, a zarazem do głębokiego rachunku sumienia z własnych grzechów. Musimy też o niej głośno mówić w jednoczącej się Europie. To jest to, co jej możemy ofiarować najlepszego: autentyczny szacunek wobec

ludzi innych religii, kultur... I to jest kierunek, w którym winna zmierzać Europa. Fakt, że mimo grzechów zachowaliśmy godność, że mimo wszystkich opresji zachowaliśmy człowieczeństwo. To podnosiła nasza literatura: Mickiewicz, Prus i tylu innych mówiło, że człowiek musi być zawsze szanowany. Na antypodach prawdziwej polskości był skrajny nacjonalizm czy skrajny socjalizm oraz komunizm – najgłębiej sprzeczne z fundamentami polskiej kultury splecionymi z chrześcijaństwem. Cała więc wartość prawdziwej kultury polskiej leży w umiejętności poszanowania innych ludzi, innych kultur, co wcale nie oznacza, że jakże często nie dorastamy indywidualnie i społecznie do poprzeczki, jaką stawia nam tak rozumiana polskość, ale to właśnie możemy wnieść do Europy jako wkład bardzo jej dzisiaj potrzebny.

Idea Europy zjednoczonej, ale Europy różnorodnej, nie monolitu?

Tak jest. I to jest bardzo polska Europa. Przywołajmy raz jeszcze Zjazd gnieźnieński i Unię Lubelską. Jest to nasza tradycja i należy to podkreślać. Na Zachodzie często nie wiedzą, że Polska ma już ważne zjednoczeniowe doświadczenia historyczne, wielką kartę europejską w historii Europy. Jeśli bowiem chodzi o nasz kontynent, to właśnie różnorodność tożsamości stanowi tę bardzo ważną cechę, która wyróżniała Europę w historii świata i stanowiła o jej bogactwie, genialności oraz promocji. Europy bowiem nie stworzyło siłą jakieś jedno imperium, ale przeciwnie – można paradoksalnie powiedzieć, że Europę stworzyło jej społeczeństwo. Było ono zorganizowane w różne wspólnoty, rozmaite grupy ludzkie, mające swoją tożsamość i umiające ze sobą współpracować. Europa była zawsze ojczyzną małych ojczyzn i narodów, równowagi wspólnot, które wpływały zresztą na siebie nieustannie. Dopiero barbarzyński XX wiek ogłosił, że człowiek jest np. tylko Niemcem, czy że trzeba się podporządkować jednemu narodowi, tylko jednej idei. To jest najgłębiej sprzeczne z tradycją europejską i oczywiście chrześcijaństwem.

Ale chyba głęboko zakorzenione?

Jeśli zakorzenione, to jako relikty przede wszystkim XX wieku i jego anty-humanistycznych ideologii z totalitaryzmem na czele. Oczywiście, zawsze będą powstawały zamknięte getta i będą one tworzyć swoją własną historię i wizję świata. Każde jednak getto to na dłuższą metę skazanie się na zubożenie, na wymarcie; nie jest to więc żadne wyjście. Implikacje są kolosalne i w związku z tym niesłuchanie pilnym postulatem jest, by w pierwszym rzędzie poznać lepiej swych najbliższych sąsiadów i uczyć się współżycia z nimi. Każde sąsiedztwo, lokalne czy narodowe, jest konfliktogenne, ale prowadzi też do wymiany. Potrzeba wzajemnego zrozumienia i poznania się ma tu kluczowe – dziś zwłaszcza – znaczenie.

Panie Profesorze, wskazuje Pan na potrzebę przypominania o naszej chlubnej przeszłości Europy, ale przecież faktem jest, że nawet sami Polacy często o tym nie wiedzą.

Tym bardziej ważna jest znajomość historii, edukacja ukazująca nasze kulturowe korzenie. By znaleźć się we współczesnym świecie, wszystkim nam jest potrzebna edukacja – od niemowlaka po trzeci wiek. Chodzi o to, by nawzajem sobie pomagać, ponieważ następują niebywale szybkie i głębokie zmiany w naszym otoczeniu, do których nie wszyscy potrafią się przystosować. Chodzi o to, by ludzie ten świat rozumieli, a zarazem pozostali sobą. Każdy człowiek jest ważny, ale wszystkich trzeba wyraźnie dowartościować kulturowo. Inaczej rodzą się kompleksy. Brak tożsamości – to po prostu nowoczesne barbarzyństwo; gdy człowiek nie wie kim jest, rodzi się chaos i agresja, generalna anarchia i dalej groźba nowych totalitaryzmów. Pogłębiona tożsamość sprawia, że ludziom kultury łatwiej jest się spotkać z innymi i odnaleźć wspólne elementy. Ludzie polskiej kultury z ogromną łatwością odnajdują się w Europie i znajdują

wspólny język z ludźmi kultury europejskiej. Trzeba o tym pamiętać.

Nie zmieni to jednak faktu, że ciągle będą osoby, które będą obawiać się Unii Europejskiej jako tygla, w którym zacierają się narodowe tradycje?

Ale sukcesem będzie już to, że takich osób nie będzie wiele. Trzeba ciągle powtarzać: Europy nie można zamknąć w jedną formułę, bo jest na to za bogata. Tożsamość Europy, to rdzeń narodowy oraz świadomość zawsze otwarta na innych. Prawdziwy Europejczyk szanuje siebie, swe korzenie, swój język i kulturę narodową, ale zarazem nie umniejsza tych samych wartości u innych. I tu jest bardzo ważne nasze doświadczenie polskie i wspólnej Rzeczypospolitej narodów. Skrajne nacjonalizmy oraz totalitaryzmy, niezależnie od swych barw, są zaprzeczeniem – powtórzmy to z naciskiem – historycznej tradycji europejskiej i polskiej. Ale wierzę, że dziś – mimo wszelkich przeciwności – mamy szansę zbudować wspólną Europę na bardzo nowych i zarazem tradycyjnych podstawach. Jest to szansa jedyna w swoim rodzaju, wielkie wyzwanie historyczne, przed którym stoimy. Polska i kultura polska w dobie globalizacji w Unii Europejskiej ma dziś szansę utrzymania swej tożsamości i niepodległości. Tylko nie popadajmy w naiwny optymizm: raj na ziemi nie stworzymy. Europa – jak każda ludzka sprawa – wymaga czynnego zaangażowania i poczucia odpowiedzialności. Należy się pozbyć łatwych iluzji. Ale nie wolno nam odwracać się od świata. Jesteśmy zaś odpowiedzialni. I trzeba odwołać się do najgłębszych warstw naszego patriotyzmu, humanizmu, chrześcijaństwa i europejskości, by podjąć – w skali indywidualnej i społecznej – wielkie zadanie, jakie stawia przed nami XXI wiek. Po raz pierwszy od ponad 2000 lat mamy dziś, jako Polacy, szansę czynnego współtworzenia Europy, którą w pełni będziemy mogli określić jako „nasza Europa”.

Rozmawiali:

Adam Dobrzyński i Piotr Szalek.

Opracował: Adam Dobrzyński.

Wyznania agnostyka

– rozmowa z prof. Janem Woleńskim

Jan WOLEŃSKI –
profesor filozofii na
Uniwersytecie
Jagiellońskim –
opublikował ponad
500 prac
naukowych. Jest
autorem takich
książek, jak:
*Filozoficzna szkoła
lwowsko-
-warszawska*
(Warszawa 1985),
*Logic and
Philosophy in the
Lvov-Warsaw School*
(Dordrecht 1989),
Kotarbiński
(Warszawa 1990),
*Metamatematyka
a epistemologia*
(Warszawa 1993).

Panie Profesorze, nazwisko Pana kojarzone jest, ogólnie rzecz biorąc, z nurtem filozofii analitycznej, czyli tradycją, która zwraca uwagę na precyzję wyrażania myśli, jasność, ścisłość metody. Ale wiadomo, że filozofia analityczna nie jest kierunkiem jednolitym. Czym według Pana jest filozofia analityczna, ta, którą Pan Profesor uprawia; jak można ją scharakteryzować?

Prof. Jan Woleński: Filozofia analityczna, którą preferuję i uprawiam orientuje się na logikę. Dokładnie mówiąc, polega ona na próbie stosowania wyników logiki formalnej (np. metalogiki) do pewnych klasycznych zagadnień filozoficznych. Ten nurt nazywa się „formalizmem”, niektórzy mówią o „logicyzmie”. Nie jest to oczywiście jedyny nurt filozofii analitycznej, są także tacy, którzy uważają, że analiza powinna dotyczyć potocznych sposobów mówienia. Jeszcze inni – że tych wyrażen, które znane są z historii filozofii. W moim przekonaniu nie każdy problem filozoficzny da się przełożyć na język logiki. Bierze się to stąd, że termin „logika” jest dwuznaczny. W jednym znaczeniu obejmuje rachunki logiczne i badania nad nimi; to jest ta logika, która jest nazywana logiką matematyczną. Inne rozumienie: logika jest sumą semiotyki, logiki formalnej i metodologii nauk. Oczywiście logika w tym drugim rozumieniu ma znacznie szerszy zakres zastosowania niż w pierwszym. Na przykład: można podchodzić analitycznie do zagadnień z zakresu filozofii człowieka (do antropologii filozoficznej), nie da się jednak wyrazić tego w języku logiki symbolicznej. Podobnie ma się sprawa z różnymi problemami z zakresu etyki. Nie jestem fanatykiem filozofii formalistycznej. Uważam, że istnieje tutaj pewna gradacja: istnieje wiele problemów, które można analizo-

wać w dość abstrakcyjnym języku logiki formalnej, i cały szereg innych, których nie da się w ten sposób rozważać. W swoich pracach staram się stosować i jedną, i drugą metodę. Dlaczego jednak preferuję tę pierwszą? Ponieważ ma ona jasne kryteria poprawności. I to jest dla mnie sprawa fundamentalna. Natomiast jeśli analizuję jakiś sens pojęcia potocznego, to właściwie kryteria poprawności tej analizy są dość delikatne. To zależy od intuicji, którą jeden ma taką, inny inną. W zasadzie jednak uważam, że zakres analizy filozoficznej jest bardzo szeroki, wbrew temu, co się powszechnie sądzi.

A jak sytuacja filozofii analitycznej wygląda na tle filozofii w Polsce? Od kiedy można mówić tutaj o filozofii analitycznej?

Zacząć trzeba od tego, że filozofia analityczna istniała od zawsze. Filozofem analitycznym był np. Arystoteles.

O. J.M. Bocheński pisał, że najlepszymi analitykami byli scholastycy.

Może nie wszyscy, ale w dużej mierze tak. Pierwszej rangi analitykami byli m.in. Anzelm, Abelard, mniej – moim zdaniem – św. Tomasz, choć jako arystotelik, on także był analitykiem. Ockham był naprawdę wybitnym analitykiem – ogólnie rzecz biorąc, analitykami byli późni scholastycy. Nie był jednak analitykiem np. Bonawentura, ale ze zrozumiałych względów. W zasadzie jednak każdy filozof coś analizował. Nawet Pseudo-Dionizy Areopagita, oraz Kuzańczyk, czyli ci, których powszechnie uważa się za mistyków.

Podobnie było i w Polsce, wielu analityków mieliśmy w dobie Oświecenia. Ale tak naprawdę filozofia analityczna na świecie powstała dopiero w XX wieku, jako program bardzo wyraźny, który ograniczał filozofię do analizy; niekoniecznie jednak musi to być ograniczenie do problemów filozoficznych, lecz metody. Polska filozofia analityczna powstała również na przełomie XIX i XX wieku. Twórcą jej był Twardowski. Potem znalazła ona znakomite rozwinięcie w pracach jego uczniów.

Czy Pan Profesor sięga do wzorców z przeszłości?

Tak, nawiązuję do tradycji szkoły lwowsko-warszawskiej. Moim ulubionym filozofem jest Kazimierz Ajdukiewicz i jego sposób analizy. Uważam, że w polskiej filozofii jest do czego nawiązywać. Mamy dobrą tradycję filozofii analitycznej i trzeba ją kontynuować.

A jak obecnie według Pana Profesora przedstawia się sytuacja filozofii analitycznej w Polsce?

Sądzę, że nieźle. Większość filozofów polskich ma świadomość naszych osiągnięć analitycznych i w przeważającej ilości przypadków, nawet jeśli wielu nie podziela stosownych przekonań metodologicznych. Są one traktowane jako pewne dobro filozoficzne, które powstało w Polsce, i które należy cenić. Tak sądził np. Ingarden, który chociaż był krytykiem tej filozofii, uważał, że jest ona czymś, co tworzyli Polacy i co należy zapisać na dobro filozofii polskiej.

Pan Profesor podał dość szeroką linię rozwojową filozofii analitycznej, opierając się na szerokim rozumieniu tej filozofii. Należy jednak pamiętać, że pojawiło się także wąskie rozumienie filozofii analitycznej, ograniczające ją do wybranego obszaru zagadnień. Czy Pan Profesor uważa, że filozofia analityczna, wykorzystując narzędzia przez siebie wypracowane, może owocnie czerpać również z innych tradycji, np. fenomenologicznej, czy też arystotelesowsko-tomaszowej?

Nie tylko, że może, ale ona już korzysta z innych tradycji. Co do tomizmu to sprawa jest oczywiście delikatna, bo to jest filozofia – powiedzmy – dawna i jest rzeczą dyskusyjną, na ile wątki przez nią podjęte warto kontynuować? Chciałbym pozostawić to bez dalszego komentarza, w moim przekonaniu nie bardzo warto, ale nie chcę w to wchodzić. Natomiast jeśli idzie o fenomenologię, to ostatnimi czasy jej związek z filozofią analityczną jest bardzo ścisły.

Jak, w takim razie, Pan Profesor zapatruje się na podział na filozofię konty-

nentalną i filozofię analityczną, obecny w wielu podręcznikach historii filozofii?

Uważam, że istnieje pewna bardzo nie-

dobra tradycja, która lokuje filozofię analityczną w tradycji anglosaskiej, której się przeciwstawia tzw. filozofię kontynentalną. Nie

„Ateista wypowiada sąd negatywny, albo lepiej – on neguje zarówno tezę o istnieniu Boga, jak i o Jego nieistnieniu. Staje obok. Oczywiście są tacy, którzy idą dalej i negują istnienie Boga – i ja, gdyby mnie ktoś przyparł do muru, przychyliłbym się do tego stanowiska, ale na razie nie jest to konieczne.”

będę wchodził tu w szczegóły, bo jest to przeciwstawienie absurda, biorące się najprawdopodobniej z podziałów politycznych, z czasów, kiedy się przeciwstawiało politykę brytyjską polityce kontynentalnej, europejskiej. Do filozofii podział ten został przeniesiony mechanicznie. Ale jeśli już pozostawać przy tym rozróżnieniu, to kontynent ma własne źródła filozofii analitycznej; jest to m.in. Bolzano, szkoła Brentany (w tym także Husserl, który był uczniem Brentany). Niektórzy twierdzą wprost, że to, co dobre u Husserla, to właśnie brentanizm. Ale to już sprawa indywidualnej oceny). Ponadto istnieje pewna tradycja, której również nie należy lekceważyć; jest to tradycja neokantowska. Została ona wyraźnie zdeprecjonowana, a przecież neokantyści postanowili potraktować Kanta analitycznie, bardziej nawet niż to czynił sam mistrz. Jest tam bardzo wiele ciekawych analiz. Dlatego też można mówić o kontynentalnej filozofii analitycznej. Koło Wiedeńskie nie pojawiło się przecież na wyspach brytyjskich. Frege, który uchodzi za ojca filozofii analitycznej nie napisał ani jednego słowa w języku angielskim; Russell korespondował z nim w języku niemieckim.

Pan Profesor powiedział, że pewna problematyka filozofii arystotelesowsko-tomaszowej nie jest warta tego, aby ją podejmować i rozważać na nowo. Natomiast Pan problematykę transcenden-

taliów wydobyl stamtąd i poddał obróbkę metodą filozofii analitycznej.

Faktem jest, że poświęciłem tej problematyce dwie czy trzy prace. Uważam jednak, że jest to tradycyjny problem filozoficzny, który z pożytkiem można analizować metodami filozofii analitycznej.

Ale został on postawiony nie gdzie indziej, jak właśnie na terenie filozofii klasycznej.

Tak, jest to prawda. Czy jednak można to samo czynić np. z arystotelesowską koncepcją substancji; czy w ogóle warto to robić metodami analitycznymi? Tego nie wiem. Wydaje mi się, że nie bardzo. Ale może się mylę?

Czy transcendentalia to w takim razie odosobniony przypadek; czy tomizm w wersji egzystencjalnej nie ma nic więcej do zaoferowania filozofom analitycznym?

Tego to ja nie wiem. Ja na to spoglądam pod kątem pewnego problemu, który się bierze do analizy. Filozof analityczny nie bierze ot tak, po prostu filozofii, tylko bierze problem. Zagadnienie transcendentaliów, które rzeczywiście nie jest popularne w świecie, w moim przekonaniu niesie pewną fundamentalną problematykę, np. to, w jaki sposób zdefiniować byt. Ja w tej sprawie jestem szkotystą; uważam, że poza bytem reszta transcendentaliów to są raczej transcendentalia modalne. Jest to jednak już spór w rodzinie. Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że warto to robić, bo jest to problem niezależny od jakiegokolwiek światopoglądu; jest to po prostu piękny problem filozoficzny: co i jak można zdefiniować. Czeżowski kiedyś podkreślił, że scholastycy, mówiąc o transcendentaliach, że są one ponadkategorialne, uznali, że nie są one definiowalne w sposób klasyczny. Nie można bowiem znaleźć dla nich rodzaju wyższego i różnicy gatunkowej. Transcendentalia są pojęciami analogicznymi i dlatego trzeba to robić inaczej. Czeżowski zauważył również, że intuicję tę potwierdziła logika współczesna, dokładniej teoria typów Russella. To samo próbował robić również Salamucha w swoich analizach transcendentaliów.

To wszystko potwierdza fakt, iż transcendentalia są problemem z filozofii scholastycznej, który wart jest tego, aby go kontynuować. A czy są inne? Jeśli ktoś powiada, że sąd egzystencjalny jest wyrazem bezpośredniego doświadczenia, to ja mogę podać przeciwko temu racje natury logicznej, że tak nie jest. Według mnie jest to jakaś inna koncepcja doświadczenia, którą można zanalizować. Dla mnie zagadnienie to jest jednak interesujące głównie jako przedmiot krytyki. Muszę powiedzieć, że w tomizmie znajduję wiele problemów, które chętnie krytykuję. Oczywiście zakłada to, że te problemy są na tyle jasno sformułowane, abym mógł sobie z nimi poradzić. Albowiem są również tacy filozofowie, z którymi w ten sposób poradzić sobie nie mogę.

Obecnie na terenie filozofii analitycznej bardzo żywy jest problem poznawalności istnienia Boga. Analizie metodami współczesnej filozofii analitycznej poddawane są „drogi” św. Tomasza z Akwinu. Problem ten jest jednak typowy dla tradycji tomistycznej.

Co ja mam Panom odpowiedzieć?

Chodzi o to, iż jest on jeszcze jednym przykładem na poparcie tezy, że ta tradycja może być inspirująca dla współczesnych filozofów analitycznych? A może według Pana Profesora ta problematyka nie warta jest tego, aby ją kontynuować?

Oczywiście, że warta. Problemu religii się nie zadekretuje w żaden sposób; to jest żywy problem, który zawsze będzie interesował ludzi, który będzie interesował filozofów. Tego nie da się w żaden sposób uniknąć, wiara pozytywistyczna, że w miarę postępu wiedzy obszar religii (wiary) ulega zawężeniu, wydaje mi się nietrafna, szczególnie w odniesieniu do Polski. Nie jestem socjologiem i nie wiem, na ile społeczeństwa zachodnie są zlaicyzowane, ale w moim środowisku laicyzacja jest bardzo duża. Zdaję sobie jednak sprawę, że jest to środowisko elitarne i niezbyt liczne. Sondaże wskazują jednak, że ludzie w coraz

większym stopniu odchodzą od Kościoła. Nie można jednak wyciągać z tego wniosków, że ten proces jest konieczny i nieodwracalny. Być może w przyszłości doświadczenie ludzkie będzie tak dojmujące, że religia wróci. Tutaj nie można niczego przewidzieć.

A czy dla Pana Profesora jako filozofa problematyka z obszaru religii jest interesująca poznawczo?

Nie bardzo.

Z powodów obiektywnych, np. dlatego, że według Pana Profesora przekonania teistyczne nie są konkluzywne, czy też z powodów subiektywnych, osobistych?

Sądzę, że bardziej z powodów subiektywnych. Są różne drogi do takiego czy innego światopoglądu, bardzo często są one drogami przypadkowymi. Ja straciłem wiarę, jak wielu młodych ludzi, w okolicach matury. Bardzo często ludzie ją później odzyskują. Są tacy, którzy wracają pod presją domu, środowiska, sympatii. U mnie w domu nie wymuszano na mnie religijności. Powiedziano: twoja sprawa, twój wybór. Nie chcę jednak wypowiadać się na temat uzasadniania przekonań natury religijnej. Niektórzy ludzie je mają i są one pewnie na tyle mocne, że dla nich warto je żywić. Ale z punktu widzenia jakiejś argumentacji racjonalnej, one nie są logicznie uzasadnione. Nie rozwiązuje to jednak sprawy.

Bardzo często miałem okazję dyskutować na te tematy z wybitnymi księżmi. Stawiam im pewne pytania dotyczące spraw fundamentalnych: Boskiej wszechwiedzy, wszechmocy, wolności. Zakładając bowiem, że świat stworzył Bóg wszechmogący, wszechwiedzący, twierdzimy tym samym, że wiedział o każdym najmniejszym wydarzeniu w przyszłości. W jaki więc sposób człowiek może odpowiadać za to, co zrobił? Posługując się analogią: jeśli ja stworzę coś i ono nie działa tak, jakbym tego chciał, to wina jest raczej po mojej stronie niż po stronie tego czegoś. Księża, ci pytani przeze mnie o te sprawy, bardzo często rozkładają bezradnie ręce i mówią, że nie znają odpowiedzi na te pytania.

Myśliciele religijni wprowadzają jednak tutaj taki termin jak „wolność”. Poza tym, co innego wiedzieć (znać przyszłość), a co innego wpływać na nią, wyznaczać ją. Bóg stworzył nas jako istoty wolne, to jego największy dar.

Ale co to jest za wolność. Co ja mogę wybrać, jeśli zostałem stworzony przez istotę, która mogła pokierować moimi losami inaczej. Proszę pamiętać, że u Boga wola i rozum są tym samym. A zatem, jeśli coś zrobił, to chciał coś zrobić, i jeżeli chciał to zrobić, to wiedział, co robi. Nie spotkałem racjonalnego wyjaśnienia tego problemu. A jest to, przynajmniej dla mnie, fundamentalny problem wiary. Pytałem o to wielu księży. Oni rozkładają bezradnie ręce i mówią, że ostatecznie jest to problem wiary. Albo się w to wierzy, albo nie. No dobrze, ale w takim razie ja u siebie nie znajduję podstaw, aby taką wiarę posiadać. Rozumiem jednak, że inni ją mają, przyjmując jednocześnie, że to zagadnienie jest sprawą zbyt tajemniczą, zbyt fundamentalną, aby na ten temat mędrkować. Widocznie uznają, że wszystko jest w porządku. Ja tak uznać nie mogę.

To w takim razie nie rozmawiamy na temat światopoglądu religijnego w ogóle, ale na temat światopoglądu Pana Profesora. Jaki jest to światopogląd? Czy jest to światopogląd indyferentny?

Czy jest on indyferentny...? Oczywiście, on może być indyferentny intelektualnie, ale nie etycznie czy aksjologicznie. Są to dwie zupełnie różne sprawy. Wygląda to tak: jeśli ktoś mi mówi, no dobrze, jeśliś taki mądry, to mi udowodnij, że Bóg nie istnieje. Moim zdaniem jest to fundamentalne nieporozumienie logiczne, bo nie można udowodnić, że coś nie istnieje. Ale po prawdzie ja nie mam argumentów rozstrzygających ani za, ani przeciw. W tym sensie jestem więc indyferentny. Jest to właśnie ateizm, czy agnostycyzm nie zaś antyteizm. Ateista wypowiada sąd negatywny, albo lepiej – on neguje zarówno tezę o istnieniu Boga, jak i o Jego nieistnieniu. Staje obok. Oczywiście są tacy, którzy idą

dalej i negują istnienie Boga – i ja, gdyby mnie ktoś przyparł do muru, przychyliłbym się do tego stanowiska, ale na razie nie jest to konieczne.

Czy obecnie więc zajmuje Pan Profesor stanowisko agnostyczne?

Myślę, że kwalifikacje tego typu są bardzo trudne i bardzo złudne. Wolę, gdy ktoś się mnie pyta, jaki masz stosunek do tej czy innej kwestii. Ale jeśli już Pan chce, to agnostycyzm jest chyba dobrym terminem. Oczywiście, czasami o Bogu mówię, choćby analizując dowody na istnienie Boga. Uważam je bowiem za dowody, choć pozbawione siły przekonującej.

Czy nie sądzi jednak Pan Profesor, że choć agnostycyzm jest lepiej uzasadniony, to w praktyce niczym się nie różni od ateizmu?

Być może. Na pewno łączy ich to, że zarówno ateista, jak i agnostyk nie będą przyjmowali religijnego uzasadnienia dla moralności.

Dotychczas Pan Profesor mówił przede wszystkim o swoim światopoglądzie negatywnie. Czy pozytywnie mógłby Pan Profesor powiedzieć o nim więcej?

Nic, co mogłoby być atrakcyjne.

A jakie wartości Pan Profesor przyjmuje? T. Kotarbiński, T. Czeżowski uważali, że te wartości, które niesie ze sobą tzw. etyka niezależna nie są zbyt odległe od wartości ewangelicznych.

Dla mnie również jest to oczywiste. Istnieje pewna pula wartości moralnych, które wszyscy akceptują i które ja też akceptuję. Nie zalecam indyferentyzmu moralnego. Ogólnie rzecz biorąc, zgadzam się z Kotarbińskim i Czeżowskim. Sądzę, że pod względem korpusu podstawowych tez nie ma różnicy pomiędzy chrześcijaninem a kimś, kto akceptuje etykę niezależną. Nic więcej jednak nie potrafię powiedzieć na ten temat. Ważniejsze są – według mnie – dyskusje na tematy społeczne, dotyczące m.in. tego, jak pewne postawy przekładają się na postępowanie praktyczne. Ale jest to zagadnienie szersze, dotyczące współczes-

nej Polski. Tym samym zaś temat na odrębną dyskusję. Wydaje mi się jednak, że – wbrew wszystkim eurosceptykom, czy wręcz przeciwnikom europeizacji Polski – indyferentyzm światopoglądowy świata zachodniego nie doprowadził do żadnej katastrofy. Wręcz przeciwnie, ja bym sobie życzył, żeby stosunki pomiędzy ludźmi w Polsce były takie, jak na Zachodzie. Z tego płynie zaś wniosek, że uzasadnienia światopoglądowe nie odgrywają zasadniczej roli przy uzasadnieniu moralności.

Pan Profesor mówił o tym, że pewna pula wartości jest wspólna wszystkim ludziom w Europie Zachodniej. Czy nie jest to jednak wynikiem tego, że oblicze Europy było kształtowane przez setki lat przez chrześcijaństwo i wartości, które ono ze sobą niosło?

Proszę jednak pamiętać, że chrześcijaństwo nie było tutaj pierwsze. Kultura europejska została ukształtowana nie tylko przez chrześcijaństwo. Oparta jest ona na trzech filarach: filozofii greckiej, religii chrześcijańskiej i prawie rzymskim. Moim zdaniem bardzo często nie docenia się wkładu Rzymu, stoików, prawa rzymskiego. A przecież wprowadziło ono pewne fundamentalne zasady, jak np. zasadę dobrej wiary, czyli takiego traktowania twojego kontrahenta, że on cię nie oszukuje. Trudno to dzisiaj przecenić. Inną zasadą jest zasada domniemanej niewinności, długo nie uznawana przez chrześcijaństwo. Przecież procesy inkwizycji oparte były na zasadzie domniemania winy. Widzą więc Panowie, że każda generalizacja tutaj grozi pewnym spłaszczeniem. Błędem jest zarówno przecenianie roli chrześcijaństwa, ale także niedocenywanie jego wkładu do kultury europejskiej. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, która kultura miała decydujący wpływ. Wiele elementów dziś akceptowanych przez chrześcijaństwo pojawiło się przecież na obrzeżu, na granicy ortodoksji, albo było rezultatem herezji, schizmy. Na przykład trudno dziś jednoznacznie odpowiedzieć, jakie znaczenie dla ukształtowania się moralnego oblicza Eu-

ropy Zachodniej miała Reformacja. Jak by wyglądało to oblicze, gdyby chrześcijaństwo się nie podzieliło? Chyba Panowie przyznacie rację, że przed Reformacją to oblicze nie było tak wyraziste. Reformacja jednak zmusiła obie strony do wyostrenia pewnych rzeczy, do konsekwencji. Ale doprowadziła także po obu stronach do rzeczy strasznych.

Pan Profesor wspominał o procesach inkwizycyjnych. Ale przecież to robili tylko niektórzy chrześcijanie (nasuwa się jeszcze pytanie: czy czynili to chrześcijanie nominalni czy świadomie wierzący?), natomiast sama Ewangelia do tego nie wzywa.

Przecież nie muzułmanie.

Co zatem decyduje o tym, że Pan przyjmuje te podstawowe zasady moralne. Czy jest to wychowanie, tradycja?

Czy mamy inny wybór? Proszę sobie wyobrazić świat nieprzyjmujący tych zasad. Czyli, że ludzie kłamałiby, zabijaliby, okaleczali siebie nawzajem. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy tym wartościom.

Myśliciele katoliccy twierdzą jednak, że ludzie wierzący są tutaj w lepszej sytuacji, ponieważ gwarantem tych wartości jest Bóg.

Pojawia się tutaj jednak pytanie: czy to ma jakiegokolwiek znaczenie praktyczne? W moim przekonaniu nie ma. Patrząc na społeczeństwo polskie nie wydaje mi się, aby były to jakieś argumenty rozstrzygające. Statystyka grzechu w każdej populacji jest mniej więcej taka sama. Oczywiście biorąc pod uwagę przykazania moralne, ogólnoludzkie, pomijając zaś przykazania kościelne. Nie wydaje mi się jednak, żeby chodzenie do Kościoła było jakąś specjalną cnotą moralną.

Czy w takim razie postępowanie Pana Profesora w praktyce niczym nie różni się od postępowania ludzi wierzących?

Tego to ja nie wiem. Może jest ono lepsze, a może gorsze. Uważam, że postępowanie i jednych, i drugich w dziedzinie moralności powinno być zgodne z tymi

samymi zasadami. Uogólniając, można powiedzieć, że są ludzie wierzący zachowujący się w sposób haniebnny, ale są także ludzie niewierzący zachowujący się w sposób haniebnny. Czy Panowie wiedzą, że jeden z wzorów moralnych chrześcijaństwa, o. M.M. Kolbe, był na początku antysemitą, a później oddał swoje życie za drugiego człowieka?

A zatem kryterium postępowania jest dla Pana rozstrzygające w ocenie ludzi.

Tak, jestem zwolennikiem etyki sytuacyjnej. Oczywiście można powiedzieć, że jest ona bardzo labilna, że zachowania ludzkie generowane przez tę etykę są często mniej przewidywalne od zachowania ludzi przestrzegających pewien kodeks moralny. Ale z tego też nie wynika, że ci drudzy mają jakąś przewagę. Uważam, że

tu trzeba naprawdę wnikliwej analizy socjologicznej. Przeświadczenie, że ludzie wierzący są w uprzywilejowanej sytuacji moralnej, w moim przekonaniu jest absolutnie fałszywe.

Czy prywatnie Pan Profesor lubi rozmawiać na tematy religijne?

Tak. Ale nie kieruję się jakąś misją, aby odciągać ludzi od religii. Może kiedyś, jak byłem młodszy. Ale teraz doświadczenie nauczyło mnie tego, że generatory wiary funkcjonują na zasadach, o których prawie zupełnie nie mamy pojęcia. Znam ludzi, którzy zgadzają się ze mną we wszystkim, a jednak idą do Kościoła.

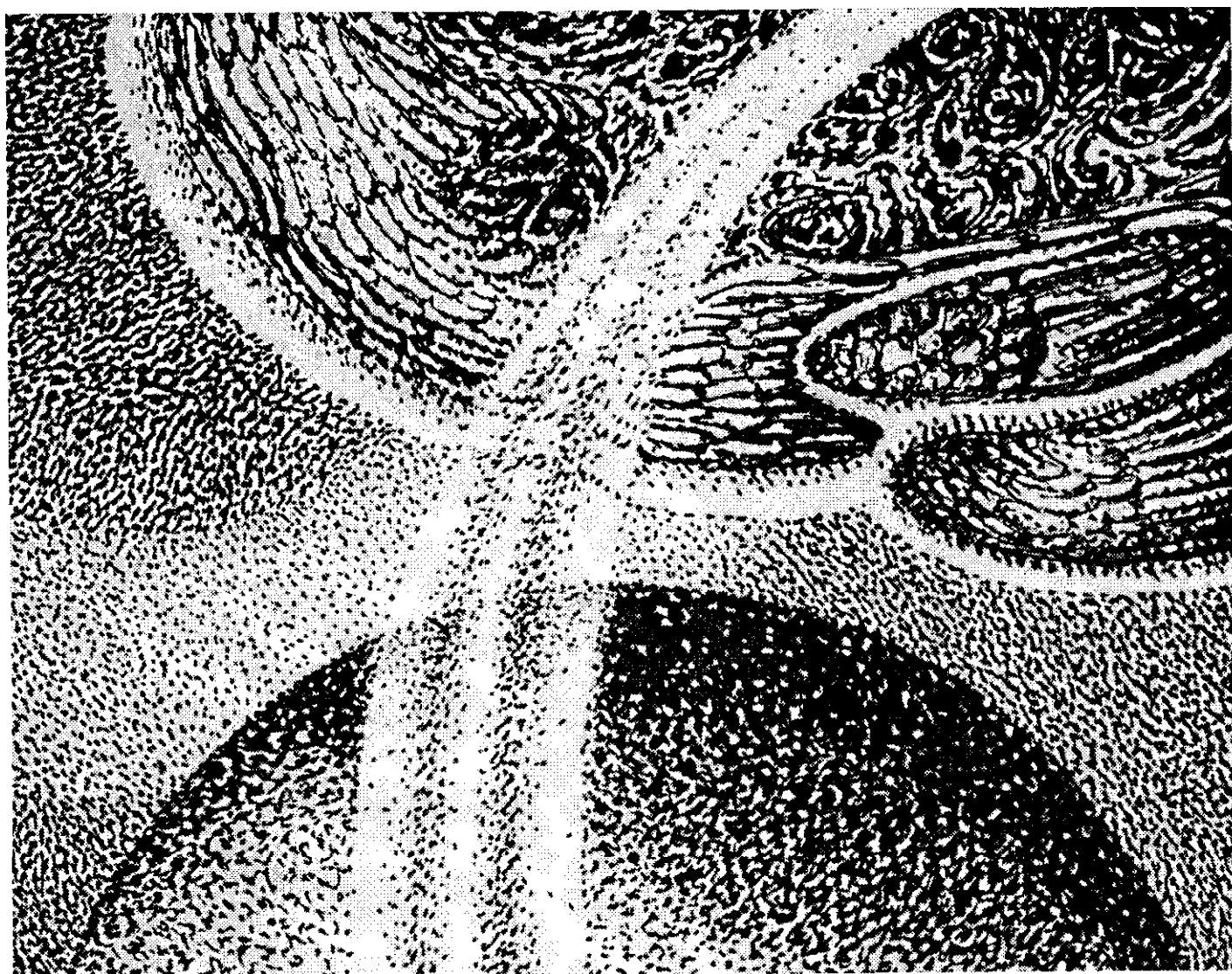
Chyba jednak nie we wszystkim, przynajmniej w tym, że pomimo wszystko warto chodzić do Kościoła.

Niech i tak będzie.

Rozmawiali:

Adam Dobrzyński i Piotr Szatek.

Opracował: Adam Dobrzyński.



rys. R. Ruzik

„Moje całe życie jest związane z Kościołem...”

– rozmowa z Prezydentem Macedonii,
Borisem Trajkovskim
(Kościół Ewangelicko-Methodystyczny)

Wywiad udzielony przez Prezydenta Macedonii,
Borisa Trajkovskiego, podczas jego wizyty w siedzibie
władz zwierzchnich Kościoła Ewangelicko-
-Methodystycznego w RP dnia 25.02.2000.

Boris TRAJKOVSKI –
wybrany w grudniu
1999 roku na
Prezydenta
Republiki
Macedonii, przez
wiele lat piastował
urząd pastora jednej
z macedońskich
parafii Kościoła
Ewangelicko-
-Methodystycznego;
obecnie jest
honorowym
Przewodniczącym
Rady Kościoła
Ewangelicko-
-Methodystycznego
w Macedonii.

Ks. Wawrzyniec Markowski: Panie Prezydencie, przez długi czas Bałkany nie schodziły z pierwszych stron gazet. Jednak, na szczęście, Macedonia nie znalazła się w centrum wiru tych dramatycznych wydarzeń. Proszę powiedzieć, jaka obecnie, po zakończeniu konfliktów w ościennych krajach, jest sytuacja społeczna i ekonomiczna w Macedonii.

Prezydent Boris Trajkovski: Macedonia rzeczywiście nie była na pierwszych stronach gazet, ale zawsze była przygotowana, aby pomóc Europie zrozumieć sytuację, jaka istniała na Bałkanach i rozwiązywać rodzące się tu problemy.

Podczas walk w Kosowie Slobodan Miloszević chciał sprowokować konflikt etniczny, spowodowany napływem uchodźców do Macedonii. Zwyciężyła jednak mądrość narodu. I Macedończycy i Albańczycy solidarnie przeciwstawili się tym zamiarom.

Jednak sytuacja społeczna i ekonomiczna jest skomplikowana, bowiem cały region jest w ciągłym procesie transformacji tak politycznych, jak i gospodarczych.

Jak pan Prezydent widzi rolę Macedonii w nowej, jednoczącej się Europie?

Założeniem polityki państwa i wolą narodu macedońskiego jest współpraca z Europą i udział w kształtowaniu polityki europejskiej, niezależność i współistnienie z innymi bez agresji. W ciągu ostatnich lat Macedonia pokazała, że jest to możliwe. Jestem przekonany, że demokratyczne, a zarazem wieloetniczne państwo, a takim właśnie jest Macedonia, jest bardzo na Bałkanach

potrzebne. Myślę, że dla naszych sąsiadów pod wieloma względami możemy być wzorem. Dla mnie osobiście jednym z najważniejszych celów jest budowanie dobrych stosunków narodowościowych.

„Nigdy nie marzyłem o tym, że będę prezydentem, ale kiedy nastąpił kryzys kosowski, poczułem, że Bożą wolą jest, abym zaangażował się w pełni również w służbę dla mojej Ojczyzny”

Przez długi czas pracował pan bardzo aktywnie, jako pastor Kościoła Ewangelicko-Methodystycznego w Macedonii. Proszę powiedzieć o swoich związkach z tym Kościołem.

Całe moje życie i rozwój są nierozdzielnie związane z Kościołem. Nawet obecność w tym miejscu jest tego świadectwem. Gdziekolwiek jestem, tam odwiedzam Kościół, mój Kościół. Odwiedzam również bratnie Kościoły [podczas wizyty w Warszawie Prezydent Trajkovski odwiedził także parafię św. Trójcy Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego – przyp. W. M.]. Chcę składać świadectwo poprzez bycie równocześnie prezydentem i chrześcijaninem. Do momentu wyboru na prezydenta aktywnie brałem udział w życiu Kościoła, a i dziś, w miarę wolnego czasu, staram się służyć mojej Wspólnocie. Często tego czasu brak i wtedy jest mi bardzo ciężko. Najszczęśliwszy czuję się wtedy, gdy mogę być wśród braci i sióstr. I jeśli np. jestem w sobotę na przyjęciu u królowej, to moja myśl wybiega już naprzód, do niedzieli, kiedy będę w moim Kościele, który jest mały, lecz pełen miłości i zrozumienia. Tu człowiek może odnaleźć samego siebie, zrozumieć, kim jest i Kto jest światłością ludzi, po prostu ma czas na refleksję. Teraz brakuje mi regularności w kontaktach z Kościołem. Przykre jest, że wielu ludzi nie rozumie tego, że będąc prezydentem można jednocześnie chcieć służyć Wspólnocie, chodzić na nabożeństwa i czynnie uczest-

niczyć w życiu Kościoła. Wydaje się im, że wybór na prezydenta oznacza, że człowiekowi należy oddawać pokłony. Tymczasem taki wybór jest wolą i dziełem Boga, nie jest przypadkiem, lecz częścią Bożych planów.

Nigdy nie marzyłem o tym, że będę prezydentem, ale kiedy nastąpił kryzys kosowski, poczułem, że Bożą wolą jest, abym zaangażował się w pełni również w służbę dla mojej Ojczyzny. Tylko dzięki Jego pomocy mogłem wygrać niezwykle ciężkie wybory, pokonując innych kandydatów. Mam jednocześnie świadomość, że prezydentem jest się przez jakiś czas, zaś chrześcijaninem do końca życia.

W jaki sposób doświadczenia w pracy w Europejskiej Radzie Młodzieży Metodystycznej ukształtowały osobowość pana Prezydenta?

Bardzo pomocne było i jest dla mnie doświadczenie nabyte podczas pracy młodzieżowej w Kościele Ewangelicko-Methodystycznym. Słowa, którymi posługiwaliśmy się często w tej pracy – dialog, współpraca, pokój – są dziś na ustach wszystkich polityków Europy. Już wówczas, kiedy państwa Europy były podzielone na dwa bloki, młodzież metodystyczna przekraczała granice podziałów. W Europejskiej Radzie Młodzieży Metodystycznej uczyliśmy się wspólnie szacunku wobec siebie, otwartości i przyjaźni. Tam właśnie rozumiałem, jak ważna jest otwartość, tolerancja i poszanowanie poglądów inaczej myślących. Jestem bardzo wdzięczny Bogu za te doświadczenia.

Większość Macedończyków to członkowie Kościoła Prawosławnego. Jak jest postrzegany prezydent, który wcześniej był metodystycznym pastorem?

Stosunki międzyetniczne i międzywyznaniowe w Macedonii układają się bardzo dobrze. Wybór mojej osoby na prezydenta jest tego najlepszym przykładem. Jestem osobą, wokół której jednoczą się wszystkie siły demokratyczne, bez względu na różnice etniczne czy przynależność partyjną. Głosowali na mnie nie tylko prawosławni Macedończycy, lecz również Albańczycy

[w większości muzułmanie – przyp. W. M.], w tym i albańskie kobiety, które dotąd nie brały udziału w wyborach. To bardzo dobry znak, że mniejszość albańska włącza się w budowanie demokratycznego państwa.

Na koniec osobiste pytanie – czy trudno jest pogodzić bycie prezydentem i bycie chrześcijaninem?

Jak już wcześniej wspomniałem, najbardziej dokuczliwy jest brak czasu. Jednak staram się godzić moje powinności prezydenta z powinnościami chrześcijanina.

Szczególnie się cieszę, kiedy czasami spotykam się z przywódcami innych krajów, którzy też są chrześcijanami. Modlimy się wtedy wspólnie, zanim zaczniemy rozmawiać o polityce. Bardzo mocno utkwiała mi w pamięci wspólna modlitwa z premierem Estonii – była bardzo emocjonalna, modliliśmy się, trzymając się za ręce. Takie chwile znaczą dla mnie bardzo wiele.

Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę Panu Prezydentowi Bożego błogosławieństwa.

Opracował: Ks. Wawrzyniec Markowski,
Przedruk – za zgodą Redakcji – z: „Pielgrzym Polski” 2000, nr 726.



Wnętrze kaplicy Kościoła Ewangelicko-Methodystycznego w Lublinie,
ul. Borelowskiego 5
fot. M. Orłowski



Marcin Luter (1483-1546)



rys. R. Ruzik

Kościół przełomu wieków

*Stanisław Celestyn Napiórkowski,
franciszkanin*

Augsburg 1999 – koniec XVI wieku?

W ekumenicznym dialogu międzykościelnym chodzi o to, by Chrystus zwyciężył między nami i nad nami; by zwyciężyła Ewangelia. Zwycięstwo Ewangelii w Jego Kościołach i nad Jego Kościołami jest najgłębszym zwycięstwem Kościołów.

31 października 1999 roku w Augsburgu miało miejsce wydarzenie historycznej miary: Światowa Federacja Luterkańska oraz Kościół Rzymskokatolicki podpisały *Wspólną Deklarację w sprawie nauki o usprawiedliwieniu*. W imieniu Federacji Luterkańskiej złożył podpis jej prezydent, biskup Christian Krause; w imieniu Kościoła Rzymskokatolickiego – kard. Edward Idris Cassidy, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Jedności Chrześcijan. Dokument stwierdzał osiągniętą zgodę w nauce o usprawiedliwieniu. Chciałoby się w tamtej chwili zajrzeć do grobu Marcina Lutra, czy się nie przewraca... Chciałoby się widzieć miny ojców Soboru Trydenckiego...

Jak do tego doszło?

Na Sobór Watykański II zostali zaproszeni m.in. obserwatorzy Światowej Federacji Luterkańskiej. Kiedy kończył się Sobór, składali oni raport ze swojej pracy. Wnioskowali rozpoczęcie oficjalnego dialogu z Kościołem Rzymskokatolickim. Z naszej strony wystąpiono z analogiczną propozycją. Dwa lata trwały przygotowania. Oficjalny dialog podjęto w 1967 roku. Z obu stron pracowało w Komisji mieszanej po kilku oficjalnie wyznaczonych teologów. Komisja zbierała co roku na kilkudniowe obrady. Praca pierwszej komisji trwała 7 lat (1965-1972) i zaowocowała dokumentem pt. *Ewangelia a Kościół* (tzw. *Raport z Malty*, 1972). Druga faza dialogu z drugą Komisją Mieszaną pracowała 11 lat (1973-1984) i opublikowała 6 dokumentów: *Wieczera Pańska* (*Abendmahl*, 1977), *Drogi do wspólnoty* (*Wege zur Gemeinschaft*, 1980), *Wszyscy pod jednym Chrystusem* (*Alle unter einem Christus* – o Konfesji Augsburskiej, również w 1980 roku – z okazji jubileuszu 450 lat od narodzin Konfesji w Augsburgu), *Posługiwania duchowne* (*Geistliche Amt in der Kirche*, 1981), *Marcin Luter – świadek Jezusa Chrystusa* (*Martin Luther – Zeuge Jesu Christi*, 1983), *Jedność przed nami* (*Einheit vor uns*, 1984). Trzecia

faza dialogu z trzecią Komisją Mieszana trwała 8 lat (1986-1993) i zaowocowała dokumentem na temat *Kościół i usprawiedliwienie* (*Kirche und Rechtfertigung*, 1993). W 1996 roku rozpoczęła prace czwarta Komisja.

Temat usprawiedliwienia podjęto już w pierwszej fazie, powrócił on w fazie drugiej, zwłaszcza w dokumencie o Konfesji Augsburskiej¹. Komisja trzecia naukę o usprawiedliwieniu podjęła jako główny temat swojej pracy. Po opublikowaniu dokumentu *Kirche und Rechtfertigung* Światowa Federacja Luterńska i Kościół Rzymskokatolicki utworzyły mały zespół do opracowania zwięzłej syntezy osiągniętych wyników w kwestii usprawiedliwienia. W 1997 roku projekt był gotów. Nadano mu tytuł: *Wspólna Deklaracja w sprawie nauki o usprawiedliwieniu* (1997). Projekt ostateczny. Światowa Federacja Luterńska pozytywnie oceniła dokument i przyjęła go olbrzymią większością głosów (podczas Zgromadzenia Ogólnego w Hongkongu w 1997 roku, w 50-lecie narodzin tej instytucji) oraz jednogłośnie w Radzie Federacji (16 czerwca 1998 r.). Kościół Rzymskokatolicki również pozytywnie ocenił *Wspólną Deklarację* (25 czerwca 1998). Nieco później opracował jeszcze krótkie dopowiedzenie, które otrzymało nazwę *Aneks*. Stanowi on integralny element podpisanej w Augsburgu *Wspólnej Deklaracji*. Co nowego wnosi Augsburg 1999 do Augsburga 1530 i Trydentu 1547? Czyżby to, co niemożliwe, stało się możliwe? Jakie istotne tezy zawiera podpisany w Augsburgu dokument? Upraszczając, ale nie zniekształcając, można odpowiedzieć w następujących тезach:

■ Po pierwsze, zrezygnowano ze sformułowań wyraźnie konfesyjnych, budzących emocje i w jakiejś mierze jednostronnych. I tak luteranie nie wprowadzili twierdzeń, że grzech pierworodny całkowicie zniszczył wolną wolę; nie powtórzyli po-

pularnych w czasach Reformacji wypowiedzi, że każdy, nawet tzw. dobry czyn człowieka po grzechu pierworodnym jest grzechem itd. Katolicy nie żądali mocnych zapisów, że człowiek może zasługiwać uczynkami na niebo. Wpisali tę myśl, ale w formie bardzo ostrożnej i wycieniowanej. Następnie, wyraźnie obustronnie przyjęto podstawową tezę o usprawiedliwieniu zapisaną w *Confessio Augustana* (art. IV): Usprawiedliwienie pochodzi wyłącznie od Boga ze względu na Chrystusa z łaski przez wiarę w Ewangelię o Synu Bożym. Świadomi ewangelicy wiedzą, że to serce teologii Reformacji, że to serce jej serca, *punctum stantis et cadentis Ecclesiae*, że to teologiczne oko reformacyjnego cyklonu, że odstąpić od tego znaczy zginąć, że to w przekonaniu praojców luteranizmu oznaczało mur podziału aż do samego nieba i do ognistego centrum ziemi. Dlatego spotkanie się przy tej tezie z katolikami musiało przyjmować z niebotycznym zdumieniem. Niektórzy postrzegają to jako niesłychane ustępstwo katolicyzmu, który dość jednoznacznie podpisał się pod *Sola=Prinzipia: Solus Deus, Sola gratia i Sola fide*. To rzeczywiście wydarzenie zdumiewające i historycznie wielkie; największe w wielkim wydarzeniu *Wspólnej Deklaracji w sprawie usprawiedliwienia*. Ze wszech miar godzi się przywołać najdonioślejsze słowa, które już tworzą nową historię:

„Wyrażamy wspólne przekonanie, że biblijne orędzie o usprawiedliwieniu w sposób szczególny skupia naszą uwagę na jądrze świadectwa nowotestamentalnego, którym jest czyn zbawczy Boga w Chrystusie; powiada nam ono, że jako grzesznicy nasze nowe życie zawdzięczamy wyłącznie miłosierdziu Bożemu, które sprawia przebaczenie i wszystko czyni nowe; miłosierdzie to możemy otrzymać tylko jako dar i przyjąć w wierze, nigdy natomiast – w jakiegokolwiek bądź formie – nie możemy na nie zasłużyć” (nr 17).

„Wyznajemy wspólnie, że człowiek w odniesieniu do swojego zbawienia jest zdany zupełnie na zbawczą łaskę Boga. Wolność, którą posiada w odniesieniu do ludzi i spraw

¹ O pracach drugiej fazy dialogu zob.: Stanisław Celestyn Napiórkowski OFMConv, *Wszyscy pod jednym Chrystusem. Ogólnokościelny dialog katolicko-luterański*, cz.1: lata 1965-1981, Lubin 1985.

tego świata, nie jest wolnością dotyczącą jego zbawienia. Oznacza to, że jako grzesznik podlega sądowi Bożemu i nie jest zdolny zwrócić się do Boga o ratunek, zasłużyć na swoje usprawiedliwienie przed Bogiem, lub własnymi siłami osiągnąć zbawienie. Usprawiedliwienie dokonuje się tylko z łaski” (nr 19).

„Wyznajemy wspólnie, że Bóg z łaski odpuszcza człowiekowi grzech, jednocześnie uwalnia go w jego życiu od zniewalającej mocy grzechu oraz obdarza nowym życiem w Chrystusie. Gdy człowiek ma w wierze współudział w Chrystusie, Bóg nie zalicza mu grzechu, a Duch Święty wzbudza w nim czynną miłość. Obu aspektów oddziaływania łaski nie wolno od siebie oddzielać. Należą one do siebie w tym sensie, że człowiek w wierze zostaje zjednoczony z Chrystusem, który w swojej osobie jest naszą sprawiedliwością (1 Kor 1, 30): zarówno odpuszczeniem grzechów, jak i uświęcającą obecnością Boga” (nr 22).

„Wyznajemy wspólnie, że grzesznik zostaje usprawiedliwiony przez wiarę w zbawcze działanie Boga w Chrystusie; zbawienie to zostaje mu подарowane przez Ducha Świętego w chrzcie, jako fundament całego życia chrześcijańskiego” (nr 25).

Autorzy *Wspólnej Deklaracji* wyrazili przekonanie, że osiągnęli „konsens w podstawowych prawdach dotyczących tej nauki” o usprawiedliwieniu (nr 13; por. nr 5, 14, 40).

Zatem katolicy zdradzili własną tożsamość i przyznali zwycięstwo Reformacji? Czyli katolicy w Augsburgu '99 wyparli się dogmatów z Trydentu? Kilkakrotnie słuchałem braci luteran referujących Augsburg '99. To przede wszystkim, lub wyłącznie, podkreślali, że wspólnie podpisano naukę o usprawiedliwieniu z *Confessio Augustana IV*.

Gdyby *Wspólna Deklaracja* Augsburg '99 urwała się na kropce po tej jednej podstawowej tezie, można by tak domniemywać. Deklaracja jednak rozwija i dookreśla stanowiska.

■ Po drugie, kiedy twierdzi się, że usprawiedliwia tylko wiara, rozumie się, że chodzi o wiarę, która działa przez miłość. O takie rozumienie wiary usprawiedli-

wiającej walczyli katolicy w Augsburgu w 1530 roku, a potem Sobór Trydencki. Reformacja broniła się przed tym; po pierwsze dlatego, by nie sprawiać wrażenia, iż sama wiara nie wystarcza, a musi dojść jeszcze coś innego, mianowicie miłość; po drugie dlatego, że w biblijnym rozumieniu wiary mieści się i nadzieja, i miłość.

■ Po trzecie, nie zapisano we *Wspólnej Deklaracji* tezy o *iustificati mere forensi*, czyli że usprawiedliwienie nie zmienia wnętrza człowieka, pozostając jedynie na zewnątrz człowieka, jakoby Chrystus z zewnątrz okrywał grzesznika swoją sprawiedliwością (*iustificatio forensi*), podczas gdy w rzeczywistości wewnątrz człowieka pozostaje niezmiennie grzeszne i przeciwne Bogu. Owszem, wprowadzono do *Wspólnej Deklaracji* sformułowania otwarte również na wewnętrzny charakter usprawiedliwienia:

„Bóg z łaski odpuszcza człowiekowi grzech [...] oraz obdarza nowym życiem w Chrystusie. Gdy człowiek ma w wierze współudział w Chrystusie, Bóg nie zalicza mu grzechu, a Duch święty wzbudza w nim czynną miłość. [...] człowiek w wierze zostaje zjednoczony z Chrystusem, który w swojej osobie jest naszą sprawiedliwością (1 Kor 1, 30), zarówno odpuszczeniem grzechów, jak i uświęcającą obecnością Boga” (nr 22); Duch Święty jednoczy w chrzcie człowieka z Chrystusem, usprawiedliwia i rzeczywiście „go odnawia” (nr 28)².

² Dyskutuje się obecnie, czy Luter głosił *iustificatio mere forensi*. Zdaniem Johna M. Todda niesłusznie przypisywano mu tę tezę: „Powszechne wyobrażenie na temat sprzeczności doktryny Lutera, w której sprawiedliwość Chrystusa pojmowana jest jako czysto zewnętrzna osłona prawna, zarzucona nad człowiekiem przykutym – czy tego chce, czy nie chce – do grzechu, jest fałszywe. Dla Lutera łaska – tak jak w doktrynie katolickiej – działa wewnętrznie [...]” (*Marcin Luter. Studium biograficzne*, przełożył T. Szafranski, Warszawa 1970, s. 98). Temat ten podjęli luteranie skandynawscy (por. *Luther und Theosis. Veröffentlichungen der Luther-Akademie e. V. Ratzeburg. Band 16 hg. V. Joachim Heubach in Zusammenarbeit mit der Luther-Agricola-Gesellschaft, Helsinki, Erlangen 1990.*), interesują się jednak bardziej dziejami problemu w luteranizmie niż stanowiskiem samego Lutera.

■ Po czwarte, wspólnie zapisano, że usprawiedliwiony człowiek nadal pozostaje grzesznikiem. Dołączono tutaj zastrzeżenie, iż obie strony niecałkowicie jednakowo postrzegają grzeszność człowieka usprawiedliwionego. Reformacja, jak wiadomo, głosi antropologiczną zasadę, że człowiek jest równocześnie sprawiedliwym i grzesznym (*iustus simul et peccator*), m.in. dlatego, że w człowieku wciąż żyje pożądliwość (*concupiscentia*), która jest grzechem. Katolicy łagodniej rozumieją tezę o grzeszności ludzi usprawiedliwionych czy świętych i nie przyjmują tezy, że sama pożądliwość jest grzechem. Bardziej personalistycznie rozumieją grzech. Według nich grzech osobisty jest tylko tam, gdzie człowiek dobrowolnie wybiera zło przeciw Bogu i człowiekowi. Jeśli zatem huczą w człowieku pożądliwości, a wola nie mówi „Tak!”, nie ma grzechu.

■ Po piąte, obie strony podjęły pytanie, czy szesnastowieczne wzajemne potępienia sięgają do naszego pokolenia. Historycznie wielkie pytanie! Sformułowano odpowiedź w formie warunkowej: Jeśli przyjmujemy naukę o usprawiedliwieniu w ujęciu *Wspólnej Deklaracji* – nie sięgają, nie odnoszą się do nas; jeśli zaś trzymamy się starych polemicznych interpretacji, zachowują swoją moc:

„W konsekwencji potępienia doktrynalne XVI stulecia, na ile odnoszą się do nauki o usprawiedliwieniu, jawią się w nowym świetle: potępienia Soboru Trydenckiego nie dotyczą nauki Kościołów luteranckich przedłożonej w tej Deklaracji. Potępienia luteranckich ksiąg wyznaniowych nie dotyczą nauki Kościoła Rzymskokatolickiego przedłożonej w tej Deklaracji” (nr 41).

■ Po szóste, pozostające różnice nie są istotne i nie kwestionują zasadniczej zgody w najważniejszej sprawie usprawiedliwienia. Obie strony lojalnie odnotowywały odmienne wrażliwości i pozostające różnice. Prefekt Kongregacji Doktryny Wiary, kard. Joseph Ratzinger dość stanowczo stwierdził, że trzeba mocniej je podkreślić. Dlatego strona katolicka opracowała dodatkowo zwięzły tekst, który przez obie strony

został uznany jako integralne dopowiedzenie *Wspólnej Deklaracji* (tzw. *Aneks*). Z jednej strony potwierdza on osiągnięcie konsensusu co do usprawiedliwienia, z drugiej strony bardzo stanowczo wskazuje najważniejsze różnice, które pozostają: rozumienie antropologicznego *adagium iustus simul et peccator*, moralna ocena pożądliwości (czy jest grzechem sama w sobie), *cooperatio*, a więc czy możliwa jest współpraca człowieka ze zbawiającym go Bogiem, oraz w związku z tym możliwość zasługiwania (*merita*).

Zdrada tożsamości? Relatywizowanie prawdy?

Po obu stronach dialogu podnoszą się oskarżenia o zdradę wyznaniowej tożsamości i relatywizowanie prawdy. Dlatego 5 Kościołów luteranckich przynależących do Światowej Federacji nie podpisało *Wspólnej Deklaracji*, m.in. Estoński Kościół Luterancki za granicą (Kanada) i Ewangelicko-Luterancki Kościół w Badonii (Niemcy)³.

Uczestniczyłem w tym dialogu. Byłem przez wiele lat w samym oku cyklonu, który wyrzucił wreszcie ze swego wnętrza deklarację z fundamentalnym konsensusem. Z całym przekonaniem protestuję przeciwko oskarżeniom o zdradę Ewangelii czy Kościołów. Widzę dwa źródła, które zrodziły konsensus (niepełny, „zróżnicowany”, jednak zasadniczy, istotny): jedno źródło nazywa się Ewangelia (kto woli, może mówić „Słowo Boże”), drugie – dialog.

Ewangelia jako źródło konsensusu

Ewangelia jest większa od naszych konfesyjnych teologii. Przecież nasze teologie są konfesyjne, kościelne. Nie napisano jeszcze teologii po prostu chrześcijańskiej. Wielki Karl Barth, z nurtu kalwińskiego (Kościół Ewangelicko-Reformowany), prawdopodobnie

³ Dokładny wykaz Kościołów, które podpisały, odmówiły podpisu lub dały „zróżnicowaną” czy też „trudną” odpowiedź zob.: SiDE 14 (1998), nr 2, s. 71-73.

nie największy po Lutrze teolog ewangelicki, zamierzał i bardzo pragnął napisać dogmatykę nie kalwińską, nie ewangelicką, ale po prostu chrześcijańską. Po żmudnych próbach doszedł do wniosku, że to jednak, niestety, niemożliwe. Napisał wielką dogmatykę; nie dał jej jednak tytułu „Christliche Dogmatik”, ale – zgodnie z prawdą – *Kirchliche Dogmatik*. Nasze teologie są teologiami kościelnymi, wyznaniowymi, co łączy się z kościelnymi i wyznaniowymi zawężeniami. Ewangelia jest zawsze większa. Większa od teologii katolickiej, większa od teologii prawosławnej, większa od teologii Reformacji, większa od teologii Augustyna, Tomasza czy Lutra.

Kiedy teolog luterański i katolicki uczciwie przymierzają swoje teologie do Ewangelii, przekonują się, że Ewangelia jest większa, że ani teologia katolicka nie obejmuje wszystkiego, ani teologia luterańska. Przekonują się, że obie cierpią na nadwrażliwości i niedowrażliwienia. Dlatego obaj czegoś nie doczytują (choć inne strony) i obaj czegoś przede wszystkim szukają. Luterańskie oko i ucho w lot chwytają wszystko, co wyklucza lub zdaje się wykluczać wartość ludzkiego czynu z wielkiej sprawy usprawiedliwienia, a kiedy Ewangelia dość wyraźnie warunkuje niebo dobrymi uczynkami, luterańskie ucho natychmiast traci na swojej sprawności. Analogicznie, lecz trochę odwrotnie, ma się sprawa z okiem i uchem katolickim. Pokorna świadomość, że mamy oczy i uszy nie tylko chrześcijańskie, ale również konfesyjne, sprawia, że z nadzieją pochylamy się nad Ewangelią. Wspólna międzykonfesyjna releksja Ewangelii cuda czyni. Ekumeniczne cuda.

Strona katolicka wielokrotnie dała we *Wspólnej Deklaracji* wyraz swojemu przekonaniu, że prawda o usprawiedliwieniu jest i rozleglejsza, i bogatsza, i bardziej uwarstwiona... To przekonanie zapisano zresztą ogólnie, jako stanowisko wspólne. Przyznano mianowicie, że biblijne orędzie o usprawiedliwieniu jest bardzo bogate, że posługuje się zróżnicowanym słownikiem, gdy

opisuje usprawiedliwienie człowieka („wyzwolenie do wolności, pojednanie z Bogiem, pokój z Bogiem, nowe stworzenie, życie dla Boga w Chrystusie, poświęcenie w Chrystusie Jezusie [nr 9], odpuszczenie grzechów, wyzwolenie z mocy grzechu i śmierci [czy] przyjęcie do społeczności z Bogiem” [nr 11]). W związku z tym strona katolicka, mówiąc: Ależ tak! na usprawiedliwienie darmowe, tylko ze względu na Chrystusa i przez wiarę, podpisując się zatem pod *Sola gratia, solus Chrisus* i *Sola fide*, dopowiedziała swoje typowo katolickie: Nie tylko, lecz także, *Non solum, sed etiam. Nicht nur, sondern auch*. I to, i to, a niewykluczone, że jeszcze coś więcej. Międzykościelne dialogi uczą pokory potrzebnej wszystkim stronom. Każda potrzebuje poszerzenia, pogłębienia i ubogacenia. Jest to możliwe bez zdrady własnej tożsamości. Kapitałny przykład otrzymaliśmy w sporze o absolutną darmość zbawienia i o zasługę w sprawach zbawienia (*Sola gratia* oraz *merita*). Ewangelia dostarcza tekstów i za jednym, i za drugim. Odnosi się wrażenie, że jest to nie do pogodzenia. A jednak to jest w Słowie Bożym. Komisja zaproponowała we *Wspólnej Deklaracji* sformułowanie, które brzmi jak nonsens, jak ewidentna sprzeczność, mianowicie: „niezasłużona «zapłata»” (nr 39). Mamy tu ogień połączony z wodą; jeśli otrzymujemy coś niezasłużenie, to otrzymujemy dar, a nie zapłatę, tymczasem życie wieczne otrzymujemy i jako darmo dany dar (*Sola gratia*), i jako – w pewnym sensie – zapłatę. Przypomina to mądrość św. Augustyna, który pisał, że Bóg, nagradzając nasze dobre czyny, koronuje swoją łaską⁴.

⁴ W *Źródłach do Wspólnej Deklaracji w sprawie nauki o usprawiedliwieniu* (4, 7, SiDE 13 [1987], nr 2, s. 86) czytamy: „Sobór [Trydencki] wyklucza wszelką zasługę łaski, a więc usprawiedliwienia (can. 2: DS 1552) i uzasadnia zasługę życia wiecznego w darowaniu łaski przez fakt bycia członkiem Chrystusa (can. 32: DS 1582): dobre uczynki są «zasługami» jako dar. Gdzie reformatorzy piętnują «bezbożne zaufanie» pokładane we własnych uczynkach, tam Sobór wyklucza wyraźnie wszelką ideę fałszywych gwarancji (cap. 16: DS 1548n). Sobór [...] chce najwidoczniej nawiązać do

Ewangelia o człowieku i jego drodze do Boga obfituje w paradoksy i aporie. Darmowość nieba i niebo jako nagroda to jedna z wielkich aporii chrześcijańskiej koncepcji człowieka i jego drogi do Boga.

Ekumeniczny dialog jako źródło konsensusu.

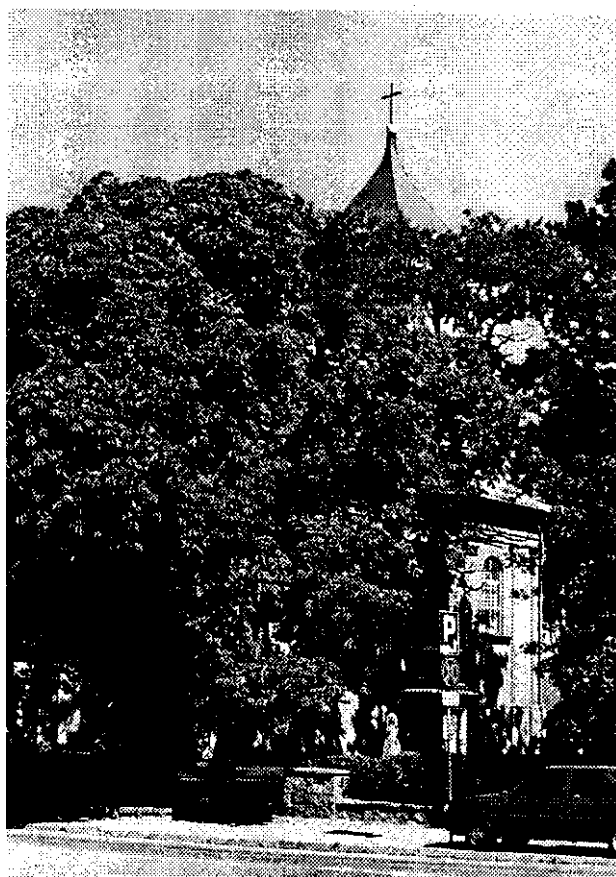
Można zdumiewać się i pytać z niedowierzaniem: Czy to możliwe? A jeśli nie tylko możliwe, ale także faktyczne, jak to się stało? To przez ponad cztery i pół wieku było niemożliwe, aż nagle stało się możliwe? Czym wytłumaczyć fakt, że trzy zespoły po kilkanaście osób w ciągu trzydziestu lat potrafiły dokonać czegoś, co nie

udało się wielu wydziałom teologicznym i tysiącom teologicznych mózgowców? Czy to nie jakaś przemożna moda na ekumenizm i jednoczenie się Europy?

Klucz do tej tajemnicy nazywa się *dialog*. W czasie Reformacji dominowała polemika. Greckie *polemos* – znaczy wojna. W polemice chodzi o zwycięstwo nad przeciwnikiem. W dialogu chodzi o zwycięstwo prawdy, słuszności. W ekumenicznym dialogu międzykościelnym chodzi o to, by Chrystus zwyciężył między nami i nad nami; by zwyciężyła Ewangelia. Zwycięstwo Ewangelii w Jego Kościołach i nad Jego Kościołami jest najgłębszym zwycięstwem Kościołów.

Augustyna, który wprowadza pojęcie zasługi, aby mimo charakteru dobrych uczynków, jako daru, zaznaczyć odpowiedzialność człowieka" (*Lehrverurteilungen – kirchentrennend?*, Bd. I: *Rechtfertigung, Sakramente und Amt im Zeitalter der Reformation und heute*, hg. von Karl Lehmann und Wolfhart Pannenberg, Freiburg 1986, 73, 9-18). Autorzy *Wspólnej Deklaracji* przypominają *Apologię Konfesji Augsburskiej* (art. IV: *O usprawiedliwieniu*, zwłaszcza numery 368-379), która określa życie wieczne jako zapłatę, „gdyż jest czymś należnym ze

względu na obietnicę, nie ze względu na naszą zasługę”. Można z pożytkiem przypomnieć przyjęty w teologii katolickiej termin zasługi *de condigno*, czyli „z pewnej należności”, co wyjaśniało się następująco: Należy się nam nagroda za dobre uczynki, ponieważ Bóg obiecał (przyszekł), że za złe uczynki ukarze, a za dobre wynagrodzi, a więc należy się nam na mocy Bożej obietnicy, nie ze względu na wewnętrzną wartość naszych dobrych uczynków; innymi słowami: źródło nagrody (zapłaty) jest w Bogu, nie w człowieku.



Parafia Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego
w Lublinie, ul. Ewangelicka 1
fot. M. Orłowski

„Kościół otwarty dla wszystkich”

Grzegorz Linkowski

W tyglu kultur i religii. Refleksje ekumenicznego filmowca

**Podczas
montażu wiele
razy prze-
glądaliśmy
z montażystą
wszystkie taś-
my. Wśród ma-
teriałów ze
zdziwieniem
jednak nie
mogliśmy od-
naleźć naszej
bohaterki, cho-
ciaż kamerzys-
ta przysięgał,
że sprzęt był
w stu procen-
tach sprawny.**

Grabarka – święta góra prawosławia

Przyjechaliśmy z ekipą niespełna rok po podpaleniu cerkwi. Na jej miejscu stała już nowa, wewnątrz niewykończona, ale z nowym ikonostasem. Wokół niej nadpalone krzyże, które całymi latami przynosili prawosławni pielgrzymi...

Jest gorące sierpniowe popołudnie. Kolejne grupy pielgrzymów dochodzą do sanktuarium. Trzykrotnie na kolanach okrążają świątynię. W powietrze wzbija się tuman kurzu. Poniżej szczytu stoimy z kamerą koło świętego źródła, gdzie pielgrzymi nabierają wodę. To dzięki tej wodzie i cudownej ikonie, która później zaginęła, jak głosi legenda, ludzie uchronili się tu od zarazy, jaka dziesiątkowała okoliczne wioski i miasteczka Podlasia. Kobiety w strumieniu obmywają zranione kolana po trzykrotnym obejściu cerkwi. Wycierają je chusteczkami, których setki pozostawiają rozłożonych na trawie wokół strumienia. Wierzą, że pozbywają się w ten sposób również swoich grzechów. Jesteśmy bliżej cerkwi. Kolejna grupa wkopuje przyniesione przez siebie krzyże pokutne.

Z cerkwi dochodzą pierwsze śpiewane liturgie święta *Spasa Izbawnika* (Przemienienie Pańskie). Pielgrzymów stale przybywa mimo zapadającego zmroku. Setki świec stojących przed cerkwią, tuż przed ikoną Matki Bożej. Słychać modlitwy śpiewane przez pielgrzymów w różnych grupach. Wokół cerkwi nowi pielgrzymi na kolanach odprawiają swoją drogę. Niektórzy idą na kolanach nawet kilkanaście okrążeń. Staramy się podejść do cerkwi na ręce i na nogi. Tuż przed cerkwią, w tym miejscu okrążających cerkiew jest piękna młoda dziewczyna z krzyżem, w skupieniu odprawiająca swoją pokutę. Zafascynowani tym obrazem kręcimy prawie całą jej drogę. W blasku świec i w swoim nakryciu głowy przypomina nam jedną z madonn, jakie widzieliśmy na ikonach w świątyni. Po północy *panichida* – modlitwa za

zmarłych, na pobliskim cmentarzu. Biskupi i księża odczytują podawane na kartkach intencje z imionami zmarłych, melorecytują... *Hospodi Pomiluj* – odpowiadają wier- ni. Żałujemy, że nie mamy ze sobą stereo- fonicznych mikrofonów, gdyż śpiew jest tak wielobarwny i wielogłosowy, że całkowicie nas przenika.

Nad ranem, podczas krótkiej przerwy w liturgii, gdy filmujemy grupy odpoczy- wających pielgrzymów, wyrasta jak spod ziemi dziewczyna, którą filmowaliśmy wcześniej, podczas „okrążeń” wokół cerk- wi. Ma skupioną twarz, gdy stoi przed nami i lekko uśmiechając się prosi, żeby nie umieszczać jej w powstającym filmie. Mówi: „To była najważniejsza chwila w moim życiu. Na tę pielgrzymkę czekałam długo”. Potem, oddalając się od nas, cicho szepcze modlitwę Chrystusową – „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nad...”. Głos miesza się z innymi modlitwami ludzi, którzy w małych grupach śpiewają wokół cerkwi.

*

Podczas montażu wiele razy przegląda- liśmy z montażystą wszystkie taśmy. Wśród materiałów ze zdziwieniem jednak nie mogliśmy odnaleźć naszej bohaterki, chociaż kamerzysta przysięgał, że sprzęt był w stu procentach sprawny.

Chasydzi w Humaniu

O przyjazdach chasydów na Ukrainę wie- działem od dawna, ale dopiero za sprawą wnuczki ostatniego cadyka z Góry Kalwarii, Towy Ben-Zwi, pojechałem tam. Towa za- brała naszą ekipę w przeddzień 5759 no- wego roku żydowskiego, do grobu Nahma- na z Braclawia, który znajduje się w Huma- niu. Wjeżdżając do miasta trzykrotnie by- liśmy sprawdzani i przepuszczani przez specjalną jednostkę ukraińską, która ota- czała miejsce pielgrzymujących chasydów. Widok był przedziwny. Pośród typowego blokowiska z betonu, klębił się tłum cha- sydów oblegających mały stary dom. Kilka tysięcy wyznawców Nahmana z Braclawia modliło się parę dni, oczekując na nadejście

nowego roku *Rosz Ha-Szana*. Żydzi otrzy- mali w testamencie od swojego nieżyjącego cadyka nakaz, żeby kolejny Nowy Rok spędzić na jego grobie, gdyż on przekaże ich prośby do Jahwe.

Weszliśmy z kamerą w pobliże płyty nagrobnej, która znajdowała się przy ścia- nie wschodniej tego małego budynku. Wszędzie tysiące małych karteczek z proś- bami – *kwitelech*. Chasydzi, rytmicznie kołysząc się, szepczą, melorecytują, śpie- wają modlitwy, jednocześnie przemie- szczają się w różnych kierunkach. Obok wędrowny *cheder* – mali chłopcy przed *bar- micwą* ze swoim *melamedem* (nauczycielem), który uczy ich śpiewać Psalmę Dawida. Ojcowie z synami w tradycyjnych czarnych strojach i nakryciach głowy nakładają filak- terie. Siedzący w prymitywnie przygotowa- nych ławkach całymi godzinami rytmicznie pochylają się. Co jakiś czas wybucha pieśń, którą w transgresyjnym rozmodleniu cha- sydzi skandują: „... *Adonejnu, Morejnu, We- rabejnu*”. Stojący tyłem, obok nas, młody mężczyzna szepcze: „*Szema Izrael, Adonaj Elohejnu, Adonaj Ehad*”, a następnie gwał- townie odwraca się w naszą stronę, uśmie- cha się i mówi: „*Szana, Towa*”, co znaczy Dobrego Nowego Roku. Zdziwieni odwza- jemniamy mu życzenia. Dopiero teraz do- strzegamy jego piękną twarz, jakby już gdzieś widzianą – tak, przypomina nam wizerunek Chrystusa Pantokratora z fres- ków cerkiewnych. Patrząc na twarze cha- sydów, odnajdujemy w ich obliczach podo- bieństwa do ikonograficznych przedsta- wień apostołów – jest kilku świętych Piotrów, jest święty Jan Ewangelista, a na- wet Judasz. Nowy rok przyjdzie jutro, ale już dzisiaj niektórzy składają sobie życze- nia. Po kilku godzinach przebywania przy grobie cadyka Nahmana, zaczynamy bez- wiednie, rytmicznie kiwać się jak chasydzi, mamy wrażenie jakby wspólnego uczest- nictwa w *sacrum*.

Ranek, pierwszy dzień nowego roku 5759 od stworzenia świata. Chasydzi, odś- więtnie ubrani na białe, podążają do pro- wizorycznie postawionej synagogi, która,

„Kościół otwarty dla wszystkich”

o dziwo, może pomieścić 3 tysiące ludzi. Wielu dokonuje jeszcze rytualnego obmycia ciała w pobliskim jeziorze (*mykwy* nie są w stanie pomieścić takiej ilości ludzi). Zajmujemy stanowisko nieopodal synagogi i zaczynamy filmować. W pewnym momencie spora grupa zdążających na modlitwy chasydów kieruje się w naszą stronę, próbując hałaśliwie zmusić nas do opuszczenia tego miejsca. Szybko składamy sprzęt i zmieniamy miejsce obserwacji.

Po południu zajmujemy stanowisko na jednym ze zboczy wokół jeziora, gdzie odbędą się unikalne obrzędy noworoczne (*tachlich*). Coraz więcej chasydów przychodzi nad brzeg. Modlą się, rytmicznie pochylając do przodu, a później wytrzepują z kieszeni wierzchnich okryć niewidoczne dla oka paprochy – to symbol pozbycia się grzechów. Po odbyciu modlitwy formują się w kręgi i radośnie tańczą, powoli zapadając w trans. Operator bierze kamerę do ręki i rusza pomiędzy tańczących. Niestety wywołuje to natychmiastową reakcję. Chasydzi spychają go w naszą stronę, a większa ich grupa wybiega prosto na nas. Krzyczą, wymachują rękami, poszturchują... Nagle, jak spod ziemi, wyrasta mała sylwetka Towy Ben-Zwi, która staje między nami i chasydami. Oni, widząc kobietę, jeszcze bardziej nasilają swój gniew, jest wśród nich nasz chasyd podobny do Chrystusa. Towa spokojnym, cichym głosem, po hebrajsku, tłumaczy chasydom, że nie jesteśmy Żydami i surowy nakaz powstrzymania się od pracy w nowy rok nie obowiązuje nas. Pytają – to po co mieliśmy nakrycia głowy poprzedniego dnia przy grobie Nahmana z Braclawia. Towa odpowiada im: „Z szacunku dla waszej tradycji”. Chasydzi powoli uspakajają się i odchodzą. Jeden z nich, o twarzy Chrystusa, odwraca się i mówi w naszym kierunku: „Szana Towa!”.

Festiwal na statku

Rosjanie zaprosili mnie na Festiwal „Złoty Witeź”. Prezentowałem tam swój film „...wpisany w Gwiazdę Dawida – Krzyż”, opowiadający o księdzu Waszkinelu, który dowiaduje się, mając 35 lat i będąc od dwunastu lat kapłanem, że jest Żydem, uratowanym podczas wojny przez polskich, przybranych rodziców. Projekcje festiwalowe odbywały się na statku, który płynął z Kijowa do Odessy. Po obejrzeniu filmu odbyła się konferencja prasowa na górnym pokładzie. Widzami bardzo wstrząsnął los bohatera, który w swojej osobie połączył dwie wielkie tradycje monoteistyczne. Część widzów dostrzegła w nim świadectwo więzi i kontynuacji Starego Przymierza z Nowym. Dla innych było to jednak coś zupełnie niemożliwego.

Środowisko prawosławne odebrało film jako jawnie heretycki. Bardzo zaatakowała mnie jedna z reżyserek – Tatarka o imieniu Elza, od kilku lat prawosławna. Nie potrafiła zrozumieć takiego zainteresowania judaizmem przez chrześcijanina. Ciągłe powtarzała, że Chrystus zniósł Stary Zakon. Próbowałem jej cytować słowa Chrystusa po rosyjsku: „nie przyszedłem znieść Zakon, ale go wypełnić”. Nie rozumiała.

W następnym roku znowu spotkałem Elzę na festiwalu. Chciała ze mną porozmawiać. Zdziwiłem się, kiedy poprosiła mnie o kasetę z ubiegłorocznym filmem, który tak skrytykowała. Powiedziała: „Jestem prawosławna, moja córka jest prawosławna, natomiast mąż i syn są mahometanami. To dla mnie bardzo ważny film, dał mi ulgę, że przecież jest jeden Bóg”. Musiał minąć rok, aby to zrozumiała. Dałem jej film. Powiedziała, że pokaże go w swojej telewizji na Kaukazie.

ks. Krzysztof Kaucha

Kościół w XXI wieku

Według postmodernistów chrześcijaństwo jest bardzo podejrzane, ponieważ wysuwa roszczenia do bycia systemem prezentującym prawdę o całej rzeczywistości.

Bardzo stare chińskie życzenie pomyślności brzmi: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Czy ktoś składał nam takie życzenie, czy nie, jednak żyjemy w bardzo ciekawych czasach, kiedy mnóstwo interesujących zjawisk dzieje się na naszych oczach. Apogeum historycznych przemian w świecie, polityce, kulturze i życiu religijnym „wypadło” na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa i – tak się złożyło – przypadło na okres naszej młodości. Oglądany przez nas świat jest różnorodny, nieprzewidywalny, zaskakujący, pluralistyczny. Jednym słowem jest piękny, taki, jakim był w zamyśle Pana Boga i w dniu stworzenia, gdy zamysł Stwórcy zaczął się urzeczywistniać. Współczesny świat jest pluralistyczny. Na szczęście upadły złowrogie monolity, czyli totalitarne ideologie, które usiłowały zaprowadzić wszędzie „jedynie słuszny” porządek i nakazywały wierzyć tylko w „jedynie słuszną” prawdę. Nie ma już antyhumanistycznych ideologii, a w zamieszkałej przez nas części Europy nastąpił rozkwit wolności. Wśród ludzi panuje różnorodność zajmowanych postaw, wielość dokonywanych ocen i rozbieżność wypowiedzanych opinii. Powrót do wolności nazywam powrotem „o norma no c”.

Moi Dostojni Słuchacze na pewno już zorientowali się, iż naszkicowany przed chwilą ogląd sytuacji świata został dokonany przede wszystkim z polskiej perspektywy. Być może w bardzo odległym od Polski zakątku świata nic wielkiego w ostatnim czasie nie wydarzyło się. A może się wydarzyło, tylko my o tym nie wiemy. Jednakże każdy myślący człowiek musi starać się zrozumieć przede wszystkim najbliższy kontekst historyczno-kulturowy, w którym przyszło mu żyć. Polski kontekst historyczno-kulturowy zaś jest taki, iż w ostatnich dziesięcioleciach mieszkańcy kraju nad Wisłą przeżyli bardzo intensywne zmiany. Polskie wahadło dziejowe zdaje się powoli stabilizować, uspokaja się po skrajnych wahnię-

„Kościół otwarty dla wszystkich”

ciach. Mówiąc: „wahnięcia”, mam na myśli II wojnę światową, komunizm, a także odwrotność komunizmu, czyli następujący po nim w różnym natężeniu (głównie deklarowany, a nie urzeczywistniony) skrajny liberalizm ideologiczny, ekonomiczny i etyczny. Dziś polskie wahadło nie tkwi wprawdzie w bezruchu, jednak jego poruszenia są w miarę jednostajne i powolne. Taka sytuacja sprzyja dokonaniu spokojnej i intelektualnie pogłębionej refleksji Polaków nad długo oczekiwanym darem wolności. Sądzę, że refleksja ta w dużej mierze wypełni najbliższe lata – pierwsze lata XXI wieku i trzeciego tysiąclecia historii chrześcijaństwa. Nauka życia w nowej „wolnościowej” sytuacji nie jest i nie będzie z pewnością łatwa, lecz jest konieczna. Chodzi tu o nas samych, ale chodzi także o Kościół Chrystusowy, do którego należymy. Mówiąc krótko, oblicze Kościoła w XXI wieku w dużej mierze będzie zależne od tego, w jaki sposób będziemy sobie radzić z darem wolności.

Czy zasłużyliśmy, aby żyć w tak ciekawych i odpowiedzialnych czasach? Nieważne, ważne jest to, żeby przyjąć teraźniejszość jako dar od Pana Boga i otrzymanego daru nie zmarnować.

Kościół w postmodernistycznym świecie

Czasy są ciekawe. Niosą ze sobą określone trudności. Współczesny świat nie jest tylko pluralistyczny, zaczyna być również postmodernistyczny. Co to dokładniej znaczy, i co czeka Kościół w postmodernistycznym świecie?

Jednym z czynników kształtujących umysłowy klimat współczesności jest niewątpliwie postmodernizm. Można spierać się co do istoty postmodernizmu, a także co do intensywności jego wpływu na procesy zachodzące we współczesnym świecie. Mówiąc „postmodernizm”, mam na myśli przede wszystkim bardzo ostrą krytykę wymierzoną przeciwko ideologicznym projektom zapoczątkowanym w XX wieku, które nie spełniły pokładanych w nich nad-

ziei. Postmoderniści kreują siebie na rzeczników prasowych elit intelektualnych, oszukanych przez neopozytywistyczny kult nauk szczegółowych, demokrację, liberalizm, koncepcję wolnego rynku i socjalizm. Postmoderniści głośno wyrażają sceptycyzm w stosunku do jakichkolwiek systemów obiecujących wyjaśnienie wszystkiego i uzdrowienie wszystkich bolączek współczesności. Przeważają głosy mówiące, że postmodernizm nie jest prądem niosącym konstruktywne tezy i że ogranicza się jedynie do krytyki przeszłości. Jest więc programowo kierunkiem dekomponującym i dekonstruktywnym. W związku z tym wyraża się opinię, iż postmodernizm jest okresem przejściowym między niespełnioną nowoczesnością a jakimś nowym prądem umysłowym, którego kształtów nie jesteśmy dziś w stanie przewidzieć. Co się narodzi w wyniku postmodernistycznej krytyki? Nie wiemy. Należy przypuszczać, że do nowego, XXI-wiecznego systemu powinny wejść takie elementy, jak: pluralizm, różnorodność kultur, religia, demokracja, a nade wszystko człowiek i jego odwieczne problemy egzystencjalne. Trzeba odnotować także inne futurologiczne prognozy, według których dekonstruktywna siła postmodernizmu okaże się tak wielka, że w XXI wieku ludzkość nie zdoła wypracować nowego systemu, wyjaśniającego całą rzeczywistość.

Z chrześcijańskiego punktu widzenia trzeba zauważyć, że wiele haseł głoszonych przez postmodernizm to hasła słuszne. Punktem wyjścia postmodernizmu J.-F. Lyotarda jest zawiedzenie się oświeceniem, rewolucją francuską, demokracją, kapitalizmem i socjalizmem (J.-F. Lyotard, *Kondycja ponowoczesna*, Warszawa 1997; tenże, *Postmodernizm dla dzieci*, Warszawa 1998). Można znaleźć wiele wspólnych elementów łączących teksty J.-F. Lyotarda z papieskimi encyklikami społecznymi Leona XIII, Jana XXIII, Pawła VI i Jana Pawła II. Refleksja wielu wybitnych intelektualistów chrześcijańskich także zbiega się z ostrą postmo-

dernistyczną krytyką „modernistycznego” świata. Ponadto postmodernizm wyraźnie kieruje pod adresem współczesnych „rządców dusz” (polityków, naukowców, autorytetów społecznych) pytanie o fundamentalne uzasadnienia stawianych przez nich tez i programów. Poszukiwanie fundamentów i podstawowych uzasadnień jest naczelnym wymogiem intelektu, niezwykle cenionym przez chrześcijaństwo. Tak więc w kilku istotnych kwestiach chrześcijaństwo i postmodernizm mówią jednym głosem.

Różnica zdań występuje jednak wówczas, gdy postmodernizm kieruje krytyczny wzrok w stronę chrześcijaństwa i Kościoła. Według postmodernistów chrześcijaństwo jest bardzo podejrzane, ponieważ wysuwa roszczenia do bycia systemem prezentującym prawdę o całej rzeczywistości. Chrześcijaństwo – w opinii postmodernistów – chce być narracją, nawet meganarracją, a każde „całościowe opowiadanie” jest z góry podejrzane. Dlatego postmoderniści są względem chrześcijaństwa podejrzliwi i sceptyczni. Wielu z nich opowiada się za tym, aby głoszenie chrześcijańskiego orędzia zamknąć w obrębie murów kościołów. Kto zechce, wejdzie do kościoła i posłucha. W kwestii udziału Kościoła (przez duże „K”) w życiu publicznym postmoderniści zajmują zdecydowanie negatywne stanowisko, ostrzegając, iż społeczne przyzwolenie na taką działalność szeroko otworzy religijnej ideologii drzwi do życia publicznego. Miejsce Kościoła zostaje zatem odgórnie zawężone do prywatności obywateli.

Dla chrześcijaństwa konfrontacja z postmodernizmem jest sytuacją, w której korzyści płynące dla Kościoła raczej górują nad negatywami. Wprawdzie z postulatem „odpublicznienia” i „sprywatyzowania” religii chrześcijańskiej nie można się zgodzić (i nierzadko trudno z nim walczyć), jednak postmodernizm od razu nie wyklucza chrześcijaństwa, jak czyniły to w niedawnej przeszłości totalitarne ideologie. Pomimo programowej nieufności do każdego spójnego systemu, postmodernizm nie traktuje chrześcijaństwa jako największego wroga

ideologicznego. Postmodernizm domaga się od chrześcijaństwa wyraźnego wylegitymowania się racjami, otwarcie pyta Kościół o argumenty za jego prawdziwością. Ma prawo zadać takie pytania, a Kościół w XXI wieku będzie miał okazję do prezentowania argumentów oraz do dawania świadectwa prawdzie, którą zna i w którą wierzy.

Paradygmat sytuacji Kościoła w postmodernistycznym świecie można porównać do relacji międzyludzkich w społeczeństwie amerykańskim. Ludzie stanowiący je mówią sobie „na ty”, na ogół podchodzą do siebie bez podejrzliwości, uprzedzeń, etykietek. Inny sposób zwracania się do siebie, akcentujący zachwianie równowagi partnerów, jest drażniący. Wydaje się, iż postmodernizm podobnie podchodzi do Kościoła. Mówi mu „na ty”, nie godząc się na jakąkolwiek czołobitność wobec Kościoła. Niejednokrotnie owo „ty” skierowane pod adresem Kościoła jest zawadiackie i lekceważące, jednakże Kościół powinien przyjąć taką sytuację za dobrą monetę. Lepiej mieć bowiem do czynienia z partnerem bez kompleksów niż z pełnym kompleksów słuchaczem, udającym posłusznego sługę.

Kościół wobec młodzieży w postmodernistycznym świecie

Zanim postaram się odpowiedzieć na postawiony w tym punkcie wystąpienia problem, zwrócę uwagę na to, jak dziś młodzi ludzie w Polsce postrzegają samych siebie. Według badań CBOS-u, przeprowadzonych w 1992 r., 33% młodego pokolenia przyznało się, że zalicza siebie do straconego pokolenia i nie widzi dla siebie korzystnych perspektyw na przyszłość. Wszystko ze względu na okres gwałtownych przemian w Polsce po 1989 roku. Zdaniem tej grupy pesymistów padną oni ofiarą polskiej transformacji ustrojowej i ekonomicznej, która pochłonie czas przeznaczony ich pokoleniu na sukces i nic nie zyskają. Ewentualne zyski z reform będą mogły odczuć dopiero następne pokolenia.

„Kościół otwarty dla wszystkich”

Z ankietowych badań można wyczytać inne problemy nurtujące polską (z pewnością nie tylko polską) młodzież, z których na czoło wybija się lęk o przyszłość oraz nierozstrzygnięte pytanie o sens życia. Ponadto ankiety wśród młodzieży ukazują najważniejsze jej pragnienia i dążenia: chęć robienia kariery zawodowej i społecznej, prowadzenie ustabilizowanego życia (rodzina, praca, hobby, pieniądze, przyjemności, rozrywka). Znamiennym faktem odnoszonym przez socjologów jest narastający lęk przed zagrożeniem przestępczością, sprowadzający się do obawy, że człowiek (lub najbliższe mu osoby) łatwo może się stać ofiarą czyjejś przestępczej agresji. Miałem – niestety – okazję przekonać się o zasadności obaw młodych ludzi, gdyż spotkałem studentów lubelskich uczelni, którzy byli ofiarami chuligańskich napadów i pobić. Tego typu nieprzyjemne doświadczenia i zagrożenie nimi przekłada się na stosunek młodych ludzi do problemu kary śmierci. Od kilku lat prowadzę wykłady z etyki dla studentów Akademii Rolniczej w Lublinie. Z każdą grupą słuchaczy dyskutuję na temat uzasadnienia i celowości kary śmierci w systemie penitencjarnym. W celu uzyskania ich prawdziwych opinii, przeprowadzam anonimową ankietę. Trzy lata temu liczebnie zdecydowanie przeważała grupa przeciwników kary śmierci (jej zwolennicy stanowili niewielki procent, ponadto byli zakrzykiwani przez większość przeciwną ich stanowisku, w związku z tym podejrzewam, że zwolenników kary śmierci mogło być więcej niż się zadeklarowało, lecz brakło im odwagi). Obecnie, w roku akademickim 1999/2000, sytuacja wygląda tak, iż przeważają zwolennicy kary śmierci, jej przeciwnicy są w mniejszości, stosunkowo duża jest grupa osób niezdecydowanych.

Biorąc pod uwagę sytuację młodzieży w postmodernistycznym świecie odnoszę wrażenie, iż Kościół w zbyt małym jeszcze stopniu mówi do młodzieży o ich autentycznych problemach i w ich języku. Za mało jest punktów stykowych z obrazem

świata, który posiadają młodzi ludzie. Często dzieje się tak, że ludzie przemawiający w imieniu Kościoła „mają przed sobą” młodzież, tyle tylko, że sprzed kilkunastu lat. Jeśli idzie o język, to rzecz jasna nie chodzi o posługiwanie się żargonem współczesnej młodzieży, lecz o pryncypia mówienia, które powinny w większym stopniu niż dotychczas obejmować nastawienie dialogiczne i partnerskie. Wciąż za często mówi się do młodych ludzi „z góry”, czego efektem jest brak porozumienia. Podstawą mówienia o chrześcijaństwie w imieniu Kościoła musi być dokładne wsłuchanie się w to, co wypowiada sama młodzież o Kościele, świecie i o sobie. W wyniku takiego wsłuchania można dowiedzieć się czym jest spowodowana w polskich warunkach postawa lekkiej kontestacji Kościoła, jakie punkty jego nauczania budzą wśród młodzieży największe wątpliwości oraz co niejednokrotnie powstrzymuje młodych ludzi przed całkowitą identyfikacją z Kościołem.

Może się mylę, lecz chrześcijaństwo prezentowane współczesnej polskiej młodzieży może kojarzyć się ze skostnieniem, z reliktem przeszłości, który trzeba w imię społecznych racji kultywować. Tymczasem chrześcijaństwo nie jest religią statyczną, lecz dynamiczną i „niedomkniętą”. „Domyka” ją człowiek swoją – zawsze posiadającą niepowtarzalne, indywidualne rysy – wiarą w Jezusa Chrystusa oraz osobistymi wyborami i decyzjami moralnymi. Chrześcijaństwo nie może zostać utożsamione z katechizmową doktryną, której trzeba się nauczyć i przyjąć punkt po punkcie. Za mało mówi się dziś w imieniu Kościoła o najcenniejszych skarbach chrześcijaństwa: wolności, miłości i nadziei, które przecież legły u podstaw demokracji społecznej. Za mało też jest otwartości na egzystencjalne troski i problemy człowieka: zło, cierpienie, śmierć, lęk przed starością. Jakbyśmy się tego bali. Jakbyśmy się bali zadawać, w imieniu ludzkości, trudne pytania Panu Bogu. Pytania w rodzaju: dlaczego cierpienie i śmierć? jaki sens mają trudne doś-

wiadczenia cierpienia i śmierci i jak się z nich wyzwolić? Nie wolno zapominać, iż te „mocne” doświadczenia egzystencjalne są „miejscami” (*loci*) chrześcijańskiej wiary, teologii, w tym i eklezjologii.

Nie można przy tym pominąć źródeł chrześcijańskiej nadziei, która „tłumaczy”, iż współczesny świat jest dobry, pochodzi przecież od Pana Boga. W tym świecie jest konkretne miejsce dla każdego człowieka, w którym całkowicie można się zrealizować i „wygrać” swoje życie. Sądzę, iż właśnie to miał na uwadze Ksiądz profesor Józef Tischner, gdy na pytanie autorów książki *Dzieci Soboru zadają pytania* „Jaki będzie świat w XXI wieku?”, odpowiedział: „Myślę, że będzie to wiek sporu o technikę, o granice techniki, o sens techniki. Wróżyłbym odwrót od techniki i powrót do doświadczeń najprostszych. Przyjmijmy, że symbolem nowego wieku jest chłopak z Podhala kończący studia w Krakowie. Wyjeżdża na studia do Ameryki. Później wraca na wieś, skąd pochodzi. Robi to, czego się nauczył, ale kiedy bierze ślub, to po góralsku. Wchodzi w kulturę ziemi, z której wyrósł. Wraca do swojego świata. Powrót do prostych doświadczeń. Myślę, że człowiek długo bez tego nie wytrzyma. Bo człowiek jest stworzony do bycia na wietrze, w wodzie, na zimnie [...]” (*Dzieci Soboru zadają pytania. Rozmowy o Soborze Watykańskim II*, red. Z. Nosowski, Warszawa 1996, s. 389).

Rozmawiający z J. Tischnerem nie dają jednak za wygraną i zadają mu kolejne pytanie: „Jan Paweł II zapowiada nową wiosnę chrześcijaństwa w XXI wieku. Waha się jednak, gdy w książce *Przekroczyć próg nadziei* mówi: «świat zdaje się odchodzić od Ewangelii, albo też jeszcze do niej nie doszedł». Ksiądz chyba skłania się ku tej drugiej hipotezie”. Pada interesująca odpowiedź: „Świat jak świat – pół biedy. Mnie bardziej interesuje Kościół. Sukces Kościoła jest w Ewangelii. Jeżeli Kościół będzie głosił złą nowinę zamiast Dobrej Nowiny, to kto go będzie słuchał? Złych nowin jest bardzo dużo [...]” (*Dzieci Soboru...*, s. 389-390).

Jaka jest „tajemnica sukcesu” Kościoła?

Podjęta w niniejszym przedłożeniu kwestia: jaki będzie Kościół w XXI wieku? prowokuje myśl głębszą, tę mianowicie, iż Kościół Chrystusowy posiada niezwykłą zdolność adaptacji do różnych warunków historyczno-społeczno-kulturowych.

Wszystko wskazuje na to, że Kościół zdomowi się także w postmodernistycznym świecie. Wypada zastanowić się nad przyczynami ponadhistorycznej „tajemnicy sukcesu” Kościoła. Przewodnikiem intelektualnego pogłębienia tego zagadnienia niech będzie Ren Latourelle – katolicki teolog z Kanady. Jego zdaniem „tajemnica sukcesu” Kościoła tkwi w tym, iż w jego głębi znajduje się niezwykła, wręcz paradoksalna, umiejętność godzenia napięć między „rozdzierającymi” Kościół przeciwnymi tendencjami. Chrześcijaństwo posiada zdolność zachowywania „złotego środka” i nigdy nie ulegało skrajnym, jednostronnym rozwiązaniom. Kanadyjski teolog wymienił trzy podstawowe napięcia, do których pozwolę sobie dodać nowy element.

Według R. Latourelle’a w chrześcijaństwie od początku jego dziejów istniało napięcie między dwiema skrajnymi drogami: między całkowitym wejściem Kościoła w świat a ucieczką od niego. Kościół jednak nie może uciec od świata, ponieważ utraciłby w ten sposób swoją tożsamość, nie może też ujednolicić się ze światem, bo zginie. Zasada „złotego środka”, którą Kościół zachowywał w ciągu wieków, obejmowała wiele postaw, strategii, a także wiele chwilowych upadków, z których trzeba było wracać „na krawędź”, oznaczającą właściwe miejsce Kościoła w świecie.

Drugim paradoksem tkwiącym w chrześcijaństwie jest umiejętne godzenie jedności i różnorodności. W dziejach chrześcijaństwa silnie akcentowano jedność, równie mocno doceniano bogactwo różnorodności. Również we współczesnym świecie Kościół nie może domagać się ujednolicenia na siłę, nie powinien też ulegać nieuzasadnionemu

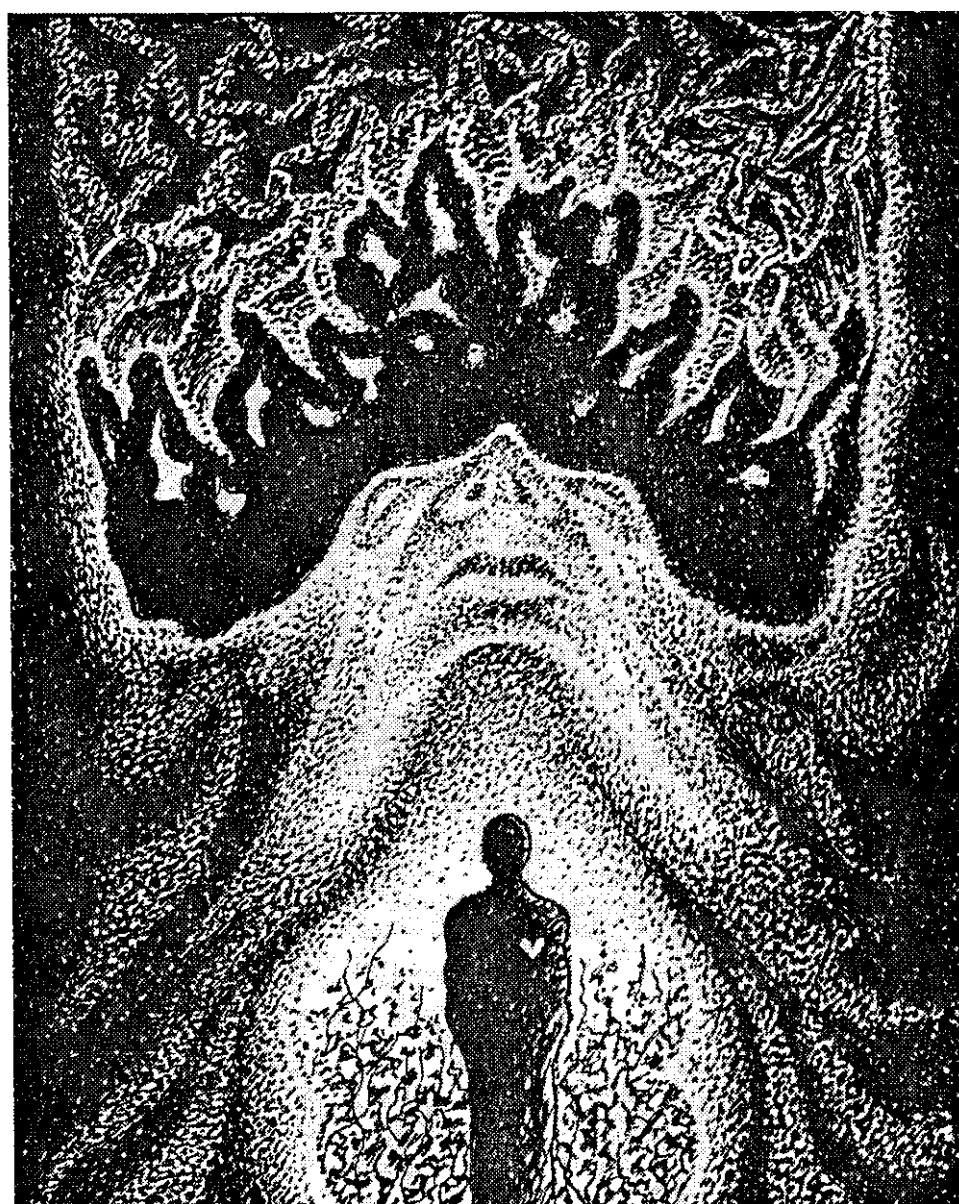
„Kościół otwarty dla wszystkich”

pomnażaniu własnej różnorodności. Z tego powodu – zdaniem kanadyjskiego teologa, przypominającego ekumeniczną myśl Soboru Watykańskiego II – należy trzymać się ściśle zasady: jedność w różnorodności i różnorodność w jedności.

Trzecim paradoksem, stanowiącym istotę chrześcijaństwa, jest napięcie między grzechem a świętością w Kościele. Kościół Chrystusowy jest rzeczywistością świętą i uświęcającą; środki uświęcenia człowieka w Kościele nigdy nie tracą swojej mocy. Jednakże córki i synowie Kościoła są grzesznikami, dążącymi do świętości. Zasadniczym celem religii chrześcijańskiej jest wyzwolenie człowieka od czegoś konkretnego do czegoś konkretnego, w wymiarze indywidualnym i społecznym. Takie otwarcie na grzeszników, połączone z jasno zarysowanym celem uświęcenia człowieka,

dawał i daje Kościołowi wewnętrzną i zewnętrzną dynamikę. Jest istotnym elementem „tajemnicy sukcesu” Kościoła.

W mojej opinii wymienione przez R. Latourelle’a trzy paradoksy Kościoła można sprowadzić do jednego ogólnego paradoksu, wyznaczającego istotę Kościoła. Jest nim napięcie między „zanurzeniem w bycie”, czasowości, codzienności a nieustannie obecną perspektywą „wynurzenia z ziemskiego bytu”. Takie napięcie zawsze towarzyszyło chrześcijaństwu, lecz dzięki współczesnej myśli filozoficznej i teologicznej zostało wyraźnie uzmysłowione i nazwane. Sądzę, iż nie miały udział w tym mają pomysłodawcy i autorzy prezentowanego tu *Kalendarza Ekumenicznego*, którego głównym celem – jak się domyślam – jest pomóc ludziom dochodzić do wieczności każdego dnia.



rys. R. Ruzik

Jan Pleszczyński

O pożytkach płynących z wieży Babel

„Kościół
musi być
otwarty na
wszystkie
światoobrazy,
inaczej
nie byłby
Kościołem
powszechnym.”

W latach 60. chodziłem do szkoły podstawowej. Nie wiem jak jest teraz, ale 30 lat temu na lekcjach religii w salce przy kościele karmelitów w Lublinie przypowieść z Księgi Rodzaju o wieży Babel przedstawiano jako historię o pysze człowieka. (Możliwość katechezy w szkole powróciła w Polsce dopiero dziesięć lat temu, ale opinie nadal są podzielone, czy Kościół katolicki rzeczywiście dzięki temu jest bardziej obecny wśród młodzieży; natomiast ucichły dyskusje medialne dotyczące zasadności tej operacji, zaś kasandryczne przepowiednie, że Polska stanie się krajem wyznaniowym, czymś na kształt katolickiego „Iranu” w Europie Środkowej, okazały się bezpodstawne.)

Babel to inaczej Babilon. Po hebrajsku *babel* znaczy ‘Brama Boga’. W Genesis (Rdz 11, 9) występuje znamienna gra słów: *babel* – ‘Brama Boga’ i *balal* – ‘zmieszać’¹. Zadufani we własne siły ludzie Babilonu postanowili zbudować wieżę do bram nieba. Jak się ta historia skończyła, dobrze wiemy: Bóg skarcił pysznych ludzi, pomieszał im języki, nie potrafili się dogadać i nie ukończyli swojego dzieła. Ludzka pycha została ukarana.

Od 10 lat jestem dziennikarzem i zapewne przesiałem mocno nawykami tego zawodu, dobrymi i złymi. Stąd nieco prowokacyjny tytuł tego tekstu. Nie jest jednak tak, że bronię tu tezy, w którą nie wierzę i którą formułuję tylko „pod czytelnika”, żeby było oryginalniej i ciekawiej. Moim zdaniem to naprawdę dobrze, że istnieje prawdziwa wieża Babel wśród Ludu Bożego, określanego mianem Kościoła.

Pomieszanie swiatoobrazów

Oczywiście, istnienie tej wieży Babel stawia przed oczyma przede wszystkim rzeczy niedobre. To nie podlega

¹ H. Langkammer, *Słownik biblijny*, Katowice 1984, s. 28.

„Kościół otwarty dla wszystkich”

dyskusji. Ludzie, nawet z tego samego kręgu kulturowego, o podobnym wykształceniu i doświadczeniach życiowych, z tego samego pokolenia mają ogromne kłopoty z porozumieniem się. Z wyjątkiem przypadków patologicznych, zresztą wcale nie-rzadkich (np. cynicznej gry politycznej albo walki o rząd dusz) – brak porozumienia nie wynika ze złej woli człowieka. Sądzę, że w znacznym stopniu to kwestia wrodzonej „ułomności”, organicznej niezdolności do zobaczenia problemu takim, jakim widzi go inny człowiek.

Pierwszym krokiem do porozumienia się jest próba zrozumienia nie tyle racji partnera, oponenta, przeciwnika, rozmówcy (nieistotne tutaj, jakiego terminu będziemy używać – w tym mini-wykładzie nie idzie o polityczną poprawność ani subtelne analizowanie pojęć), co przyznanie mu prawa do takiego właśnie, a nie innego myślenia (znowu: pomijam przypadki patologiczne).

Odrębną kwestią jest kwestia nieufności i klasyfikacji („zaszufladkowania”) ludzi *a priori* do jakiejś grupy na podstawie np. gustów czytelniczych albo preferencji politycznych. Każdy, kto uczestniczy w życiu publicznym, nawet na bardzo lokalną skalę wie, że wystarczy być np. zwolennikiem PSL, a już zostaje się przypisanym do pewnej formacji nie tyle nawet politycznej, co światopoglądowej, a w przypadku PSL, co jeszcze gorsze, intelektualnej. Wystarczy być słuchaczem „Radia Maryja” i już wiadomo, kto zacz i z kim mamy przyjemność. To samo dotyczy sympatyków innych partii i odbiorców innych mediów, także „Gazety Wyborczej”.

Założmy jednak, że tego typu apriorycznych czynników nie ma, do dyskusji siadamy bez uprzedzeń i przed-sądów (to co innego niż przesąd). O ile temat dysputy jest niebłaży, już po krótkiej wymianie zdań okazuje się, że widzenie świata przez rozmówców często znacznie się różni. I nawet jeśli dojdą do porozumienia w kwestiach, co to jest lewica, co prawica, co rozumieją przez liberalizm itd. – nie są

w stanie zobaczyć świata takim, jakim widzi go ich partner.

Światoobraz (to tłumaczenie niemieckiego terminu *Weltbild*) – jest sumą tego, co wrodzone i co nabyte w czasie ludzkiego życia. W ontogenezie światoobraz może się zmieniać tylko w zakresie nabytym. Nie wiadomo, jak duży to zakres². Pesymiści uważają, że bardzo niewielki. Ale chrześcijanie ponoć są optymistami. Światoobraz to zupełnie co innego niż światopogląd, nie wolno mieszać tych dwóch pojęć. Teoretycznie jest możliwe, że w światoobrazie jednego człowieka realizuje się np. światopogląd teistyczny albo materialistyczny, w zależności od czynników kulturowych (lektur, środowiska, mody intelektualnej, spotkań itp.). Wbrew spotykanym czasami opiniom uważam, że Kościół nie powinien być a nawet nie może być otwarty na wszystkie światopoglądy. (Czy np. światopogląd z elementami antysemitycznymi jest w ogóle możliwy do tolerowania?)

Kościół musi być natomiast otwarty na wszystkie światoobrazy, inaczej nie byłby Kościołem powszechnym. Światoobraz tylko częściowo zależy od naszej woli, tylko częściowo możemy go modyfikować – dzięki kulturze i dzięki kontaktom z ludźmi, którzy mają inny od naszego światoobraz. Ten otwarty Kościół musi być – z definicji – otwarty też dla tych, którzy są „zamknięci”, mają inny, od „otwartego” światoobraz. (Jak w paradoksie: co ma zrobić demokracja z wrogami demokracji?; teoretyczny paradoks zrealizował się ostatnio w ekstraktywizowanej, zdawałoby się, Austrii – i nie ma na to mądrych; nawet zdarzają się głosy oburzenia, że Kościół nie wypowie się w tej sprawie.)

Dla naszych celów umownie nazywam światoobrazem otwartym takie widzenie świata, które zakłada, że są sprawy o wadze zasadniczej, których do końca, na mocy prawa państwowego, administracyjnej decyzji ani przymusem nie da się ani narzucić,

² Por. np. K. Lorenz, *Odwrotna strona zwierciadła*, tłum. K. Wolicki, Warszawa 1977.

ani uzasadnić. Natomiast można oczywiście o nich dyskutować i szukać coraz lepszych rozwiązań (ze świadomością, że nie są idealne i jedynie możliwe).

W Polsce przyjęło się mówić o katolikach otwartych i zamkniętych. Mimo że wielu ten podział krytykuje, ja zasadniczo uważam go za słuszny³. Kłopot w tym, że to, do jakiej grupy katolików należymy (szerzej: jakimi jesteśmy ludźmi), zależy od naszego aparatu światobrazu (*Weltbild-apparat*), czyli zarówno od genetycznie określonych możliwości naszej percepcji świata, jak i np. statusu materialnego, środowiska rodzinnego i zawodowego. Sądzę, że światobrazy różnych ludzi są w znacznym stopniu nieprzekładalne. Podobnie, jak do pewnego stopnia nieprzekładalne są różne języki. Jeśli ktoś naprawdę chce poznać twórczość Tomasza Manna albo Szekspira, musi czytać ich dzieła w wersji oryginalnej. Z tym trzeba się pogodzić, a nie walczyć. Rzecz jasna, powinniśmy dyskutować i kłócić się o to, kim był Pinochet. Ale z racji, że zupełnie odmienne opinie na ten temat mają np. Adam Michnik („Gazeta Wyborcza”) i Tomasz Wołek („Życie”) wynika przede wszystkim to, że światobrazy Michnika i Wołka w tej kwestii (i wielu innych) różnią się. A przecież obaj należą do tych, których określam mianem ludzi światobrazu otwartego. Tego typu światobrazowe różnice nie stanowią dla Kościoła (a szerzej: dla świata) znaczącego problemu. Oczywiście, można (i należy) kłócić się i dyskutować, które „widzenie świata” jest właściwsze (wbrew modnym gdzieśgdzie opiniom o pełnej równości wszelkich poglądów wolno wartościować poglądy i style życia)⁴.

Prawdziwym problemem jest to, jak mają zgodnie współżyć ludzie o diametralnie różnych aparatach światobrazu?

³ Por. np. J. Gowin, *Kościół w czasach wolności. 1989-1999*, Kraków 1999, s. 335 nn.

⁴ Por. np. L. Kołakowski, *Normy-nakazy i normy-twierdzenia*, [w:] tegoż, *Moje słuszne poglądy na wszystko*, Kraków 1999, s. 116 nn.

Z punktu widzenia ludzi światobrazu „otwartego”, problem z ludźmi „zamkniętymi” jest nieco podobny jak z czytelnikami tzw. dobrych brukowców. „Dobry brukowiec” to moja własna kategoria (przyznaję, że mało logiczna, ale użyteczna). Otóż tego typu gazeta chroni wielu ludzi przed wtórnym analfabetyzmem, podaje pewne przydatne informacje (np. o zgubnych skutkach palenia, tragediach na drogach spowodowanych po pijanemu itd.). „Dobry brukowiec” przekazuje w innej formie część tego, co ambitniejsze media. Redaktorzy brukowców wcale nie są mało inteligentni, często są znacznie lepszymi fachowcami niż redaktorzy pism poważnych.

(Na marginesie wątku medialnego pojawia się pytanie: czy pisanie <redagowanie> w brukowcu jest manipulacją, polegającą na tym, że „wiedzący”, „mądrzejsi” podają coś „głupszym”, „bardziej prymitywnym”? Bardzo chętnie rzucamy oskarżenia przeciw dziennikarzom czy publicystom, że manipulują. Czy w takim razie nie manipulują te środowiska kościelne, które „zniżają” się do światobrazu źle wykształconego, niekoniecznie inteligentnego człowieka? Ostatecznie nawet abp Józef Życiński, uznawany powszechnie za wybitną postać nie tylko polskiego Kościoła <w październiku sekretarzował Synodowi Biskupów Europy> nie zawsze mówi o postmodernizmie, o relacjach pomiędzy wiarą i nauką, o twierdzeniach limitacyjnych. Trzeba wiedzieć gdzie, do kogo, w jakim celu się mówi.

Z drugiej strony, przy tak pojmowanych sprawach możemy narazić się na zarzut, wcale nie tak bardzo bezpodstawny, relatywizmu.)

Pomieszanie języków, a raczej pomieszanie światobrazów poszczególnych ludzi – to złe, widoczne gołym okiem konsekwencje budowania wieży Babel.

Pożyteczna wieża Babel

Na szczęście nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pożytki płynące z wieży Babel są ogromne i widzę je następująco:

„Kościół otwarty dla wszystkich”

1. Różnorodność, a co więcej, nawet nieprzekładalność poszczególnych światobrazów, poszerza mój świat; dostrzegam, że inni ludzie myślą inaczej i że mają jakieś podstawy, by myśleć inaczej. Nie wszyscy inaczej myślący są przecież idiotami (wyżej wykluczyłem już cynicznych manipulatorów).

2. Świadomość tych różnic każe porzucić pewność, że nasz własny punkt widzenia jest jedynym z możliwych. On jest po prostu jednostronny.

Konrad Lorenz, wybitny austriacki etolog, laureat Nagrody Nobla z medycyny, mówił o zaletach poznawczej metody „wzajemnie oświeclających się danych”. W poznawaniu świata nie należy odrzucać odmiennych światobrazów. To tak, jakbyśmy odrzucali jako zupełnie nam zbędną fizykę kwantową, bo nam dla zrozumienia świata wystarcza np. biologia molekularna. A fizyka kwantów i biologia molekularna są praktycznie nieprzekładalnymi dziedzinami jednej nauki.

Obecność różnych światobrazów każe nam też nieustannie wracać do rozważania tych samych problemów, ale nie jest to bezcelowe kręcenie się w kółko. Powracamy do tych problemów na innym (zwykle wyższym) poziomie poznawczym. Lorenz i Gerhard Vollmer mówią w takim przypadku o poznawczej spirali, a nie o błędnym kole⁵.

Unikanie metody wzajemnie oświeclających się danych i konstytutywnych różnic światobrazowych może wpędzić nas w sytuację poznawczą „Marsjan”, którzy wiedzę o Ziemi czerpią tylko z jednego brukowego czasopisma albo jakiegoś jednego, niezbyt wysokich lotów, kanału telewizyjnego. Gdyby zapytać takiego Marsjanina, czym jest samolot, odpowie, że latającą maszyną, która się rozбивa.

⁵ G. Vollmer, *Was können wir wissen?*, cz. 1, Stuttgart 1985, s. 65, podobnie W.V.O. Quine, *Granice wiedzy i inne eseje filozoficzne*, tłum. B. Stanosz, Warszawa 1986.

3. Dają szansę bycia pełniejszym człowiekiem. (Chrześcijaninowi, być może, daje szansę okazania swej Miłości względem innego człowieka, choć ja osobiście tej kategorii nie lubię. Jakie to trudne, pisze np. ks. Józef Tischner: „Jak to dobrze, że nie muszę przekazywać znaku pokoju tym wszystkim komuchom i kandydatom na posłów z Bożej łaski”⁶).

4. Nie pozwalają intelektualnie zgnuśnić. Muszę ciągle myśleć, jak się w tym gąszczu nieprzekładalnych światobrazów zorientować i znaleźć. Aby nie popaść w jakiś eklektyczny, sztucznie wszystko łączący światobraz, rzeczywiście niebezpiecznie bliski relatywizmowi.

Innym pożytkiem, który dla mnie jest ważny, ale ma wyłącznie subiektywny charakter, jest to, że świat byłby potwornie nudny, gdyby wszyscy byli tak dialogiczni jak Sławomir Żurek. Trudno wyobrazić sobie świat bez grzechu, bez skandalistów, albo bez zła. Niepotrzebni wówczas byłiby kaznodzieje, lekarze, moralisci na katedrach uniwersyteckich i w opiniotwórczych mediach, sędziowie, prokuratorzy i adwokaci, niepotrzebne byłyby takie spotkania jak to w Łaskach.

Całkiem poważnie: zagrożenia stwarzane przez wieżę Babel, czyli nieprzekładalność światobrazów, istnieją realnie i nie można ich zbyć żarcikami. Świadomość tego rodzi ponownie zapotrzebowanie na autorytety. Dla wielu ludzi, także niewierzących, autorytetem jest papież. Inni mają szczęście spotykać jakąś wybitną postać w swoim otoczeniu. Uznanie i korzystanie z mądrości autorytetu jest ważne, aby pycha nie zgubiła nas, jak budujących wieżę do nieba bram mieszkańców Babilonu. Jeśli jesteśmy otwarci (obojętne czy w Kościele czy poza Kościołem), nawet jeśli nie rozumiemy jakiegoś poglądu albo się buntujemy, powinniśmy sobie zadawać pytanie: jak człowiek tak rozumny może tak myśleć, w sposób dla nas (w pierwszym przynajm-

⁶ J. Tischner, *Ksiądz na manowcach*, Kraków 1999, s. 23.

niej momencie) nie do przyjęcia? Odrzuca nie autorytetów nie świadczy bynajmniej o niezależności, lecz o pysze i braku rozsądku (tym bardziej, że moralny i intelektualny autorytet łatwo odrzucić, bo to nic nie kosztuje; gdy jesteśmy poważnie chorzy, idziemy jednak do lekarza – już nie jesteśmy tacy niezależni).

Z autorytetami wiąże się kluczowy, moim zdaniem, problem możliwości zmiany (do pewnego stopnia, w części kulturowej) własnego światobrazu. Światobraz człowieka można porównać do paradygmatu w nauce. Paradygmaty to, według Thomasa Kuhna, pewne wzorce pracy badawczej, zawierające zbiór założeń pojęciowych, metodologicznych i metafizycznych. Zmiana paradygmatu może się odbywać tylko na drodze rewolucji naukowej⁷. Nasz światobraz to też zbiór założeń pojęciowych (nie tylko w różnych kulturach są one inne, ale nawet wśród ludzi żyjących w tym samym społeczeństwie), metodologicznych i metafizycznych. Zarówno w nauce, jak i w światobrazie praktycznie prawie dowolnie długo można bronić każdego sensownego (a nawet jawnie nie-absurdalnego) paradygmatu. Tzw. teza Duhema-Quine'a głosi, że poprzez dodatkowe założenia, drobne modyfikacje, korekty itp. można bronić dowolnie długo solidnej teorii. (Quine: „Każde zdanie może obowiązywać niezależnie od doświadczenia, o ile dokonamy dostatecznie daleko idącego przystosowania reszty systemu”⁸.) Tak samo dowolnie długo można bronić tezy, że UE nas wynarodowi i sprzeda zachodnim kapitalistom, jak tej, że gdy wstąpimy do UE, to każdy będzie miał mercedesa, ładną żonę i nie zachoruje na raka. Da się bronić i pośrednich wersji rozsądnych. Spotkania z autorytetem mogą dokonać w nas rewolucji; możemy przekroczyć (nie porzucić!) skostniały, z konieczności jednostronny pa-

radygmat naszego światobrazu i przyjąć paradygmat nowy.

I to jest postępek. Nie trzeba przekreślać własnego światobrazu (to zresztą jest z racji genetycznych niemożliwe), należy go poszerzać. Gdy w nauce paradygmat fizyki Newtona został zastąpiony przez paradygmat Einsteina, fizyka Newtonowska zachowała swą przydatność w codziennym życiu. Porzucić nasz światobraz (jego część kulturową) należy tylko wtedy, gdy uznamy go za absurdalny. Jeśli był „niepełny”, wypada go tylko (lub aż) przekroczyć. Wierzę, że jest to wykonalne. Chyba, że nasza kondycja jest taka, jaką proponują skrajni socjobiolodzy, tzn. że „geny prowadzą nas na smyczy”. I to krótkiej smyczy⁹.

Możliwość rewolucji światobrazowej jest kolejnym argumentem na rzecz dobrodziejstw płynących z wieży Babel. Gdyby nie było pomieszania języków – byłby jeden, w pełni akceptowalny przez wszystkich, światobraz-paradygmat. I raj już na ziemi.

Co do głównego tematu naszego spotkania w Laskach: Kościół otwarty na (czy dla?) wszystkich. Aby był otwarty na wszystkie światobrazy (nie światopoglądy i ideologie), powinien zaakceptować, że:

1. Dialog należy prowadzić ze wszystkimi, którzy chcą dialogu (choćby dla dobra Kościoła).

2. Należy przyjąć, że w każdym człowieku jest coś, o co można „pozytywnie zahaczyć” (a więc przyjąć „jezuicką”, kazuistyczną postawę).

3. Przez niewierzących Kościół traktowany jest jako rzeczywistość czysto ludzka, bez żadnych Boskich elementów. (Tak więc ludzie mają prawo domagać się od Kościoła tego samego, czego od innych organizacji, np. jawności finansów.)

4. Ludzie Kościoła, jeśli akceptują, że np. media „kontrolują” instytucje publiczne, muszą zaakceptować, że media według

⁷ Por. np. I.G. Barbour, *Mity, modele, paradygmaty*, tłum. M. Krośniak, Kraków 1984, s. 136 nn.

⁸ I. Lakatos, *Pisma z filozofii nauk empirycznych*, tłum. W. Sady, Warszawa 1995, s. 161.

⁹ E.O. Wilson, *O naturze ludzkiej*, tłum. B. Szacka, Warszawa 1988.

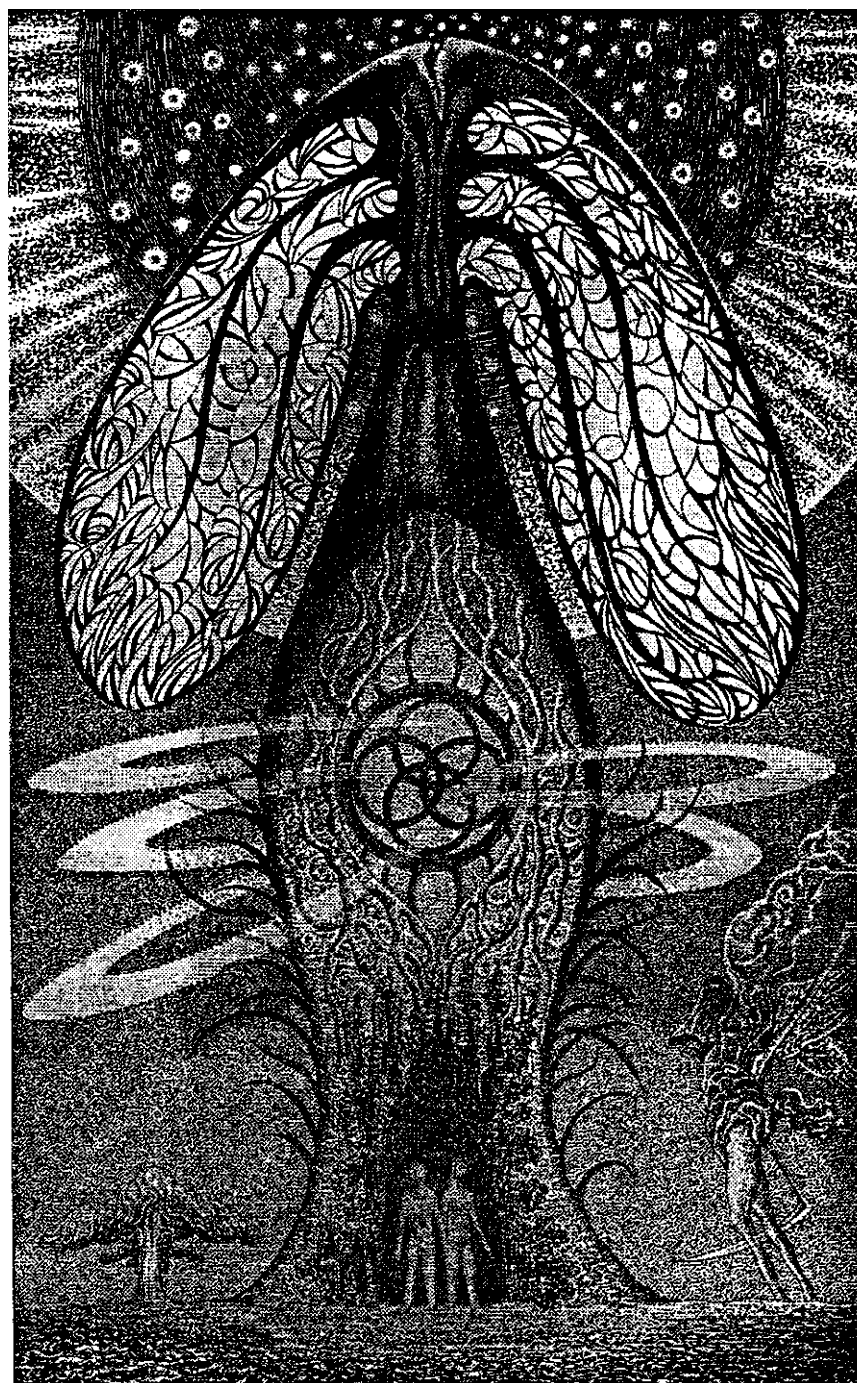
tych samych reguł „kontrolują” instytucje kościelne. (Argument, że krytyka z zewnątrz jest niemożliwa jest nietrafny, bo w ogóle niemożliwe jest zrozumienie pełne czegośkolwiek. Ignorancja jest przypadłością wszystkich.)

Dumnym babilończykom nie powiodła się budowa wieży do bram nieba, bo nie potrafili się porozumieć. Z tej przypowieści można wyciągnąć jednak i pozytywny wniosek: trzeba się uczyć obcych języków i dzieło kontynuować. W przypadku budowniczych wieży Babel było złe założenie: że dojdą do nieba bram. Natomiast można budować wieżę doskonale wiedząc, że celu tego się nie osiągnie. Podobnie, jak nie można – przynajmniej tak uważają domi-

nujące kierunki filozofii – dojść do prawdy w nauce, można się do niej tylko zbliżyć. W przypadku wieży Babel zupełnie wystarczy, aby zbliżyć się do zrozumienia światobrazu innego człowieka.

W Kalendarzu Ekumenicznym 2000 znajduje się myśl Simone Weil, doskonale pointująca, w dwóch zdaniach, to, o czym tu piszę. W zasadzie zamiast tego wykładu lepiej byłoby może po prostu przytoczyć te zdania, a potem przez pół godziny w samotności i ciszy je rozważyć. Oto one: „Dwaj więźniowie w sąsiednich celach nawiązujący łączność stukaniem w mur. Mur jest tym, co ich dzieli, ale również tym, co im pozwala nawiązać łączność”¹⁰.

¹⁰ Kalendarz Ekumeniczny 2000, Lublin 2000.



rys. R. Ruzik

Jacek Wojtysiak

Słowo – Wspólnota – Stół. Czym jest dla mnie chrześcijaństwo?

Najpierw ludzie zaczynają ze sobą rozmawiać. Tak zawiązuje się wspólnota. Wreszcie dzielą ze sobą stół. Takie jest życie, i takie jest chrześcijaństwo.

Dość powszechnie się sądzi, że istotę pierwotnego chrześcijaństwa oddaje jedno zdanie zawarte w początkowych rozdziałach Dziejów Apostolskich. Biblia Tysiąclecia tłumaczy je z greki następująco: „Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwach” (Dz 2, 42). Trzy czynniki tworzyły więc chrześcijaństwo u jego źródeł: nauczanie Apostołów (*didache*), wspólnota (*koinonia*) oraz modlitewne łamanie chleba (*klasis tou artou*). Wszystkie razem składały się też na to, co później określono mianem *agape* – swoistej miłości chrześcijańskiej.

Didache lub *kerygma* to głoszenie (obwieszczanie, zwiastowanie) słowa Dobrej Nowiny o miłości Boga do ludzi, która najdoskonalej wyraziła się w Jezusie Chrystusie, w oferowanym przez Niego zbawieniu za darmo, mocą jego śmierci i zmartwychwstania. Przykładem *kerygmy* jest mowa (słowne świadectwo – *martyria*) Apostoła Piotra, tuż po Zesłaniu Ducha Świętego, która doprowadziła do zawiązania pierwszej *koinonii* (Dz 2, 14-41).

Koinonia to wspólnota, która powstawała jako odzew na Dobrą Nowinę: ci, którzy Ją przyjęli, gromadzili się wokół Niej, zawierając więź z Bogiem i więź ze sobą. Była ona tak silna, że „przebywali razem i wszystko mieli wspólne [*koinos* znaczy: wspólny!]. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby” (Dz 2, 44-45). Warto pamiętać, że odpowiednikami greckiej *koinonii* są takie polskie słowa, jak: uczestnictwo, udział, braterstwo, wzajemność, oddanie, dar, miłość, jedność, a nawet: solidarność czy społeczność (por. ks. R. Popowski, *Wielki słownik grecko-polski Nowego Testamentu*, „Vocatio”, Warszawa 1995, hasła 2829, 2831-2834). Wiążą się one z tym, co Dzieje Apostolskie określają jako *diakonia*

„Kościół otwarty dla wszystkich”

(służba). Posługa diakonalna – troska o żywność dla potrzebujących, przekazywanie jałmużny biednym, opieka nad wdowami – stanowiła istotną część, prawie równą apostołskiej, religijnej działalności pierwotnego Kościoła (por. np. Dz 6, 1-7; 11, 27-30).

Wyrazem *koinonii* i *diakonii* były agapy, czyli uczty braterskie, podczas których pierwsi chrześcijanie, „łamiąc w domu chleb [*klontes te kat oikon arton*], przyjmowali pokarm w rozweseleniu i prostocie serca, wielbiąc Boga i mając łaskę względem całego ludu” (Dz 2, 46-47, wydanie interlinearne „Vocatio”). Uczty te – wzorowane prawdopodobnie na żydowskim obrzędzie wieczerzy sederowej (paschalnej) lub wieczerzy szabatowej – uobecniały lub upamiętniały Ostatnią Wieczerzę (Wieczerzę Pańską), jaką Jezus Chrystus spożył z Apostołami tuż przed, i w związku z, swoją ofiarą krzyżową. Stały się one początkiem tego, co dziś określamy mianem *Leitourgia* (dosłownie: dzieło/służba ludu, później przyjęło się: służba Boża, niem. *Gottesdienst*, ang. *service*), *Eucharistia* (wdzięczność, dziękczynienie [Bogu]), czy – w terminologii łacińskiej – *Komunia* (*communio* – wspólność, łączność [z Bogiem i ludźmi]) lub, dość swobodnie: na zasadzie *pars pro toto*, *Msza* (*missio* – posłanie, zakończenie).

Na podstawie tego, co wyżej napisano, można powiedzieć po prostu, że chrześcijaństwo odznacza się trójdzelną dynamiką: najpierw jest Słowo (*Logos* – *kerygma*), z niego rodzi się wspólnota (*koinonia*), której wyrazem staje się stół (*klasis tou artou* jako *eucharistia*). Dynamika ta – słowo-wspólnota-stół – nie jest specyficzna dla chrześcijaństwa. Jej kulturowa geneza tkwiła w judaizmie, a występowała z pewnością także w innych religiach i kulturach, np. w kulturze greckiej. Co więcej, dynamika ta stanowi naturalną podstawę tworzenia więzi przyjacielskich, miłosnych, rodzinnych. Każdy zna ją z osobistego doświadczenia.

Najpierw ludzie zaczynają ze sobą rozmawiać, chcąc sobie coś ważnego przekazać

– za pomocą słów objawiają sobie nawzajem dobrą nowinę. Tak zawiązuje się wspólnota: coraz więcej mają wspólnych myśli, przeżyć, coraz więcej spraw ich łączy. Wreszcie dzielą ze sobą stół. Takie jest życie, i takie jest chrześcijaństwo. Najbardziej podstawowe doświadczenia ludzkiego życia stają się tworzywem doświadczenia chrześcijańskiego. Bóg staje się obecny poprzez codzienne słowo, wspólnotę i stół. Kto nie pielęgnuje ludzkiej mowy, nie usłyszy Słowa Bożego. Kto nie buduje więzi między ludźmi, nie rozpozna miłości Boga. Kto nie dba o rodzinną kolację, nie zakosztuje w Wieczerzy Pańskiej.

Z pewnością dynamika chrześcijańska wyznacza styl chrześcijańskiego życia. Troska o głębię wypowiedzianych słów, zaangażowanie na rzecz autentycznych i dobrych relacji międzyludzkich (nie tylko z tzw. bliskimi) oraz zabieganie o chleb dla potrzebujących powinny być znakiem rozpoznawczym chrześcijanina. Owszem, chrześcijanie nie mają monopolu na ten znak – jest to sprawa zwykłego uczciwego człowieczeństwa. Jednakże bycie chrześcijaninem, jak widzieliśmy, z istoty swej dodatkowo i szczególnie zobowiązuje do bycia przede wszystkim takim znakiem.

Nie jest celem tego tekstu przeprowadzanie rachunku sumienia dla siebie lub dla innych. Nie jest też celem dyskusowanie np. zagadnienia sposobów zaangażowania chrześcijan w budowanie sprawiedliwych struktur społecznych, by były one bardziej wspólnotami. Ograniczę się tu tylko do jednej sprawy, która stanowi „papierek lakmusowy” naszego polskiego chrześcijaństwa, a dokładniej tej jego części, w której uczestniczę, czyli katolicyzmu.

Podobno rodzinę rozpoznaje się po jej zwykłym obiedzie lub kolacji. Tam wszystko widać, jak na dłoni: czy wszyscy są?, czy rozmawiają?, a jak tak, to o czym?, co kto robi?, jak się czuje z innymi?, czy wspólne ucztowanie sprawia im radość? Tak samo jest ze wspólnotą chrześcijańską

– rozpoznaje się ją po jej Wieczery Pańskiej, czyli Eucharystii. A jakie są nasze katolickie Eucharystie, nasze zwykłe niedzielne Msze Święte?

Różne. Trzeba pamiętać, że różne są parafie, różni ludzie, różne oczekiwania. Tak jak różne są ludzkie osobowości, przyzwyczajenia, formacja. Wielu jednak powiada, że nasze Msze są nudne, oficjalne, a więc nierzadko tylko „przestane” lub „przespane”. Nie chodzi tu o to, by z Liturgii robić show. Jeśli jednak Eucharystia ma być – jak naucza Kościół Katolicki – „źródłem i zarazem szczytem całego życia chrześcijańskiego” (Sobór Watykański II, *Lumen gentium*, 11), musi być żywa, musi ludzi angażować. Musi być widoczne, że jest w Niej Słowo i Stół, które budują Wspólnotę.

Ostatnio coraz bardziej podkreśla się rolę Biblii w Eucharystii. Podczas Liturgii Słowa podnosi się księgę z czytaniem, coraz częściej słyhać biblijne kazania. Nadal jednak czytanie Biblii w kościele przez dorosłych świeckich w większości przypadków ogranicza się do znaczniejszych (zwłaszcza transmitowanych przez telewizję) uroczystości. Podobnie – poza wyjątkami – brakuje biblijnych komentarzy i świadectw oraz modlitwy wiernych, przygotowywanych właśnie przez wiernych, w nawiązaniu do spraw, które ich dręczą.

Najważniejsze jest jednak to, że na przeciętnej Mszy panuje atmosfera anonimowości, przerywana co najwyżej przez niektórych na chwilę – na znak pokoju. Czy można tu mówić o wspólnotcie? Jej budowaniu nie sprzyja też, zachowywany jeszcze w wielu polskich kościołach, tradycyjny sposób udzielania Komunii Świętej. Gdyby zobaczył go, nie znający chrześcijaństwa, jakiś przybysz z obcej planety, raczej nie wpadłby na to, że obrzęd Komunii wywodzi się z wydarzenia, które było Wieczera, i że jednym z jego celów jest uobecnianie także międzyludzkiej jedności...

Ktoś powie, że sprawy te wymagają oddzielnych i ostrożnych analiz teologicznych, kulturowych, historycznych i socjologicznych. Ktoś inny doda, że to, czego mi

brakuje na „przeciętnej” Mszy, odnajdę we wspólnotach posoborowej odnowy. Poza tym nie wszystko da się zrobić na codzień. To prawda. Jednakże nie każdy polski katolik – z różnych przyczyn – stanie się uczestnikiem jakiejś wspólnoty. Co więcej, pewne sprawy powinny być powszechne i nie wymagają specjalnych analiz czy zabiegów... A może po prostu rzeczy się mają tak, jak w naszych domach: w zwykły dzień „jest jak jest”, lecz gdy śpieszą jacyś lepsi goście, sprzątam, robimy dobry obiad i okazujemy się bardzo mili (nie tylko dla gości)...

Powiedzmy sobie szczerze: nie ma dymu bez ognia. Dla chrześcijanina ogniem jest Duch Święty. Trzeba jednak pozwolić Mu działać. Eucharystia udziela Słowo, jest Stołem i stanowi Wspólnotę. Jednakże nie skorzysta z Niej ten, kto przychodzi na Nią nieprzygotowany, kto nie żyje Jej darami. Na koniec więc kilka uwag o tym, jak nasze parafie mogłyby to przygotowanie pogłębić, jak mogłyby dać Duchowi dodatkowe impulsy przyzwolenia. Podaję je na podstawie obserwacji życia chrześcijańskiego, zwłaszcza ewangelickiego, w Niemczech. Skoncentruję się tylko na kilku z jego zalet, co nie oznacza, że nie ma tam wad. Są, ale nie wypada „punktować” braci, tak jak nie wypada się też – odpieram ewentualny zarzut ze strony naszych kościelnych „patriotów” – chwalić własnymi osiągnięciami... Ale do rzeczy.

Po pierwsze: otwarte godziny (kręgi) biblijne. Powiedziałem już, że nie każdy ma czas i skłonność do systematycznego studium Biblii w ramach szerszej formacji religijnej w ruchach posoborowej odnowy. Każdy jednak mógłby od czasu do czasu odwiedzić otwarty dla wszystkich krąg biblijny (lub podobne spotkanie katechetyczne). Mógłby on mieć charakter pogadanek, wykładów, kursów, świadectw, spotkań modlitewnych itp. Jego formy różnicowałyby się w zależności od stopnia wiedzy i zaangażowania uczestników. Ale żeby tak było, kręgi biblijne musiałyby po prostu funkcjonować jako normalna część działalności duszpasterskiej parafii – zapisane na

tablicy ogłoszeń parafialnych na stałe: jak nabożeństwa różańcowe czy nieszpory. Nie wierzę, że dla kręgów biblijnych nie dałoby się znaleźć chętnych duszpasterzy oraz kompetentnych animatorów świeckich. Z biegiem czasu kręgi z pewnością byłyby coraz liczniej odwiedzane. Ich owoce – w postaci wspomnianych komentarzy, świadectw i modlitw – mogłyby wzbogacać niedzielne Eucharystie. Ludzie po prostu dzieliliby się swoim autentycznym doświadczeniem życiowym...

Po drugie: **parafialne życie towarzyskie**. Dlaczego ludzie na niedzielnej Mszy, zwłaszcza w dużym mieście, czują się anonimowo? Dlatego, że – o ile nie trafią na sąsiadów – nie znają siebie nawzajem. Nie mają w ogóle okazji ze sobą porozmawiać jako chrześcijanie. A gdyby tak działały przy parafii chrześcijańskie kawiarnie, kluby, koła zainteresowań, może sklepy, a nawet biura matrymonialne... Już w wielu miejscach tak jest, ale dlaczego nie miałoby to być czymś powszechnym? Przecież to też są czynniki wspólnototwórcze! Ewangelicy powiadają żartobliwie, że w ich kościołach parafialna kawa po nabożeństwie jest trzecim sakramentem (teologia ewangelicka mówi oficjalnie o dwóch sakramentach: Chrście i Komunii). Coś w tym jest: wspólnota chrześcijańska nie ma tylko wymiaru nadprzyrodzonego, lecz – skoro jest wspólnotą, w której uczestniczą także zwykli śmiertelnicy – ma również wymiar bardzo doczesny.

Po trzecie: **zbiórki na rzecz głodujących i ubogich**. Zbiórki takie stanowiły w pierwotnym Kościele istotną część Eucharystii. Ich pozostałością jest piękna czynność składania darów przez wiernych, a także mniej piękne – urastające niekiedy

do paraliturgicznego obrzędu – tzw. zbieranie na tacę. Dlaczego nie zastąpić (lub na stałe uzupełnić) tacy, składaną dyskretnie po lub podczas Liturgii, ofiarą na – każdorazowo wcześniej określany – konkretny cel charytatywny? Rozumiem, że na taki wzniosły gest mogą sobie pozwolić Kościoły w krajach, w których istnieje podatek kościelny, gwarantujący Kościołom utrzymanie, a ich wiernych stać na dodatkowe wydatki. Ale czy u nas nie można by jawnie i regularnie (a nie tylko od święta lub kataklizmu) poświęcać przynajmniej pewną część kolekty potrzebującym? Może to pomagałoby nam zrozumieć, że Kościół stanowi – nieograniczoną przez rasę, język czy przekonania – wspólnotę, której uczestnicy zawsze nawzajem siebie wspomagają... Może troszcząc się o powszedni chleb dla innych, lepiej pojęlibyśmy Bożą troskę o Chleb Eucharystyczny dla nas. Trudno ucztować – nawet duchowo – gdy inni cierpią głód...

Przedstawiłem powyżej tylko kilka punktów „papierka lakmusowego” naszego chrześcijaństwa. Że nie ma w nich (i w całej mojej wypowiedzi) nic oryginalnego, łatwo się przekonać, czytając Biblię i jej opracowania, Katechizm Kościoła Katolickiego, elementarne podręczniki do religii i teologii, homilie Jana Pawła II, literaturę ekumeniczną itp. Jednakże nie o oryginalność tu chodzi, lecz o pytania, jakie zadajemy sobie na przełomie wieków – u progu dwutysiąclecia naszej religii: jak rozumiemy chrześcijaństwo?, czy naprawdę nam zależy na wartościach, które z nim utożsamiamy?, czy chrześcijaństwo ewangeliczne stanowi centralny i powszechny, czy tylko uboczny i wąski nurt naszego życia osobistego, kościelnego i społecznego?...

Ireneusz Ziemiński

Synek

*Rodzicom, którzy oplakują
śmierć swoich dzieci.*

– Wiele człowiek musi, pani, w życiu wycierpieć. Jak sobie, pani, przypomne mojego chłopaka, to aż w gardle ściska. Dziesięć lat miał, pani, jak umar. Na raka. Jak on mnie, pani, tymi rączkami za szyję obejmował. Ale wcale nie płakał. Lekarze od początku mówili, że nie ma nadziei. Ale jak to, pani, matka może powiedzieć, że nie ma nadziei. Toć to moje było, człowiek je nosił, urodził, wykarmił, a teraz ma ziemi oddać? Wierzyłam, pani, że będzie żyć. Mój mąż to pierwszy się załamał. Modlił się, pani, codziennie na kolanach, różaniec odmawiał. Pocieszał mnie, pani, jak umiał, ale sam to już nie wierzył. Jemu lekarze więc powiedzieli, wiadomo, to zawsze ojciec, chłop, więc zniesie. Ksiądz też przychodził, dobry, pani, starszy, też już o swojej śmierci myślał. Za pogrzeb to ani grosza od nas nie chciał, jeszcze msze dodatkowe odprawiał. To trocha nas na duchu podniosło, oprzytomniał człowiek, za robote się musiał brać. Ale w domu to do dziś, pani, pusto i głucho jakoś. Dwoje mniejszych to już zapominać zaczyna. Do końca chcieli się z nim, z Andrzejkiem znaczy się, bawić, tylko że on już, pani, siły nie miał. Chemie, pani, dostawał przez rok. Takie włosy kręcone miał, ale wszystkie wyszły. Jak się na te ich sale wchodziło, to poznać było go ciężko, wszystkie, pani, dzieciaki bez włosów, chude takie i blade. Ale która, pani, matka swojego nie pozna. Co by człowiek dał, żeby ulżyć mu, pani. Ale nic nie może. Modliłam się, pani, żeby to mnie lepi Bóg na tamten świat zabrał, a jego ocalił. Ale widać inaczej było pisane. – Przetarła lekko oczy. – Nie powiem, dzieciak czasem człowieka zdenerwuje, to się i na niego krzyknie, albo i uderzy w nerwach. Ale to przecież, pani, co innego. Kto dziecka by, pani, swojego nie kochał. Sama bym, pani, umrzeć wołała, gdyby to tylko można, a nie on. Ale co zrobić, taki los. Dwa inne miałam dzieci, dla nich człowiek żyć musiał. Mój mąż to do dziś, pani, zgnębiony chodzi. Pierwszy syn, pani, pierworodny. Nikt tego nie zrozumie, co sam nie przeszedł. Jak z porodówki przyjechałam, to on mnie jak dziecko nosił za tego syna i po rękach całował. Potem tak samo, jak drugie i trzecie rodziłam. Was tylko mam, do mnie mówił. Teraz to smutny jakiś chodzi, bez życia, dzieciaka tylko wspomina. Kwiaty na cmentarz kupuje. Ale to już nic, pani, nie zmieni. Tyle że człowiek tak jeszcze przy tym grobie usiądzie, na zdjęcie na pomniku popatrzy. Jak żywy, pani, się uśmiecha. Jeszcze dwa dni przed śmiercią tak się do mnie uśmiechał. O niebie i o Panu Bogu chciał tylko rozmawiać. A mnie, pani, serce z żalu pękało, oszukiwać musiałam. Chociaż wierzyłam, pani, wierzyłam, że może mnie Pan Bóg wysłucha. Nie to, pani, żebym żal jaki miała czy pomstowała do nieba. Tylko tak coś

lęki i poszukiwania człowieka

człowieka ściśnie, że to niby dlaczego mnie to musiało spotkać. Patrze tak, pani, na inne dzieci jak po parku biegajom, to mi żal, że jego już nie ma. Pięć lat już, pani, szkołę by chłopak po mału kończył, kawaler prawie. Ale co zrobić. W te pierwsze dni to nawet człowiek jakoś ulge poczuł, że on się już nie męczy, że nie trzeba kursować po parę razy dziennie z domu do szpitala, w nocy czuwać, lekarstwa podawać. Ale potem to, pani, zawsze gorzy. Im późni, pani, tym gorzy. Po nocach to mi się czasem jako aniołek śnił, ale czasem to i całkiem strasznie, jak w tym grobie ciało jego, pani, gnije... – Otarła oczy chusteczką. – Czasem to sobie, pani, wyrzucam, że zło matko byłam, że nie upilnowałam czy co. Ale przecie do lekarzy człowiek chodził, na szczepienia prowadził, żadnego terminu nie zaniedbał. I nic, pani, nie poznali. Dlatego nie mogłam uwierzyć. Myślałam, że to pomyłka, że wyniki pomylili. Przez dziewięć lat nikt nic nie zauważył, a tu nagle, pani, rak z przerzutami. Wcześniej, pani, jak się dzieciaki rodzili, to martwiłam się, byle które zakaszlało, już spać nie mogłam, całą noc czuwałam. Teraz inaczej, bać się przestałam. Trzeba się, pani, na los zdać. Losu nie unikniesz. W tym szpitalu to, pani, wiele nieszczęść człowiek zobaczy. Jedna matka to stale mówiła, że wszystko by oddała, byle tylko dzieciak żył. Za granice jeździła, pieniądze zbierali na przeszczep i nic nie pomogło. Chłopak umar. Jak mój, nawet troszka wcześni. Wola boska, co zrobić. Najgorsze to, pani, że te dzieciaki wiedzo, co się z nimi dzieje. Jak któregoś ze szpitala wypisują albo do hospicjum oddają, to przestają pytać o niego. Mój chłopak też, pani, wiedział. Bo po co by, pani, o niebo pytał? Dorosły, pani, śmierci się boi, a co dopiero dzieciak. W piłkę by chciał pograć, na rowerze pojeździć, z kolegami poganiać. Widzi przecie, że to już nie dla niego, że siły mu brak. Nawet telewizji nie chciał oglądać, jakby żal jakiś w nim siedział. Siostrzyczkę swoję bardzo lubił. Tulił się do niej, całował, po głowie pozwalał się jej bić. Tak jakby, pani, ratunku jakiegoś szukał, jakby się życia chciał za wszelką cenę uczepić. Raz to nawet podsłuchiłam, jak pytał jej, czy mu kwiatki na grób będzie przynosić... – Otarła łzy. – Dzieciaki, pani, więc rozumiejo, niż człowiek może pomyśleć. Kto nie miał, pani, dzieciaka, to tak jakby o połowę mniej żył. – Zamilkła na chwilę. – Jak chorował to tak sobie, pani, czasem myślałam, że lepiej było go nie mieć, żalu by teraz nie było, nie cierpiałby człowiek. Moja siostra, bezdzienna, to nawet mówiła, że już dzieci mieć nie chce, żeby potem żałoby nie było. Ale teraz inaczej patrze. Choćby jeszcze dziesięć razy miał umierać, tobym chciała żeby choć trochę pożył. Ta śmierć to, pani, jakby kara za to, że się człek na świecie znalazł. Tylko że dzieciak to, pani, nawet odrobiny życia nie zakosztował, jakby go wszystko ominęło. Tak jakby mu, pani, zabawkę albo cukierka pokazać, powiedzieć, że jego, a potem od razu zabrać, zanim zdąży z papierka rozwinąć. Jak stary umiera, matka zwłaszcza czy ojciec, to też żal, ale jakiś inny, człowiek łatwiej może się pogodzić. Dzieciak to co innego. Jakby kawał serca człowiekowi z piersi wydarli. Jakby człek na marne żył, czy co, że dzieciaka od śmierci nie umiał wyratować. Póki zdrowe so, pani, to człowiekowi nawet do głowy nic złego nie przyjdzie. Ale śmierć jak złodziej, pani, przychodzi, gdy już człek myśli, że mu niczego nie brak, że teraz to sobie pożyje. Nic człowieku nie nażyjesz. Nie tutaj, chyba że na tamtym świecie. Tylko jak to, pani, dzieciakowi wyjaśnić. Dzieciak, pani, co nad grobem stoi, to więc wie od dorosłego. Ale czy dorosły, pani, może dzieciakowi prawdę powiedzieć, że umiera? No jak to, tak po prostu powiedzieć, że już nigdy się nie będzie bawić ani ojca i matki oglądać? Przecie nie można, pani. Nawet zdradzić przed nim nie można, że człowiek coś wie. W ostatnich miesiącach to tylko jego na ręce chciałam brać i tulić do siebie, ale on nawet raz powiedział, że przecie nie jest dzidziusiem, co by na kolana siadał. Taki dorosły był, pani, poważny. Jakby z innego świata na nas patrzył. – Zamilkła na chwilę. – Jak się, pani, tak człowiekowi czas skurczy, to wtedy by całe życie chciał nadrobić, ale już za późno. Wtedy sobie człowiek przypomni, jak to nie kupił zabawki albo cukierka, bo pieniędzy było mało,

jak skrzyczał dzieciaka albo uderzył bez potrzeby. Wtedy to, pani, czas by człowiek zawrócił, gdyby mógł. Ale za późno. Przecie nie może jednemu wszystkiego kupić, a pozostałe dzieciaki głodem morzyć. Ale wtedy to by człowiek wszystko dał, te całe życie, co przed tym dzieciakiem było, chciałby mu w pare dni dać przeżyć. Żeby jak najwięcej do grobu zabrał, żeby już tam w niebie za tym światem nie tęsknił. A tu, pani, dzieciak tylko udręke ma i cierpi. Pociechy znikąd nie widać. W szpitalu to nawet do szkoły chodzi, uczy się. Wiadomo, że to już tylko po to, aby nie czuł się gorszy od innych, aby nie zaczął myśleć o swojej chorobie. Tylko że dzieci, pani, nie oszukasz. Wiączy od nas wiedzo, tylko po sobie poznać nie dadzo. Andrzejek to nawet swój garniturek od Komunii oglądał, chciał ubierać i w lustrze się przeglądać. Nie broniłam, pani, myślałam, niech się dzieciak nacieszy. Ale on to, pani, już do trumienki sobie ubranie gotował, pewnie chciał zobaczyć w lustrze jak będzie wyglądać. Taki los, pani, nie można narzekać. Inne ludzie też cierpio, tylko na ulicy to tego nie widać, jak człowiek umalowany do samochodu wsiada. Wszyscy jacyś szczęśliwi się wydajom, bez troski. Ale przecie nikogo śmierć nie ominie. W telewizji wczoraj, pani, słyszałam, że jeden pijany to swoje żonę, matkę i trzy córki na traktorze wioz, do rzeki wjechał i wszystkie się potopili. Tylko on, ten pijany znaczy, kierowca, przeżył. Nawet nogi ani ręki nie złamał. – Przerwała na chwilę. – Tak się człowiek, pani, cudzym nieszczęściem pociesza. Bo i co ma robić. Żyć trzeba dali, o te dzieciaki, co zostali, się zatroszczyć. Tamtego nie wskrzesi. Modlić się, pani, zostało i tyle. Żeby mu tam u Pana Boga źle nie było. Żeby te, co zostali, Pan Bóg zechciał oszczędzić. Jak, pani, na cmentarz ide, to jakbym go żywego znowu na ręce brała, ten głosik, jak „mamusiu” do mnie mówił, słysze... – Głos jej się na chwilę załamał. Zaraz jednak mówiła dalej. – Tego, co człowiek czuje, to się, pani, nie da powiedzieć. Kto tego sam nie przeszed, to nie wie. Córka mojej sąsiadki to umarła jak miała trzydzieści dwa lata, i dzieci dwoje zostawiła. Ale dziecko, pani, to dziecko, nieważne, ile ma lat. I ta kobita, moja sąsiadka znaczy, w dwa miesiące potem na zawał umarła. Życie się dla niej, pani, skończyło. Nic tu po mnie, mówiła. Ale niektórzy inne so, pani, przetrzymają. Bo i co to, pani, zmieni, że człowiek się rozchoruje albo włosy będzie z głowy rwać. Andrzejek, zanim jeszcze zachorował, to często o śmierć pytał, jakby ona już wtedy jakoś w nim siedziała. Wszystko niby rozumiał, jak mu mąż tłumaczył, tylko nie wiedział, dlaczego ludzie na pogrzebach płaczo. Po prawdzie to, pani, miał dzieciak rację. Czego to płakać. Losu nie zmienisz, ot co. Dni swoich trza dożyć i tyle. A reszta to już wola boska, pani. Pewnie, że każdy chce żyć, tak już świat urządzony. Czepia się człowiek życia, choćby jeszcze chwilke chciał się nim nacieszyć. On tak samo, jak umierał. Patrzył tak, pani, jakoś dziwnie, jakby ratunku u mnie szukał. Na rękach mi skonał. Główkę odwrócił, chciał jeszcze powietrza złapać, i tyle. Oczki to do końca miał, pani, otwarte. Jakby chciał jakiś obrazek na tamten świat ze sobą zabrać, jakby nie dość się jeszcze napatrzył. Nic nie powiedział, tylko tak jakoś patrzył, jakby z żalem, że ja jemu, rodzona jego matka, umrzeć pozwalam. Ale człek, pani, nic nie może zrobić. Serce z boleści mało nie wyskoczy, rozum człowiekowi z żalu odbiera, a tu nic nie można zrobić. Ze śmiercio to jak z szatanem, człek nigdy nie wygra. Tylko ja tak, pani, se myślę, dlaczego to dzieciaki umierać muszom. Stary to co innego, ale dzieciak? Ksiądz mówił, że dzieciak umiera, żeby zgorszenia uniknąć, co go jeszcze w życiu miało spotkać. Że dzieciak niewinny, od grzechu go Pan Bóg ratuje przez tę śmierć. Ale to trudno, pani, uwierzyć. Może tak i jest, ale matka, pani, jedno serce ma dla każdego. I jak jedno umiera, to jakby jej to serce zabrali. Ale co zrobić, pani. Co zrobić.

Bartosz Panek

Mocny fundament. Ile chrześcijaństwa w zjednoczonej Europie?

**Mylne jest
przekonanie,
jakoby idea
wspólnej
Europy była
patentem
polityków
dwudziesto-
wiecznych.**

Mylne jest przekonanie, jakoby idea wspólnej Europy była patentem polityków dwudziestowiecznych. Pomysł narodził się ponad 1100 lat temu, przez wieki powracał w innych formach i za sprawą różnych przyczyn. Pierwsze projekty integracyjne przynosi średniowiecze. Karol Wielki, choć siłą narzucił swą zwierzchność podbitym plemionom, umiał je zręcznie połączyć. Trzy części państwa Karola – Galię, Germanię i Italię – integrowało równe dla wszystkich mieszkańców, i oparte na zwyczajach ludów podbitych, prawo. Karol podzielił państwo naarchie i hrabstwa, mianując margrabiami i hrabiami przedstawicieli podbitych plemion. Waluta – denar karoliński, prapraprapradziad euro – była jednolita w całym państwie; kultura łączyła pierwiastki typowe ludom podbitym z dominującą rolą kultury starożytnego Rzymu. Karol sprowadził na swój dwór najwybitniejszych uczonych i kandydatów, którzy stali się jego doradcami i będących jednocześnie przedstawicielami ludów podbitych. Bardzo ważnym czynnikiem integrującym ludność w państwie było chrześcijaństwo. Mimo wielu różnic, mieszkańcy czuli, że mają wspólne korzenie właśnie w tej religii. Stąd też wraz z koronacją Karola w 800 r. na cesarza państwo otrzymało nazwę Święte Cesarstwo Rzymskie. Święte – gdyż z dominującą rolą chrześcijaństwa, Rzymskie – bo oparte na dorobku Rzymian.

Na początku zgoda, potem się różnimy.

W 150 lat po upadku Świętego Cesarstwa Rzymskiego odżył projekt *Renovatio Imperii Romanorum*. Otton III, jeden z najaktywniejszych jego orędowników, chciał oprzeć przyszłe uniwersalne cesarstwo na tradycji rzymskiej i karolińskiej. W planach młodego władcy Galia, Germania, Italia i Slavinia byłyby równouprawnionymi częściami, których ludy połączy religia chrześcijańska. Projekt Ottona jednoczył Europę Wschodnią z Zachodnią, czego

nie uczynił Karol Wielki. Rządy w Ottonowym imperium miałby sprawować cesarz i papież, wzajemnie się uzupełniając i zasiadając w Rzymie. Młody cesarz nie znalazł sprzymierzeńców wśród książąt i możnowładztwa niemieckiego, a w 1001 roku wybuchło przeciw Ottonowi powstanie w Rzymie. Władca uciekł do Rawenny, tam zmarł rok później na malarię.

Chrześcijaństwo w średniowieczu sankcjonuje władzę – cesarz winien był otrzymać koronę z rąk papieża. Jednak ambicje obu dostojników i ich wysoka pozycja rodzą konflikty między władzą świecką a duchową. Okres od XI do XIII wieku to walka o prymat nad chrześcijańską Europą między cesarzem a papieżem. Początkowo wygrywali cesarze niemieccy, jednak *Dictus Papae* Grzegorz VII, głoszący prymat władzy duchowej nad świecką, odwrócił tę tendencję. Konkordat wormacki z 1122 roku potwierdził nienaruszalność papieskiego prawa wyboru dostojników kościelnych. Cesarz zachował jedynie prawo obecności przy wyborach biskupów ziem niemieckich oraz rozdawania biskupich majątków. Pełny triumf papieństwa to jednak czasy Innocentego III, który sformułował zasadę, że papież jest przedstawicielem Chrystusa na ziemi. Średniowieczna Europa to *Christianitas* – na całym jej obszarze wyznaje się chrześcijaństwo. Ludzi łączy też ten sam krąg kulturowy, obyczaje i tradycje, wórzec osobowy. W 1300 roku papież Bonifacy VIII ogłosił jubileusz. Do Jerozolimy przybyło około 2 miliony wiernych, demonstrując jedność i przynależność do religii, która kształtowała Europę.

Podziały i niechęć

Chrześcijaństwo średniowieczne nie jest jednak monolitem. Patriarchowie Konstantynopola i papieże różnili się w dogmatach, liturgii i prawie kanonicznym. Dostojnicy Kościoła bizantyjskiego, popierani przez swych cesarzy, chcieli też uzyskać pozycję równą papieżom. Konflikt zaognił się w połowie XI wieku. Wreszcie w 1054 roku legaci Leona XI rzucili klątwę na Michała

Cerulariusza, który z kolei ekskomunikował papieża i Kościół rzymski. W ten sposób rozłam między Kościołem wschodnim a zachodnim stał się faktem. Powstaje nowy nurt chrześcijaństwa – prawosławie. Podziały nie omijają i Kościoła katolickiego. Lata 1378-1417 to rządy rzymskiego papieża i awiniońskiego antypapieża. Dopiero sobór konstancjański doprowadził do wyboru nowej głowy Kościoła zachodniego, którą powszechnie uznano.

Jeszcze jeden projekt przynosi II połowa wieku XV, kiedy Europie zagrażała ekspansja osmańska. Król czeski Jerzy z Podiebradu zaproponował w 1462 roku utworzenie ligi państw chrześcijańskich, która zahamowałaby Turków i odebrała im zagarnięte tereny. Mimo poparcia Kazimierza Jagiellończyka i Macieja Korwina, pomysł Jerzego z Podiebradu upadł (nie uzyskał akceptacji króla francuskiego Ludwika XI). Jednakże w tym wypadku chrześcijaństwo jest czynnikiem integrującym w obliczu zagrożenia.

Średniowieczna Europa jest przede wszystkim zjednoczona kulturowo i społecznie. Wspólnoty lokalne i regionalne, zbudowane na bazie praw i wolności społecznych, integruje również polityka. Ten charakter małych *comunitas* wynika z zasady subsydialności, która też sprawia, że i cesarz, i papież respektują autonomię wspólnot. Średniowieczna Europa nie ma jednolitego przywództwa, w wielkiej polityce dominują partykularyzmy i niezrozumienie. I dlatego Europę zbudowało nie państwo, a społeczeństwo.

Filozofowie wołają o wspólnotę.

W renesansie nie spotykamy się z konkretnym projektem zjednoczonej Europy. To okres silnych państw, w tym potężnej Polski. Odrodzenie integruje Europejczyków kulturą i jej nawiązaniem do antyku oraz nauką. Już w średniowieczu oświata była domeną Kościoła. Reformacja, mimo iż podzieliła Europę, wniosła ogromny wkład w nowoczesną edukację. Kalwini i arianie stworzyli sieć szkół, w których kształceni

byli obywatele wielu europejskich krajów. Wystarczy wspomnieć o Akademii Rakowskiej, pińczowskim i lewartowskim gimnazjum ariańskim czy o luterańskich szkołach w Gdańsku. Ale i kontrreformacji, będącej naturalnym następstwem Reformacji, oddać należy honor. To ona – a ściślej zakon jezuitów – stworzyła nowego typu szkoły katolickie wszystkich szczebli (np. Akademię Wileńską). Konkurencja między placówkami protestanckimi a katolickimi doprowadziła do podniesienia poziomu obu rodzajów szkół, na czym skorzystała ówczesna nauka i społeczeństwo.

Politycy i filozofowie oświeceniowi zaczęli sobie zdawać sprawę z ważkości problemu wspólnej Europy i pokoju na kontynencie, szczególnie po doświadczeniach związanych z wojnami w XVII wieku, w tym z wojną trzydziestoletnią, która ujawniła dość głęboki podział kontynentu na gruncie religijnym. Dążenie do sytuacji zapobiegającej wojnom było przedmiotem prac Monteskiusza, Kanta, Woltera i Rousseau. Jednym z największych orędowników tej idei był francuski ksiądz Charles Irenee de Saint-Pierre, który stworzył pomysł na wspólną Europę. Projekt zakładał istnienie bliżej nieokreślonej Republiki Europejskiej, ale nie mówił o władcy, który rządziłby nią. Ksiądz stawiał kraje w jednym rzędzie, jako równe wobec siebie. Miały być one reprezentowane w Sejmie Europejskim. Choć zasiadali w nim przedstawiciele monarchów, cała Europa otrzymałaby system republikański. Ksiądz de Saint-Pierre przygotował też projekty ustrojów poszczególnych państw i kierujących nimi instytucji. Te byłyby ciałami elekcyjnymi i kolegialnymi.

Watykan zaangażowany

Tendencje integracyjne, które pojawiły się w Europie po II wojnie światowej, ponownie nawiązują do chrześcijańskich korzeni kontynentu. Papież Pius XII około roku 1944 mówił o konfederacji państw katolickich. Na Kongresie Europejskiej Unii Federalistów w Rzymie, w 1948 r. Pius XII

zwracał uwagę na konieczność uzyskania psychologicznego dystansu wobec wydarzeń II wojny oraz na szybkość realizacji idei zjednoczonego kontynentu: „Nie wolno jednak tracić ani chwili. A jeśli zależy nam, aby unia osiągnęła swój cel, w owocny sposób służyła sprawie wolności i europejskiej zgody (...), to najwyższy czas, aby stała się rzeczywistością. Niektórzy zadają sobie pytanie, czy nie jest za późno”¹. Pius XII postulował też ściślejszą współpracę międzynarodową i utworzenie silnych instytucji ponadnarodowych, zgodnie ze znaną w Kościele zasadą subsydialności. Krytykował niedoskonałość organów rządzących EWG: „Jak długo zasada podejmowania decyzji większością głosów w Radzie Ministrów będzie podlegać ograniczeniom z zewnątrz, a Zgromadzenie nie będzie w stanie realizować swej woli i sprawować kontroli parlamentarnej, tak długo nie będzie można uważać go za wystarczająco mocny fundament pod budowę autentycznej wspólnoty państw”². Ponadto dużą rolę w kształtowaniu się zjednoczonej Europy odegrała dyplomacja watykańska. Złośliwi mówili nawet o „Europie watykańskiej”, która miałaby być środkiem realizacji mocarstwowych dążeń papieży.

Po czym poznasz Europę?

Znakiem identyfikującym integrację europejską z chrześcijaństwem są prawa człowieka. Prawa oparte na przyrodzonej godności ludzkiej, niezbywalne, uniwersalne. Te prawa przysługują każdemu człowiekowi, bez względu na cokolwiek. Trudno tu nie zauważyć nawiązania do ewangelicznej miłości Chrystusa do człowieka i podkreślenia jego osoby. Azja nie zna praw człowieka, Afryka i Ameryka, mimo że stworzyły dokumenty i instytucje gwarantujące respektowanie praw, nie wyposażyły ich w odpowiednie instrumenty. Rada Europy i Trybunał Praw Człowieka, który rozstrzy-

¹ J. Wahl, *Czym jest Europejska Partia Obywatelska i do czego zmierza*, Wokół nas, Gliwice 1998.

² *Ibidem*.

ga w sprawie Europejskiej konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności, tworzą najefektywniejszy system ochrony praw człowieka na świecie. Nawet system ONZ-owski nie wyposażył Komitetu Praw Człowieka w środki wiążące państwa, które łamią prawa człowieka. Pytam profesora Jerzego Kłoczowskiego, historyka i dyrektora Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej, jak będzie wyglądała sprawa w przyszłości. – „Nie ludźmy się, że będzie raj na ziemi. My, chrześcijanie, wiemy, że człowiek jest grzeszny i będzie przełamywał normy. Współcześnie zjawisko będzie prawdopodobnie rosło – sprzyja temu sytuacja cywilizacyjna. W dzisiejszym świecie człowiek ma większą wolność działania. To cena, jaką płaci się za życie w demokratycznym społeczeństwie”. Jaka jest recepta na zmniejszenie tego zjawiska? – „Duży nacisk trzeba położyć na edukację – tłumaczy profesor Kłoczowski. – To rola nie tylko Kościołów, ale szkół, mediów, instytucji. Poprzez to edukacja staje się kluczową dla ludzkości sprawą, jako że wykształcone społeczeństwo jest w pełni wolne”. Profesor wskazuje na bliskość edukacji i kultury. – „Bez kultury nie ma ludzi, a kultura jest jak woda czy powietrze. Tu kryje się w pewien sposób problem istnienia ludzkości. To trzeba uświadamiać”. Gruntownie wykształcony człowiek będzie szanował normy i prawa innych. Chrześcijaństwo to czynnik motywujący do takiego postępowania, co nie znaczy, że stwierdzenie nie odnosi się do wyznawców innych religii.

Ekumeniczne spojrzenie na problem

Powojenne procesy integracyjne objęły w znacznej części kraje tradycyjnie katolickie. Dopiero w miarę poszerzania Wspólnot o państwa z tradycjami protestanckimi, Kościoły ewangelickie zaktywizowały się w kwestii propagowania idei integracji europejskiej. Ich zdaniem, nie osiągnie się już nigdy jedności państwa i Kościoła, charakterystycznej dla średniowiecza. Protestanci podkreślają różnorodność chrześcijańską

kontynentu, jego religijny pluralizm. „Europę charakteryzuje jedność w różnorodności. Wspólne tradycje i historyczne fundamenty ideowe i duchowe naszego kontynentu łączą jego narody bez względu na różnice regionalne i narodowe, polityczne i ekonomiczne. Europę pojmujemy jako wspólnotę kultury i wartości [...]”³ – czytamy w Podstawach programowych Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej Niemiec z 1994 roku. Europę widzą jako miejsce służby i świadectwa chrześcijan. Wolność sumienia i wyznania jest dla protestantów – tak jak i dla katolików – sprawą ważką ze względu na bogactwo, które odmiennosć przekonań wnosi do Kościoła i państwa. Wymieniają protestanci tożsamość narodową, poszanowanie praw człowieka i demokracji, jako fundamenty zjednoczonej Europy. Potrzebę zachowania proporcji między rozwojem jednolitego rynku europejskiego a prawami socjalnymi Europejczyków postulował już Konrad Adenauer, a rozwinął Jan Paweł II. Protestanci również są orędownikami takiego stanu rzeczy. Dla chrześcijan kluczową sprawą winna być troska o mieszkańców Trzeciego Świata. Europejczycy nie mogą zamykać się w geograficznych granicach bogatego kontynentu. Taka „forteca” europejska nie wyjdzie w perspektywie na dobre nikomu. Tu odpowiednia jest realizacja idei „odpowiedzialności za cały świat” Jana Pawła II, która prowadzić ma do niwelowania kontrastu między bogatą Północą a biednym Południem. Jeśli Europa zadba, by Afrykańczycy mieli co jeść, byli wykształceni i żyli godnie, nie będzie trzeba się głowić, jak nie dopuszczać do dramatów uchodźców, a jednocześnie nie zamykać całkowicie przed nimi granic.

Kościoły prawosławne są silnie uzależnione od swych państw. Poczucie słabości wytworzone w latach zimnej wojny rodzi u nich strach przed ekumenizmem. Protestanci prezentują dość podzielone stanow-

³ *Chrześcijańska demokracja w XXI wieku*, red. J. Theising, Fundacja Konrada Adenauera, Warszawa 1997.

ska w sprawie integracji. Patriarchat Eku-
meniczny Konstantynopola i Kościół grecki
posiadają własne biuro przy Wspólnotach.
Natomiast prawosławie ukraińskie jest po-
dzielone. Rosjanie i Bułgarzy – z wyłącze-
niem młodego pokolenia – myślą o idei
integracji krajów wyłącznie słowiańskich.
Czynią z tego sprawę polityczną. (Pomysł
nie jest zresztą nowy – w 1940 roku Wła-
dysław Sikorski i Edward Benes podpisali
układ o unii polsko-czechosłowackiej.
Choć traktat nie wszedł w życie, dał ideę
Beneluksowi.) Wielu prawosławnych sądzi,
że Europa odeszła od swych chrześcijań-
skich korzeni. Relatywizm moralny i znie-
sienie gwarancji państwa dla etyki chrześ-
cijańskiej wzbudzają krytykę Europy Za-
chodniej. Dla części prawosławnych w pro-
cesie integracji nie jest najważniejszy suk-
ces gospodarczy, lecz zachowanie duchow-
ości i wierności Bogu. Prawosławni chcą
nieść żywe treści chrześcijaństwa zagubio-
nym Europejczykom na Zachodzie.

Duże tu znaczenie ekumenizmu – po
latach wzajemnego zwalczania się Koś-
ciółów potrzebny jest dialog, który wniesie
wielkie duchowe bogactwo w dzieło wspól-
nej Europy.

To, co można zobaczyć i poczuć.

Namacalnym przejawem obecności chrześ-
cijaństwa w Unii Europejskiej jest jej flaga.
Kraś 12 gwiazd na ciemnoniebieskim tle
Salvatore Madariaga y Rojo i Arsen Heitz
zaczerpnęli z Apokalipsy św. Jana. To rów-
nież flaga Rady Europy. Oprócz znaczenia
religijnego symbolizuje pełnię, którą ma
być zjednoczony kontynent, a także apos-
tołów, godziny, miesiące, znaki zodiaku.

Na płaszczyźnie międzyludzkiej – też
niezwykle ważnej – integrują doskonale
współczesne ruchy religijne. Wspólnota

z Taizé co roku gromadzi tysiące młodych
na modlitwie, rozwija ewangeliczną miłość.
Communione e liberazione ewangelizuje kul-
turę, *Opus Dei* prowadzi około 10 uniwersy-
tetów na świecie. Co roku papież Jan Paweł
II spotyka się z młodymi. Integracja za-
szczepiona młodym na pewno będzie pro-
centowała wysoko, tym bardziej jeżeli ma
podłoże duchowe, jeżeli uczy obcować i po-
rozumiewać się z drugim człowiekiem.
Niemniej jednak sama duchowość i entuz-
jazm, choć dają podstawę kulturową i są
ponadkontynentalne, nie wystarczą do peł-
nej integracji. Te działania muszą być chro-
nione przed złem, np. terroryzmem, za
pomocą instytucji.

Trzy deklaracje

Na pamiątkę Zjazdu Gnieźnieńskiego
w marcu 2000 roku spotkali się w Gnieźnie,
z inicjatywy Kościoła Rzymskokatolickiego,
zwierzchnicy polskich Kościołów chrześci-
jańskich, prezydenci Litwy, Niemiec, Pol-
ski, Słowacji i Węgier. Przybyło również
mnóstwo młodzieży. Szefowie państw zgo-
dzili się, że Europa jest nie tylko wspólnotą
gospodarczą, ale i duchową. Zwierzchnicy
Kościołów chrześcijańskich w Polsce pod-
kreślili w przesłaniu, że „bliźsi jedności
stają w piastowskim Gnieźnie, miejscu Sy-
nodu i Zjazdu, aby powrócić do rzeczywis-
tości chrześcijaństwa niepodzielonego”.
Natomiast młodzi wyrazili „chęć wniesie-
nia nadziei w Trzecie Tysiąclecie, która
rozwinie się na dziedzictwie chrześcijań-
skim, które przez wieki tworzy naszą kul-
turę”. Spotkanie w Gnieźnie, choć miało
wymiar tylko ideowy i polityczny, uwypu-
kliło ważkość problemu, zainteresowanie
nim zarówno władz świeckich, jak i kościel-
nych, a także najmłodszego pokolenia,
które będzie budować tę wspólną Europę.

Panu profesorowi Jerzemu Kłoczowskiemu dziękuję za opinie, które zamieściłem w tekście, i za
cenne merytoryczne uwagi.

Małgorzata Kulik

Godzina cudów?!, czyli mały reportaż z niedzielnej Mszy Świętej

**”Wszystko jest
dobrze
do kazania.
Gdy za długie,
młódzież
wychodzi przed
kościół i zaczy-
na zwykłe
rozmowy.
Gdy niemło-
dzieżowe – tak
samo.”**

Może być tak – duże, nieco tajemnicze wnętrze, półmrok rozświetlają tysiące maleńkich świeczek; albo inaczej – wszechogarniająca jasność, ogromne okna, przez które wpadają pierwsze poranne promienie słońca. Ławki mogą być dębowe, starodawne, może w stylu stalli albo nowiutkie, pachnące lakierem w naturalnym kolorze. Całość mogą dopełniać witraże, wspaniałe malowidła, marmurowa posadzka, organy z XVI wieku....

Kościół – odwieczny i nieodłączny element zabudowy w miastach i większych wsiach. Zabytkowe, takie, do których pielgrzymujemy, by pomodlić się przed cudownym obrazem albo futurystyczne, doskonale komponujące się z nowoczesnymi domami mieszkalnymi.

Ich rolę nie jest przede wszystkim ładnie wyglądać i zachwycać oczy. Mają być miejscem modlitwy, skupienia. Miejscem, w którym realizujemy trzecie przykazanie.

*

Niedziela – gromadka ludzi podążająca w tym samym kierunku. Idą na mszę. Przeważają dzieci z rodzicami, babciami, starszym bratem czy siostrą. Większość ładnie ubrana. Kokarda, wypastowane buty, w ustach nie ma nieodłącznej gumy do żucia. Rzekłbyś zastęp aniołków zabłądził i trafił na ziemię. W kościele pchają się jak najbliżej ołtarza. Ich rodzice stają z tyłu, nastolatki chowają się za filarem, a nawet stają przed wejściowymi drzwiami. „Zawsze stoję za drzewami – cień i w czasie nudnego kazania pogadam z kumplem” – stwierdza nastolatek w koszulce z podobizną lidera Nirvany, K. Cobaina.

Swoją drogą ciekawe zjawisko – najpierw, jako dzieci, chcemy być najbliżej ołtarza, w miarę dorastania odchodzimy, chowamy się, potem znów pielgrzymka pod sam ołtarz. Czyżby miejsce w kościele było wyznacznikiem naszej wiary?

strachy i nudy w Kościele

Dzwonki, pieśni – maluchy zafascynowane, próbują śpiewać. Wraz z upływem czasu maleje ich koncentracja. Zaczynają się szepty: „Mam nowe Lego”, „Moja mama idzie ze mną do kina”. Uwagi wymieniają zwykle do kazania. Potem ksiądz, często ten, który uczy religii, opowiada ciekawe historyjki, czasem o coś zapyta (tak jest na mszach specjalnie dla najmłodszych).

Modlitwa wiernych – z dziecięcych ust padają przeróżne prośby – za mamusię, dziadka, siostrę, panią, która uczy w szkole, Papieża, a nawet za... Pana Boga. Potem dzieci znowu zaczynają się troszeczkę nudzić. I tak jest już do końca.

Nie umieją zbyt dobrze wytłumaczyć, dlaczego byli w kościele. Ania – zerówka, dwa mysie ogonki i zielona sukienka, o której uwielbia opowiadać, na moje pytanie odpowiada rzeczowo: „Mamusia mówi, że do Pana Boga trzeba się modlić”. Jej koleżanka dodaje: „Moja babcia za mną tu przychodzi”. Ich odpowiedzi usłyszał Kamil – dumny uczeń pierwszej klasy – „Zawsze spotkam kolegę i po mszy idziemy pograć w nogę”.

W tym stylu odpowiadają niemal wszystkie dzieci. Wylamuje się malutka Ania: „Tu jest Bozia” – szepce z przejęciem.

Okres nieświadomości trwa do II klasy szkoły podstawowej. W tym to bowiem czasie dzieci idą do pierwszej komunii. Jest to wydarzenie, o którym można by napisać całą, długą powieść. Tak się złożyło, że aktualnie rozpoczęły się pierwszokomunijne próby. Sobotnie przedpołudnia, a czasem też popołudnia w tygodniu, zamiast poświecić na jazdę na rowerze, oglądanie kreskówek czy zabawę lalkami trzeba przeznaczyć na żmudne ćwiczenia w ustawianiu się, śpiewaniu, składaniu rąk. Dużo czasu zajmuje też dopracowanie stroju. Tak tłumaczy to Ewelinka: „Sukienka – długa, z falbanką. Moja siostra miała na kole. Ja też chciałam, ale mamusia mówi, że niemodne. Buty, rękawiczki, wianek.” Chłopcy tylko z pozoru mają łatwiej. Mamy planują menu, krewni myślą o prezentach.

Po okresie gorączkowych przygotowań następuje wyczekiwana niedziela. Rzadko

to wydarzenie przeżywane jest w skupieniu, z pełną świadomością tego, co się aktualnie odbywa. Kościół wypełniają szepty na temat prezentów (rowery górskie, domki dla lalek, zegarki, komputery), przekrzywających się wianków, niewygodnych butów.

Niedziela i następujący po niej tzw. „biały tydzień” to raczej nie okres głębokich religijnych przeżyć, a okazja na dostanie upragnionych rzeczy i pokazanie się w sukience, której będą zazdrościć wszystkie koleżanki.

Taką opinię potwierdza też duża część osób, dla których pierwsza komunია to wydarzenie z odległej przeszłości. „Mało rozumiałam. Byłam zmęczona próbami. Spadał mi wianek, a na dodatek nie dostałam gier telewizyjnych” – Ania odgrzebuje wspomnienia z przed 6 lat.

„Szum, zamęt, ale obdarowano mnie rowerem”. – Jarek zatrzymuje się na chwilę, a potem znów wskakuje na siodełko i pędzi dalej.

Wróćmy jednak do zwykłej niedzieli. Msza dla dzieci kończy się. Chwila przerwy. Ministranci się przebierają, organista szuka nowych nut, ktoś poprawia kwiaty przed ołtarzem. Powoli kościół się zapelnia. Tym razem wchodzi starsi niż przedtem – młodzież. Wiek od... 3 miesięcy (taki maluszek przyjechał w wózku ze swoimi młodymi rodzicami) do... prawie 70- tki. Starsza pani lubi msze dla młodzieży, bo: „Są wesole. I miło popatrzeć, że tylu młodych się modli”.

Taka msza jest zupełnie inna. Młodzi stanowią ciekawą grupę do obserwacji. Przed ołtarzem i w jego pobliżu – osoby prawdziwie religijne. Dla nich kościół to prawdziwe miejsce spotkania z Bogiem. „Wiara to coś ważnego w moim życiu. Msza w niedzielę jest niezmiernie ważnym elementem” – tak odpowiada Jarek, uczeń liceum.

Dla Kasi, Agaty i Doroty niedziela jest bardzo ważnym dniem. „Odpoczywamy. Chodzimy do kina, klubu. Ale najpierw msza. Bez niej nie ma poczucia, że to naprawdę niedziela”.

„Bez mszy w niedzielę? Jak to, przecież wierzę!” – Krzysiek wydaje się głęboko

zbulwersowany sugestią, że może nie chodzić w niedzielę do kościoła.

Tak wygląda jedna z grup. Drudzy to – jak sami twierdzą – chodzący z różnych pozareligijnych powodów. Pierwsze miejsce zajmuje chodzenie, bo „każą rodzice”, potem, „bo wypada”, „bo wszyscy chodzą”, „bo taka tradycja”.

Dla Izy i Eweliny msza niedzielna to okazja do... poderwania chłopaków. „Czasem jest jakiś przystojny ministrant. Można poznać kogoś ciekawego”. Ich koleżanka lubi patrzeć w co ubiorą się ludzie. „Ot, taka niedzielna mini rewia mody” – dodaje. (Mieszka w małej, wiejskiej parafii, w której wypada ładnie i odświętnie ubrać się do kościoła.)

Dominik chodzi do kościoła, bo: „To nic nie szkodzi, a przynajmniej matka się nie czepia”. Jego sąsiad, z którym spotykają się pod kościołem (do środka wchodzi tylko w duże mrozy), dodaje: „Po co mi zatargi z rodziną? Postoję godzinę i mam spokój”.

Zaczyna się msza. Może być naprawę młodzieżowa. Wesołe śpiewy, spontaniczność, radość malująca się na twarzach. Jakub – gitarzysta młodzieżowej kapeli przyznaje: „Ja to zbytnio nie wierzę, ale niedzielne msze lubię za to, że ludzie młodzi nie patrzą na siebie wilkiem. Znika gdzieś wrogość. Chociaż raz w tygodniu ludzie są dla ciebie przyjaźni”.

Wszystko jest dobrze do kazania. Gdy za długie, młodzież wychodzi przed kościół i zaczyna zwykle rozmowy. Gdy niemłodzieżowe – tak samo.

Karol opowiada: „Byłem na wakacyjnym obozie. Poszedłem do kościoła. Niby młodzieżowa msza, a ksiądz zaczyna truć. Że to źle, że tamto niedobrze. Gada o pornografii i tym, że trzeba jej zakazać. Wyszedłem. Kumple też”.

Po kazaniu wszystko toczy się jak na każdej mszy. Przed ogłoszeniami ruch. „Po co słuchać, kto z kim się żeni, kto kupuje kwiaty i dlaczego zmieniają organistę?” – pyta siedemnastoletnia Anka w bojówkach, z wojskową kostką i kolczykiem w nosie.

Nieliczni zostaną po tym, jak ksiądz pójdzie do zakrystii. Adam stwierdził: „Dzisiejsza msza, jak w każdą niedzielę, dała mi dużo. Żywy kontakt z Bogiem. Poczucie siły. I radość, że tylu młodych się modli.” Po mszy spotyka się ze znajomymi.

Wcale nie idą na piwo jak niektórzy. Rozmawiają o Bogu, planach na przyszłość (Adam myśli o seminarium), wspominają Światowe Dni Młodzieży, planują jak spędzą czas w Rzymie. „Niedzielna msza ubogaca mnie i moich znajomych” – dodał Adam na zakończenie naszej rozmowy.

Młodzi ludzie różnie przeżywają niedzielą mszę. Dobrze podsumowała to Agata (przeszła długą drogę od ateizmu do katolicyzmu): „Nawet tylko stojąc w kościele i gadając na kazaniu, jesteś z Bogiem. On widzi twoją chęć bycia ze sobą. Nawet, gdy ci każą iść, możesz np. schować się w parku, ale ty jednak wybierasz postanie godzinę w Domu Ojca. Bóg to widzi i może kiedyś wyciągnie do Ciebie rękę”.

Dla dorosłych (cokolwiek to znaczy) przeznaczona jest większość mszy. Z nimi rozmawia się najtrudniej. Kobiety zwykle się śpieszą, bo trzeba podać obiad albo syn płacze, że mu za zimno, za ciepło, chce obejrzeć kreskówkę etc. Mężczyźni (zdecydowana mniejszość wiernych) biegną za żoną, córką czy teściową. Gdy gasną światła zostają tylko Nieliczni. Przesuwają palce po paciorkach różańca, szepcą prośby, patrzą na krzyż.

„Co niedziela zostaje dłużej po mszy. Mój syn jest w wojsku. Modlę się, żeby nie było mu źle” – mówi młoda kobieta pośpiesznie wychodząca z kościoła 35 minut po zakończeniu mszy.

Starsza siwa kobieta chętnie odpowiada na pytania. „Msza to nieodłączny składnik mojej wiary. Modlę się za zięcia, córkę, wnuki. Rozmawiam z Bogiem i Najświętszą Panienką. To dla mnie ostoja w trudnym życiu”.

Dwoje dość młodych ludzi, „na oko” z 25 lat, wyraźnie czuje się zagubionymi w kościele. Mylą im się słowa, nie wiedzą kiedy klęknąć, na kazaniu wyraźnie się

nudzą. „Przyszliśmy, gdyż idziemy zaraz do spowiedzi. Anka chciała wziąć ślub w kościele. Ze względu na organy i białą suknię rzecz jasna” – mówi Krzysztof. Jego narzeczona dodaje: „Prawie nigdy nie chodziłam do kościoła. Trzeba trenować, by na ślubie nie dać plamy”.

Moją uwagę przyciąga jeszcze starsze małżeństwo. Smutni, skromni siedzą w ostatniej ławce. „Modlę się, bo córka jest w sekcie. Może do nas wróci.” – szepce starszy mężczyzna, ukradkiem ocierając łzę.

Przychodzą do kościoła. Spędzają w nim godzinę lub nieco więcej, gdy ksiądz się rozgada i powie 30-minutowe kazanie. Przeważnie przynoszą bagaż prośb – za syna, córkę, egzamin, o deszcz, za zmarłych – może wychodzą choć trochę podniesieni na duchu.

„Bóg pomaga. Dlatego tu jestem” – mówi młody lekarz, śpiesznie wychodząc

z kościoła, bo mu zadzwonił telefon komórkowy. „Dobrze, że akurat była pieśń” – dodaje ktoś ze śmiechem.

Msza się kończy. Dorośli wychodzą na słoneczną ulicę. Matka wiąże synkowi buty, upomina starszą córkę. („Nie wierzę w Boga, ale chodzę do kościoła ze względu na dzieci. Chcę im zapewnić elementarne religijne wychowanie” – widząc zdziwioną minę jakiejś staruszki, dodaje: „Żeby potem mogły wybrać, to, co im odpowiada.”)

Niedzielna Msza. Tradycja, przyzwyczajenie, wyraz naszej żywej wiary. Nierzadko jedyna okazja do kontaktu z Bogiem. Godzina w Kościele. Czas cudów – jak powiedział jeden z moich znajomych. „Bóg działa zawsze i wszędzie, ale w kościele jest zdecydowanie bliżej nas” – stwierdził młody chłopak, wychodząc z kościoła. I może po to, by poczuć bliskość Tajemnicy młodzi, dorośli i starsi chodzą do kościoła.



rys. R. Ruzik

Małgorzata Bondarenko

Wychowanie religijne w domu dziecka

**„Ja nie mogę
na tych
modlitwach
wytrzymać.”**

Daniela Elżanowska – pedagog-praktyk. Studiowała pedagogikę specjalną w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej w Warszawie oraz profi'aktykę i resocja'izację na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Przez szereg lat pracowała z dziećmi upośledzonymi umysłowo. Od 1985 roku związana z Domem Dziecka przy ulicy Pogodnej 31, gdzie od 1990 roku pełni funkcję dyrektora. Wraz ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Dzieci im. dr. J. Dańkows'iego i zespo'em Pracowni'ów, od 1995 roku usiłuje przekształcić duży, bo na 120 wychowanków, Dom Dziecka w wielofunkcyjną placówkę opiekuńczą o ciepłym, rodzinnym klimacie. Mówi o sobie, że jest bardziej matką niż dyrektorem siedzącym za biurkiem.

Na wizytę z panią dyrektor umawiam się telefonicznie. Z powodu napiętego planu zajęć możemy spotkać się dopiero w następnym tygodniu. W poniedziałek rano z lekką tremą przekraczam bramę, nad którą widnieje napis: Dom Dziecka nr 1, ul. Pogodna 31. Jeszcze kilkanaście metrów wąskiej alejki wśród drzew, krzewów, kwiatów, i jestem na miejscu. Przez chwilę zmagam się z klamką – przekraczam te progi po raz pierwszy. Jestem przed umówioną godziną; z ciekawością rozglądam się po korytarzu, trochę zdziwiona ciszą, którą nagle przerywa głośny tupot gromady dzieciaków zbiegających ze schodów. Zakładają buty, jedno z nich trzyma w ręku piłkę. Przyglądamy się sobie; dzieci wybiegają z budynku. W tym momencie ze swojego gabinetu wychodzi pani dyrektor, z uśmiechem zaprasza do środka.

Na podstawie wcześniejszych ustaleń moja rozmówczyni знаła już temat naszej rozmowy: wychowanie religijne w domu dziecka. Na moje pytanie, jak wychowawcy starają się kształtować postawę duchową swoich podopiecznych, nie uzyskałam jednoznacznej odpowiedzi. Wychowawcy są różni: jedni z własnej inwencji wpajają podstawy wiary, inni na prośbę pani dyrektor

strachy i nudy w Kościele

o rozmowę z dzieckiem czy naukę modlitwy odpowiadają z pełnym zrozumieniem, ale są wśród nich również ludzie obojętni na sprawy wiary, którzy – jak mówi Daniela Elżanowska – „wołą się nie wygłupiać”.

Monika – 19 lat, z maturą na więcej niż pięć i pięknymi planami na przyszłość. Bardzo związana ze swoim rodzeństwem. Kiedy w 1993 roku cała ósemka trafiła do domu dziecka, jako najstarsza z rodzeństwa czuła się odpowiedzialna i matkowała szczególnie dwóm najmłodszym braciom. Dzisiaj chłopcy są w rodzinach zastępczych, wciąż jednak utrzymują kontakt z rodzeństwem (dzięki temu nadal czują się rodziną). Obecnie Monika mieszka wspólnie ze swymi siostrami i braćmi oraz dwoma innymi rodzeństwami w nowym rodzinnym skrzydle. Osobne wejście, pokoje jasne i przestronne, duża kuchnia, w weekendy wspólnie przyrządzane posiłki (w ciągu tygodnia dzieci przynoszą obiady ze stołówek). Śniadania i kolacje przygotowują sami. Sami też piorą, sprzątają. Kiedy spotkałyśmy się, by porozmawiać, zostałam ugośczone herbata, którą piłyśmy w ładnie urządzonym salonie.

Na moje pytanie o wspólną modlitwę, Monika odpowiada z lekkim uśmiechem: „Wychowawcy się z nami nie modlą, może z małymi dziećmi... I raczej ograniczają się do tego, żeby maluchy, które są u nas od niedawna, umiały się przeżegnać. Nikt też nie sprawdza czy ktoś się modli, czy nie”.

Przestrzegana jest natomiast obecność na spotkaniach modlitewnych aranżowanych przez panie z Legionu Maryi z kościoła pod wezwaniem Św. Krzyża, z którymi, jak mówi pani dyrektor, Dom Dziecka bardzo ściśle współpracuje: „Panie przychodzą dwa-trzy razy w tygodniu, uczą modlitwy, opowiadają o Bogu, szczególnie zajmują się dziećmi przystępującymi do Pierwszej Komunii Świętej”.

Ks. kan. Ryszard Tujak – duszpasterz osób niesłyszących i niewidomych, nieoficjalnie pełni funkcję opiekuna duchowego Domu Dziecka przy ul. Pogodnej. Od 1991 roku przez trzy lata w każdą środę, przez

godzinę lub dwie pełnił dyżur duszpasterski, kto chciał, mógł skorzystać ze spowiedzi, porozmawiać. Obecnie wizytę pań z Legionu Maryi traktuje jako przedłużenie swoich spotkań z dziećmi.

„Nie mogę powiedzieć – mówi pani Renata, która pracuje tu jako wychowawczyni od dwóch lat – że wszystkie dzieci z wielkim zapałem uczestniczą w modlitwach”.

Artur, czternastoletni gimnazjalista i zapalony piłkarz, mówi: „Jak się nie pójdzie na modlitwę, to masz dyżur, karę, nie oglądasz telewizji, np. meczu”. I po chwili, z nutą zniecierpliwienia w głosie, dodaje: „Ja nie mogę na tych modlitwach wytrzymać”.

„Nie można oczekiwać cudów – stwierdza pani Renata. – Ważne jest, by dzieci uczyć modlitwy; to jest na pewno trudne, dzieciaki są rozbiegane, ale to ma sens”.

Monika, tegoroczna maturzystka osobście woli inną formę modlitwy. Chętnie wspomina ostatnie „szkolne” rekolekcje: „Było dużo młodych ludzi, wspólne śpiewy, nawet płasy”.

Szkoda, że ze względu na rozpoczętą w 1996 roku przebudowę Domu Dziecka został zlikwidowany „pokój zadumy”, miejsce modlitwy, wyciszenia; ale – jak mówi pani dyrektor – „większość dzieci ma w swoich pokojach małe ołtarzyki, tj. krzyże i święte obrazy. Dziecko, które prześępuje nasze progi, jest najczęściej nieochrzczone, niewiedzące, co to bierzmowanie”. Dom dziecka stara się wypełnić tę lukę i wobec dzieci, co do których nie ma jasno określonych preferencji wyznaniowych – przez dalszą rodzinę bądź opiekunów – stosuje ogólne zasady religijnego wychowania. „Od samego początku jesteśmy wychowywani w duchu chrześcijańskim” – wyznaje Monika.

Czy dzieci i młodzież (zwracam się do pani Renaty) może samodzielnie decydować o własnym uczestnictwie we Mszy św.?

„Starsze dzieci decydują same. (Po chwili dodaje:) Nie wiem, na ile jest to świadomy wybór. Jeśli dziecko mówi:

«niech mnie pani nie nakłania», to nie mogę nic zrobić».

Monika i Artur zgodnie stwierdzają: „Często wierzący wychowawcy narzucali nam chodzenie do kościoła na zasadzie, że nie będziemy czegoś mieli, że spotka nas kara (bynajmniej nie w życiu wiecznym)”. Artur przypomina sobie, że tą karą mogło być zmywanie garnków.

Pani Renata bardzo często pracuje w niedzielę. Z jej grupy: „tylko dwie, trzy najstarsze osoby mówią, że nie mają w tym momencie potrzeby pójścia do kościoła”. Co tydzień stara się przekonać dzieci, jak ważna jest Msza św.: „Nie tak, że biegnę, bo już wiem, że nie poszło dziecko w ubiegłą niedzielę do kościoła, to i dziś nie pójdzie. Bardzo ważne jest wytłumaczenie dziecku, dlaczego się chodzi, dlaczego powinno się chodzić”. W tym momencie przysłuchujący się naszej rozmowie mały podopieczny pani Renaty, naśladowując ton głosu swojej wychowawczynie, z powagą podpowiada: „Na którą godzinę się chodzi”. Obie wybuchamy śmiechem. Trzymający do tej pory nogi na kolanach pani Renaty sześciolatek natychmiast dodaje: „Najlepiej na siódmą trzydzieści”. „Małe dzieci chodzą chętnie, jest specjalnie dla nich Msza z kazaniem; można powiedzieć, że maksymalnie korzystają” – podsumowuje wychowawczynie.

Ksiądz Ryszard pamięta jeszcze Msze św. odprawiane na korytarzu Domu Dziecka; jak mówi, była to szansa dla najmłodszych, które nie zawsze zabierano do kościoła.

Monika przyznaje, że zainteresowanie sprawami wiary kończy się najczęściej na szkole podstawowej. Młodzież rzadziej uczestniczy w życiu Kościoła. Przypomina sobie, jak kilka lat temu wraz z bratem Arturem znaleźli się w grupie, gdzie, według ich określenia, były trzy panie głęboko wierzące: „Wtedy nie odważyłam się protestować, że nie chcę iść do kościoła, bo jeśli nie poszłam na dziesiątą, to musiałam pójść na dwunastą, a jeśli o dwunastej miałam inne zajęcie, to w zeszycie kon-

taktów stało napisane, że mam pójść na szesnastą lub osiemnastą. Dzisiaj moją wiarę pojmuję inaczej, nie ograniczam się do chodzenia lub niechodzenia do kościoła, ja akurat chodzę, tylko powstaje pytanie: Co człowiek chce przez to osiągnąć? Czy to, że poszłam, to już mam zaliczone?”

Wychowanie nie może ograniczać się do samych nakazów, zakazów czy pouczeń, nawet najbardziej słusznych, nie może zabraknąć autentycznego przykładu życia, respektowania w nim najwyższych wartości. Monika ma na ten temat wiele przemyśleń, tylko, jak stwierdza: „My u wielu z wychowawców tego przykładu, tych wartości nie znajdujemy. U niektórych chodzenie do kościoła, wiara i życie to są trzy różne rzeczy. Oczywiście są i tacy wychowawcy, których to nie interesuje; pójdziesz czy nie – to jest twoja sprawa. Możesz oglądać telewizję”.

Niektórzy młodzi ludzie z pewnością chcieliby uczestniczyć w grupach oazowych. „Tylko czy tym odwiedzającym nasz dom klerykom i młodzieży starczy wyrozumiałości dla «słomianego» nieraz zapachu dzieci i młodzieży...” – zauważa pani dyrektor. „Trudności pojawiają się, gdyby ktoś chciał uczestniczyć w spotkaniach grup oazowych organizowanych przy parafiach. W pewne dni jest to możliwe, w inne wiązałoby się z zaniedbywaniem obowiązków wynikających z harmonogramu życia Domu: „odrabianki” od szesnastej do dziewiętnastej, w soboty od rana do trzynastej prace porządkowe, itd.” – relacjonuje Monika. Tak więc pokonywanie podobnych przeszkód wymaga wiele wytrwałości od młodzieży. Dużym powodzeniem cieszą się „Dni Radości”, organizowane przez młodzież z parafii Matki Bożej Wspomożenia Wiernych. Zdarzają się też możliwości wspólnych wyjazdów, jak ten do Warszawy na spotkanie ze wspólnotą z Taizé czy do Częstochowy.

*

„Staram się dawać siebie maksymalnie – mówi pani Renata – pokazywać dzieciom

te najlepsze i najwłaściwsze, moim zdaniem, strony życia. Sądzę, że na swój sposób robi to każdy wychowawca.”

Kiedy pytam „naszego rodzeństwa”, do kogo zwracają się, gdy mają jakiś problem, Artur natychmiast odpowiada: „Do siebie!” Monika chwilę zastanawia się: „Do osób, z którymi łączy mnie najgłębsza więź – do rodzeństwa, koleżanek ze szkoły, pani katechetki”. „A wychowawcy?” – pytam Monikę. „Kiedy postanawiam o moim problemie porozmawiać z wychowawcą i proszę go, aby zachował to dla siebie, najczęściej po niedługim czasie wszyscy znają moją tajemnicę”. Monika jednak, nie dziwi się, nie oburza, rozumie słabości swoich opiekunów, natychmiast tłumaczy: „Nie da się tego uniknąć w środowisku, gdzie wychowawcy się przyjaźnią”.

Pani Renata komentuje wzajemne relacje pedagog–wychowanek: „Wychowawcy rozmawiają, ale do dzieci jest trudno trafić, nawiązać głębszy emocjonalny kontakt. Są zbuntowane, bardzo rzadko się otwierają, młodszemu przychodzi to znacznie łatwiej”.

Monika zwierza się, że bardzo często ma ochotę pozostać osobą nieznaną: „W domu dziecka nie ma rzeczy, sytuacji, o której by się nie wiedziało, oceny w szkole, czy ktoś jest zagrożony, jak ktoś zdał maturę – cały dom tym żyje. Komuś coś się stało, ktoś rozmawiał na rogu ulicy z chłopakiem/dziewczyną. Wszyscy o tym wiedzą, często wychodzą zabawne sytuacje, człowiek nie może uwierzyć, że wciąż go ktoś obserwuje.”

„Bardzo zależy mi na wychowaniu dzieci w duchu religijnym – mówi Daniela Elżanowska. – Jest ono szczególnie potrzebne w takim miejscu, jak dom odrzuconych, osamotnionych dzieci. Wiara w Boga m.in. łagodzi skutki sieroctwa, zmniejsza poczucie osamotnienia, podnosi samoocenę (Jestem dzieckiem Boga!), pomaga w rozwiązywaniu wielu dylematów, z którymi trzeba się zmierzyć się w życiu (*wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia...*)”.

*

Jestem ciekawa, jak w domu dziecka obchodzone są święta? „Na pewno jest lepsze jedzenie, wprawdzie wcześniej dużo pracujemy, ale się opłaca” – stwierdza bez sentymentów Monika.

„Święta obchodzimy bardzo uroczysto – relacjonuje Pani Dyrektor – chociaż nie zawsze tak było. Bardzo dobrze pamiętam, że jeszcze kilkanaście lat temu wigilia organizowana była z lękiem i po cichu”.

Ks. Ryszard wspomina inne spotkanie przy opłatku. „Podstawą powstania Stowarzyszenia Przyjaciół Dzieci była uroczystość wigilii w 1991 roku, podczas której, składając życzenia dzieciom, chcąc przedłużyć nastrój pomocy, kiedy wszystkiego brakowało, a przez radio nadawano dramatyczne apele o chleb, cukier, ci, którzy nie pozostali obojętni na to wołanie, podjęli się stworzenia organizacji wspierającej starania, aby wigilia nie kończyła się 24 grudnia”.

Mimo uroczystego nastroju, życzeń, uśmiechów, suto zastawionego stołu, wychowankowie są najszczęśliwsi, gdy mogą spędzać święta w „normalnych” rodzinach. Monika dopiero od dwóch lat ma okazję przeżywania świąt u zaprzyjaźnionej rodziny, u której bywa oczekiwanym gościem także w dni powszednie. Mówi o nich, że są dla niej przykładem wartości prawdziwych.

Zaprzyjaźniona rodzina Artura mieszka w Niemczech; chłopak rozbawionym głosem oznajmia, że „dobrze mu tam”. „Nie zmuszają mnie, abym chodził do kościoła. Chcę, to idę, nie – to nie, przecież dorośli też nie zawsze chodzą”.

*

Kiedy pytam panią Renatę, czy tak wyobrażała sobie pracę z dziećmi, nie od razu odpowiada, jakby szukając w pamięci nie tak przecież odległych planów, ambicji. Kręci tylko przecząco głową: „Nie, zupełnie inaczej myślałam o swojej roli w domu dziecka. Wprawdzie w trakcie studiów miałam kontakt z dziećmi z rodzin patologicznych, ale one mieszkaly w swoich domach. Przychodząc tutaj, uważałam, że po-

nieważ są to dzieci tak bardzo pokrzywdzone przez los, trzeba im dużo dawać; byłam nastawiona wyłącznie na dawanie, a to do niczego nie prowadzi. Teraz widzę, że trzeba dużo od nich wymagać. To jest podstawowy warunek, żeby czegokolwiek te dzieci nauczyć. Tak, jak w każdym domu, tak i tutaj muszą być przestrzegane pewne prawa, muszą panować określone zasady, są nagrody i kary. Na pewno dla osób, które tak jak ja, zaraz po studiach rozpoczynają pracę w podobnej placówce, jest to trudna lekcja życia”.

Dla pani dyrektor przyszli wychowawcy muszą przede wszystkim wiedzieć, dlaczego chcą tu pracować. Bardzo zależy jej na dobrych i mądrych ludziach, i – jak mówi – większość pracowników jej domu dziecka jest na swoim miejscu, a ci, którzy „pozo-

rują”, najczęściej sami dochodzą do wniosku, że nie ma tu dla nich miejsca.

Dzieci również mają swoje przemyślenia odnośnie przyjmowanych do pracy opiekunów. Obydwoje (Monika i Artur) są zgodni, że najlepiej (z małymi wyjątkami), „kiedy przychodzą zaraz po studiach, nie mają nawyków, przyzwyczajęń. Chce im się zmieniać bezduszne schematy”. Pytam Monikę, czy myśląc o wyborze studiów nie zastanawiała się czasem nad możliwością pracy w domu dziecka. Natychmiast zaprzecza. Kiedy przyznaję się, że wiele razy myślałam, czy zawód pedagoga, wychowawcy nie byłby moim życiowym spełnieniem, słyszę: „To nie dla pani, jeszcze trafiłby się pani w grupie ćpun i narkoman, i co by pani zrobiła?”



rys. D. Grzeszkiewicz

Mariusz Orłowski

Światopoglądy: teistyczny i naturalistyczny. Dwie wizje świata i człowieka?

Myśl teistyczna dominowała w świecie Zachodu aż do XVIII wieku. Ponieważ światopogląd teistyczny przenikał cały ówczesny zachodni świat, wszyscy ludzie skazani byli na życie w jego kontekście. Współczesna Europa wydaje się pozostawać aktualnie pod wpływem różnych odmian światopoglądu naturalistycznego.

Wstęp

Jedną z charakterystycznych cech współczesnej cywilizacji europejskiej jest pluralizm światopoglądowy. Podczas gdy jeszcze dwieście lat temu przeciętny Europejczyk wyznawał światopogląd teistyczny, dzisiejsze społeczeństwa europejskie są pod względem światopoglądowym w znacznym stopniu wewnętrznie zróżnicowane. W wielkich aglomeracjach miejskich możemy zaobserwować swobodny i niczym nie skrzepowany przepływ wyznawanych przez ludzi idei filozoficzno-religijnych. Chociaż zjawisko to dotyczy głównie dużych skupisk ludności, jednak wydaje się również przenikać powoli do całości poszczególnych społeczeństw, czyniąc je coraz bardziej pluralistycznymi światopoglądowo. Duża w tym zasługa mass mediów, a w ostatnich latach internetu.

Treść pojęcia „światopogląd”

Jak podaje Zofia Zdybicka, „od strony teoretycznej nie jest łatwo odpowiedzieć na pytanie, czym jest światopogląd, podać jego ścisłą definicję”¹. Posłużę się w tym miejscu określeniem słownikowym:

Światopogląd to „zespół ogólnych przekonań dotyczących natury świata, człowieka w świecie, sensu jego życia oraz wynikających z tych przekonań ideałów, wyznaczających postawy życiowe ludzi i wytyczających linię ich postępowania”². Innymi słowy, światopogląd to rodzaj deklarowanej przez człowieka „filozofii” na temat m.in. istoty rzeczywistości, pochodzenia gatunku ludzkiego i jego miejsca we wszechświecie, „filozofii”, która wpływa na określoną postawę życiową i system uznawanych wartości. Światopogląd stanowi więc podstawę tego, w co wierzymy oraz uznajemy za właściwe, dobre i godne

¹ Z. J. Zdybicka, *Religia i religioznawstwo*, Lublin 1992, s. 248.

² *Słownik języka polskiego*, t. III, Warszawa 1981, s. 462.

pożądania lub też niewłaściwe, złe i godne potępienia. Jest to zbiór wyznawanych przez człowieka założeń na temat otaczającego go świata.

Nasz światopogląd możemy określić, w pewnym stopniu, przez dokończenie na przykład zdań typu: „Jestem...” i „Ludzie są...”. Ktoś może powiedzieć np.: „Jestem osobą wierzącą”. Jeżeli takie zdanie wypowiada człowiek wywodzący się z kręgu kultury europejskiej, wówczas ta krótka wypowiedź mówi nam już bardzo dużo na temat wyznawanych przez niego wartości, określając jednocześnie jego światopogląd jako teistyczny. Ktoś inny może stwierdzić: „Ludzie są dobrzy” lub „Ludzie są źli”. Te dwa proste stwierdzenia również mówią nam coś na temat osób, które je wypowiadają, tego, jak dana osoba postrzega otaczającą ją rzeczywistość społeczną. Sposób myślenia o otaczającej nas rzeczywistości określa z kolei naszą postawę względem niej. Tak więc, jeśli ktoś, na przykład, wierzy, że wszyscy ludzie na świecie są dobrzy, to taki pogląd ustala zwykle jego pozytywną postawę w stosunku do ludzi. Możliwa jest również sytuacja przeciwna. Gdy ktoś uważa, że wszyscy ludzie na świecie są źli, to możemy śmiało zaryzykować twierdzenie, że postawa takiego człowieka w stosunku do innych ludzi będzie negatywna.

Należy zaznaczyć, że rzadko spotykamy ludzi, którzy wyznawaliby jakiś światopogląd w jego czystej postaci, tzn. jako uporządkowany i wewnętrznie spójny zespół poglądów na temat świata i człowieka. Zwykle mamy raczej do czynienia ze swoistym konglomeratem wyznawanych przez ludzi przekonań, zaczerpniętych, mniej lub bardziej świadomie, z różnych światopoglądów

Często spotykane jest natomiast zjawisko zmiany światopoglądu. Wewnętrzna potrzeba poszukiwania nowości oraz brak jednoznacznych odpowiedzi na problemy egzystencjalne sprawia, że człowiek, naby-

wając wciąż nowych informacji, modyfikuje swoje postrzeganie rzeczywistości, a w wyniku tego może zmieniać również swój światopogląd. Każdy w pełni ukształtowany światopogląd podejmuje próbę odpowiedzi przynajmniej na następujące pytania:

1. Co stanowi pierwotną rzeczywistość? Czy za materialną rzeczywistością, poznawalną zmysłami, kryje się istota wyższa (Bóg), która jest bytem pierwotnym, czy też pierwotną rzeczywistością jest przyroda?

2. Jaki jest charakter wszechświata? Czy stanowi on system otwarty, w którym możliwa jest Boża ingerencja, czy zamknięty – odporny na jakąkolwiek zewnętrzną ingerencję?

3. (Czym) Kim jest człowiek? Na czym polega jego istota?

4. Co dzieje się z człowiekiem po śmierci? Czy z chwilą śmierci egzystencja ludzka nieodwołalnie kończy się, czy też istnienie człowieka ma po śmierci swoją kontynuację?

5. Co stanowi podstawę moralności? Czy opiera się ona na Bożym Prawie, czy też jest raczej wytworem ludzkiej kultury?

6. Jaki jest znaczenie historii ludzkości? Czy historia ludzkości ma sama w sobie jakiś sens, czy też jest tego sensu pozbawiona?

Wśród światopoglądów, które udzielają najpełniejszej odpowiedzi na wyżej postawione pytania w pierwszej kolejności wymienić należy dwa: teizm i naturalizm. Na gruncie filozoficznej nauki o człowieku koncepcja teistyczna i naturalistyczna, jako opozycyjna, zajmują miejsce szczególne. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że wszystkie powstające później koncepcje filozoficzne człowieka są jedynie rozwinięciem myśli teistycznej lub naturalistycznej.

Poniżej przedstawię pewną postać teizmu, jaką jest teizm chrześcijański, a następnie zaprezentuję jedną z popularnych odmian światopoglądu naturalistycznego.

Teizm chrześcijański

Podstawowe tezy:

1. ISTNIEJE BÓG (NIESKOŃCZONY I OSOBOWY).
2. BÓG JEST BYTEM PIERWOTNYM, KTÓRY STWORZYŁ WSZECHŚWIAT JAKO SYSTEM OTWARTY.
3. CZŁOWIEK STWORZONY JEST NA OBRAZ I BOŻE PODOBIENSTWO.
4. ISTNIEJE ŻYCIE PO ŚMIERCI.
5. PODSTAWĄ MORALNOŚCI JEST PRAWO BOŻE.
6. HISTORIA MA CHARAKTER CHRYSTOCENTRYCZNY.

Teizm chrześcijański głosi, że Bóg jest niewidzialnym bytem osobowym, którego natura objawiona została w Biblii. Bóg posiada charakter nieskończony, wykracza poza wszelkie ramy i ograniczenia. Jest on stwórcą wszechświata, nieustannie zaangażowanym w swoje stworzenie. Wszechświat postrzegany jest więc jako system otwarty, gdzie możliwa jest Boża ingerencja.

Chrześcijańscy teiści wyróżniają dwa rodzaje Bożego objawienia: specjalne i ogólne. Objawieniem specjalnym jest Boże przesłanie zapisane w Piśmie Świętym (Biblii), ogólnym natomiast to, czego możemy dowiedzieć się o Bogu obserwując jego stworzenie (świat).

Centralną pozycję w Bożym planie stworzenia i uprzywilejowane miejsce w świecie doczesnym zajmuje człowiek. Tylko on jest „zwierzęciem rozumnym” (*animal rationale*) i „obrazem Boga”. Stanowi szczególne złożenie elementów doczesnych (ciało) i wiecznych (dusza i duch). W związku z powyższym śmierć jest dla niego bramą do życia z Bogiem (niebo, które stanowi dopełnienie tego, do czego człowiek został stworzony) lub bramą do całkowitego i ostatecznego oddzielenia od Boga (piekło).

Chrześcijański teizm stwierdza, że istnieją pewne absolutne standardy (dekalog), według których należy oceniać wszelkie postępowanie człowieka.

Teiści chrześcijańscy głoszą również, że historia ma charakter linearny i posiada siłę eschatologiczną. Oznacza to, że ma ona jakiś wyraźnie zaznaczony początek i koniec, oraz że zmierza do wypełnienia Bożego celu. Bez względu więc na to, jakie jest nasze osobiste zaangażowanie się w bieg historii oraz bez względu na to, jak staralibyśmy się przeciwdziałać Bożemu celowi, on i tak zostanie zrealizowany. Najważniejszym wydarzeniem w dziejach ludzkości było narodzenie się, śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, który najpełniej objawił tajemnicę Boga, oraz który powróci w chwale przy końcu czasów. Przez swój chrystocentryzm, dzieje ludzkości same w sobie stanowią formę Bożego objawienia. Stary Testament mówi: „Ktoś nadchodzi”. Ewangelie ogłaszają: „Ktoś nadszedł”. Listy i Apokalipsa zapowiadają: „Ktoś powraca”.

Myśl teistyczna dominowała w świecie Zachodu aż do XVIII wieku. Ponieważ światopogląd teistyczny przenikał cały ówczesny zachodni świat, wszyscy ludzie skazani byli na życie w jego kontekście. W pewnym ograniczonym zakresie zjawisko to ma miejsce również dzisiaj. Świat Zachodu wydaje się być ciągle w jakimś stopniu przesiąknięty wartościami chrześcijańskimi, chociaż myśl teistyczna w czystej postaci nie odgrywa już w nim tak znaczącej roli jak w przeszłości. Współczesna Europa wydaje się pozostawać aktualnie pod wpływem różnych odmian światopoglądu naturalistycznego.

Naturalizm

Oto podstawowe tezy popularnej odmiany światopoglądu naturalistycznego:

1. BÓG NIE ISTNIEJE.
2. WSZECHŚWIAT JEST SYSTEMEM ZAMKNIĘTYM.
3. CZŁOWIEK JEST SKOMPLIKOWANĄ MASZYNĄ.
4. ŚMIERĆ JEST KOŃCEM LUDZKIEJ EGZYSTENCJI.
5. MORALNOŚĆ JEST WYTWOREM LUDZKIEJ KULTURY.

6. HISTORIA POZBAWIONA JEST NADRZĘDNEGO CELU.

Swego rodzaju paradoksem jest fakt, że na ukształtowanie się światopoglądu naturalistycznego zasadniczy wpływ miała – według niektórych historyków – myśl filozoficzna dwóch teistów: Kartezjusza i Johna Locke’a. Pierwszy z nich podzielił rzeczywistość na dwa rodzaje bytu: byt materialny i byt duchowy; drugi natomiast stwierdził, że człowiek powinien zweryfikować objawienie biblijne przy pomocy rozumu. Myśl naturalistyczna wydaje się stanowić logiczne rozwinięcie filozofii Kartezjusza i Locke’a: Jedynym kryterium wiary staje się rozum, ten zaś z kolei mówi nam, że istnieje tylko materia. Bóg zostaje więc zupełnie usunięty z obrazu rzeczywistości.

Wszechświat nie stanowi już od tej pory systemu otwartego, w którym możliwa jest Boska ingerencja z zewnątrz, ale zamienia się w system zamknięty, odporny na jakąkolwiek zewnętrzną ingerencję, rządzący się wewnętrznym prawem przyczyny i skutku.

Podstawowym źródłem wiedzy o człowieku i otaczającej go rzeczywistości stają się nauki przyrodnicze. Człowiek w ujęciu naturalistycznym jest tylko pewną skomplikowaną maszyną, która nie różni się zbyt od innych tworów przyrody. W swym funkcjonowaniu podporządkowany jest tym samym zasadom, jakie odnoszą się do wszystkich członków „królestwa zwierząt”. Natura człowieka jest jednolita i stanowi jedynie wynik interakcji chemiczno-fizycznej.

Ponieważ człowiek składa się wyłącznie z materii, śmierć jest jego unicestwieniem. Istnienie ludzkie ograniczone jest więc czasem i wyczerpuje się w życiu doczesnym.

Skoro nie istnieje Bóg, to cały system wartości dla wielu ma pochodzenie ludzkie. Dobre i złe jest więc to, co człowiek uznaje za dobre i złe. Konsekwencją takiego stanu rzeczy jest zjawisko względności wartości (relatywizm moralny/etyczny). Ponieważ granica między dobrem a złem jest tylko kwestią konwencji, coraz trudniej jest na-

zywać rzeczy i oceniać zjawiska jednoznacznie. Współcześnie różni eksperci zajmują więc odmienne stanowiska w kwestiach takich, jak: aborcja, eutanazja, eksperymenty genetyczne itp.

Nie nastraja również optymistycznie naturalistyczna koncepcja historii. Według naturalisty historia nie ma jakiegokolwiek nadrzędnego celu, gdyż nie ma Boga, który nadawałby jej sens i znaczenie. Korzenie człowieka tkwią w naturze, która jest wieczna. Człowiek pojawił się we wszechświecie w pewnym momencie historii i zniknie w innym. Przestanie istnieć również świat taki, jakim znamy go obecnie. Ponieważ historia człowieka ma swój początek i koniec w naturze, mówiąc o historii, naturalista używa niekiedy terminu „naturalna historia ludzkości”. W oczach naturalisty historia jest więc jedynie tym, czym czynimy ją jako ludzie.

Wnioski końcowe

Myśl naturalistyczna (lub jej odmiany) zdominowała współczesne społeczeństwa europejskie. Przyczyn takiego stanu rzeczy należy dopatrywać się w tym, że światopogląd naturalistyczny wydaje się wielu ludziom możliwy do zaakceptowania, ze względu na swój racjonalny i konsekwentny charakter. Nie przynosi on jednak optymistycznie zadawalającej odpowiedzi na wiele istotnych pytań w rodzaju: Jaka jest wartość ludzkiego życia, jeżeli pojawiliśmy się na świecie jedynie w wyniku przypadku? Czy wartości ludzkiego życia upatrywać należy w naszej efektywności, a jeśli tak, to co dzieje się wtedy, gdy przestajemy być efektywni? Czy również wtedy możemy być uznawani za wartościowych? A może wówczas zbędnie zajmujemy miejsce na ziemi i właściwym rozwiązaniem problemu byłaby eutanazja? Słabym punktem światopoglądu naturalistycznego jest również to, że nie daje on odpowiedzi na pytanie: Dlaczego istnieje świat?

Czy w związku z powyższym tezy światopoglądu naturalistycznego i teistycznego można ze sobą pogodzić? Potocznie uważa

się, że konflikt między nimi, to konflikt między nauką a wiarą. Jednak „teistyczny” nie zawsze musi oznaczać „irracjonalny” lub „antynaukowy”. Jak zauważa Stanisław Kamiński, to właśnie potęga działania słowa „nauka” często ma charakter irracjonalny, i wszystko czemu się przyczepi etykietkę „naukowe”, automatycznie zyskuje w oczach ludzi na wartości³. Wydaje się, że twierdzenia światopoglądu teistycznego (zwanego religijnym) i naturalistycznego (zwanego naukowym) dotyczą po prostu różnych aspektów rzeczywistości i dlatego nie zawsze muszą pozostawać ze sobą w sprzeczności. Ponieważ „sprawy światopoglądu [...] – jak pisze S. Kamiński – wciągają bardzo często do wspólnej dyskusji religię i naukę”⁴, należałoby więc raczej mówić o pewnym rodzaju dychotomii i wzajemnym dopełnianiu się poprzez przedstawianie otaczającego nas świata z różnych punktów widzenia. S. Kamiński stwierdza, że „pod względem treściowym nauka nie przeciwstawia się wiedzy religijnej (z wiarą). Nie może jej więc ani usprawiedliwiać, ani zakwestionować. Nie jest zdolna również uzasadnić ateizmu”⁵. Skoro tak, to może warto rozważyć stanowisko Williama Jamesa, który twierdził w swym *Pragmatyzmie*, że idea prawdziwą jest w tej mierze, w jakiej wiara w nią jest korzystna dla naszego życia. Prawdziwy jest więc sąd lub zdanie, które okazują się użyteczne w działaniu. „Prawda idei nie jest jej własnością stałą, tkwiącą w niej. Prawda przydarza się idei. Staje się ona prawdziwą, zdarzenia czynią ją prawdziwą”⁶ – pisze W. James. Jeśli jest tak rzeczywiście, to nie mamy podstaw, aby pewne teorie odrzucać lub też różnicować ich wartość poznawczą. Wystarczy jeżeli komuś może się kiedykolwiek dana koncepcja praktycznie przydać

jako pomoc w osiągnięciu jakiejś korzyści, sukcesu życiowego itp. Dotyczy to, zdaniem W. Jamesa, zarówno teorii naukowych, jak też metafizycznych i religijnych⁷.

Dzisiejszy świat to „targowisko idei”⁸. Cytowany już Stanisław Kamiński pisze: „Rozwój nauki jako zjawiska społecznego wywołuje wiele kłopotliwych następstw. Jednym z najpoważniejszych i zarazem najtrudniejszych do rozwiązania jest gwałtownie wzrastająca lawina informacji naukowo-technicznych. Pierwsze czasopismo naukowe pojawiło się w 1665 r., w 1900 r. było ich już prawie 10 tys. Obecnie zaś ukazuje się ponad 100 tys. tytułów czysto naukowych czasopism i trzy razy tyle tytułów książek naukowych rocznie. Co minutę drukuje się na świecie więcej niż 2 tys. stron istotnych informacji naukowych. Co roku publikuje się w sumie 4,5 mln artykułów z dziedziny techniki oraz rejestruje 12 mln odkryć i wynalazków. Żaden badacz i konstruktor nie jest w stanie śledzić tego wszystkiego w swej specjalności. Ok. 35% artykułów naukowych nie jest czytanych, a prawie połowa książek i artykułów, które codziennie przybywają na półki księgarń lub bibliotek naukowych, nie będzie nigdy przeczytana”⁹. Sytuacja taka dotyczy nie tylko publikacji naukowych. Jak w tym wszystkim ma odnaleźć się przeciętny człowiek, i czy w ogóle ma na to ochotę? Może więc rację ma Zofia Zdybicka, która pisze, że „nadmiar informacji dotyczących bieżących wydarzeń, nadmiar zajęć odbiera człowiekowi czas na zastanowienie się nad sobą” i w konsekwencji traci on zdolność koncentracji na problemach ogólniejszych¹⁰. Tak czy inaczej, nie oznacza to przecież jednak, że problemy te przestają istnieć...

³ Por. S. Kamiński, *Nauka i metoda. Pojęcie nauki i klasyfikacja nauk*, Lublin 1992, s. 5.

⁴ Ibidem, s. 240.

⁵ Ibidem.

⁶ W. James, *Pragmatyzm. Nowe imię paru starych stylów myślenia*, Warszawa 1998, s. 161.

⁷ Por. L. Kasprzyk, A. Węgrzecki, *Wprowadzenie do filozofii*, Warszawa 1985, s. 260.

⁸ P. E. Little, *Wiedz dlaczego wierzysz*, Warszawa 1987, s. 5.

⁹ S. Kamiński, *op. cit.*, s. 234-235.

¹⁰ Z. J. Zdybicka, *op. cit.*, s. 249.

Publikacje poruszające problem relacji między wiarą (religią) a nauką – wybrana bibliografia:

1. Sylvia Baker, *Kość niezgody. Czy teoria ewolucji jest prawdziwa?*, Towarzystwo Krzewienia Etyki Chrześcijańskiej, Kraków 1991.
2. Wilhelm Gottwald, *Nauka przeciwna Biblii?*, Wydawnictwo „Ku Światłu”, Siegen brw.
3. Michał Heller, Józef Życiński, *Wszechświat i filozofia. Szkice z filozofii i historii nauki*, Polskie Towarzystwo Teologiczne, Kraków 1980.
4. William James, *Pragmatyzm. Nowe imię paru starych stylów myślenia*, Wydawnictwo KR, Warszawa 1998.
5. Stanisław Kamiński, *Nauka w społeczeństwie i w kulturze*, [w:] tenże, *Nauka i metoda. Pojęcie nauki i klasyfikacja nauk*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1992, s. 239-241.
6. Stanisław Kamiński, *U podstaw światopoglądu*, [w:] tenże, *Światopogląd – religia – teologia. Zagadnienia filozoficzne i metodologiczne*, Towarzystwo Naukowe KUL, Lublin 1998, s. 11-36.
7. Paule E. Little, *Wiedz dlaczego wierzysz*, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, Warszawa 1987.
8. Włodzimierz F. Marcinkowski, *Nauka i religia*, Wydawnictwo Ewangelicznych Chrześcijan „Wiara Ewangeliczna”, Canada 1984.
9. G. S. McLean, Roger Oakland, Larry McLean, *W poszukiwaniu prawdy o początkach. Ewolucja i kreacjonizm w świetle dowodów*, Wydawnictwo „Pojednanie”, Lublin 1999.
10. Michael Poole, *Nauka a wiara. Przewodnik*, Oficyna Wydawnicza „Vocatio”, Warszawa 1993.
11. Harry Rimmer, *Zgodność nauki z Pismem Świętym*, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, Warszawa 1984.
12. *Wiara i nauka*, „Znak” 1991, nr 428 (1).

Michał Kopaczewski

Hiob jako tragiczna jednostka w obliczu paradoksu wiary.

Myśl chrześcijańska Sørena Kierkegaarda

**Tylko
ze słyszenia
wiedziałem
o tobie,
lecz teraz
moje oko
ujrzało cię.
Przeto
odwołuję
moje słowa
i kajam się
w prochu
i popiele.**

Filozofia Sørena Kierkegaarda jest trudna do zrozumienia. Jednakże bez względu na to, jakie zawiera w sobie pułapki, sploty różnych paradoksalnych obrazów życiowych, dzięki którym odbiorca może popaść w „filozoficzny chaos”, jej przekaz jest bardzo głęboki i osobisty. Dotyczy przede wszystkim człowieka borykającego się z lękiem, miłością, cierpieniem, śmiercią oraz wiarą, której poświęcimy tu najwięcej miejsca.

Kierkegaard w swoich rozważaniach przedstawia dwa typy religijności. Religijność A – cechująca się przynależnością do Kościoła, tradycją, ogólną wiedzą o Bogu; oraz religijność B, która dotyczy wewnętrznej, osobistej i bezpośredniej relacji człowieka z Bogiem.

Choć różnica między nimi jest znacząca, obie są od siebie zależne. Ujmując rzecz inaczej, jedna religijność wpływa z drugiej. Jednostka ludzka musi wpięrow posiadać religijność A zanim osiągnie religijność B, gdzie dotychczasowe poznanie i wiedza o Bogu zostaną zepchnięte na margines w obliczu patosu wiary. Praca nad tym przejściem wymaga od człowieka dużego wysiłku. Doskonale możemy to zaobserwować na przykładzie dwóch wielkich „mężów bożych” – Abrahama i Hioba. Są o nich rzekomo „jakościowo” – Boga. Pomijając jednak sam cel, dzieli ich głęboka przepaść – zupełnie różna mentalność i nastawienie do Najwyższego. Pokonanie tych różnic wymaga pewnego procesu. Tym procesem jest całkowita rezygnacja z posługiwania się rozumem i wiara kierowana siłą absurdu, stanowiąca przejście z „bohatera tragicznego”, ogarniętego religijnością A, do „rycerza wiary”, tkwiącego w re-

ligijności B. Droga taka czeka właśnie Hioba. Różnica między „rycerzem wiary” a „bohaterem tragicznym” obraca się w kręgu etyki. „Bohater tragiczny” pozostaje swoimi czynami i zachowaniem w sferze etyki. Czyni to, co ogólne: polemizuje, rozmyśla, przedstawiając argumenty mające bronić jego racji. „Rycerz wiary”, a takim z pewnością jest Abraham, ma przed sobą wyższy cel, przewyższający samą etykę oraz normy moralne obowiązujące w określonych społecznościach. Celem „rycerza wiary” jest wznieść się ponad ogólność. Jego działanie pozostaje zawsze w napięciu. Taki stan może osiągnąć tylko siłą absurdu wiary, i całkowitą rezygnacją z logicznego myślenia, pozbawioną chwili zwątpienia oraz wahania. To właśnie osiągnął Abraham, spełniając ślepo wolę Boga, zanosząc swojego syna Izaaka na górę Moria w celu złożenia go w ofierze swojemu Panu. Wiara i siła absurdu czyni to, że Abraham wychodzi ponad ogólność. W oczach ludzi jest mordercą, łamiącym normy moralne, lecz w oczach Boga jest wielki, gdyż swoim postępowaniem stoi w absolutnym stosunku do Absolutu. Paradoks wiary Abrahama czyni to, iż siłą absurdu Izaak zostaje mu zwrócony. Jednostka staje się „rycerzem wiary” przez to, że bierze na siebie ciężar paradoksu, albo nie staje się nim wcale¹.

Abraham jest tym, który w milczeniu niesie ciężar paradoksu, nie wchodząc przy tym w polemiki z Bogiem. Pozostał do końca wierny swojej miłości do Boga, choć sam do końca jej nie rozumiał. Spełnił absolutną powinność, jaką była Boża wola, która doprowadziła go do podjęcia decyzji potępionych przez etykę. Cel został osiągnięty dzięki paradoksalnej religijności B, zawierającej coś konkretnego, określającego w bliższy sposób zbawienie, gdzie nie mieści się przyswojenie przez jednostkę życia z Bogiem, lecz samo życie wieczne², osiągnięte nie przez ludzkie myślenie, lecz

przez wiarę, będącą najwyższą namiętnością człowieka.

Prześledźmy teraz losy Hioba i jego ciężką drogę, będącą żmudnym przejściem z religijności A do religijności B. Według Kierkegaarda Hiob nie jest „bohaterem wiary”, lecz „bożym mężem” rodzącym pojęcie „próby” w bolesnych doświadczeniach, które przechodzi w swoim życiu³. Z pewnością jest to fakt, z którym trudno byłoby się nie zgodzić. Co nie znaczy, że Hiob nigdy tym „bohaterem wiary” się nie stanie. Pozostając w sferze religijności A, Hiob postępuje tak jak przystało na „bohatera tragicznego”, zapewniając siebie samego, że jego etyczny obowiązek jest w nim obecny i ma całkowite prawo go bronić. Kierkegaard określiłby Hioba jako człowieka wyrażającego wyższe poczucie obowiązku, ale nie obowiązku absolutnego, niezbędnego do przejścia w religijność B. Takiego obowiązku podjął się właśnie Abraham. A jak wygląda sytuacja w której znajduje się Hiob? Zaczniemy od krótkiej charakterystyki jego osoby.

Hiob żyje w ziemi Uz, prawdopodobnie, gdzieś na pustyni arabskiej. Jest człowiekiem nienagannym i prawym, co wskazuje na to, że jest on zarówno szczerym i otwartym, jak też hojnym i uprzejmym. Analizując dalej jego życie, odkryjemy również, że jest to mąż posiadający wielkie majątności oraz wielką bogobojność, przejawiającą się w modlitwach i składaniu ofiar nie tylko za siebie, ale też za całą swoją rodzinę. Hiob był bardzo mądry. W swym postępowaniu nie był obłudny, gdyż jego dobroć nie była powierzchowna ani udawana, lecz szczerą i prawdziwą. Możemy z całą pewnością powiedzieć, iż Hiob był filozofem, bowiem każde jego posunięcie było uprzednio starannie przemyślane, a wnioski mądrze i umiejętnie przedstawione w kręgu jego przyjaciół. Hiob twierdzi, że jest w dobrym porozumieniu z Bogiem, oraz że w jego sercu jest zachowana niewinność

¹ S. Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, Warszawa 1995.

² K. Toeplitz, *Kierkegaard*, Warszawa 1980, s. 269.

³ S. Kierkegaard, *Powtórzenie*, Warszawa 1982, s. 121.

i czystość⁴. I Bóg to dostrzega, choć jego bliscy i żona są w stanie temu zaprzeczyć. W chwili, gdy na Hioba spadają cierpienia, gdy staje się „zabawką” w absurdalnej grze Boga z Szatanem, cały świat jest gotów obrócić się przeciwko niemu, mówiąc – zgrzeszyłeś Hiobie. Niezależnie jednak od wszystkiego Hiob twierdzi, że ma rację. Z tym stwierdzeniem nawet Szatan i Bóg są gotowi zgodzić się: wszystkie cierpienia Hioba nie spadły na niego w wyniku złego postępowania. Na czym więc polega jego cierpienie? Jest to trudne pytanie, ponieważ Hiob doświadcza wielu różnych rzeczy, co jest przejawem trwania w religijności A, gdyż ona wymaga od człowieka dużego wysiłku i zawsze jeszcze zawiera wystarczającą ilość zadań do spełnienia. W swoim cierpieniu, spowodowanym stratą domostwa, dzieci i wszelkich bogactw, Hiob jest nie tylko przygnębiony myślą o śmierci, ale w jego życie wdziera się pewien rodzaj nihilizmu, czyniący zwątpienie co do sensu i celu życia. Posuwa się on do takiego stopnia, że Hiob zaczyna przeklinać dzień swoich narodzin. Polemiki z przyjaciółmi kończą się ogólnym opłakiwaniem i ubolewaniem nad losem Hioba. Ich postawa tylko mnoży jego cierpienia, a on sam coraz bardziej pogrąża się w bólu. Przyjaciele, nie wahając się, obarczyli Hioba za jego cierpienia, dając mu do zrozumienia, że w jego życie wdarł się grzech. Mimo to Hiob powtarza swoje – mam rację. Dlatego Hiob nie uspokaja, jak „bohater wiary”, lecz koi tylko na chwilę zarzuty kierowane w jego stronę⁵. Jest pozbawiony działania siłą absurdu, co uniemożliwia mu wywyższenie się ponad ogólność. Swoim sposobem myślenia jest mocno zakotwiczony w kręgu moralnym, tocząc w nim swój uparty bój opierający się na przekonaniu: „Pomimo wszystko to ja mam rację”.

Tragizm Hioba nie wynika z braku wiary, lecz z jej powierzchowności i ogólności, której towarzyszą ciągle pytania i ubolewa-

nia: „Czemu nie umarłem już w łonie matki, czemu nie zginąłem, gdy wyszedłem z łona, czemu wzięto mnie do piersi, abym ją ssal?”⁶.

Hiob wierzy, lecz jego filozoficzny sposób podejścia do zaistniałej sytuacji przykrywa możliwość spełnienia całkowitej powinności w stosunku do Absolutu, jakim jest Bóg. Paradoks wiary Hioba polega na niemożliwości wywyższenia się ponad ogólność. Całkowita rezygnacja zaś jest ciągle napiętnowana wątpliwościami jego przyjaciół. Wszystko to sprawia, że Hiob nie może zdobyć się na milczenie.

Abraham w swojej powinności zachowuje milczenie, gdyż droga, którą przechodzi nie jest do końca przez niego zrozumiała. Tylko wiara kierowana siłą absurdu stanowi jego pociechę. Abraham wie, że możliwość rozpatrywania na sposób ludzki próby, którą przechodzi, może zrodzić niepotrzebne pytania i wątpliwości. A stąd już tylko krok do wdarcia się wątpliwości co do Bożej woli i początek zguby dla „rycerza wiary”. Błąd ten spowodowałby, że Abraham stałby się ciężarem sam dla siebie, parodią „męża bożego”. Pozostaje mu tylko milczenie poprzedzone siłą absurdu wiary. Hiob jest tego pozbawiony, czyni on to, co ogólne, i w tym znajduje pocieszenie oraz spokój dla swojej umęczonej duszy. Nie znaczy to, że postawa Hioba jest zła. Wręcz przeciwnie, jego postawa jest jak najbardziej słuszna i sprawiedliwa. Hiob broni swojej racji; ma do tego całkowite prawo i czyni to słusznie. Jego zachowanie jest typowe dla „bohatera tragicznego” i w tej sferze całkowicie usprawiedliwione. W przypadku „bohatera wiary” taka postawa nie może mieć miejsca. Wszystko to musi zostać odrzucone bez żadnych szemrań i usprawiedliwiania. Pozostaje tylko wiara, milczenie i pokora oraz bezpośrednia relacja jednostka-Bóg.

W swoim cierpieniu Hiob nie jest skoncentrowany tylko na sobie. Nadal ważne są dla niego sprawy innych ludzi – problemy

⁴ Ibidem, s. 118.

⁵ Ibidem, s. 120.

⁶ Księga Hioba 3, 11-12 (Biblia Warszawska).

upośledzonych, wdów i sierot⁷. Pomoc i zaangażowanie Hioba są również przejawem człowieka tkwiącego w religijności A, w której znajdują się piękne miejsca, dające możliwość spełniania wzniosłych celów⁸. Śledząc dalej losy Hioba, możemy zacząć powoli dostrzegać, choć jeszcze nie całkiem wyraźnie, zarysy procesu przechodzenia w sferę religijności B. Hiob w swoim cierpieniu staje się coraz bardziej świadomy tego, że Bóg go atakuje, mówiąc: „Jego gniew szarpie mnie i zwalcza [...]. Żyłem spokojnie, lecz On skruszył mnie, pochwyciwszy mnie za kark zdruzgotał i postawił mnie sobie za cel”⁹. Hiob czuje się otoczony wrogami, którzy swymi filozoficznymi pouczeniami starają odebrać mu poczucie racji. Jest przy tym zupełnie osamotniony. Winę za to przypisuje Bogu, choć z drugiej strony pragnie Jego bliskości. Hioba czeka jednak jeszcze daleka droga do przebycia, dlatego też proces, który przechodzi będzie bardzo powoli się klarował. Sytuacja, która powstaje z powodu narastających problemów, będących wynikiem polemik Hioba z przyjaciółmi sprawia, iż można zadać pytanie: Czy w ogóle jest możliwe jakiekolwiek rozwiązanie? Odpowiedź brzmi: Nie! A jej prawomocność będzie się utrzymywać dopóki nie nastąpi w życiu Hioba milczenie i zwrócenie się w stronę Tego, który powołał go do życia.

Z biegiem czasu przyjaciele Hioba nie mają już nic nowego do powiedzenia. Ich słowa zaczynają obracać się przeciwko im samym. A to utwierdza Hioba w jeszcze większym przekonaniu, że ma rację. Cóż za nieuświadomione nieszczęście spada na Hioba, jego racja jest jak najbardziej uzasadniona, z drugiej jednak strony stanowi olbrzymi mur uniemożliwiający mu przedostanie się do kręgu „rycerza wiary”. Tak jak długo Hiob będzie patrzył na swoje cierpienie przez pryzmat swoich racji, moralnego uzasadniania swoich czynów oraz myślenia

i rozwiązywania swoich problemów, jak to zwykła czynić istota śmiertelna, tak długo będzie miał zasłonięte oczy na bezpośredni dostęp do oblicza Najwyższego. Sposób myślenia Hioba przeszkadza mu w ogarnięciu egzystencji świata siłą wiary¹⁰. Ilekroć przejawia się w nim pokora, ukorzenie się, zawsze towarzyszy temu jakiś pierwiastek ludzkiej natury, niweczający wszystko. Mimo to Hiob nie zgrzeszył przeciw swojemu Bogu ani razu od początku swoich cierpień. Kurczowo trzymał się w życiu swoich reguł, swojej religijności, etyki i pobożności. Bóg to widział i zgadzał się z Hiobem co do jego postępowania. W końcu Hiob był doskonałym przykładem człowieka o mentalności właściwej dla religijności A. Bóg nie miał mu tego za złe, ale pragnął czegoś o wiele bardziej wykraczającego poza te wszystkie normy, w których Hiob się obracał. Pragnął całkowitego porzucenia przez Hioba rzeczy uchodzących za prawe i uzasadnione oraz bezpośredniego zwrócenia się w stronę majestatu samego Boga, dawcy wszelkiego życia. Bóg chce, aby Hiob zapomniał na chwilę o sobie i o swoich filozoficznych rozważaniach dotyczących spraw, których nie jest w stanie do końca zrozumieć. Pragnie przedstawić Hiobowi szerszą perspektywę, która przyczyni się do otwarcia jego oczu i zerwania religijnej zasłony, odkrywając przy tym tajemnicę piękna Bożego majestatu. Problem Hioba uniemożliwiający mu stanięcie w bezpośrednim stosunku do Absolutu, spowodowany był jego przyziemnym i ogólnym sposobem myślenia oraz głęboką religijnością A, która nie pozwalała mu poczuć do końca Bożego dotknięcia. Mimo wszystko Hiob sumienie przestrzega swoich zasad. Kocha Boga (choć tak naprawdę Go nie zna), boi się go zasmucić. Bóg to widzi, doceniając przy tym wysiłek Hioba, chociaż nie był to jednak wysiłek całkowitej rezygnacji. Mimo to Bóg spełnia najskrytsze marzenie Hioba, które pozwoliło mu osiągnąć bezpośredni kontakt: jednostka–Absolut. Właśnie tu, po

⁷ Księga Hioba 29.

⁸ K. Toeplitz, op. cit., s. 267.

⁹ Księga Hioba 16, 9. 12.

¹⁰ S. Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 60.

długich zmaganiach nastąpił punkt kulminacyjny w życiu Hioba. Moment, w którym jego myślenie uległo diametralnej zmianie, coś co pozwoliło mu zbudować pomost między „tragicznym bohaterem” ogarniętym religijnością A, a „rycerzem wiary” pochłoniętym religijnością B. Bóg objawił się Hiobowi, burząc jednocześnie jego dotychczasowy schemat myślenia: „I odpowiedział Pan Hiobowi spośród zawieruchy i rzekł: Któż to zaciemnia mój plan słowami bezmyślnymi? Czy ten, kto spiera się z Wszechmogącym, będzie trwał w uporze”¹¹. Tak zaczyna się bezpośredni dialog Boga z Hiobem, który odkrywa w końcu prawdziwe oblicze paradoksu wiary i absurdu Bożej woli. Bóg czyni z Hioba swojego towarzysza i zabiera go w podróż po wszechświecie, ukazując mu rzeczy, które on dobrze znał z ludzkiej perspektywy, lecz nie z Boskiej. Bóg odwołuje się do wcześniejszych przeżyć poznania, które posiadał Hiob. Posługując się nimi prowadzi go do kręgu religijności B. Podróż Hioba w obecności Boga dokonuje całkowitego uzdrowienia jego ludzkiej i duchowej natury, czego najlepszym dowodem jest wyznanie Hioba, w którym stwierdza, że objawienie, którego doświadczył, całkowicie różni się od dotychczasowej wiedzy na temat Boga i jego stworzenia. Hiob przyznaje Bogu: „Tylko ze słyszenia wiedziałem o tobie, lecz teraz moje oko ujrzelo cię. Przeto odwołuję moje słowa i kajam się w prochu i popiele”¹². Hiob dostrzega swoją nieświadomość, niewiedzę i zarożumiałość kończącą się stwierdzeniem – mam rację. Dostrzega prawdziwą rzeczywistość i Boże wyroki, zrozumienia których w swej mądrości byli pozbawieni jego przyjaciele. Gniew Boży obraca się przeciwko nim i ich złym pocieszeniom, którymi jeszcze bardziej pograżali Hioba. Bóg nie neguje prawości Hioba, zdając sobie sprawę, że jego ludzkie możliwości są bardzo ograniczone.

W końcu, zanim Abraham został „rycerzem wiary” również musiał dostąpić Bożego objawienia, które otworzyło mu oczy na Prawdę. Sprawilo ono, że Hiob doświadczył tajemnicy wiary, która została niewątpliwie wzmocniona i utwierdzona. W ten sposób Hiob mógł zrozumieć swoją małość. W jego życiu była to chwila, która umożliwiła mu wkroczenie w krąg „rycerzy wiary”. To właśnie pojęcie „próby”¹³, zakończone Bożą interwencją sprawilo, że Hiob zrozumiał na czym polega istota milczenia, słuchania oraz ingerowania „ograniczoną” ludzką mową w Bożą wolę. Proces „przejścia” został dokonany. Tu kończy się wspiania i tak dramatyczna droga, jaką przebył Hiob, którego cierpienia zostały w dwójnasób wynagrodzone. Pan zwrócił Hiobowi jego majątności i wszystko, co stracił w okresie swej ciężkiej próby, błogosławiąc mu do końca życia. „I umarł Hiob stary i syty dni”¹⁴.

Teraz w oparciu tylko o przypuszczenia, gdyż nie znamy dalszych losów Hioba po Bożym objawieniu, możemy stwierdzić następujące fakty: Hiob, osiągnąwszy Boże poznanie, z pewnością będzie przechodził rozmaite inne próby, będące wynikiem woli Najwyższego z punktu widzenia „rycerza wiary”. Niemożliwy jest raczej powrót do religijności A, kiedy jednostka wskutek dotknięcia Boga osiągnie religijność B. Jeżeli jednak taka sytuacja miałaby miejsce, jej skutki byłyby z pewnością druzgoczące. Cel Hioba został już całkowicie określony, oczyszczony z ludzkiej niedoskonałości. Jego życie zawiera całą drogę, poczynawszy od upartego tkwienia w tym co ogólne, ludzkie i mało znaczące w oczach Boga, aż do wywyższenia się ponad ogólność przez doświadczenie istoty poznania tego co paradoksalne i absurdałne. Są to rzeczy, których nie sposób ogarnąć myślą, ponieważ może wiara tam się właśnie zaczyna, gdzie kończy się przyrodzone myślenie¹⁵.

¹¹ Księga Hioba 38, 1-2; 40, 2.

¹² Ibidem, 42, 5-6.

¹³ S. Kierkegaard, *Powtórzenie*, s. 121.

¹⁴ Księga Hioba 42, 17.

¹⁵ S. Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, s. 66.

Jacek Wojtysiak

Filozofia jako poszukiwanie sensu.

**W związku z encykliką Jana Pawła II
„Fides et ratio. O relacjach między
wiarą a rozumem”**

**Jedna ze
studentek –
kompletnie
nieprzygotowa-
na na
ćwiczenia –
powiedziała mi
raz, że odkąd
spotkała
Jezusa,
przestała się
uczyć filozofii.
A szkoda.**

Nie jestem odpowiednią osobą, która mogłaby kompetentnie komentować tekst Encykliki*. Tym bardziej, że na Jej temat zabrało głos (także z tego miejsca) wiele Poważnych Autorytetów. Jeśli postanowiłem wstąpić tutaj, to tylko dlatego, że zgodnie z przypomnianym w Encyklice (nr 67), wezwaniem z pierwszego Listu Piotra Apostoła (1 P 3, 15), mam obowiązek, gdy się tylko tego ode mnie zażąda, dać „słowo o nadziei, która w nas jest”. Dyskusje nad Encykliką są najlepszą okazją do namysłu nad sposobem składania świadectwa przez filozofów, które, mimo przegranych przegranych, przegoda wiary. Tym bardziej, że Autor Encykliki przypomina filozofom – także nam, początkującym filozofom – o „wymaganiach, jakie stawia im słowo Boże” (nr 106). Wydaje się, że ten aspekt w dotychczasowych dyskusjach nie był wystarczająco podkreślany.

W mej wypowiedzi nie będę podchodził do zagadnienia od strony „ratio”. Nie będę też mówił od strony „fides”. Będę raczej mówił od strony „et”, w którym upatruję istoty przesłania Encykliki.

Zacznijmy od pytania, jak Encyklika charakteryzuje filozofię. Pamiętajmy, że nie jest to pełna charakterystyka: Encyklika nie jest podsumowaniem metafizyki, lecz pismem Największego Autorytetu Chrześcijaństwa, który o filozofii mówi w szerokim kontekście religijnym. Gdy jednak szukać w Niej słowa kluczowego, które najlepiej

* Wypowiedź wygłoszona 9 III 1999 r. w Auli im. Stefana Kard. Wyszyńskiego podczas 40. Tygodnia Filozoficznego KUL, zatytułowanego „Bóg i filozofia”.

nadaje się do owej charakterystyki, to niewątpliwie jest nim słowo... „sens”.

Już w nrze 1. stwierdza się, że podstawowe pytanie człowieka to „pytanie o sens rzeczy i jego własnego istnienia”, a „źródłem” pytań filozoficznych jest „potrzeba sensu”. Słowo „sens” występuje w Encyklice, zazwyczaj w podobnych kontekstach, 52 razy (jeśli nie więcej) i jest chyba – poza nazwami istotnie związanymi z tematem lub należącymi do dyskursu ściśle religijnego – najczęściej używaną w tekście nazwą. W nrze 81. pojawia się ona aż 10 razy (!), także – jak zauważył bp K. Romaniuk („Niedziela” 1998, nr 51-52, s. 17) – w kontekstach stanowiących „swoiste *novum terminologiczne*”, np. „kryzys sensu” oraz „czy ma jeszcze sens samo pytanie o sens” (w znaczeniu: we współczesnej kulturze kwestionuje się dorzeczność poszukiwania sensu – mało kto się o sens spiera, gdyż mało kto wierzy, że sens w ogóle jest; por. abp J. Życiński, „Znak” 1998, nr 10, s. 5-8). W tymże nrze 81. znajduje się też moralne wezwanie i swoisty postulat znaczeniowy, który można by określić jako Papieską charakterystykę filozofii: „Aby dobrze współbrzmieć ze słowem Bożym, filozofia musi przede wszystkim odzyskać wymiar mądrościowy, jako poszukiwanie ostatecznego i całościowego sensu życia. Ten podstawowy wymóg jest w istocie bardzo potrzebnym bodźcem dla filozofii, gdyż każe jej przystosować się do własnej natury”. Jak widać, mądrościowy wymiar filozofii jest jej nie tylko nakazany przez słowo Boże, lecz i przynależy do samej natury filozofii.

Rozwinięcie powyższej charakterystyki wymaga eksplikacji pojęcia sensu, dokonywanej zresztą przez niektórych psychologów, teologów i filozofów. Z braku czasu ograniczmy się tutaj tylko do poszukania we współczesnej literaturze metafizycznej koncepcji współbrzmiejącej z Papieską charakterystyką filozofii. Znalazłem ją, i to – o dziwo! – u autora, który deklaruje się jako niewierzący. (Bywa wszak, że wsparcie przychodzi ze strony, z której się nie spodziewamy.) Jest nim (wywodzący się z tra-

dycji szkoły lwowsko-warszawskiej) metodolog i semantyk – prof. Marian Przełęcki. W książce *Poza granicami nauki* (Warszawa 1996, s. 63) Przełęcki pisze: główną funkcją filozofii jest „dociekanie sensu świata i ludzkiego życia. Zadanie to filozof realizuje, tworząc pewną wartościującą wizję bytu, w której wartościowanie rzeczywistości jest przekazywane za pośrednictwem abstrakcyjnego obrazu. Obraz ten pełni rolę służebną wobec «sensotwórczego» wartościowania”.

Wróćmy do tekstu Encykliki. Wśród wymogów, jakie – wg Jana Pawła II – słowo Boże stawia filozofii, na pierwszym miejscu znajduje się właśnie jej nastawiona na sens funkcja mądrościowa (cytowany już nr 81). Pozostałe wymogi stanowią konsekwencję tej funkcji. Są nimi antyrelatywistyczny optymizm i maksymalizm poznawczy („człowiek jest zdolny do poznania prawdy” o rzeczywistości pozazjawiskowej – nr 82) oraz metafizycyzm („potrzebna jest filozofia o zasięgu prawdziwie metafizycznym, to znaczy umiejąca [...] odkryć coś absolutnego, ostatecznego, fundamentalnego” – nr 83). Autor Encykliki, formułując te wymogi, zauważa przy tym, że poznanie metafizyczne ma charakter „niedoskonały i analogiczny” oraz, że podane wymagania „mogą się wydawać trudne dla wielu osób, które bezpośrednio zaangażowane są w prace badawcze w dziedzinie filozofii współczesnej” (nr 85).

Jak widać, wszystkie powyższe postulaty są spełnione przez koncepcję Przełęckiego. Wszak – jak już stwierdzono – wg tego autora istotą filozofii jest jej funkcja sensotwórczo-wartościująca, spełniana za pośrednictwem wypowiedzi metafizycznych. Co więcej, owe wypowiedzi – pomimo swych semantycznych niedoskonałości i trudności związanych z ich weryfikacją – mogą prawomocnie pretendować do prawdziwości. Koncepcja Przełęckiego jest więc przykładem respektowania zarazem postulatów wywodzących się od, związanej z wiarą, tradycyjnej „potrzeby sensu” (co akcentuje Encyklika), jak i od rygorystycz-

nego rozumu współczesnej metodologii. Ma to dziś szczególne znaczenie – w czasach, gdy obie wspomniane wartości są kwestionowane.

W tym miejscu mógłbym zakończyć. Jednakże trudno mi oprzeć się pokusie i nie zadać w kontekście Encykliki jeszcze jednego, prowokacyjnego, pytania: Czy filozofom potrzebna jest wiara?

Pytanie to ma swe długie dzieje, których początki sięgają w chrześcijaństwie, przywołanego dwukrotnie w Encyklice (nr 24 i 36), a opisanego w *Dziejach Apostolskich* (Dz 17, 16-34), spotkania Pawła Apostoła z filozofami ateńskimi. Większość z tych filozofów „potrzebę sensu” wystarczająco zapewniały ich spójne systemy filozoficzne, a orędzie o Zmartwychwstaniu mogło tylko wprowadzić do nich niepotrzebne trudności. Dzięki Ojcom i Doktorom Kościoła trudności te udało się przezwyciężyć. Jednakże później, w dalszych dziejach filozofii – jak pisze Papież – „rozwój znacznej części nowożytnej myśli filozoficznej dokonywał się przy stopniowym oddalaniu się od chrześcijańskiego Objawienia” (nr 46). Efektem tej tendencji jest wg Encykliki m.in. metafizyczny i epistemologiczny nihilizm (por. nr 46, 90), podważający istnienie jakiegokolwiek sensu oraz kompetencje naszych władz poznawczych.

Wydaje się jednak, że właśnie stan filozofii współczesnej (oceniany krytycznie, choć z uwzględnieniem jej sukcesów, w nrach 5, 47 n, 54-56, 86-91) skłania do pozytywnej odpowiedzi na postawione pytanie. Przecież to właśnie w filozofii współczesnej (zwłaszcza w pierwszej fazie rozwoju filozofii analitycznej) dokonano krytyki czy destrukcji wielkich systemów metafizycznych i ich uniwersalnych roszczeń sensotwórczych. Okazało się, że systemy te (w tym niektóre systemy tzw. filozofii chrześcijańskiej, pokładające ufność bardziej w sobie, niż w Tym, o Kim miały mówić) są zbyt ułomne, by zaspokoić ludzkie potrzeby sensu. (Niektórzy nawet oskarżają je o największe zło XX wieku – por. nr 46.) Fakty intelektualne nakazują

tedy, by osłabić „pychę filozoficzną” (por. nr 4) i – o ile nie chce się ulec „pokusie rozpacz” (por. nr 91) – znaleźć miejsce dla wiary.

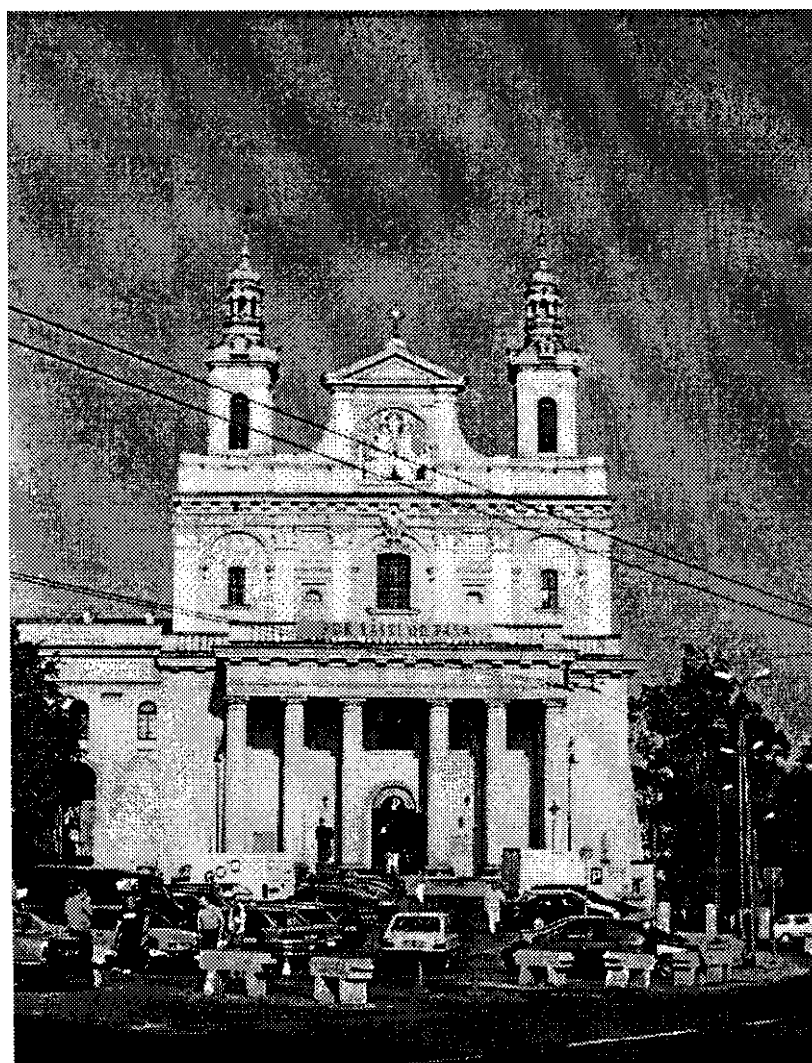
Skoro tak, to powstaje pytanie, czy wierzący w ogóle potrzebują filozofii? Stanowisko pierwszych chrześcijan było w tej kwestii negatywne: „dzięki spotkaniu z Ewangelią – pisze Papież – uzyskiwali oni tak wyczerpującą odpowiedź na dotąd nie rozstrzygnięte pytanie o sens życia, że uczęszczanie do szkół filozofów wydawało im się praktyką jakby oderwaną od rzeczywistości i pod pewnymi względami przestarzałą” (nr 38). Historia lubi się powtarzać: niektórzy uczestnicy dynamicznych wspólnot religijnych (licznych w środowisku studenckim KUL), w których próbuje się dziś odtworzyć wspaniałą atmosferę pierwotnego chrześcijaństwa, niekiedy gardzą filozofią i zapominają o przygotowywaniu się do zajęć z filozofii. Jedną ze studentek – kompletnie nieprzygotowaną na ćwiczenia – powiedziała mi raz, że odkąd spotkała Jezusa, przestała się uczyć filozofii. A była to dziewczyna pracowita i uczciwa. Za jej wypowiedzią nie kryło się oszustwo, lecz autentyczne doświadczenie egzystencjalne.

A szkoda. Antyfilozoficznie nastawieni chrześcijanie zapominają wszak, że to właśnie dzięki tkwiącemu w nich filozoficznemu pytaniu o sens, Słowo, które jest Osobowym Sensem ich życia, mogło paść na urodzajną glebę (por. nr 80). Co więcej, tylko za pomocą filozoficznie wyszkolonego rozumu można sprawdzić, czy napotkany sens jest sensem rzetelnym, czy tylko iluzją sensu. Ma to dziś szczególne znaczenie, gdy obok autentycznych ruchów religijnych pełno jest sekt i grup parareligijnych. Prawdziwa wiara posiada dobre racje jej przyjęcia, a racje te filozoficzny rozum musi wyważyć. Dodajmy jeszcze, że chyba tylko dzięki filozofii chrześcijanie mogą dzielić się swą wiarą z osobami niewierzącymi (por. 104). Język religijny jest dla tych drugich niezrozumiały, pozostaje więc język filozoficzny, w którym można próbo-

wać identyfikować osobisty sens życia z uniwersalnym sensem rzeczywistości.

Te trzy zadania – jasne i ściśle ponawianie pytania o sens, ustalanie kryteriów odróżniania rzetelnego sensu od jego pozorów oraz poszukiwanie sensu uniwersalnego – w sposób szczególny stoją obecnie przed filozofami, którzy uczciwie wykonując swój zawód, pozostają jednocześnie słuchaczami Słowa. Spełniając te zadania filozofowie-chrześcijanie mogą służyć pomocą swym współwyznawcom, a zwłaszcza tym, którzy są instytucjonalnie odpowiedzialni za namysł nad Słowem i za jego głoszenie (filozofia jako *ancilla theologiae* – por. nr 77, 67). Co więcej, filozofowie mogą też uwrażliwiać na problematykę sensu i wiary tych, którzy deklarują się jako niewierzący (filozofia jako *praeparatio fidei* – por. nr 61, 79). Filozofia zresztą, nie ograniczona do określonej konfesji, sprzyja postawie ekumenicznej (nauczanie Papieśskie jest integralne: *Fides et ratio* wpisuje się w *Ut unum sint*).

Zadania te są niezmiernie trudne. Filozof-chrześcijanin musi być dziś wierny zarówno wymogom stawianym przez słowo Boże, jak i przez rozum, którego metodologiczne i merytoryczne rygory są ogromnie wysokie (por. nr 106, 78). Taka sytuacja nie jest jednak nowa. Stał przed nią np. i św. Tomasz z Akwinu (por. nr 43), i B. Pascal – jedyny nowożytny myśliciel cytowany w Encyklice (nr 13). Parafrazując Pascala, można powiedzieć: trzeba być geometrą i pokornym chrześcijaninem, a wtedy uniknie się sceptycyzmu. Dodajmy, własnego sceptycyzmu. Co do innych, trzeba być ostrożnym i delikatnym. Objawienie jest wszak Objawieniem dyskretnym. Otóż przywołany przez Jana Pawła II w nrze 13 cytat z Pascala brzmi właśnie następująco: „Jak Chrystus pozostał nieznanym między ludźmi, tak prawda Jego między powszechnymi mniemaniami, bez widocznej różnicy; tak Eucharystia między pospolitym chlebem”.



Archikatedra Lubelska, ul. Królewska 10
fot. M. Orłowski



fot. z filmu G. Linkowskiego „Ballada chasydzka o Nowym Roku”

Żydowskie korzenie chrześcijaństwa

Sławomir J. Żurek

O Dniu Judaizmu

**Dzień Judaizmu
przypomina
nam, chrześci-
janom, kim jest
nasz Zbawiciel
Jezus Chrystus,
który przyszedł
na świat jako
«Żyd, zrodzony
z córki Izraela»,
«młodej
Żydówki
z Nazaretu
w Galilei».**

Dzień Judaizmu w Kościele Rzymskokatolickim w Polsce jest obchodzony po raz trzeci. Decyzją Rady Episkopatu Polskiego wyznaczona została data 7 stycznia – dzień, który bezpośrednio poprzedza rozpoczynający się rok rocznie Tydzień Powszechnej Modlitwy o Jedność Chrześcijan. W ten oto sposób zaakcentowano wspólne wszystkim Kościołom chrześcijańskim biblijne korzenie judaistyczne. Warto równocześnie zaznaczyć, że po raz trzeci Dzień Judaizmu jest obchodzony w Archidiecezji Lubelskiej. Tym razem na miejsce modlitewnego spotkania chrześcijan i Żydów obrano kościół pw. Przemienienia Pańskiego przy Metropolitalnym Seminarium Duchownym.

„Kto spotyka Jezusa Chrystusa, spotyka judaizm”, te właśnie słowa Jana Pawła II wypowiedziane w Moguncji 17 listopada 1980 roku do tamtejszej wspólnoty żydowskiej, stały się mottem naszego dzisiejszego spotkania. Wypowiedź Biskupa Rzymu pobrzmiwa dzisiaj, w roku Jubileuszowym, szczególnym echem. Jeszcze raz, na nowo, dwa tysiące lat po śmierci Jezusa z Nazaretu i trzydzieści pięć lat po zakończeniu obrad Soboru Watykańskiego II, chrześcijanie zwracają się do „swoich starszych braci w wierze”, przypominając częstokroć zapomnianą prawdę, iż „[...] religia żydowska nie jest dla naszej religii rzeczywistością zewnętrzną, lecz czymś wewnętrznym”.

O czym przypomina chrześcijanom Dzień Judaizmu?

1. Po pierwsze – Dzień Judaizmu przypomina nam chrześcijanom, jakie są nasze korzenie. Katechizm Kościoła Katolickiego z całą jasnością stwierdza, że „Kościół jest polem uprawnym lub «rolą Bożą» (1 Kor 3, 9). Na tej roli rośnie stare drzewo oliwne, którego świętym korzeniem byli patriarchowie i na którym to drzewie dokonało się i dokona pojednanie Żydów i pogan” (KKK 755), dopowiadając jednocześnie za Szawłem z Tarsu, że to my,

chrześcijanie, jesteście dziką oliwką, która „przeciw naturze wszczepiona została w oliwkę szlachetną” Izraela. Aby ostatecznie powiedzieć wprost: Kościół, „z głębią swoją tajemnicę, odkrywa swoją więź z narodem żydowskim, «do którego przodków Pan Bóg przemawiał» (*Nostra aetate*, 4). W odróżnieniu od innych religii niechrześcijańskich wiara żydowska jest już odpowiedzią na Objawienie Boże w Starym Przymierzu. To do narodu żydowskiego «należą przybrane synostwo i chwała, przymierza i nadanie Prawa, pełnienie służby Bożej i obietnice. Do nich należą praojcowie, z nich również jest Chrystus według ciała» (Rz 9, 4-5), «ponieważ dary łaski i wezwania Boże są nieodwołalne» (Rz 11, 29)” (KKK 839). Dokumenty Kościoła przypominają nam także o wywodzącej się z judaizmu biblijnej liturgii chrześcijańskiej (KKK 1096), w której najbardziej poczesne miejsce zajmuje Eucharystia, będąca jednocześnie: 1) „szczytem życia chrześcijańskiego” i 2) przypomnieniem żydowskich błogosławieństw, „które – szczególnie podczas posiłku – wychwalają dzieła Boże: stworzenie, odkupienie i uświęcenie” (KKK 1328).

2. Po drugie – Dzień Judaizmu przypomina nam, chrześcijanom, kim jest nasz Zbawiciel Jezus Chrystus, który przyszedł na świat jako „Żyd, zrodzony z córki Izraela” (KKK 422), „młodej Żydówki z Nazaretu w Galilei” (KKK 488), poślubionej „mężowi imieniem Józef, z rodu Dawida” (Łk 1, 26). Katechizm Kościoła Katolickiego, mówiąc o Objawieniu się Jezusa, akcentuje jednocześnie Jego obrzezanie, a więc związek instytucjonalny z Prawem

Mojżeszowym, Synagogą oraz judaizmem, a także pokłon trzech mędrców, którzy „szukają w Izraelu, w mesjańskim świetle gwiazdy Dawida, Tego, który będzie królem narodów. Ich przybycie oznacza, że poganie tylko wtedy mogą odkryć Jezusa i wielbić Go jako Syna Bożego i Zbawiciela świata, gdy zwrócą się do Żydów i przyjmą od nich obietnicę mesjańską, która jest zawarta w Starym Testamencie” (KKK 528). W tym dniu warto pamiętać, że Jezus przez całe swoje życie prowadził „żydowskie życie religijne poddane Prawu Bożemu” (KKK 531), a stosowana w Jego przekazie wiary „argumentacja często mieściła się w ramach rabinistycznej interpretacji Prawa” (KKK 581). Jezus skrupulatnie przestrzegał „Prawa dotyczącego czystości pokarmów, tak ważnego w życiu codziennym Żydów” oraz szabatu (KKK 582). Żył w rytmie żydowskiego roku liturgicznego, czego liczne świadectwa odnaleźć można na kartach Ewangelii. Co roku obchodził również centralne dla judaizmu święto Paschy, będąc wiernym tradycji uczyty sederowej.

Rozpoczynamy wspólną modlitwę chrześcijan i Żydów w następującym porządku: 1) będziemy wspólnie chwalić Jedynego, Przedwiecznego Ojca Słowami Psalmu 133; 2) będziemy wsłuchiwać się w Głos Boga w Parasz z księgi Wyjścia (12,14-33); 3) będziemy śledzić dwa komentarze: judaistyczny i chrześcijański do tego samego fragmentu Tory; 4) będziemy wspólnie modlić się słowami Jana Pawła II; 5) będziemy razem przed Jego Obliczem...

Helena Datner

Szemot.

Komentarz żydowski na Dzień Judaizmu

**Tora, Pismo jest
„demokratyczne”.**

**Jest księgą dla
każdego,
którą każdy
może i powinien
z najlepszą wolą,
przy użyciu
wszystkich
swoich sił
– intelektualnych
i duchowych,
czytać i starać się
zrozumieć.**

Chciałabym podziękować za zaproszenie do Lublina przede wszystkim Księdzu Arcybielowi oraz – kim tym, którzy przyczynili się do tego, że możemy tu być. Przed chwilą zakończyło się spotkanie z młodymi ludźmi – alumnami i seminarzystami duchownymi. Było to spotkanie dobre. Mieliśmy wrażenie, że rozmawiamy, że nie boimy się siebie nawzajem i to było coś bardzo ważnego.

To, że mogę przed Państwem stać i komentować przeznaczony na ten tydzień fragment Tory, który został przed chwilą odczytany – to jest przyjemność i zaszczyt. Ale to, że może robić to kobieta – kobieta nieuczona w pewnym sensie – znaczy tyle, że Tora, Pismo jest „demokratyczne”. Jest księgą dla każdego, którą każdy może i powinien z najlepszą wolą, przy użyciu wszystkich swoich sił – intelektualnych i duchowych, czytać i starać się zrozumieć.

Hebrajska nazwa Księgi Wyjścia brzmi *Szemot* (hebr. imiona) – od pierwszych słów, którymi się zaczyna. Jest ona bardzo ważna, ponieważ traktuje o narodzinach narodu żydowskiego i jego misji. W niej po raz pierwszy pojawia się słowo „naród”, gdy faraon mówi o potęgze liczebnej „ludu Izraela”.

Księga Wyjścia stanowi podstawę znacznej części żydowskiej tradycji, do której odwołujemy się w liturgii, w modlitwach. Doświadczenie Szabatu to odpoczynek, zatrzymanie codziennej krzątaniny i łączące się z tym uczucie wolności, wyzwolenia, które stało się naszym udziałem po raz pierwszy w czasie wyjścia z Egiptu. Odwołujemy się do Księgi Wyjścia również w naszym myśleniu o cudzoziemcach i wszystkich tych, którzy uznawani są za „innych”, „odmiennych”: „nie będziesz uciskał cudzoziemców, bo sami byliście uciskani w Egipcie” (*Szemot* 21, 20). Uwalniać nas ona powinna od ksenofobii i nietolerancji, skłaniając ku otwartości umy-

słu i serca. Dla mnie samej to przesłanie jest szczególnie ważne, bo wskazuje na to, jak nie tracąc nic z własnej tożsamości, mieć „innych” stale przed oczyma.

Lektura Księgi Wyjścia prowadzi do myśli, ważnej w refleksji nad światem, o wadze oddzielenia złego od dobrego. Nasi mędracy mówią, że najgroźniejszym skutkiem grzechu jest właśnie pomieszanie dobra ze złem. I misją człowieka jest ich oddzielanie. Ani świat, ani życie nie są jednak białe-czarne, co z jednej strony kładzie się na ludziach nieraz ciężkim cięciem, wpłatając ich w rozmaite nędzne sprawy, z drugiej zaś – wyostrza ich uwagę i moralną wrażliwość, rozjaśnia świadomość. Bo człowiek musi bardzo uważać, przeciwdziałać stępieniu swej wrażliwości i starać się o jasność własnej świadomości właśnie dzięki trudowi odróżniania dobra od zła. Tym bardziej, że pomieszanie pojęć może być bardzo groźne i dla świata, i dla człowieka.

Szemot uczy również, że naród przygotowujący się na wyjście z niewoli musi przejść proces oczyszczenia. Radykalnego oddzielenia sfermentowanego od niesfermentowanego, złego od dobrego. Dlatego też przed świętem *Pesach* Żydzi oczyszczają swe domy z najdrobniejszego okrucieństwa sfermentowanego pożywienia, nazywanego *chamecem*, i radykalnie niszczą je, usuwając z życia i ze świata poprzez symboliczne spalanie w ogniu.

Jest jeszcze jeden nakaz. Jest to nakaz jedzenia macy – chleba niekiszzonego, który nie wyrósł. Maca uważana jest za pokarm wiary w Boga. Składa się z wody i mąki. Ta mieszanina sama w sobie nie ma żadnej siły, nie posiada też mocy przemiany. Jest więc symbolem naszego wyzwolenia, które w całości pozostaje dziełem Boga. Maca

symbolizuje tu absolutne zdanie się na Niego. Jest także podstawowym pożywieniem w trakcie święta *Pesach*, święta naszego wyzwolenia, które trwa przez siedem dni.

I jeszcze jedno rozdzielenie, najbardziej radykalne, a jednocześnie najtrudniejsze do zanalizowania. Kulminacyjnym momentem oddzielenia złego od dobrego jest pomazanie krwią jagnięcia żydowskich domów. Owca jest ważnym bóstwem Egipcjan, a jej zabicie to akt odwagi cywilnej, poprzez który wyrzekamy się radykalnie bałwochwalstwa. Midrasz – przypowieść zawarta w Talmudzie – powiada, że krew na drzwiach była krwią jagnięcia zmieszana z krwią obrzezania. Przymierze i wyzwolenie są oparte na ofierze krwi. Potwierdza to prorok Ezechiel, który mówi: „Oto ja przechodziłem obok ciebie i widziałem, jak szamotałaś się we krwi. I rzekłem do ciebie: Żyj” (Ez 16, 6).

To, o czym mówiłam, traktuje o oczyszczeniu narodu żydowskiego w momencie wyjścia. Cóż stało się dalej? Dalej nie było to wszystko takie proste. Byliśmy przez ponad czterysta lat w niewoli. Wiemy, że po kilku dniach wędrówki po pustyni zwątpiliśmy, i że Bóg musiał być bezpośrednio przy nas obecny, czynić cuda, byśmy zawierzili. Jest to interpretacja, którą szczególnie lubię. Tak jak dojrzewał człowiek, tak i naród żydowski również dojrzewał. Cuda, poprzez które Bóg potwierdzał swoje istnienie, czynione bezpośrednio w momencie wyjścia, mogły być – w miarę, jak naród dorastał i krzepł w swej moralnej podmiotowości – coraz rzadsze. I to jest proces, który jest w nas, ludziach oraz członkach narodu, i który będzie w nas, mam nadzieję, trwał – bez względu na okoliczności.

A black and white photograph of a man with glasses and a dark shirt, standing with his arms crossed in a room with large windows and a Star of David on the wall.

96

Bojaźń i nadzieja.

Komentarz chrześcijański na Dzień Judaizmu

On Egipcjanom pobił pierworodnych,
bo Jego łaska na wieki,
I wywiódł spośród nich Izraela,
bo Jego łaska na wieki.
I przeprowadził środkiem Izraela,
bo Jego łaska na wieki
I faraona z jego wojskiem strącił w Morze Czerwone,
bo Jego łaska na wieki.
On uśmiercił królów potężnych,
bo Jego łaska na wieki.

Ps 136

Ps 136

Oburzamy się my, chrześcijanie, modląc się słowami tego psalmu. Ileż razy słyszałem od odmawiających brewiarz słowa oburzenia: „jak można takimi słowami się modlić!”. Oburzamy się, zamiast w tejże Księdze, w objawionym słowie Boga, szukać odpowiedzi na nasze wątpliwości i niezrozumienia.

A przecież był kiedyś i taki czas, pisze o tym Księga Wyjścia, kiedy w Egipcie zabijano hebrajskie dzieci. I nie stało się nic. Nikt nie upomniął się o krew niewinnych. A krew niewinnych jest krwią sprawiedliwą. I nie upomniął się o nią nikt. Były wołania, czyjeś łzy, krzywda, ból. Lecz niebo wydawało się puste. Bóg milczał, chociaż wołano. Krzywda, ból, śmierć jednakowo zapadły się w bezsensowną nicość. Nie przyszedł bowiem nikt.

A jednak – przyszedł! Właśnie przyszedł... w noc wyzwolenia z niewoli.

Najstarsze Księgi Biblii mówią, że krew jest duszą życia. Krew jest wyłączną własnością Pana. To, co pierworodne, jest również specjalną własnością Pana.

Kiedy więc w pełną grozy noc Paschalną nad ziemią niewoli pochyła się niepojęta twarz Boga i przechodzi On przez ziemię – zabiera to, co jest po dwakroć jego własnością: krew pierworodnych. Nie wiemy, co z nią uczynił. To Jego rzecz.

Czy jeszcze się oburzamy? Na co się właściwie oburzamy, że On nie nazywa się Obojętnością? Istotnie, On nie nazywa się obojętnością, lecz Miłością.

Otwórzmy oczy! Nie Izrael jest tu najważniejszy, lecz Jedyny i niepojęty Bóg, który mocnym ramieniem wyprowadza na wolność niewolników. To ten sam, o którym śpiewała Matka Jezusa: „Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych, głodnych nasyci dobrami, a bogatych z niczym odprawia”. To właśnie On w tę świętą noc „ujął się za sługą swoim Izraelem” (Łk 1, 52 nn).

„Ujął się” za sługą swoim Izraelem. „Ujął się”? Rzeczywiście się ujął za sługą swoim Izraelem?

Z perspektywy Wieczernika i Golgoty, i świętej nocy Zmartwychwstania usiłuję

przeniknąć myślą i sercem przeczytany przed chwilą fragment Księgi Wyjścia. I ogarnia mnie bojaźń.

Tamta noc była nocą Bożej sprawiedliwości i mocy. Krew niewinnego baranka paschalnego ratowała od śmierci, ponieważ Bóg nie jest obojętnością, lecz Miłością. On nie jest obojętnością i dlatego właśnie ogrania mnie bojaźń wobec wciąż trwającego oburzenia na cytowane słowa Psalmu 136.

Ogarnia mnie bojaźń, albowiem od tamtej nocy Paschalnej, gdy Niszczyciel „ominał domy Izraela”, **ileż było nocy i dni, ile miesięcy i lat, wreszcie – ile stuleci, gdy tych domów nie omijał.** To, co działo się w latach Zagłady Żydów, było przecież jedynie apogeum czegoś, co trwało w świecie chrześcijańskim przez XIX wieków.

W roku 1944 pisał protestant, Karl Barth: „Bezmyślne, obłudne prześladowanie żydowskiego ludu jest dla nas obrazem «Cierpiącego Sługi», o którym pisał Izajasz prorok, «cierpiący i ofiarowany za innych». Czyż oblicza owych Żydów z Niemiec, Francji, Polski, Węgier, których rozstrzeluje się, grzebie żywcem, wywozi bydłocym wagonami, by ich wreszcie podusić w komorach gazowych, czyż te oblicza nie ukazują nam *niejako w zwierciadle* oblicza samego Jezusa Chrystusa? Czyż te fakty nie są jakimś objawieniem, jakimś listem, jakimś słowem, jakimś doświadczeniem Boga? Czyż jest możliwe, aby wspólnota chrześcijańska nie wiedziała o co chodzi? Czyż chrześcijanin nie powinien upaść na kolana, aby krzyczeć: «Ty, który wzięłeś na siebie grzechy świata, zmiłuj się nad nami». W cieniu prześladowanych i masakrowanych Żydów jesteś Ty sam. To Ciebie jeszcze raz odrzucno. Te okrutne wydarzenia pokazują raz jeszcze twoją samotną śmierć. To jeszcze raz, jak przed dwoma tysiącami lat, kiedy Bóg dał swego Syna dla nas, to znowu Chrystus w tragicznym losie jego siostr i braci jest poniewierany”¹.

¹ Cytuje za M. Remaud, *Israël serviteur de Dieu*, Jerozalem 1996, s. 37.

W tym samym 1944 r. pisał katolik, Jacques Maritain: „Wydarzeniem centralnym, o bez wątpienia największym znaczeniu, tak z punktu widzenia filozofii, jak i historii (losów ludzkich), jest fakt, że za naszych dni cierpienie Izraela przybiera coraz wyraźniej postać krzyża”.

Proszę mi pozwolić, że dodam jeszcze od siebie: Żyd lat wojny nie miał wątpliwości, po czyjej stronie był w owym czasie Jezus z Nazaretu; w każdym razie nie miała takich wątpliwości moja rodzona Matka.

Od tamtych przerażających wydarzeń minęło już pół wieku, a głębokiej więzi pomiędzy chrześcijaństwem i ludem Starego Przymierza wciąż, niestety, nie rozumie wielu spośród nas, chrześcijan.

Powtarzam, to nie o Izrael chodzi, chodzi o Jedyne Boga, tego, który tak umiłował świat, że dał swego Syna. Dał Go w Izraelu: „zrodzonego z Niewiasty, zrodzonego pod Prawem (Ga 4, 4). Nie ma chrześcijaństwa bez Jezusa Chrystusa, ale nie ma Jezusa Chrystusa bez Izraela. On jest światłem na oświecenie Pogan, ale jest najpierw i na wieki również chwałą Izraela (por. Łk 2, 32).

Z perspektywy Wieczernika i Golgoty, i świętej nocy Zmartwychwstania usiłuję przeniknąć myślą i sercem przeczytany przed chwilą fragment Księgi Wyjścia. I chyba Zgromadzeni rozumieją, dlaczego ogarnia mnie bojaźń.

Któż bowiem zapłaci za niewinnie wylaną krew? Nie tylko tę wylaną w latach fizycznej eksterminacji Żydów w czasie ostatniej wojny. Kto zapłaci za krzywdy wyrządzone przez pseudoteologiczne błędy Bogobójstwa, zastępstwa, czy odrzucenia, za kwas nienawiści, antyjudajizmu i antysemityzmu, wygenerowany i podtrzymywany w środowisku chrześcijańskim przez XIX wieków?

Ogarnia mnie bojaźń. Ale moja bojaźń nie wiedzie ku rozpacz. „Strasliwe przesładowania, których ofiarą, w różnych okresach historii, padali Żydzi, otworzyły

w końcu oczy wielu ludziom i wstrząsnęły sercami” – są to słowa Następcy Piotra Apostoła, Biskupa Rzymu, Jana Pawła II; przez zacytowane słowa pierwszego nauczyciela i świadka wiary przeziara nadzieja. Wraz z nauczaniem Soboru Watykańskiego II, wraz ze słowami i czynami Jana XXIII, Pawła VI, a zwłaszcza Jana Pawła II, „przekraczam próg nadziei”. Jak bowiem nie dziękować Wszechmocnemu za to otwarcie wielu oczu, za wstrząs wielu serc; jeszcze nie wszystkich, ale przecież wielu...

Perspektywę nadziei otwiera również fakt, że jesteśmy tu dziś razem: Żydzi i chrześcijanie wielbiący Jedyne Boga. Jak można nie dziękować za to Wszechmocnemu! Jak można z głębi serca nie zawołać do naszych starszych Braci w wierze: dziękujemy za Waszą między nami obecność. **DZIĘKUJEMY!** W naszych sercach następują zmiany: chcemy oczyścić naszą pamięć, chcemy zmienić nasze postępowanie...

Przygotowaniem do nocy paschalnej miało być usunięcie tego, co zepsute, co skwaśniałe. Czytamy: „Już w pierwszym dniu usuniecie wszelki kwas z domów waszych [...] (Wj 12, 15).

Usuniemy, Panie, z naszych domów, z naszych umysłów i serc kwas antyjudajizmu i antysemityzmu. Miejsce głupiej zazdrości o pierwszeństwo przed Panem zastąpimy serdeczną modlitwą za Lud, który w Abrahamie TY Sam ukształtowałeś, poniekąd stworzyłeś i umiłowaleś, za lud, do którego „należą przybrane synostwo i chwała, przymierza i nadanie Prawa, pełnienie służby Bożej i obietnice. [...] z nich również jest Chrystus” (Por. Rz 9, 4-5).

*Dziękujemy Ci, Ojcze nasz,
za święty winny szczep Dawida,
sługi Twego,
Który nam poznać dałeś przez Jezusa,
sługę swego.
Tobie chwała na wieki.*

Amen.

Abp Józef Życiński

W stronę wspólnych korzeni.

Słowo na zakończenie Dnia Judaizmu

**Doświadczenie
wspólnoty jest
dziś dla nas
doświadczeniem
wędrowki w stro-
nę głębi, w stronę
ukrytych głębo-
ko korzeni, które
nas jednoczą. Ci,
którzy płytko
patrzą, nie po-
trafią dostrzec
wspólnoty korze-
ni, z jakich wy-
rastamy. Ich
uwaga koncen-
tuje się tylko na
liściach albo na
kwiatach. Nie
potrafią patrzeć
głęboko.**

Dziękuję wszystkim obecnym za to, że podejmujecie...ró... ..e_w_nie Bis...up... zg...mad...ych... ..tatnim Synodzie Europy, jak i apel Jana Pawła II, aby Tydzień Powszechnej Modlitwy o Jedność Chrześcijan poprzedzać Dniem Judaizmu. Było dla mnie wielką radością, gdy podczas Synodu właśnie Polska i Włochy zostały wymienione jako kraje, gdzie inicjatywa papie-ska została podjęta w sposób szczególny przez wiele ośrodków duszpasterskich. Wyrażając tę radość, witam serdecznie naszych starszych braci w wierze, którzy...rzyb...li z Warszawy, aby... ..sm... ..mogli trwać na modlitwie w dzisiejszy wieczór. Ta modlitwa ma tworzyć klimat rodzinny. W rodzinie może być różny nastrój. Są rodziny zdominowane przez pretensje i konflikty. I nie-raz tak było również między nami. Teraz jednak w du-chu *Nostra aetate* chcemy szukać tego, co nas łączy. Przede wszystkim musimy pamiętać o naszej wspólnej wierze w jednego Ojca, wyrażanej choćby w pięknej...ra 'ycji mo "itwy psa'mam', 't 're ta' 'e i dzi ' pomogą nam złączyć się w modlitwie. Trzeba nam wspólnie szukać tego, co może służyć budowie piękniejszego świata, gdzie człowiek – istota stworzona przez Boga... ..o...i – ja... ..sę,centr lna w... ..ś... ..ś... ..stworzeń. Cieszę się, że tak wielu wiernych z Lublina przyjęło zaproszenie i przybyło, by modlić się wspólnie w tym mieście, w którym Żydzi wpisali się w historię i tradycję w sposób szczególny, swoim działaniem i swoim cierpieniem... Gromadzimy się na modlitwie w Metropolitalnym Seminarium Duchownym, które formować będzie przyszłych kapłanów tworzących kli-mat dialogu i jedności. Na progu XXI wieku będą oni w swej kapłańskiej posłudze realizować kapłaństwo otwarte, inspirowane wielką wizją Soboru Watykań-skiego II, zawartą w *Nostra aetate*, ukazywaną w naucza-niu i praktyce pasterskiej Jana Pawła II.

Dzień Judaizmu

Tyle piękna jest w tej wspólnotowej modlitwie jednoczącej starszych i młodszych braci. To piękno ma swój dodatkowy urok, gdyż nasze dzisiejsze spotkanie przygotowane zostało przez młodą generację mieszkańców Lublina, chodzących po tych ulicach, które niegdyś przecierały stopy Żydów. Ci ostatni odeszli stąd, wpisując swe imiona w dramaty historii. Doświadczenie wspólnoty jest dziś dla nas doświadczeniem wędrówki w stronę głębi, w stronę ukrytych głęboko korzeni, które nas jednoczą. Ci, którzy patrzą płytko, nie potrafią dostrzec wspólnoty korzeni, z jakich wyrastamy. Ich uwaga koncentruje się tylko na liściach albo na kwiatach. Nie potrafią patrzeć głęboko. Dlatego istnieje tyle nieporozumień, tyle konfliktów, gdyż osoby powołujące się na tradycję chrześcijańską bywają czasem odległe od zrozumienia tych słów, które przed chwilą powtarzaliśmy w modlitwie za Janem Pawłem II, prosząc, aby chrześcijanie zrozumieli wielkość cierpień narodu żydowskiego. Starając się żyć tą wizją, którą ukazuje nasz wielki rodak, musimy przezwyciężać wiele uprzedzeń, stereotypów, schematów. Na miejsce ideologicznych obciążeń musimy wprowadzać klimat rodziny, w której do tego Boga, który nas jednoczy, możemy wołać wspólnie: „Ojcze!”. Znamienne jest to, że teologowie, reprezentujący zarówno chrześcijaństwo, jak i judaizm, mówią, że samo określenie „bracia” nie wystarczy, by wyrazić więź między judaizmem a chrześcijaństwem. Ze strony żydowskiej Chaim Perlmutter, zaś ze strony chrześcijańskiej ks. John Pawlikowski, twierdzą, że jesteśmy braćmi bliźniakami. To już nie jest tylko braterstwo, ale ta dodatkowa silna więź wspólnoty losów sprawia, że mimo różnic jesteśmy związani wspólnotą tej wielkiej tradycji, gdzie szlakiem Abrahama kroczymy codziennie między naszym Ur a Kanaanem, przeżywając napięcia, zmagając się z ciemnością, starając się podtrzymywać nadzieję wbrew nadziei...

Ilekoć każdy z kapłanów sięga każdego dnia po brewiarz, włącza się w tę wielką

Dawidową tradycję, która tak silnie jednoczy w modlitwie obydwu braci bliźniaków. Ta tradycja staje się rzeczywistością. Mieszkający blisko Hajfy Ryszard i Lucyna Montusiewiczowie (korespondenci Katolickiej Agencji Informacyjnej), kiedy składali mi niedawno wizytę, opowiadali o problemach swojej rodziny oraz ich ósemki dzieci, które tam wychowują. Na pytanie, jak są tam traktowani przez mieszkańców Izraela, odpowiedzieli, że nadzwyczajnie życzliwie i to z motywacją teologiczną. Słyszą bowiem od swoich żydowskich sąsiadów: „My też kiedyś żyliśmy w Egipcie, w obcym, odległym kraju. Też potrzebowaliśmy serca i życzliwości. Dobrze wiemy, jak drogi jest dla obcokrajowców każdy znak dobroci płynącej z głębi serca”. To osadzenie we wspólnej wielkiej tradycji i ta wędrówka w świat duchowej głębi aż do korzeni, sprawia, że możemy przezwyciężać uprzedzenia i stereotypy, które bardzo często usiłowano wprowadzać na teren naszej rodziny.

Wśród tych uprzedzeń, które wciąż spotykamy mimo tylu lat, jakie upłynęły od Deklaracji Soborowej *Nostra aetate*, najczęściej można spotkać schemat, w którym Żydów wciąż jeszcze próbuje się obarczać odpowiedzialnością za skazanie na śmierć Chrystusa i odwołuje się do słów: „Krew jego na nas i na dzieci nasze” (Mt 27, 25). Sam wielokrotnie słyszałem tego typu interpretacje. Musimy mieć świadomość, że jeśli ktoś, znany jako awanturnik czy intrygant, rozwinie jakąś intrygę i powie, że on to robi jako Polak i patriota, nie ma wtedy powodu, aby go uważać za reprezentanta narodu polskiego, czy za wzorcowego patriotę. Tak samo i tamci, którzy zorganizowali farsę procesu, nie mogli występować w imieniu całego narodu żydowskiego. Nie ma więc powodu, by do ich słów i deklaracji przywiązywać większą wagę.

Czymś, co prowadzi do wielu nieporozumień jest teoria zastępstwa narodu żydowskiego przez chrześcijan. Teoria ta wynika raczej z przesłanek politycznych niż teologicznych. Jej popularność związana była z wojną żydowską, kiedy to inaczej

zachowywali się w walce z okupantem rzymskim Żydz, którzy pozostali wierni swej tradycji, a inaczej ci Żydz, którzy w Chrystusie rozpoznali Mesjasza. Tło polityczne rzutowało w dużym stopniu na przekonanie, że Naród Wybrany skończył swoją misję i został zastąpiony przez chrześcijan. Tymczasem z dala od Jeruzolimy, w tych środowiskach, gdzie wojna i czynnik religijny nie odgrywały tak wielkiej roli, jeszcze w trzecim wieku można było znaleźć wspólnoty Żydów i chrześcijan gromadzących się razem na odmawianiu psalmów. Nowe badania Robina Scroge czy Antoniego Sanderiniego ukazują tę wspólnotę, która jednoczyła na modlitwie wyznawców judaizmu i chrześcijaństwa w trosce o wspólne korzenie, w trosce o wierność tradycji, z której wyrosło chrześcijaństwo.

Nasze miasto jest również naznaczone tą wielką tradycją, której powinniśmy być wierni, podtrzymując pamięć o tych wartościach, które są nam z wielu powodów bliskie. Mam przed sobą książkę polskiego Żyda, który w Stanach Zjednoczonych zdobył popularność jako literat. Był nim Isaac Bashevis Singer, autor *Sztukmistrza z Lublina*. Książka przedstawia historię Żyda, który wędrując z trupą artystyczną miał inną filozofię życia niż jego bracia w wierze. Wino, kobiety i śpiew wyrażały tę filozofię. Któregoś dnia bohater poszedł jednak do synagogi i popatrzył na Żydów śpiewających *Szma Israel*, wysłuchał recytacji błogosławieństw i poczuł, że coś rozpala się w jego duszy. Zobaczył wtedy błąd swojego życia, w którym powierzchowność była wartością najwyższą. Pomyślał wówczas, że to właśnie z *filakterii* promieniowała jakaś siła, która weszła w jego mózg, która odkryła ukryty świat, oświeciła ciemność, rozpała światło. To z tych modlitw wy-czuł, że istnieje Bóg, który widzi, który słyszy, który jest pełen miłosierdzia, dotrzymuje obietnic, przebacza grzechy, chce, abyśmy pokutowali, karze zło i wynagradza dobro. Istnieje inny świat, czuł to i powiedział sobie: muszę być Żydem. Żydem jak ci

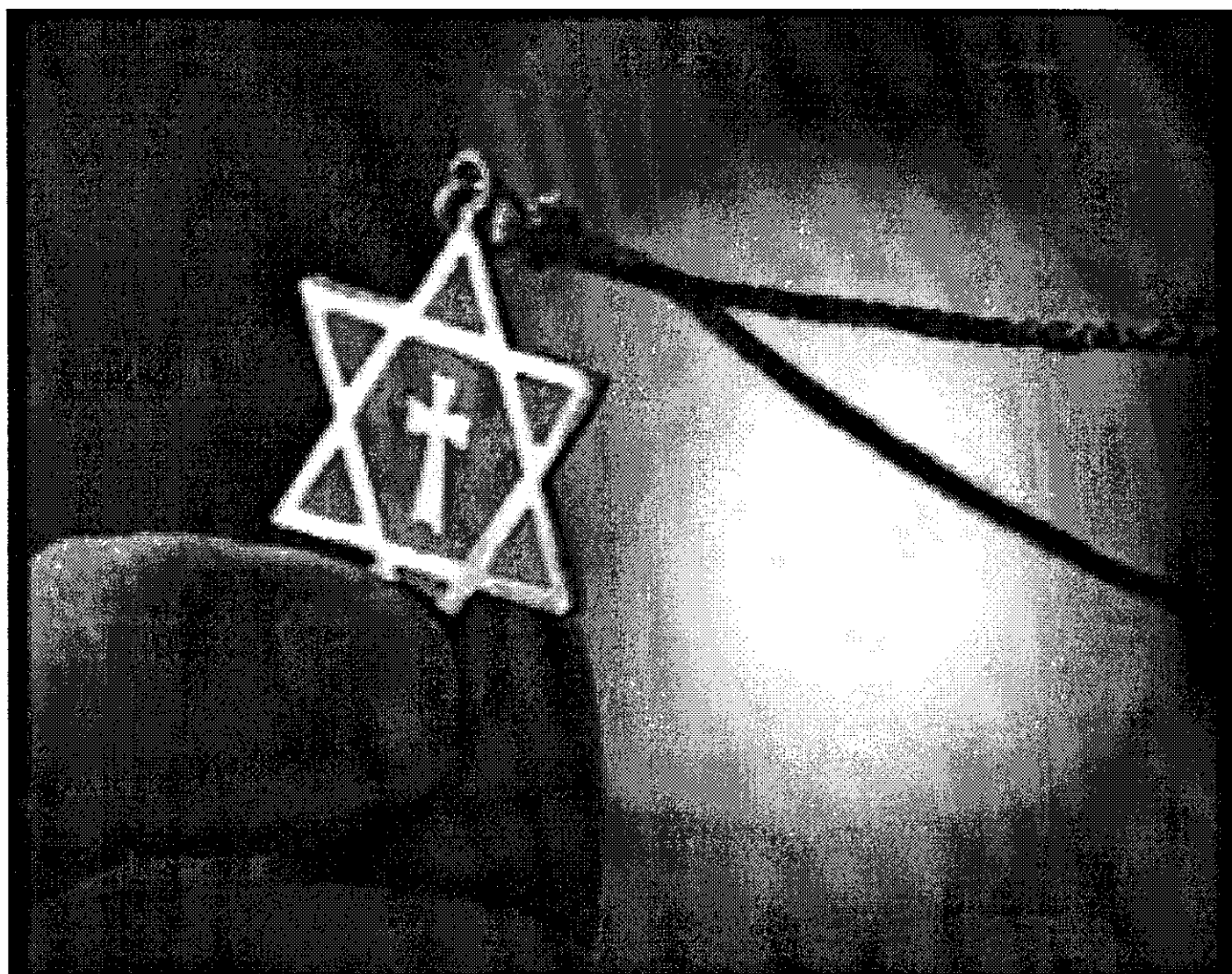
w synagodze. Dla Jaszy odnajdywanie świata korzeni, z których wyszedł, było również odnalezieniem świata bardziej ludzkiego niż ten powierzchowny świat jego teatralnego żywota.

Dziś, kiedy bardzo często wielu współczesnych usiłuje epatować nieznośną lekkością bytu, kiedy *happening* i przymrużone oko stają się naczelną filozofią życia, ta wspólnota tradycji judeochrześcijańskiej może stanowić ważną formę pogłębienia naszej odpowiedzialności za kulturę. Troszcząc się o te wartości, które były ważne dla rozwoju polskiej kultury, musimy szczególną wagę kłaść na znaczenie krwi męczenników. Na tę ziemię spadała krew i pot cierpiących Żydów. Z niej kierowali swe modlitwy do Boga i usiłowali przezwyciężyć swoją rozpacz wówczas, gdy Bóg zdawał się milczeć. Nam dziś nie wolno milczeć, kiedy usiłuje się twierdzić, że „cyklon B” służył w obozach tylko do celów higienicznych. Mieliśmy już patologię nauki uprawianą w przeszłości przez partyjnych historyków. Choćby wtedy, gdy usiłowali dowodzić, że nie wiadomo kto w Katyniu mordował Polaków. Dziś ta tradycja ma swych nieoczekiwanych kontynuatorów. Dlatego ważne jest, byśmy pamiętali o chrześcijańskiej odpowiedzialności za prawdę. Wielu dziś tę prawdę chce zniekształcać, szukając łatwej *publicity*. Traktować ich należy w ten sposób, jak ongiś traktowaliśmy ideologów Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu i Leninizmu. Ci, którzy reprezentowali patologię nauki, nie byli traktowani jako przedstawiciele środowiska akademickiego. Jeśli dziś pojawiają się prace, w których usiłuje się rozmywać prawdę o obozach koncentracyjnych, to recenzentów podobnych prac należy w perspektywie chrześcijańskiej odpowiedzialności za prawdę traktować jak tamtych profesorów z WUML. Nie jest to jednak tylko wyzwanie dla środowisk akademickich. My wszyscy współtworzymy klimat, w którym albo mamy poczucie dramatu polskiej historii, żydowskiej historii, naszej wspólnej historii, albo traktu-

jemy to wszystko z niefrasobliwością, lekceważąc tę Prawdę, która dla chrześcijan pojawia się jako Prawda uosobiona w Chrystusie.

W tej wielkiej perspektywie, którą ukazuje Sobór Watykański II, dziś chylimy czoła przed wielkim wspólnym dziedzictwem. Modlimy się, byśmy mogli dzisiejsze

spotkanie przekuć na język konkretów w naszej odpowiedzialności za wzajemną miłość, za ducha jedności, za przewagę wiary nad ideologią i polityczną poprawnością. Byśmy konsekwentną wędrówkę w stronę wspólnych korzeni potrafili rozwijać w duchu szacunku dla tych wartości, które zjednoczyły nas w ten wieczór.



fot. z filmu G. Linkowskiego „...wpisany w Gwiazdę Dawida – Krzyż”

Sebastian Rejak

Refleksje goja z Sederu

Przez wieki
Polacy
traktowali
określenie
«goj» jako
obelżywe,
a oznacza ono
po prostu
człowieka
nie należącego
do narodu
żydowskiego:
nie-Żyda.

Dlaczego według goja? Bo Żydem (niestety) nie jestem, ale gojem też nie uważam się. Przez wieki Polacy traktowali określenie „goj” jako obelżywe, a oznacza ono po prostu człowieka nie należącego do narodu żydowskiego: nie-Żyda. I ja właśnie jako goj, a dokładniej goj-Polak, miałem możliwość wzięcia udziału w sederze paschalnym gminy żydowskiej w Warszawie. Pascha, która koncentruje się wokół „cudu” przejścia, stała się sama w sobie „cudem dla mnie”. Od wielu lat marzyłem o tym, żeby zasiąść za stołem paschalnej wieczerzy razem z tymi, którzy wspominają wyjście ojców z Egiptu. Czytałem prawie wszystko, co wpadło mi w ręce, a dotyczyło paschy żydowskiej, czyli *pesachu* (hebr. *pasach* – „przejść, przeskoczyć, ominąć”). Pochłaniałem wiadomości na temat prastarych obchodów święta nomadów, obchodzonego przez Izraelitów święta przaśników (a także na temat okoliczności połączenia ich obu w jedno święto *pesach*). Czytałem zarówno passusy wyjaśniające etymologię słowa *pesach*, jak i pisane z egzegetycznym zacięciem opisy poszczególnych potraw, gestów i formuł modlitewnych. To długoletnie zainteresowanie było też na początku przejawem poszukiwań korzeni chrześcijaństwa. A może raczej poszukiwań jego rdzenia, który, jak miemam – czy słusznie, pozostaje kwestią otwartą – nie różni się znacząco od podstawowych założeń judaizmu. Dlatego moje *sederowe* refleksje w najmniejszym stopniu nie odzwierciedlają tego, co Polak (lub: co chrześcijanin) z paschy żydowskiej odczytać może... Są one zapisem wybitnie subiektywnych doświadczeń i skojarzeń, opartych na wcześniejszych poszukiwaniach. Tym bardziej, jako goj, mam świadomość, że moje wrażenia nie muszą korespondować z żydowskim rozumieniem *pesachu*.

Tak się złożyło, że w tym roku 14 Nisan (wigilia *pesachu*) przypadł 19 kwietnia – w 57. rocznicę wybuchu

Żydzi i chrześcijanie

powstania w Getcie Warszawskim. Uroczystość nie była jednak zdominowana duchem doloryzmu. Choć nie byłoby trudno powiązać powstanie z uciskiem i cierpieniem, jakiego Hebrajczycy zaznali w Egipcie. Na początku *pesachu* przypominano jednak, że dla Żydów cierpienie nigdy nie było wartością. Nie szukano go ani nie gloryfikowano. Poza tym *pesach* to święto radości i śmiechu, a nie smutku i płaczu...

Wszystko odbywało się według określonego porządku (*seder* znaczy „porządek”). Na każdym stole położono talerze z podstawowymi potrawami: pieczone jajka, maror (gorzkie zioła – pietruszka, sałata itp.), pieczone mięso, tarty chrzan i *charoset* (mieszanina siekanych orzechów, migdałów, rodzyneków, jabłek z dodatkiem cynamonu lub imbiru i odrobiny wina), a obok nich – naczynia ze słoną wodą. Najważniejszym „daniem” *pesachowego sederu* jest jednak maca, czyli placki chlebowe upieczone z niekwaszonego ciasta. Jeden talerz z macami przypadał na 3-4 osoby. Na talerzu ułożono trzy mace, oddzielone od siebie serwetkami, odpowiadające trzem warstwom społecznym dawnego Izraela: 1. Kohen (kapłani), 2. Lewi (lewici), 3. Izrael (lud Izraela). (Dziś już chyba nie przywiązuje się większego znaczenia do tej symboliki). Przy każdym nakryciu stoi kieliszek, który w trakcie *sederu* napełniany będzie czerwonym (oczywiście koszernym) Bordeaux.

Zanim rozpocznie się *pesachowy seder*, do kielichów nalewa się wino, a prowadzący (i ci, którzy potrafią to zrobić po hebrajsku) odmawia *kiddusz* – dziękczynienie nad winem. *BARUCH ATA ADONAJ ELOCHEJNU, MELECH HAOLAM...* Pochwalony bądź Panie, Boże nasz, Królu wszechświata – tymi słowami rozpoczynają się błogosławieństwa nad pokarmami i przedmiotami liturgicznymi. Potem wszyscy, opierając się na lewej ręce (gest oznaczający na Wschodzie wolność) wypijają więcej niż połowę pierwszego kielicha... Spożywamy nać pietruszki zanurzonej wcześniej w słonej wodzie...

Zauważyłem, że dwaj mężczyźni siedzący obok mnie zaczęli rozmowę. Po polsku, na szczęście. Pomyślałem: może się włączyć w którymś momencie? Kto chce, trzyma w ręku odbity na ksero tekst *hagady*, czyli opowiadania o Wyjściu (zasada czytania hebrajska: najpierw strona prawa, potem lewa, ale formuły modlitw są zarówno po hebrajsku, jak i po polsku). Próbuję śledzić tekst hebrajski, ale od dwóch lat nie miałem właściwie kontaktu z tym językiem, więc czasem nie nadążam za prowadzącym... Czytam polskie tłumaczenie... W międzyczasie trzeba wyjąć *micwę*, czyli środkową macę (Lewi), i przełamać na dwie nierówne części. Większa część nazywana jest *afikoman* i zostanie schowana (przed dziećmi) na koniec *sederu*. „Oto chleb nędzy, który jedli nasi przodkowie w kraju Micraim” (Egipt)... Rozglądam się po sali. Zorientowani w przebiegu *sederu* przełamują macę. Nie wiem co robić. Jestem gojem, więc się waham... W końcu pytam siedzących obok Żydów, czy możemy przełamać macę... Robię to wspólnie ze starszym panem zajmującym miejsce naprzeciw mnie. Mniejszy kawałek dzielimy na części. Znajduję jakiś pretekst i ujawniam, że jestem gojem. Obaj są chyba zaskoczeni. „Ale przecież pan wie co się tu dzieje, czyta pan po hebrajsku...” Wyjaśniam moją elementarną wiedzę i to, że ledwie znam alfabet – uczyłem się tego na studiach. „Studiował pan orientalistykę... albo religioznawstwo?” – pyta wyraźnie zainteresowany starszy z nich. Odpowiadam raczej niechętnie: „Coś w rodzaju religioznawstwa”. Potem w trakcie rozmowy przyznaję, że mam na myśli teologię. Zaczyna się poważna dyskusja. Wydaje mi się, że dla obu moich sąsiadów jestem ciekawym „zjawiskiem”: goj, który studiując katolicką teologię, uczył się hebrajskiego, wybrał się na żydowski *pesach*.

Nadchodzi czas „czterech pytań”. Dzieci pytają: „Czym noc ta różni się od wszystkich innych nocy?...”. Przypomina mi się refren *sederowej* pieśni, której czasami słucham z kasyty: (Moshe Koussevitzky z chó-

rem Bena Friedmana) *Ma nisztana ha-lajla ha-ze...* W klapę marynarki starszego pana wpięte są dwa odznaczenia. W trakcie rozmowy okazuje się, że był żołnierzem AK. (Przy okazji ja, Polak, zapycham luki edukacyjne z historii; dowiaduję się m.in. o różnicach światopoglądowych między AK i Narodowymi Siłami Zbrojnymi.) Zanim znalazł się w AK, ukrywał się między Lublinem a Warszawą. Wzmianka o Lublinie wzbudza moje zainteresowanie; w końcu to moje rodzinne miasto. Pytam czy mieszkał w Lublinie. Odpowiada, że tak: jeszcze przed wojną ukończył studia medyczne, a obecnie jest ostatnim żyjącym członkiem Lubelskiej Izby Lekarskiej z tamtego czasu. Opowiada o ulicach: Staszica (tam mieszkał w akademiku, obok szpitala dziecięcego), Świętoduska, Bernardyńska. Wymienia nazwiska przedwojennych biskupów lubelskich, których ja już teraz nie mogę sobie przypomnieć. On pamięta nawet sytuacje z nimi związane. Może rzeczywiście pamięć to szczególna cecha Żydów. Może dzięki temu są... i są Żydami? Zresztą sam *pesach* to takie rodzinne przypomnienie: „...gdybyśmy byli wszyscy mędrkami, wszyscy rozumnymi, wszyscy doświadczonymi, wszyscy znawcami nauki zakonu, obowiązkiem naszym jest opowiadać o wyjściu z Micraim, a każdy, który się rozwodzi w opowiadaniu o wyjściu z Micraim, godnym jest zaiste pochwały”.

Tymczasem napełniamy kielichy po raz drugi, odkładamy z talerza jajko i pieczone mięso. Za czasów świątyni jerozolimskiej, 14 Nisan, czyli w wigilię *pesachu*, ojciec rodziny na dziedzińcu świątynnym składał jednorocznego baranka w ofierze. Potem paschalny baranek był w całości pieczony i spożywany w gronie rodzinnym w czasie *sederu*. Po zburzeniu świątyni nie można było ofiarowywać baranka, więc na *pesachowym* stole zamiast niego pojawiły się drobne kostki baraniny. A mięsa na nich jak na lekarstwo, dlatego dzisiaj służą raczej jako symboliczna ozdoba niż jako potrawa. W niczym to jednak nie umniejsza poważnego, a zarazem ciepłego charakteru paschalnej

wieczery. Poszczególne fragmenty *hagady* czytają coraz to inne osoby: starsi i młodszy, kobiety i mężczyźni. Dochodzimy wreszcie do plag egipskich. Wymienia się dziesięć (ale Rabbi Eliezer utrzymywał, że każda z nich składała się z czterech, Rabbi Akiba – że nawet z pięciu – czytamy w *hagadzie*). Więc wymienia się nazwy dziesięciu plag: krew, żaby, plugastwo, dzikie zwierzęta, zaraza, trąd, grad, szarańcza, ciemność, porażenie pierworodnych. Każda z nich brzmi coraz głośniejsze, dobitniej. Myślę sobie: wyjście z niewoli – powód do radości, ale klęski spadające na innych? Tego nie rozumiem. Zresztą mój sceptycyzm i tak nie pozwala mi dosłownie traktować sformułowania, że plagi „zesłał Najświętszy, pochwalony On, na Egipcjan w Egipcie”. Żydzi i chrześcijanie chyba z równą oczywistością podchodzą do tradycji o plagach. Jest to tekst wprawiający w zakłopotanie czy nawet zdumienie, niezależnie od tego, w jakiej wspólnotie religijnej zostaje odczytany.

Ale... w czasie *pesachowego sederu* pojawia się niesamowity gest. Oto w chwilę po uroczystym wyrecytowaniu dziesięciu plag z kielicha napełnionego winem należy upuścić dziesięć kropel. Taka informacja pada z ust prowadzącego. Zastanawiam się co to ma oznaczać. Szybko otrzymuję objaśnienie. „Zanurzamy mały palec w kielichu z winem i upuszczamy z niego dziesięć kropel na różne potrawy, aby ulżyć Egipcjanom w ich niedoli, bo w ten sposób kielich ich goryczy się zmniejszy”. Nie wierzę własnym uszom... „Bo tak po ludzku to przecież im współczujemy” – dodaje prowadzący. Czegoś takiego jeszcze nie było. Spojrzenie na Egipcjan jako na ludzi potrzebujących współczucia. No, może nie było poza jednym wyjątkiem. W Talmudzie, w traktacie *Sanhedrin*, znajdujemy historię o tym, że kiedy Egipcjan zalały fale Morza Czerwonego, usługujące anioły pragnęły ofiarować Bogu pieśń tryumfalną. On jednak sprzeciwił się mówiąc: „Dzieło moich rąk zatoneło w morzu, a wy chcecie ofiarować mi pieśń?!”.

Śpiew *Dajenu*. Po hebrajsku. Prowadzący śpiewa zwrotki, a wszyscy razem – refren: *dajenu...* „już by wystarczyło nam...” Znowu przypomina mi się melodia w wykonaniu Koussevitzkiego; dzięki temu włączam się w czasie refrenu. Czuję jakąś więź z tymi, którzy zgromadzili się na *pesachu*. Ale zastanawiam się... „wystarczyło nam...?” To znaczy komu? Kilka stron dalej tekst *hagady* daje odpowiedź. „W każdym wieku Izraelita powinien się tak uważać, jak gdyby sam został wyzwolony z niewoli egipskiej... nie samych tylko ojców naszych wybawił Najświętszy, niech będzie pochwalony, lecz i nas wraz z nimi wybawił... On wyprowadził nas z niewoli do swobody...”

Prowadzący intonuje po hebrajsku pierwszą część *Hallelu* (Egipskiego): Psalm 113 i 114. Po kilku wersetach następuje recytacja po polsku: „Halleluja! Chwalcie słudzy Wiekuistego... Gdy Izrael wyszedł z Egiptu...” Ktoś dziwi się, że *Hallel* odmawiany jest po polsku... Rozumiem to zdziwienie. To przecież jeden z najważniejszych momentów *pesachowego sederu*. Ale rozumiem też tych, którzy słabo znają hebrajski albo w ogóle nie znają tego języka, dlatego wolą posługiwać się polskim. Dla własnego pożytku. Po hymnie ponownie odmawia się *kiddusz* nad winem i wypija kielich. Potem macza się gorzkie zioła w słodkim *charoset*. „Gorzkie zioła, które jemy, na jaką one są pamiątkę? Są one na pamiątkę tego, że Egipcjanie zaprawili gorczą życie naszych ojców w Egipcie...”

Kończy się część *sederu* o charakterze w znacznej mierze religijno-liturgicznym, a zaczyna się kolacja. Nasza rozmowa toczy się dalej. Obaj panowie próbują dowiedzieć się skąd u mnie takie zainteresowania – żydowską kulturą, judaizmem. Jak zwykle trudno jest odpowiedzieć, dlaczego człowiek interesuje się tym, a nie czym innym. Dodaję, że teraz zajmuję się studiami nad Holocaustem. Rad nie rad, gdy spotyka się Polak z Żydem, ten temat jest chyba nieunikniony. Poza tym minęło dopiero 55 lat. Wszyscy pamiętamy, nawet ci, którzy mają słabą pamięć. Młodszy z moich sąsiadów ożywia się w tym momencie. Ktoś z jego rodziny w czasie powstania w 1943 przebywał w getcie. Ukrywał się tam aż do października; był jednym z ostatnich, którzy opuścili to miejsce. Wydaje mi się, że źle usłyszałem... „Przecież pacyfikacja getta zakończyła się w połowie maja.. to gdzie można się było tak długo ukrywać?” – „W gruzach, zgłiszczach, w istniejących jeszcze kryjówkach... dopóki starczyło zapasów żywności” – słyszę odpowiedź. Więcej o tym nie rozmawiamy.

Według tekstu *hagady*, pod koniec *sederu paschalnego* składa się sobie nawzajem życzenia *lszana habaa bjiruszalaim...* (w następnym roku w Jerozolimie).

W przyszłym roku w Warszawie... Z tymi samymi ludźmi, których imion nie znam... Przy tym samym *sederowym* stole...



fot. z filmu G. Linkowskiego „Ballada chasydzka o Nowym Roku”

Sławomir J. Żurek

Na gruncie dialogu. O kolokwium chrześcijańsko-żydowskim w Sztokholmie

**Dwa tysiące lat
od śmierci
Chrystusa
i pięćdziesiąt
lat po
Holokauście,
nikt w Europie
nie może już
pozwolić sobie
na obojętność
czy
neutralność
wobec
potrzeby
porozumienia
chrześcijańsko-
żydowskiego.**

„Nagłący charakter i znaczenie nauczania, które musi być przekazywane na temat judaizmu naszym wiernym, jak również fakt, że musi być ono precyzyjne, obiektywne i dokładne, wiąże się z niebezpieczeństwem antysemityzmu, który zawsze gotów jest pojawić się w różnych formach na nowo. Chodzi nie tylko o wykorzenienie z umysłów naszych wiernych resztek antysemityzmu, które jeszcze tu i ówdzie można spotkać, lecz zwłaszcza o pogłębienie, poprzez ten wysiłek wychowawczy, dokładnej znajomości szczególnej «więzi» (por. *Nostra aetate*, 4), która nas jako Kościół wiąże z Żydami i z judaizmem, oraz o uczenie szacunku i miłości do nich, ponieważ zostali wybrani przez Boga do przygotowania przyjścia Chrystusa i ponieważ, mimo trudności w uznaniu Go za swego Mesjasza, zachowali to wszystko, co zostało stopniowo objawione i dane w trakcie owego przygotowania”.

(*Żydzi i judaizm w głoszeniu Słowa Bożego i katechezie Kościoła katolickiego*, I, 8)

W dniach od 8 do 10 marca 2000 r. w Sztokholmie odbyło się drugie polsko-szwedzkie kolokwium „Żydzi i chrześcijanie w dialogu” organizowane przez redakcję katolickiego miesięcznika „Więź” oraz Södertörn University College ze Sztokholmu, przy współpracy z polskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych oraz Instytutem Szwedzkim. Obrady odbywały się w gościnnym gmachu Polskiego Instytutu w Sztokholmie, a także w auli Wydziału Humanistycznego tamtejszej wyższej uczelni. Tematem przewodnim sztokholmskiego seminarium były trzy hasła: „Tożsamość – Tolerancja – Zrozumienie” (Identity – Tolerance – Understanding).

Udział w konferencji wzięli przede wszystkim badacze problematyki dialogu chrześcijańsko-żydowskiego z polsko-szwedzko-amerykańskich kręgów uniwersytec-

Żydzi i chrześcijanie

kich, jak i animatorzy życia religijnego oraz działań edukacyjnych z Europy i Ameryki. Ciekawy dobór referentów oraz sprawność w poprowadzeniu całego seminarium zawdzięczać można głównym organizatorom międzynarodowego spotkania – Agnieszce Magdziak-Miszewskiej z „Więzi” oraz Michałowi Bron (Jr) z Södertörn University College.

Tolerancja

Pierwszy krąg sztokholmskich referatów poświęcony został tematyce tolerancji. Prof. David Gaunt z Södertörns Högskola mówił o rzeczywistych dylematach osób, które dziś, mimo ksenofobii, szerzącej się w coraz to innych częściach Starego Kontynentu, pragną pozostać wiernymi ideałowi poszanowania wolności drugiego człowieka. Od jakiegoś czasu widać wyraźnie, że pojęcie „tolerancja” pozostaje tu i ówdzie jedynie niespełnioną obietnicą różnych środowisk politycznych współczesnego świata, które w momencie przejęcia władzy realizują program często odmienny od deklaracji przedwyborczych. Gaunt przypomniał, iż to właśnie brak tolerancji dał początek eskalacji nienawiści wobec Żydów w okresie Holokaustu. Ważnym głosem w tej części konferencji było wystąpienie katolickiego biskupa Sztokholmu ks. Andersa Arborelius OCD, pokazujące Edytę Stein, wybitnego fenomenologa i myślicielę, Żydówkę, która przeszła na katolicyzm, jako nową patronkę jednoczącej się, choć wciąż jeszcze podzielonej Europy. W tym kontekście postawa s. Benedykty od Krzyża stała się przykładem świadectwa umiłowania idei wolności i akceptacji drugiego, rzadkich w systemie totalitarnym.

Zarówno wykład biskupa Arborelius, jak i referaty kolejnych prelegentów – prof. Ireneusza Krzemińskiego z Uniwersytetu Warszawskiego o antysemityzmie w Polsce oraz Paula A. Levinea z Uniwersytetu Uppsalskiego na temat szwedzkiego podręcznika o Holokauście „Tell ye your children” wzbudziły najwięcej kontrowersji wśród uczestników seminarium. Okazało się po

raz kolejny, że tematyka Zagłady, ponad pięćdziesiąt lat po Holokauście jest nadal zarówno dla strony polskiej, jak i żydowskiej, a także szwedzkiej i amerykańskiej kwestią niezwykle trudną – swoistą niezagojoną, otwartą raną, krwawiącą nawet z perspektywy neutralnej od wieków Szwecji. Uczestnicy obrad zgodzili się z tym, iż we współczesnym dialogu chrześcijańsko-żydowskim przeszkadza przede wszystkim brak rozliczenia się z Zagładą różnych środowisk i państw w Europie, jak również narosłe stereotypy dotyczące miejsca i roli Żydów w historii. Proces ten utrudniało również długie milczenie Kościołów chrześcijańskich wobec Zagłady (dopiero niedawno przerwane). Główne postulaty pojawiające się w dyskusjach dotyczyły więc w dużej mierze potrzeby edukacji do tolerancji nowych pokoleń Europejczyków.

Tożsamość

Jedną z odpowiedzi na narosłe od wieków nieporozumienia są niewątpliwie prezentowane w Sztokholmie programy edukacyjne (rządowe i pozarządowe), realizowane głównie w Polsce, służące pojednaniu chrześcijańsko- i polsko-żydowskiemu: prof. Wiesław Theiss („Polsko-żydowska przeszłość. Od historii do edukacji”), Agnieszka Magdziak-Miszewska („Polityka polskiego rządu na rzecz dialogu polsko-żydowskiego”) oraz ks. Alfred Wierzbicki („Archidiecezjalne Centrum Dialogu Katolicko-Żydowskiego w Lublinie”). Ciekawą częścią sztokholmskiego kolokwium były również referaty dotyczące doświadczeń ze współpracy z organizatorami i uczestnikami Marszu Żywych w Oświęcimiu (o. Marek Nowak OP).

Spotkanie chrześcijańsko-żydowskie wypełniła także problematyka ekumeniczna w wymiarze międzyreligijnym i eklezjalnym. O potrzebie poszukiwań wspólnego języka, niezbędnego w dialogu ekumenicznym, mówił rabin Jules Harlow z Nowego Jorku. Natomiast konieczność otwarcia na problematykę judaistyczną w ramach swo-

ich Kościołów postulowali Arcybiskup Jan z Kościoła Prawosławnego Finlandii oraz biskup Biörn Fjärstedt z Luterńskiego Kościoła Szwecji.

Można więc było zauważyć, śledząc kolejne wystąpienia, jak niezmiernie ważną kwestią dla współczesnej generacji Europejczyków staje się u progu Trzeciego Tysiąclecia potrzeba tożsamości kulturowej, która w przypadku chrześcijan w dużej mierze dotyczy poznania judaizmu – żydowskich korzeni Jezusa. Potęgą kulturowa Europy budowana była przez wieki w oparciu o doświadczenie różnorodności mieszkańców Starego Kontynentu oraz ich świadomej samoidentyfikacji.

Zrozumienie

Ostatnia część prezentowanych tekstów dotyczyła potrzeby budowania nowych relacji chrześcijańsko-żydowskich. Helena Datner, przewodnicząca Warszawskiej Gminy Żydowskiej przedstawiła główne kierunki rozwoju żydowskiej wspólnoty wyznaniowej w Polsce po 1989 roku oraz jej otwarcie na dialog. Navah Harlow ze Stanów Zjednoczonych podzieliła się doświadczeniami z realizowanego projektu edukacyjnego dotyczącego dialogu młodzieży polskiej, szwedzkiej i żydowskiej z dwóch miast-stolic europejskich: Sztokholmu i Warszawy. Sławomir Żurek z Kato-

lickiego Uniwersytetu Lubelskiego zaprezentował program multimedialny „Brama Pamięci”, realizowany w Ośrodku „Brama Grodzka – Teratr NN” w Lublinie przez pracowników tej instytucji oraz lubelskich akademików, studentów, nauczycieli i młodzież licealną. Projekt ten służyć ma przede wszystkim odtworzeniu wśród mieszkańców miasta świadomości polikulturowości polsko-żydowskiego niegdyś Lublina. Warto przy okazji zauważyć, że w seminarium udział wzięło aż dwóch prelegentów z tego miasta, przedstawiając odmienne, ale równie fascynujące inicjatywy. Może warto byłoby w przyszłości, kontynuując tego typu spotkania, pomyśleć o nowym miejscu i zwołać obrady w „Małej Jerozolimie”, jak niegdyś mówili o Lublinie europejscy Żydzi?

Sztokholmska konferencja pokazała przede wszystkim jak wiele dobrego dzieje się w Polsce i w Szwecji na rzecz propagowania dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, a także to, że dziś, dwa tysiące lat od śmierci Chrystusa i pięćdziesiąt lat po Holokauście, nikt w Europie nie może już pozwolić sobie na obojętność czy neutralność wobec potrzeby porozumienia chrześcijańsko-żydowskiego, tak ważkiego etapu w procesie budowania kulturowej tożsamości europejskiej.



fot. z filmu G. Linkowskiego „Ballada chasydzka o Nowym Roku”

Program nabożeństw ekumenicznych

w Lublinie na rok 2000:

17 lutego
czwartek, godz. 18.00

*Kościół Rzymskokatolicki,
ul. Laury 1 (kaplica Księży Paulistów)*

14 czerwca
środa, godz. 17.00

*Kościół Polskokatolicki,
ul. Kunickiego 9*

11 marca
sobota, godz. 17.00

*Starokatolicki Kościół Mariawitów,
ul. Paganiniego 1*

19 października
czwartek, godz. 18.00

*Kościół Chrześcijan Baptystów,
ul. Kochanowskiego 38^A*

12 kwietnia
środa, godz. 18.00

*Kościół Zielonoświątkowy,
ul. Tatarska 5*

15 listopada
środa, godz. 18.00

*Kościół
Ewangelicko-Augsburski,
ul. Ewangelicka 1*

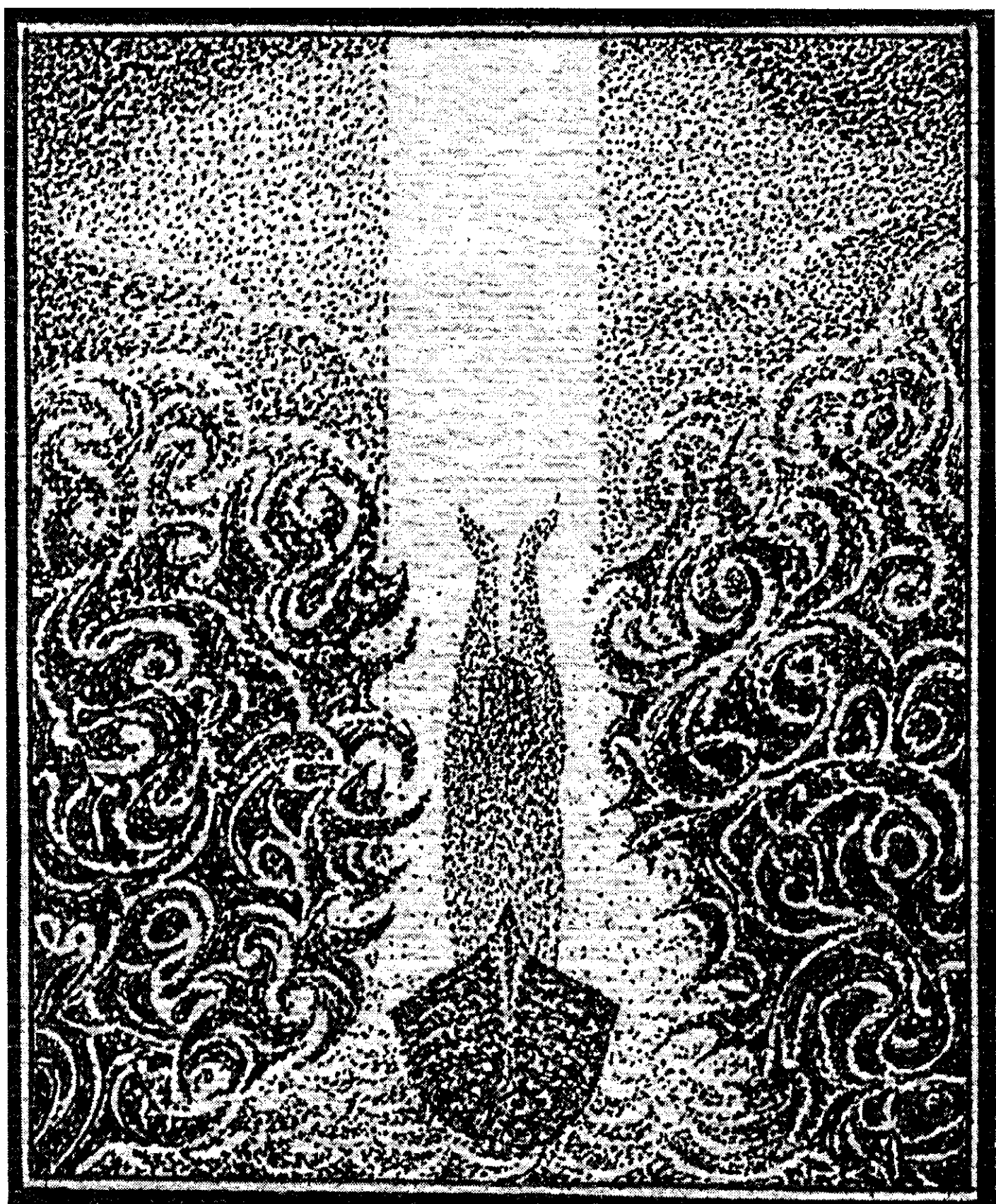
12 maja
piątek, godz. 17.00

*Polski Autokefaliczny
Kościół Prawosławny,
ul. Rуска 15*

16 grudnia
sobota, godz. 17.00

*Kościół Rzymskokatolicki,
ul. Kochanowskiego 34
(kaplica Sióstr Misjonarek Św. Rodziny)*

Opracował: Andrzej Michniewicz



rys. R. Ruzik

Wydarzenia ekumeniczne Roku Jubileuszowego

Regina Grzeszkiewicz

Pielgrzym.

Jan Paweł II w Izraelu:
21-26.03.2000.

Efraimowi Farber¹

Papież nie ograniczył się tylko do odwiedzenia Ziemi Świętej, ale złożył oficjalną wizytę dwóm naczelnym rabinom Izraela, oddał hołd 6 milionom Żydów – ofiarom Holocaustu, modląc się w krypcie w Yad Vashem, odbył modlitwę przed Ścianą Płaczu i włożył – zwyczajem żydowskim – pomiędzy jej kamienie *kvittech* – kartkę z prośbą do Wiekuistego o przebaczenie grzechów Kościoła, popełnionych wobec Narodu Wybranego.

*tak daleko rebe odszedłeś
kto mi wyjaśni
zawile strony Talmudu
kto w zimowy wieczór rozdzieli
blask chanukowej lampki
pomiędzy tęsknotę a oczekiwanie na cud
u twego podnóżka
cisza kotysze pajęczynę
stary pajak leniwe kości
poukładał w słońcu
w gałęziach drzew
zasypia wiatr
idzie ku jesieni
mój rebe dlaczego ty odszedłeś*

(Regina Grzeszkiewicz,
z cyklu „Żydom szczepreskim”)

„Papież wywarł na nas wielkie wrażenie swoją uprzejmością, ciepłem i miłością do narodu żydowskiego...”².

Słowa te – które otrzymałam od mojej przyjaciółki z Izraela – czyta się z przyjemnością i... dumą. Papież Polak i Żydzi – dwa odrębne zagadnienia, dwa tematy do dyskusji. Wielowiekowe potępienie, przez Kościół Rzymskokatolicki, członków Narodu Żydowskiego za to tylko, że są Żydami i nagły zwrot, sympatia, miłość...

¹ Efraim Farber († 1999) – Żyd szczepreski. Jego staraniem ukazała się *Księga Pamięci Gminy Szczepreskiej* w wersji hebrajsko-żydysz. Są to p... i i p... i... y..., ...ó zy żył... cz..., ... r... II wojną światową. Egzemplarz Księgi przechowywany jest w zbiorach Biblioteki Miejskiej w Szczepreszynie.

² Wypowiedź Rosy Farber, zamieszkałej w Kiriat Yam (Izrael), w prywatnej korespondencji do autorki artykułu.

Pielgrzymka, jaką odbył Jan Paweł II do Izraela, stanowi niewątpliwie wydarzenie bez precedensu. Żaden z papieży przed nim, a było ich wielu, nigdy nie zdecydował się na takie kroki: papież nie ograniczył się tylko do odwiedzenia Ziemi Świętej, ale złożył oficjalną wizytę dwóm naczelnym rabinom Izraela, oddał hołd 6 milionom Żydów – ofiarom Holocaustu, modląc się w krypcie w Yad Vashem, odbył modlitwę przed Ścianą Płaczu i włożył – zwyczajem żydowskim – pomiędzy jej kamienie *kvitlach* – kartkę z prośbą do Wiekuistego o przebaczenie grzechów Kościoła, popełnionych wobec Narodu Wybranego. „Był pierwszym papieżem, który otwarcie poprosił o przebaczenie wszystkich prześladowań dokonanych na naszym narodzie przez stronę chrześcijańską. To była ważna deklaracja i byliśmy bardzo wzruszeni...”³. Prośbę o przebaczenie skierował papież nie bezpośrednio do Żydów, i to było bardzo mądre posunięcie z jego strony, ale do samego Boga. „Nikt bowiem z żyjących dziś na świecie Żydów nie byłby uprawniony do przyjęcia lub odrzucenia takiej papieskiej prośby o przebaczenie[...]. Skierowanie przez Jana Pawła II prośby o przebaczenie nie do potomków owych ofiar, ale do Boga, uwolniło ich od konieczności zajęcia wobec tej prośby konkretnego stanowiska”⁴.

To miłe i z pewnością historyczne wydarzenie, jakim była obecność papieża w Izraelu, zakłócone zostało drobnymi z pozoru incydentami, mającymi jednak głębszą wymowę – zamieszki w obozie palestyńskim w Dehajsze na terenie Autonomii Palestyńskiej, co tłumaczono rozczarowaniem Palestyńczyków, że papież mówił o „ojczyźnie” dla nich, a nie o „niepodległym państwie palestyńskim”, czy protesty władz palestyńskich w związku z zamknięciem sklepów arabskich usytuowanych przy uliczkach Starego Miasta w Jerozolimie, którymi wiodła Droga Krzyżowa, a którą Jan Paweł II chciał przejść przynajmniej na niewielkim odcinku⁵. Trwający od stuleci kon-

flikt arabsko-żydowski i tutaj dał znać o sobie. Tylko, że tym razem jego ostrze zostało skierowane przeciwko osobie papieża, a tym samym i Kościoła, który reprezentuje. Jak przyjął to Jan Paweł II? Z pokorą, myślę, że niewymuszoną. Człowiek ten, na którego obliczu widać trudy życia i służby pojednania, jaką ze sobą niesie, jest niewątpliwie zwiastunem nowych czasów, nowych wydarzeń. Nie można zaprzeczyć, że z całą charakterystyczną dla siebie wiarą i stanowczością usuwa przeszkody na drodze do zbliżenia pomiędzy Watykanem a narodem izraelskim. „Przez wszystkie dni wizyty papieża oglądaliśmy telewizję i to było bardzo ekscytujące. Mam nadzieję, że ta wizyta będzie miała pozytywne znaczenie dla izraelskiej sytuacji międzynarodowej”⁶.

Wizyta, jakich wiele złożył Jan Paweł II podczas swego pontyfikatu w wielu krajach. Ta jednak miała niecodzienny wydźwięk i to nie tylko z powodów omówionych wyżej, ale z uwagi na samą osobę papieża i jego bezpieczeństwo. Trudno bowiem sobie wyobrazić, co powiedziałaby światowa opinia publiczna, gdyby tego Pielgrzyma spotkało cokolwiek złego w Izraelu. Odczuli to także sami Żydzi. Odetchnęli z ulgą, gdy szczęśliwie dobiegła końca: „To była wielka ulga dla mnie, gdy wizyta dobiegła końca i zakończyła się szczęśliwie, gdyż bałam się bardzo wielkiej euforii rozentuzjasmowanych turystów i pielgrzymów, którzy towarzyszyli tej wizycie. Ale dzięki Niebu i naszym policjantom, którzy pracowali bardzo ciężko, wszystko zakończyło się dobrze”⁷.

Jakie będą owoce papieskich zabiegów? Czy Żydzi staną się narodem postrzeganym na równi z innymi narodami, mającym swoje prawo do istnienia tu i teraz, na tej ziemi...? Pokaże czas, pokażą ci, co mają w swoich dłoniach władzę i... miłość do drugiego człowieka, do bliźniego, gdyż „kto bliźnim gardzi – ten grzeszy...”⁸.

³ Ibidem.

⁴ A. Klugman, *Pielgrzym*, „Midrasz” 2000, nr 4 (36), s. 27.

⁵ Ibidem.

⁶ Wypowiedź Rosy Farber...

⁷ Ibidem.

⁸ Prz 14, 21 (cyt. wg Biblii Tysiąclecia).

Anna Kulczycka

Kilka słów młodej chrześcijanki o ekumenizmie.

**Uwagi na marginesie
Tygodnia Eklezjologicznego
KUL: 10-15.04.2000.**

**Ekumenizm
nie polega
na dochodzeniu
do kompromisów.
Celem jego
poszukiwań
jest Prawda.**

„Aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojczy, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył... ” (J 17, 21).

Spotkałam niedawno Karola, mego dobrego kolegę, który ma wiele ciekawych pomysłów na życie i jeszcze więcej znajomych. Między innymi z tego powodu lubię z nim rozmawiać, wędrując ulicami Lublina, zawsze bowiem na naszej drodze znajdzie się ktoś, z kim Karol koniecznie musi pogawędzić. Nie wiem, jak on to robi, ale potrafi tak spontanicznie i lekko pokierować rozmową, że w jego prostych, niemalże banalnych zdaniach, w samym centrum bardzo wyraźnie, lecz nie „natrętnie”, stoi Chrystus.

Podczas ostatniego spaceru tematem naszych rozmów był ekumenizm, zarówno ten uprawiany przez teologów, jak i tzw. ekumenizm praktyczny. Analizując nasze różne doświadczenia i czerpiąc sownie ze zdobytej wiedzy, my, „mali”, początkujący teolodzy, rozmawialiśmy, zauroczeni tym przedziwnym znakiem czasu, jakim jest dialog między braćmi chrześcijanami. Niestety na niebie naszych rozważań pojawiły się, oprócz radosnych i tchnących optymizmem, również ponure chmury ekumenicznych problemów. Od razu zauważyliśmy, że ekumenizm nie jest sprawą łatwą. To zagadnienie wymaga wiele wysiłku i czasu od tych, którzy pragną mu poświęcić odrobinę swojej uwagi. Niewątpliwie ułatwione zadanie mają ci, którzy w swym środowisku wzrastali w atmosferze zdrowego dialogu między bratnimi Kościołami i nie jest im obca dążność do realizacji Chry-

tusowej modlitwy o jedność chrześcijan. Zagadnienie ekumenizmu jest „chlebem powszednim” również dla tych, którzy jako wykształceni teologowie zajmują się niejako z zawodu tym ważkim zagadnieniem. Podobnie ma się rzecz w przypadku duchownych, którzy na terenie swoich parafii starają się uprawiać ekumenizm praktyczny. Ludzie ci mają dużo do powiedzenia, wiele mogą przekazać swych doświadczeń i spostrzeżeń z podwórka dialogu między chrześcijanami.

Ten cenny dar postanowili wykorzystać organizatorzy Tygodnia Eklezjologicznego, który miał miejsce 10-15 kwietnia 2000 r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i odbywał się pod hasłem: „Doświadczenia Kościoła w XX wieku”. Każdy dzień został poświęcony innemu doświadczeniu, począwszy od konfrontacji, przez odrzucenie, następnie odnowę, aż po dialog. Piątkowy dzień poświęcony został doświadczeniu dialogu z Kościołami i Wspólnotami chrześcijańskimi, z judaizmem, z religiami niechrześcijańskimi, ze światem nauki oraz ze światem mediów. W zakresie dialogu prowadzonego między braćmi chrześcijanami swoimi doświadczeniami dzielił się ks. bp dr Adam Lepa, a także ks. dr Henryk Paprocki oraz ks. Andrzej Łoś z Kościoła Prawosławnego, ks. Roman Pracki z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, oraz o. prof. dr hab. Stanisław Celestyn Napiórkowski, o. prof. dr hab. Wacław Hryniewicz, ks. dr Walerian Bugiel i ks. dr Leonard Górka z Kościoła Rzymskokatolickiego. Referaty oraz rozmowa, jaka między nimi się toczyła, ukazały, że stan ekumenizmu zarówno w Polsce, jak i na całym świecie, ma różne oblicza, w zależności od poszczególnych środowisk i podjętych w nich wysiłkach na rzecz ekumenizmu.

Niestety, trzeba przyznać, że mało które środowisko może poszczycić się zdrowym i rzetelnym podejściem do sprawy ekumenizmu. Zazwyczaj dialog po prostu nie jest podejmowany. Bywa i tak, że wszelkie, choćby nikłe jego przejawy, szybko ulegają zniszczeniu przez brak zrozumienia jego

wagi, brak otwartości, czy nawet nieprawidłowe podejście do tworzenia i zachowania jedności. Dla niektórych chrześcijan ekumenizm jawi się tu jako zagrożenie dla tożsamości i jedności ich właśnie Kościoła. Jest poza tym interpretowany jako próba szukania kompromisów jedynie w celu znalezienia wspólnego zdania, bądź nawet w celu uniformizacji Kościoła. Takie patrzanie na ekumenizm jest nie tylko błędne, ale także krzywdzące. **Ekumenizm** nie polega bowiem na dochodzeniu do kompromisów. Celem jego poszukiwań jest **Prawda**. Prawda ta szukana w pokorze, otwartości, cierpliwości oraz miłości, prowadzi do odnalezienia dróg pojednania i jedności. To poszukiwanie polega na wymianie posiadanych darów, a także na analizowaniu rozbieżności, tego, co nas dzieli, byśmy wspólnie potrafili szukać rozwiązania tychże kwestii, co do których mamy odmienne zdania. Zapewne jest to często bolesne i skłania do nauki pokory, ale jest konieczną drogą. Trzeba jednak pamiętać, że czym innym jest kompromis szukany dla ugody, a czymś zupełnie innym jest prawda poszukiwana dla jedności.

Nie można mówić o bratnim dialogu wśród chrześcijan, jeżeli brakuje pokory, miłości, prawdy, jeśli nie ma pokornego umiłowania prawdy. Powinno się to dziać nie tylko pomiędzy tymi, którzy *ex professio* zajmują się dialogiem ekumenicznym, lecz musi ogarnąć wszystkie i całe Kościoły, czyli ich hierarchię, duchowieństwo, teologów, świeckich. Pragnienie jedności Kościoła Chrystusowego i dążenie do niej ma być zadaniem wszystkich braci chrześcijan. Nikt nie powinien czuć się zwolniony z wysiłku postępowania na drodze do jedności. Ekumenizm nie jest bowiem przeznaczony jedynie dla wąskiego grona teologów zajmujących się nim niejako z zawodu. Dialog, jaki już u początku naszego wieku nawiązał się między wyznawcami Chrystusa, jest zadaniem i wezwaniem dla Kościoła Chrystusowego. Dotyczy to wszystkich, którzy do Kościoła należą, którzy są Kościołem.

„O odnowienie jedności troszczyć się ma cały Kościół, zarówno wierni jak i ich pasterze, każdy według własnych sił, czy to w codziennym życiu chrześcijańskim, czy też w badaniach teologicznych i historycznych. To staranie ujawnia już poniekąd istniejącą między chrześcijanami braterską łączność i prowadzi wedle Bożej łaskawości do pełnej i doskonałej jedności [...] Nie ma prawdziwego ekumenizmu bez wewnętrznej przemiany. Bo z nowości ducha (por. Ef 4, 23) przecież, z zaparcia się samego siebie i z nieskrępowanego wyłania miłości rodzą się i dojrzewają pragnienia jedności. Musimy więc wypraszać u Ducha Świętego łaskę prawdziwego umartwienia, pokory i łagodności w posłudze, ducha braterskiej wspaniałomyślności w stosunku do drugich”. Tak wypowiedział się już w 1964 roku Sobór Watykański II w Dekrecie o ekumenizmie *Unitatis redintegratio* (nr 5.7).

Natomiast rzeczywistość pokazuje nam, jak daleko jesteśmy od wypełnienia powierzonych nam zadań. Owszem, wiele dzieje się w ekumenizmie na poziomie spotkań odpowiedzialnych komisji, hierarchii czy też teologów z bratnich Kościołów, jednak przeciętny, taki „odświętny”, chrześcijanin mało wie, o co w ogóle w tym całym dialogu chodzi. Problematyka ekumeniczna dla wielu jest mało interesująca lub wręcz zupełnie nie wzbudza zainteresowania. Co więcej, niektórzy są niemalże zgorszeni spotkaniami ekumenicznymi, wspólnymi nabożeństwami. Niewiedza, ignorancja prowadzą tu do niezrozumienia. Ta niewiedza jest najczęściej niezawiniona. Wciąż bowiem brakuje popularyzatorskich publikacji na temat ekumenizmu. Mało mówi się o dialogu bratnich Kościołów w naszych parafiach. Poza tym na studiach teologii również daje się zauważyć pewien niedosyt spowodowany małą ilością godzin przeznaczonych na poznanie ekumenizmu. Być może pewnym ułatwieniem w dotarciu do większej ilości osób byłoby pismo współtworzone przez otwartych i zaangażowanych ludzi z kilku Koś-

ciołów, którzy kompetentnie i w jasny, przejrzysty sposób przemawialiby do chrześcijan, wpływając dzięki temu na ich odpowiednią postawę w stosunku do dialogu. Jednak na razie to zainteresowanie w pozytywnym znaczeniu jest nikłe wśród wyznawców Chrystusa. A tymczasem „wierzyć w Chrystusa znaczy pragnąć jedności; pragnąć jedności znaczy pragnąć Kościoła; pragnąć Kościoła znaczy pragnąć komunii łaski, która odpowiada zamysłowi Ojca, powziętemu przed wszystkimi wiekami” (*Ut unum sint*, 9).

Prawosławny teolog Paweł Evdokimov pisał, że drogę Kościoła można przyrównać do drogi krzyżowej Chrystusa. Różnica jest taka, że nie trwa ona kilka godzin, lecz wiele wieków. Zapewne i droga ku pełnej jedności jest długa i uciążliwa, lecz przede wszystkim jest konieczna oraz możliwa do zrealizowania. W roku Jubileuszu droga ta jest zadana w szczególny sposób. Dobrze by było, gdyby „Jubileusz stał się okazją do owocnej współpracy w celu odkrycia tego, co łączy, a co z pewnością jest większe od tego, co nas jeszcze dzieli” (Jan Paweł II, *Tertio millennio adveniente*, 16). Aby to się jednak dokonało, potrzeba chęci wszystkich stron, potrzeba pokory i miłości od każdego, nie widziałam bowiem jeszcze owocnie i pomyślnie przeprowadzonej do końca rozmowy, w której nie byłoby dobrej woli wszystkich dialogujących. Ekumenizm jest piękną wymianą darów i prowadzi ku poszukiwaniu dróg jedności.

Kościół Chrystusowy czeka nie tylko dialog z samym sobą, lecz z całym światem. Jego skuteczność zależy od tego, czy będzie to dialog całego chrześcijaństwa, czy jedynie poszczególnych Kościołów z tymże światem. „W przeddzień trzeciego tysiąclecia trzeba nam przyspieszyć kroku ku doskonałemu i braterskiemu pojednaniu, abyśmy w przyszłym milenium mogli – ramię przy ramieniu – świadczyć o zbawieniu wobec świata, który czeka na ten znak jedności” (Jan Paweł II, przemówienie podczas spotkania ekumenicznego w Drohiczy- nie, 10 czerwca 1999, nr 4).

Wszystkie powyższe „nieuczesane” myśli zrodziły się po lekturze dokumentów Kościoła katolickiego na temat ekumenizmu, po przeżyciu Tygodnia Eklezjologicznego, rozmowach z Karolem oraz z mych długich i burzliwych poszukiwań nad sensem i celem istnienia ekumenizmu, od początkowej niechęci i braku zrozumienia, aż po za-

chwyt i radość. Droga jedności braci chrześcijan zależy od nawiązania dialogu pomiędzy jednym a drugim człowiekiem w obliczu miłości Boga. Dialog zaczyna się od przemiany serca. Może brzmi to moralizatorsko, może patetycznie, ale – moim skromnym zdaniem – trzeba, by stało się prawdą codzienną.



fot. z filmu G. Linkowskiego „Bracia tego samego Boga”

Pastor Marek Wólkiewicz

Wielkanoc ekumeniczna. Nabożeństwo Aliansu Lubelskich Kościołów Ewangelicznych: 21.04.2000.

**Nie ma jeszcze
w Polsce takiej
tradycji, jak na
Zachodzie,
gdzie między-
kościelne
spotkania
są czymś
normalnym
i wpisanym
w kalendarz
regionu.
Jednak i to się
powoli zmie-
nia.**

Święta Wielkanocne. Moc skojarzeń. Nastrój szczególności. Autentyczna radość. Jest powód: osoba, która jest centrum wiary chrześcijańskiej – Jezus – żył i umarł na cześć wszystkich ludzi. On żyje, więc i ja mam nadzieję na życie wieczne.

W okresie świątecznym spowalnimy codzienny rozruch, cieszymy się czasem spędzonym z rodziną i bliskimi. Niektórzy robią rzeczy, na które kiedy indziej brakuje im albo czasu, albo nawet zwykłej chęci. Na przykład przebaczenie. Stwierdzamy w tych dniach, że łatwiej niż kiedykolwiek przychodzi nam luksus wyciągnięcia ręki do tych, co się nam narazili. Uśmiechamy się częściej i szczerze.

Szczegółowość święta zmartwychwstania Jezusa jest właściwa zarówno dla katolika, prawosławnego, jak i protestanta. Akurat ci z tych ostatnich, którzy są zrzeszeni w tzw. Aliansie Lubelskich Kościołów Ewangelicznych, obchodzili Wielki Piątek razem. Było to wydarzenie niezwykle ważne choćby i z tego powodu, że Kościoły w Polsce, nawet te mniejszościowe, mało się znają i nieczęsto spotykają. Nie ma jeszcze w Polsce takiej tradycji, jak na Zachodzie, gdzie międzykościelne spotkania są czymś normalnym i wpisanym w kalendarz regionu. Jednak i to się powoli zmienia. Aktualnie Kościoły mają szansę spotykać się na dwóch poziomach. Na jednym będą to ekumeniczne spotkania Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej, na innym – spotkania tzw. Kościołów wolnych (ewangelicznych). Odnosi się wrażenie, że szczególnie w Lublinie Kościoły mają z sobą więcej niż gdzie indziej relacji na tych dwóch wzajemnie przenikających się poziomach.

Wróćmy do ostatniego spotkania Kościołów w ramach wspomnianego powyżej Aliansu Lubelskich Kościołów

Ewangelicznych. Może nie wszyscy wiedzą, kto do niego należy. Wymienię: Kościół Ewangelicznych Chrześcijan, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Kościół Chrześcijan Baptystów, Kościół Zielonoświątkowy, Wspólnota Chrześcijańska „Pojednanie”. Z Aliansem współpracuje również Wspólnota Chrześcijańska „Hosanna” oraz Chrześcijańskie Stowarzyszenie Akademickie (w skrócie ChSA). Niektórzy z ciekawością pytają, co może łączyć te w gruncie rzeczy różne Kościoły. Niech wystarczy fakt, iż u podstaw leży wspólne wyznanie wiary. Brzmi ono tak:

Pismo Święte najwyższym autorytetem w sprawach wiary i życia.

Zbawienie jedynie z łaski Bożej, przez wiarę w Chrystusa.

Wiarą w Trójjedynego Boga – Ojca, Syna i Ducha Świętego.

*

Nabożeństwo Wielkopiątkowe odbyło się w nowocześnie zaprojektowanej kaplicy Kościoła Zielonoświątkowego przy ul. Tatarskiej 5. Sala była wypełniona po brzegi. Jest to dowód na to, że wierzący chcą w ten dzień wyrazić przed Bogiem swą wdzięczność, ale też, że cenią sobie bycie razem. Program był urozmaicony i nikt się nie nudził. Dużo muzyki i śpiewu na początek. Wypada zaznaczyć, że śpiew w ewangelicznych Kościołach odgrywa niebagatelną rolę. Tzw. „uwielbienie” przed czytaniem Słowa Bożego i kazaniem ma przygotować słuchaczy do tego, co jest dla protestantów najważniejsze – do absorbowania Pisma Świętego. Wiadomo, że można słuchać i nie słyszeć. Dlatego serce ma być otwarte, a umysł gotowy do słuchania Dobrej Nowiny. Sprawia to żywy śpiew chwały i dziękczynienia, połączony z głośnie modlitwą. Po takim przygotowaniu serc i ducha, łatwo było partycypować w Wieczery Pańskiej (komunii), która tego dnia obchodzona jest przez wszystkie Kościoły ewangeliczne. (Tak na marginesie, Wieczera Pańska obchodzona jest przez nich zwykle raz w miesiącu.) Na stole komuniijnym chleb i wino. Przy stole pastor Marek Wólkiewicz (Koś-

ciół Zielonoświątkowy). Na wzór Ostatniej Wieczery, celebrowanej przez samego Pana, jest ona świętowana także u chrześcijan spod znaku Aliansu pod dwiema postaciami: chleba i wina. Chrześcijanie ewangelikalni nie uważają, że w tym momencie spożywają przemienione ciało Chrystusa, ale jest to dla nich przede wszystkim powód do rozpamiętywania mąk Pana na Krzyżu. Przyznają jednak również, że korzystanie z tej Pamiątki jest dla nich podstawą do odebrania od Boga szczególnych łask, np. łaski uzdrowienia, gdyż jest napisane w Pierwszym Liście Piotra 2, 24: „...jego sińce uleczyły was” (wg Biblii Warszawskiej).

Nabożeństwo dochodzi do momentu zwiastowania Słowa Bożego. Kaznodzieja Piotr Jaruga (Wspólnota Chrześcijańska „Pojednanie”) krótko przedstawia wiele błogosławieństw wynikających dla człowieka z faktu śmierci i zmartwychwstania Głowy Kościoła – Jezusa Chrystusa. Jest to głównie możliwość przebaczenia grzechów, ale nie tylko. Jezus obiecuje dla swoich naśladowców moc do prowadzenia odmienionego życia, które da poczucie radości i realność zwycięstwa nad problemami, jakie niesie ze sobą codzienność, a także pozwoli wywierać pozytywny wpływ na swoje otoczenie. Słuchanie przepowiadanego Słowa Bożego to jak karmienie się dobrą strawą, która ma dać siłę do życia i pobożności. Przeczytane z Biblii obietnice Boże będą zapamiętane, by w odpowiedniej chwili życia sięgnąć po nie i otrzymać pomoc od ich Autora, który wysłuchuje chętnie każdego, kto się do Niego zwraca. Często jednak ludzie nie proszą Boga, bo nie znając Biblii nie wiedzą, że mogą o jakąś konkretną rzecz poprosić.

Po wysłuchaniu Słowa Bożego tchnącego nadzieją i łaską mogliśmy jeszcze to wyśpiewać. Pięknie, z uczuciem i przekonująco poprowadziła nas w tym studentka katowickiej Akademii Muzycznej – Renata Wólkiewicz, intonując pieśń *Cudowna Boża łaska*, która znana jest bardziej w angielskiej wersji językowej, jako *Amazing Grace*. Wy-

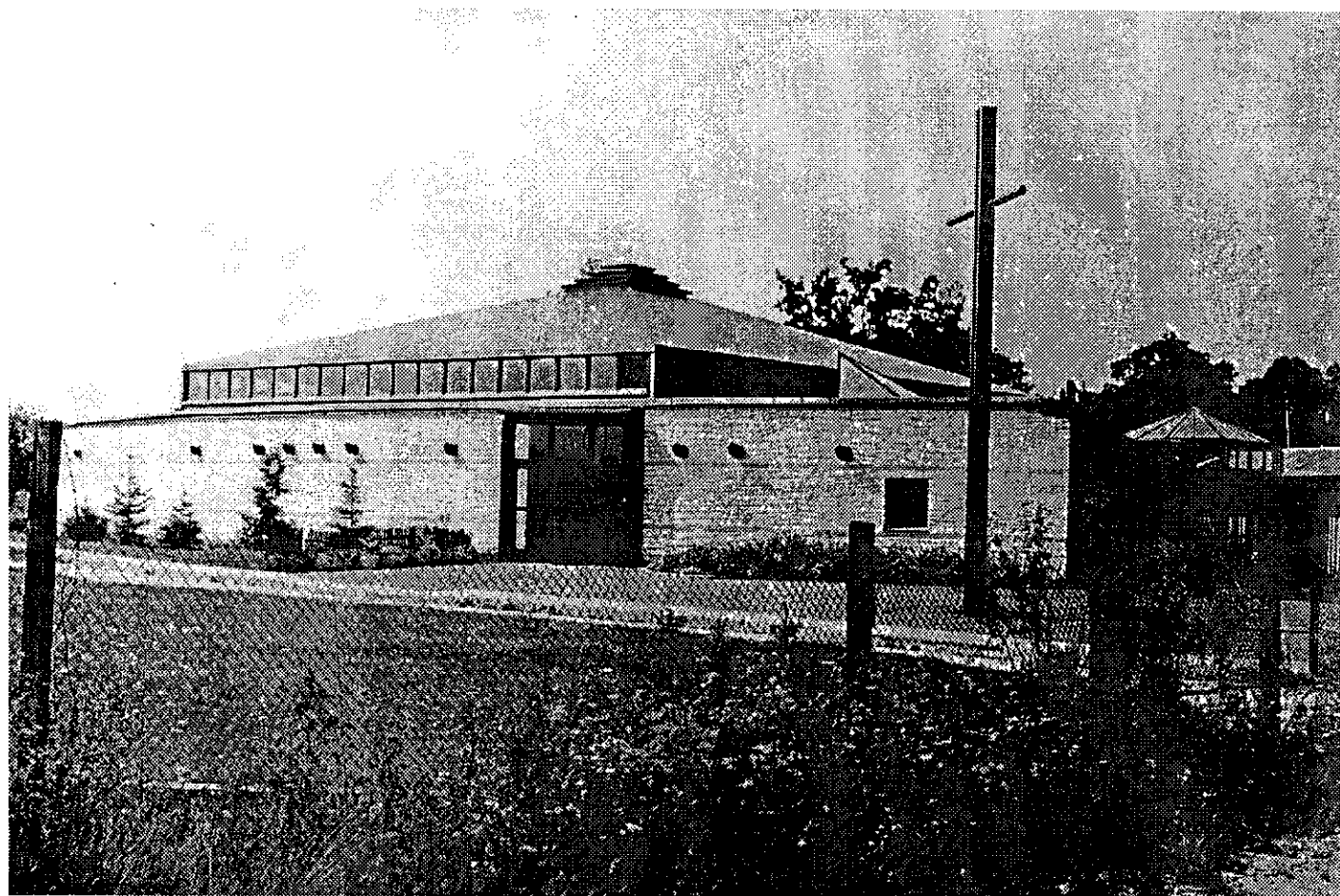
konawczyni akompaniował na fortepianie Paweł Marczewski, członek zespołu *The Company*.

Treści wspólnego nabożeństwa dopełniło misterium pasyjne pt. *Józef z Arymatei*. Przedstawienie przygotowały wspólnie dzieci z kilku Kościołów (Kościół Chrześcijan Baptystów, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej i Kościół Zielonoświątkowy). Historia oparta została na wątku pasyjnym z Ewangelii dotyczącym ostatnich dni życia Chrystusa, z wyeksponowaniem dramatu sądu nad Sprawiedliwym, którego śmierci domagali się Żydzi, a rzymski namiestnik Piłat wydał na najokrutniejszą śmierć na krzyżu. Gdy po okropnych męczarniach Skazany zmarł, to właśnie tytułowy Józef z Arymatei – bogaty człowiek i skryty wyznawca Jezusa – zdobył się na odwagę i poprosił Piłata o przyzwolenie zdjęcia Jezusa z krzyża, by po namaszczeniu specjalnymi olejami i wonnościami umieścić go w nowym, wykutym w skale grobowcu. Był też Żydem, ale potrafił mieć własne

zdanie i nie poddał się presji zazdrosnych przełożonych Synagogi, którzy podżegali tłum, by krzyczał: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj!”. Za mocno cenił nauki tego Świętego, a też i najprawdopodobniej był świadkiem przynajmniej jednego cudu dokonanego przez „niezwykłego Rabina”, który tak mocno kochał Boga, że nazywał go swoim Ojcem. Nie słabły oklaski dla młodych aktorów, nie zabrakło słów podziękowania dla głównego reżysera – pastora Zbyszka Rutkowskiego (Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej).

Ekumeniczne nabożeństwo modlitwą błogosławieństwa zakończył pastor Henryk Kufeld (Kościół Chrześcijan Baptystów).

Długo jeszcze po nabożeństwie kaplica oraz kuluary rozbrzmiewały głosami prowadzonych rozmów. Nie rozmawiano jednak o różnicach doktrynalnych, a raczej odkrywano z entuzjazmem, jak wiele nas łączy i... cieszą się już myślą o następnym spotkaniu jesienią.



Kaplica Kościoła Zielonoświątkowego w Lublinie, ul. Tatarska 5
fot. M. Orłowski

Edyta Zarzycka

Jedna tęcza – wiele barw.

**Nabożeństwo ekumeniczne
w Polskim Autokefalicznym
Kościele Prawosławnym,
w Lublinie: 12.05.2000**

**„Nie obrządek
nas jednoczy –
każdy jest po-
niekąd niepo-
radny poza
swoją formą
liturgii – ale
właśnie
doświadczenie
wiary, chrzest
w imię Trójje-
dynego Boga
i owo pragnie-
nie poznania,
serdeczne sku-
pienie i otwar-
tość na siebie.**

Czwarty rok trwają w Lublinie ekumeniczne spotkania miłowne, na których gromadzą się przedstawiciele różnych Kościołów chrześcijańskich: katolicy, prawosławni, protestanci. Spotkanie majowe miało miejsce w cerkwi prawosławnej... miejscu, gdzie – jak już wyświadczył Włodzimierz, księcia kijowskiego, spostrzegli – oddawana jest chwała Bogu, miejscu, gdzie ludzie mogą doświadczyć przedsmaku nieba: „Nie wiedzieliśmy, czy jesteśmy w niebie, czy na ziemi, gdyż na ziemi nie spotyka się takiego piękna [...] wiedzieliśmy jedno: że Bóg przebywa tu z ludźmi”¹.

Przez wzgląd na niedawno obchodzone święto Zmartwychwstania Pańskiego, odprawiane nabożeństwo skoncentrowane było wokół tajemnicy Wielkiej Nocy. Niewidoczny dla uczestników chór wykonywał w języku staro-cerkiewno-słowiańskim pieśni z liturgii Wieczerni Wielkanocnej. Zgromadzeni chrześcijanie w głębokim milczeniu chłonili dźwięki, zapach kadzidła, grę świateł i barw ikonostasu... Akcja liturgiczna w prawosławnej cerkwi jest niezależna od uczestnictwa wiernych, skoncentrowana na uwielbieniu Niepojętej Trójcy, przy pewnym ukryciu tych, którzy chwałę Bogu oddają – chóru, o którego obecności świadczą pieśni sakralne, z których słowa najbardziej zrozumiałe i najczęściej intonowane wyśławiają Boga – Ojca, Syna i Świętego Ducha. Kapłan ukryty za ikonostasem, w miejscu czczonym jako najświętsze, wchodzi w dialog uwielbienia z chórem, dokonując przy

¹ P. Evdokimov, *Sztuka ikony. Teologia piękna*, Warszawa 1999, s. 16.

tym rytualnych czynności: okadzenia, uczczenia Świętej Księgi... I właśnie to ukrycie – chóru i kapłana – każe nam myśleć o Bogu ukrytym, ale obecnym; daje przeczucie rzeczywistości nadprzyrodzonej.

Ewangelia wg Świętego Jana (20, 19-29), czytana przez ks. Andrzeja Łosia w języku polskim, mówiła o przyjściu Pana, pomimo drzwi zamkniętych, z darem pokoju, tchnieniem Ducha Świętego i ku zaradzeniu niedowiarstwu Tomasza, który potrzebował zobaczyć, dotknąć Zmartwychwstałego...

Na tle szeroko otwartych carskich wrót, w centrum barwnego ikonostasu, słowem pełnym mądrości, doświadczenia wiary i otwartości ku jedności tych, którzy Imię tego samego Boga wysławiają, przemawiał pastor Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego – Roman Pracki. Wiara – mówił – to „cnota najbardziej ulotna, która z jednej strony napawa wierzącego «bojaźnią i drżeniem» wobec przeczuwalności bliskości Boga, z drugiej zaś wymaga od niego «męstwa bycia», wierności Bogu, gdy Ten wydaje się

przed człowiekiem ukrywać, jest niedosięgly dla ludzkich zmysłów, także dla zmysłu wiary”.

Czy doświadczenie trudu wiary, czasem braku wiary, nie jest wspólne, a przez to i jednoczące dla wszystkich chrześcijan?

Protestanci, prawosławni, katolicy... zasłuchani, rozmodleni.

Nie obrządek nas jednoczy – każdy jest poniekąd nieporadny poza swoją formą liturgii – ale właśnie doświadczenie wiary, chrzest w imię Trójjedynego Boga i owo pragnienie poznania, serdeczne skupienie i otwartość na siebie. Doświadczyć tego można było także po nabożeństwie, gdy zaproszeni przez gospodarza, pod pretekstem poczęstunku, mogliśmy wypowiedzieć swoją radość, niepokój, nadzieję.

Delikatna to roślina – ekumenizm; dużo troski, łagodności, cierpliwości, wzajemnego wsluchania potrzeba, by pozbyć się lęków, podziałów na bliższych i dalszych Panu Bogu, by nauczyć się razem żyć, akceptując swoje tradycje i ucząc się jedni od drugich tego, co uobecnia Boga.



Cerkiew Katedralna Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego w Lublinie, ul. Rуска 15
fot. M. Orłowski

Joanna Betlejewska

„Skarb w glinianych naczyniach”.

Garść refleksji zainspirowanych nabożeństwem ekumenicznym w Kościele Polskokatolickim w Lublinie: 14.06.2000.

**Utwierdzenie
się w zdaniu
o wyłącznym
posiadaniu
prawdy
nie pozwoliło
na zachowanie
jedności,
przekreślało
możliwość
akceptacji
różnorodności.**

Lublin jest bogaty w różnorodność chrześcijańskich Kościołów. Tu nie tylko mówi się o ekumenizmie, ale i stara się go realizować. Jak co miesiąc, także i w czerwcu odbyło się jedno z nabożeństw ekumenicznych – wspólna modlitwa o zjednoczenie chrześcijan. Czym było? Wiele treści do przemyślenia – zwłaszcza po wysłuchaniu homilii ks. prof. Wacława Hryniewicza z Instytutu Ekumenicznego KUL...

„Aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie...” (J 17, 21).

Podział w Kościele to wielka tajemnica, nad którą jesteśmy zmuszeni ciągle się zastanawiać. Tak trudno zrozumieć jego źródło. Jan Paweł II mówi o dwóch możliwych przyczynach takiej sytuacji. Z jednej strony – podział to zapewne gorzki owoc ludzkiego grzechu, ale z drugiej – może nie włośniego sposobu, aby odkryć, zrozumieć i docenić całe bogactwo Ewangelii. Tajemnica braku jedności dotyczyła już przecież Kościoła pierwotnego. Syn Boży, Zbawiciel prosił o to, „aby wszyscy stanowili jedno” (J 17, 21). Wiedział tym, że jedność nigdy nie będzie czymś oczywistym, że Jego uczniowie będą musieli jej szukać i o nią walczyć. I nie chodziło tu o walkę między sobą, ale o walkę z własną słabością, kruchością tak namacalną, jak kruchość glinianego naczynia.

Bogu zależy na jedności między swoimi dziećmi – przecież tak wiele troski jest w modlitwie Chrystusa za przyszły Kościół. Troski tak dla Niego charakterystycznej – tak, jak wtedy, gdy zastanawiał się głęboko nad tym

Wydarzenia ekumeniczne Roku Jubileuszowego

z czym porównać Królestwo Boże, lub w jakiej przypowieści je przedstawić, abyśmy zrozumieli jego tajemnicę. Chrystusowa troska jest wielka jak świat...

W Zbawicielu zostaliśmy oddani w opiekę Bogu Ojcu. Ale nie była ona tą, która miałaby nas zabrać z tego świata, lecz tą, która miała nas ustrzec od złego (por. J 17, 15). Mimo tego, że znajdujemy się w tak niezwykłych dłoniach, nie udało się nam uniknąć zła podziału. Tu znów wchodzimy w tajemnicę glinianych naczyń, którymi jesteśmy. Takimi są także – jak mówi ks. W. Hryniewicz – nasze Kościoły. A przecież zostało nam w nich powierzone największe misterium – misterium Bożej obecności, Bożego oddania, Bożej miłości. Aż niemożliwy wydaje się podział – dlaczego więc zaistniał?

Tak jak Bóg pozwolił na ludzki grzech, bo zbyt mocno człowieka ukochał, aby go zniewolić (nawet swoją miłością), tak samo pozwolił mu wybrać drogę, która doprowadziła do zachwiania jedności. Zawsze mamy wolną wolę, możliwość wyboru, powiedzenia „tak” lub „nie” – i to jest jeden z największych Bożych darów. Problem zaczyna się, gdy źle go wykorzystujemy. Choć należy zaznaczyć, że podziały często nie były jedynie wyrazem złej woli człowieka. Wręcz przeciwnie – nieraz towarzyszyło ludziom przekonanie, że stają w obronie jakichś prawd, wartości. Dopiero utwierdzenie się w zdaniu o wyłącznym posiadaniu prawdy nie pozwoliło na zachowanie jedności, przekreślało możliwość akceptacji różnorodności. Nagle jedyną drogą wyjścia stało się wykluczenie ludzi postrzegających coś inaczej...

„Oby się tak zespolicili w jedno, aby świat poznał, żeś Ty Mnie posłał i żeś Ty ich umiłował, tak jak Mnie umiłowałaś” (J 17, 23).

Tak jak po grzechu pierwotnym człowiek nie został sam, tak i nie zostanie sam teraz, w podzielonym Kościele. Chrystus pokazał drogę, którą trzeba iść. Jest nią Duch Święty – Orędownik, Pocieszyciel.

Nasze Kościoły przyzywają Go i swoim pięknem na miarę wierności Ewangelii i swoją marnością, która wyraża się przecież także w braku jedności. Bo cały problem polega na tym, że sprawa zjednoczenia nie jest i nie może być tylko owocem ludzkich wysiłków. Owszem, one są ważne, bo przecież mamy świadczyć, aby świat poznał i uwierzył. Ale, gdy patrzymy na pojednanie między Kościołami tylko od naszej ludzkiej, „glinianej” strony, to traktujemy problem bardzo powierzchownie. Tak naprawdę dzieła zjednoczenia dokonuje przecież Duch Święty, który „wieje kędy chce”, wybierając czas, w którym, także od strony ludzkiej, proces jedności będzie wystarczająco dojrzały.

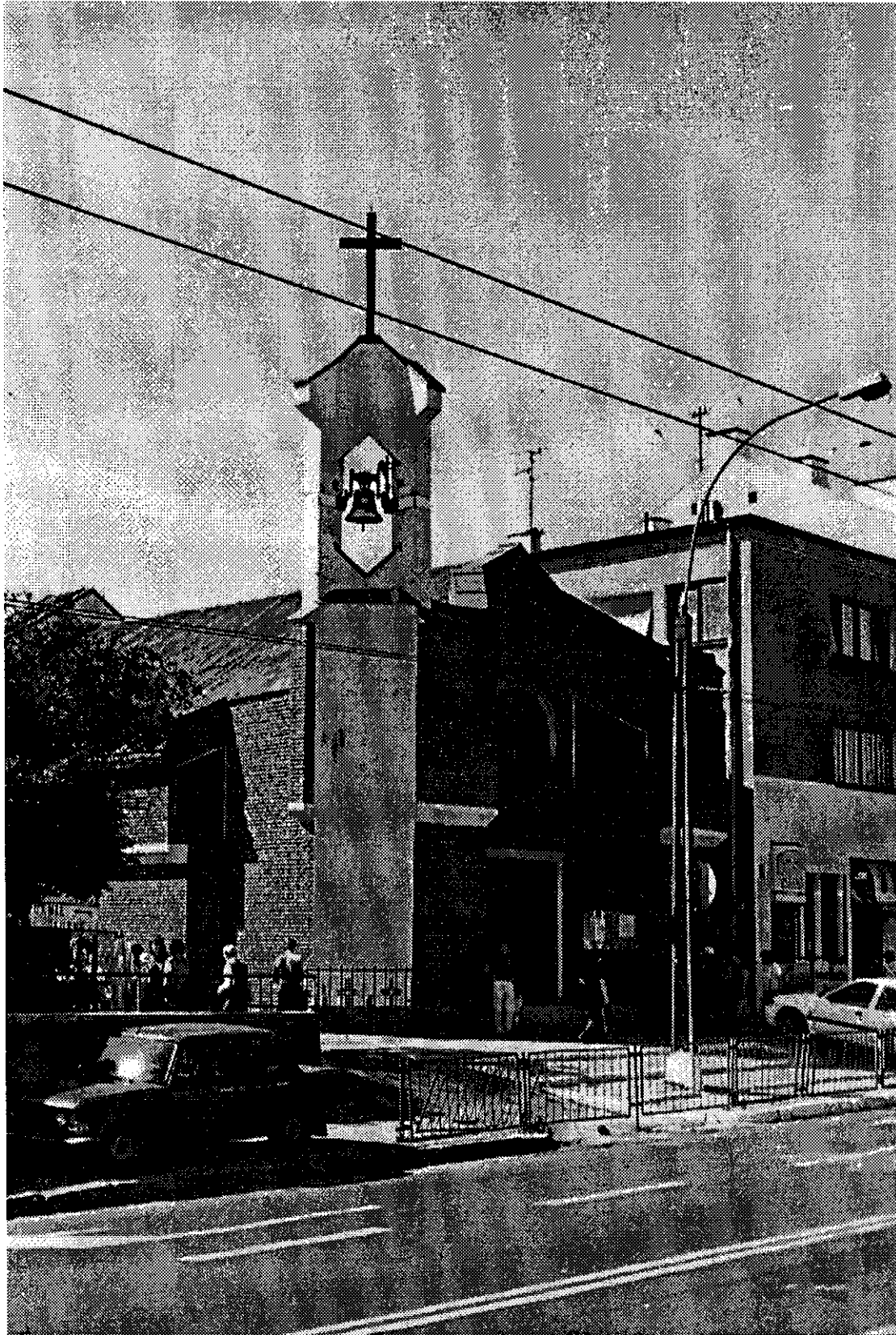
Wieki podziałów uczą nas, wbrew pozorom, bardzo wiele. Bo przecież łatwo tworzyć jedną, niepodzielną wspólnotę, gdy wszyscy mają identyczne zdanie. Problem odkrywamy dopiero wówczas, gdy pojawia się różnorodność. I właśnie akceptacji, zrozumienia i pokory, jak widać, ciągle musimy się uczyć. Jan Paweł II w *Przekroczyć próg nadziei* pisze, iż trzeba, aby rodzaj ludzki dochodził do jedności przez wielość, aby uczył się być jednym Kościołem w pluralizmie form myślenia i działania, kultur i cywilizacji. Ale oczywiście nie może to być usprawiedliwieniem dla coraz dalej idących podziałów. Musi przyjść czas, aby objawiła się jednocząca miłość. Wiele wskazuje na to, że żyjemy w tym właśnie czasie...

Wielki Jubileusz Roku 2000 podkreśla konieczność pojednania. I nie chodzi tu tylko o oficjalne wystąpienia (choć takie są niezwykle potrzebne i zapewne stają się impulsem do dalszych działań), lecz jeszcze bardziej o naszą wewnętrzną postawę. Trzeba mieć świadomość tego wszystkiego, w czym my, będąc chrześcijanami różnych wyznań, nie ustrzegiliśmy się od złego. Próbować mieć otwarte oczy i serca, gdyż tylko taka postawa pozwoli współczuć, rozumieć i uczyć się od siebie nawzajem. Droga do jedności nie jest łatwa, jednak przecież dużo więcej nas łączy niż dzieli.

Dlatego konieczna jest wspólna modlitwa i głębokie nawrócenie.

Duch Święty wlewa w nasze serca pragnienie pojednania, a ta nadzieja przecież zawieść nie może (por. Rz 5, 5). Nasza nadzieja na jedność chrześcijan znajduje swe Boskie źródło w jedności Trójcy Świętej – Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Jak

pisze Jan Paweł II w swojej ekumenicznej encyklice, wierzyć w Chrystusa znaczy pragnąć jedności; pragnąć jedności znaczy pragnąć Kościoła; pragnąć Kościoła znaczy pragnąć Komunii łaski, która odpowiada zamysłowi Ojca, powziętemu przed wszystkimi wiekami. Taki jest właśnie sens modlitwy Chrystusa *ut unum sint*.



Parafia Kościoła Polskokatolickiego w Lublinie, ul. Kunickiego 9
fot. M. Orłowski

Jadwiga Łucja Skierczyńska

Czym jest dla mnie ekumenizm?

**Moja wizja
ekumenizmu,
to dążenie do
jedności
opartej na
szeroko pojętej
tolerancji
doktrynalnej
i głębokiej
ewangelicznej
miłości.**

Jestem emerytowanym pracownikiem naukowym – fizykiem, który w ostatnim etapie swojej ziemskiej pielgrzymki głęboko zanurzył się w problematykę dotyczącą religii i wiary.

Nie próbuję powiedzieć, o jakiej wieloletniej fascynacji się – a właściwie pasjonować – ruchem ekumenicznym. Na pewno nie był to jakiś określony moment w moim życiu, nie było to żadne wyjątkowe zdarzenie, które utrwaliłoby się w mojej pamięci. Po prostu, z dojrzewaniem mojego chrześcijaństwa dojrzewała jednocześnie świadomość haniebnego stanu rozdarcia Kościoła, i powoli wzrastało we mnie przekonanie o potrzebie działania na rzecz jedności.

Zdaję sobie sprawę, że bardzo wielu ludzi nie dostrzega problemu w fakcie podziału chrześcijaństwa. Wydaje mi się, że ruch ekumeniczny zupełnie nie interesuje przeciętnego chrześcijanina w Polsce. Czy tak jednak być powinno? Przeglądając program, jaki kształtował ostatniego Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan w Lublinie, w pięknej homilii ks. prof. Andrzeja Szostka – Rektora KUL. Ks. Rektor przypomniał zgromadzonym ewangeliczną przypowieść o synu marnotrawnym, i synów dobrego ojca przyrównał do chrześcijan z rozdzielonych Kościołów (zaznaczając, że nie utożsamia żadnego z synów z określonym Kościołem). Postawa starszego syna – podkreślił – jest całkowicie nieewangeliczna. Wzorem Boga Ojca, którego mamy naśladować w doskonałości (por. Mt 5, 48), każdy chrześcijanin powinien boleć nad rozłąką oraz tęsknić za pojednaniem braci.

Czy ta tęsknota – o której mowa w homilii – pulsuje w sercach tych, którzy tak tłumnie śpieszą na niedzielną Eucharystię do naszych kościołów? Czy ktoś stara się rozpaść w ich sercach uczucie bólu z powodu kompromitujących nas, chrześcijan, podziałów? Obawiam się, że nie. Na modlitewne spotkania organizowane w Lublinie

w Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan przychodzi bardzo niewiele osób. Na kontynuujące ów Tydzień nabożeństwa ekumeniczne, które odbywają się kolejno w różnych lubelskich Kościołach w ciągu całego roku, uczęszcza tylko mała grupka. Jak zainteresować ludzi zagadnieniem ekumenizmu? Jak rozbudzić potrzebę tęsknoty za jednością? Może warto byłoby rozpocząć jakąś ekumeniczną, a więc wspólną dla wszystkich Kościołów, działalność charytatywną, i poprzez nią umocnić i rozszerzyć krąg zainteresowanych budowaniem jedności? Paru entuzjastów tego ostatniego pomysłu w styczniu 1999 r. postanowiło założyć stowarzyszenie charytatywne. Ogłosiliśmy termin założycielskiego zebrania (21 stycznia, czwartek) i modliliśmy się: „Panie, jeżeli Ty chcesz, aby takie ekumeniczne stowarzyszenie zaistniało, spraw, aby na zebranie przyszła dostateczna liczba osób”. Zgodnie z ustawą o stowarzyszeniach minimalna liczba osób na założycielskim zebraniu wynosi 15. Czy przyjdzie aż tylu? Czy znajdzie się aż taka liczba zwolenników charytatywnej pracy? Przyszło dokładnie 15 osób!; uznaliśmy to za znak Bożego błogosławieństwa. Ustaliliśmy, że stowarzyszenie będzie miało nazwę Ekumeniczne Stowarzyszenie Charytatywne „UNITAS”, i że będziemy zajmować się głównie dziećmi z rodzin żyjących w nędzy. Wybraliśmy zespół do opracowania statutu i postanowiliśmy przeprowadzić rozeznanie potrzeb terenu i najbardziej efektywnych form niesienia pomocy.

Zatwierdzenie Stowarzyszenia uzyskaliśmy dopiero w maju 1999 roku. Wtedy też wiedzieliśmy już dokładnie, jakie są palące potrzeby naszego miasta: opiekuńczo-wychowawcze świetlice! Dużo dzieci jest niedożywionych, wiele z nich nie posiada niezbędnych przyborów szkolnych, ale największą bolączką jest brak właściwej opieki nad dziećmi w godzinach pozalekcyjnych. Zmorą miasta – szczególnie dzielnic ubogich, gdzie żyje dużo rodzin patologicznych i uzależnionych od alkoholu – są gromady dzieciaków, które jak bezdomne koty włó-

czą się po podwórkach i śmietnikach. Lada dzień mogą stać się groźne dla otoczenia, tworząc gangsterskie bandy. Koniecznie trzeba się nimi zająć!

Do 30 września 1999 r. (data ta określała ostateczny termin złożenia do Urzędu Miejskiego w Lublinie wniosków o dotacje na działalność świetlic już uprzednio zatwierdzonych przez Wydział Oświaty i Wychowania) utworzyliśmy 7 grup świetlicowych. Niektóre z nich miały identyczne adresy, ponieważ czasami w tym samym budynku znajdowała się szkoła podstawowa i gimnazjum, toteż – mimo iż zajmowały one oddzielne lokale i miały różne wychowawczynie – Urząd Miejski zatwierdzał je jako jedną świetlicę. W rezultacie mieliśmy 5 świetlic, w których obejmowaliśmy opieką 175 dzieci (7 grup x 25 osób = 175). Muszę szczerze wyznać, że procedura otwierania świetlic nie była łatwa, i że w organizacyjnej gorączce popełniliśmy wiele błędów i nietaktów. Przepraszaliśmy później pewne osoby, jednak niemiła pamięć o niektórych incydentach pozostała. Najgorsze było jednak przed nami. Przy okazjach prezentacji naszego Stowarzyszenia odkrywaliśmy, że katolickie społeczeństwo jest bardzo mało tolerancyjne. Niektórych rozmówców (nawet dyrektorów szkół!) niezwykle bulwersował na przykład fakt, że Kościołami nazywamy Wspólnoty: metodystów, baptystów, zielonoświątkowców itp. Nasz projekt odwiedzania z dziećmi świątyń należących również do wyznań niekatolickich wzbudził bardzo poważne podejrzenia o prozelityzm. Zaczęły krążyć pogłoski, że jesteśmy groźni dla katolickich rodzin i ta „nagonka”, połączona z usuwaniem świetlic „UNITAS” ze szkolnych lokali, zmusiła nas do poważnego zastanowienia się, czy w tej atmosferze kontynuowanie naszej pracy z dziećmi ma sens. Kilka następnych zdarzeń i rozmów (zbyt obszernych, aby opisywać je w tym miejscu) ukazało nam wyjście z tej sytuacji. Zaczęliśmy szukać katolickiego stowarzyszenia, które przejęłoby prowadzenie świetlic. Po długich staraniach i rozmowach

z przedstawicielami różnych organizacji katolickich, prowadzenia założonych przez nas świetlic od 1 marca 2000 r. podjęła się katolicka Fundacja Duszpasterstwa Biblijnego „Metanoia”.

Czym ma obecnie zajmować się Stowarzyszenie „UNITAS”? Jeszcze nie wiemy, ale projektów jest wiele. Dotyczą one zarówno różnych działań o charakterze kulturalno-oświatowym, jak i charytatywnym. Przebyte doświadczenia ukazują nam, że potrzeba bliższego zapoznania lubelskiego środowiska z ekumenizmem jest znacznie większa, aniżeli nam się to niegdyś wydawało. Ekumeniczna edukacja naszego społeczeństwa – co należy mocno podkreślić – jest niezwykle istotna w związku z wchodzeniem Polski do Unii Europejskiej. Europa jest dziś bardzo różnorodna pod względem religijnym i nikt tam nie patrzy źle na tych, którzy nie uczęszczają na katolickie Eucharystie. W państwach Zachodu istnieje cały wachlarz ruchów i wspólnot o charakterze ekumenicznym. Jeżeli już dziś nie nauczymy się zdrowego krytycyzmu, tolerancji i szacunku dla człowieka o innych religijnych poglądach i traktowania go jak równego sobie, to jutro trudno będzie nam z nim współpracować i utrzymywać bliskie towarzyskie kontakty. A do takiej współpracy i kontaktów wkrótce zmusi nas samo życie.

Najskuteczniejszym apelem o włączanie się do ekumenicznego ruchu jest na pewno przypominanie żarliwej modlitwy o jedność samego Jezusa: „Aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał” (J 17, 21). Duże znaczenie dla katolików powinny posiadać również wypowiedzi i zachęty Soboru Watykańskiego II:

– „[...] brak jedności jawnie sprzeciwia się woli Chrystusa, jest zgorszeniem dla świata, a przy tym szkodzi najświętszej sprawie przepowiadania Ewangelii wszelkiemu stworzeniu” (DE 1);

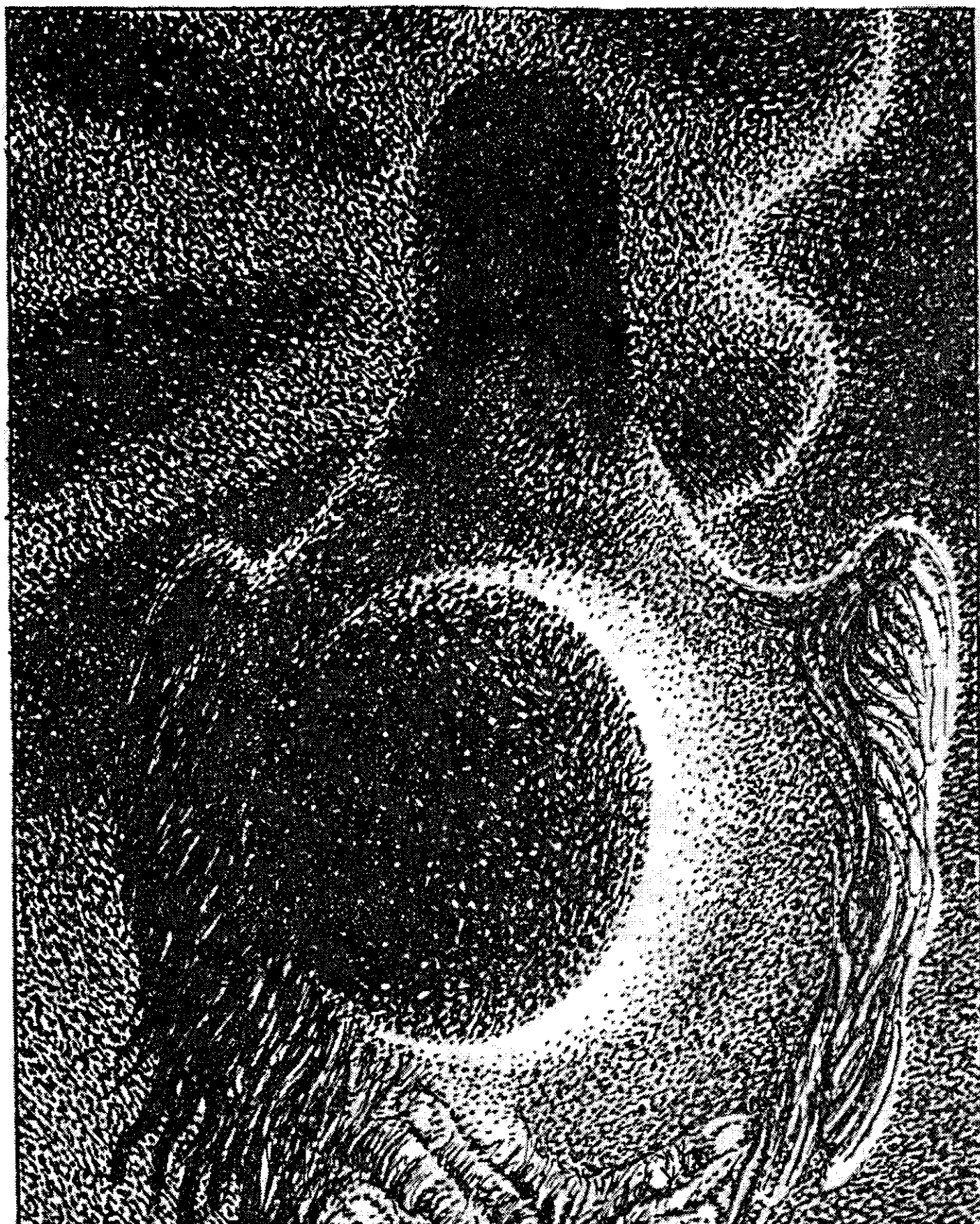
– „obecny Sobór święty zachęca wszystkich wiernych Kościoła katolickiego, by

rozeznając znaki czasu pilnie uczestniczyli w dziele ekumenicznym” (DE 4).

Na zakończenie pragnę podzielić się moją osobistą wizją pojednania chrześcijan.

Zgodnie z ustaleniami Soboru Watykańskiego II, przy zestawianiu doktryn należy pamiętać „o istnieniu porządku czy hierarchii prawd w nauce katolickiej, ponieważ różne jest ich powiązanie z zasadniczymi podstawami wiary chrześcijańskiej” (DE 11). Podstawową prawdą nauki Chrystusa jest, w moim rozumieniu, prawda o konieczności nawrócenia się i naśladowania Go, czyli realizacji nakazu miłości Boga i człowieka. Nakaz ten jest niewątpliwie fundamentem obecnych spotkań przedstawicieli Kościoła katolickiego z braćmi w synostwie Abrahama: Żydami i muzułmanami. Uważam, że jeżeli otwieramy się na Żydów i muzułmanów, tym bardziej powinniśmy otworzyć się na tych, którzy jakkolwiek nie zawsze w ten sam sposób jak katolicy pojmują Ewangelię, „to mimo wszystko pragną oni tak jak i my mocno trwać przy Chrystusowym Słowie jako źródle cnoty chrześcijańskiej i dać posłuch apostolskiemu nakazowi: Wszystko cokolwiek uczynicie w słowie albo uczynku, wszystko w imię Pana Jezusa Chrystusa czyńcie, dziękując przez Niego Bogu Ojcu (Kol 3, 17). Stąd ekumeniczny dialog można zacząć od moralnego zastosowania Ewangelii” (DE 23). Mam tu na uwadze dialog również z tymi, którym Bóg nie dał łaski wiary we wszystkie ustalone na soborach dogmaty. Pamiętajmy, że wśród nich byli tacy żarliwi wyznawcy Chrystusa, jak Izaak Newton, Albert Schweitzer i wielu innych.

A zatem moja wizja ekumenizmu, to dążenie do jedności opartej na szeroko pojętej tolerancji doktrynalnej i głębokiej ewangelicznej miłości. Nadzieję na realizację tak rozumianej jedności pokładam – łącznie z całym Kościołem – w modlitwie Chrystusa. „A nadzieja zawieść nie może, ponieważ miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany” (Rz 5, 5).



rys. R. Ruzik

Chrześcijaństwo ewangelikalne

Mariusz Orłowski

Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej jako jeden z przedstawicieli ruchu zielonoświątkowego w Polsce

**Przed II wojną
światową
Kościół
Chrześcijan
Wiary
Ewangelicznej
liczył ok. 20 tys.
wiernych
i mniej więcej
500 zborów
(parafii). Po
drugiej wojnie
światowej jego
liczebność,
m. in. w związku
ze zmianą
granic,
znacznie
zmalala.**

Wstęp

Kościół Rzymskokatolicki w Polsce obejmuje 95% ludności (za swego członka uważając każdego ochrzczonego w tym wyznaniu). Z tego powodu istnienie innych wyznań chrześcijańskich (i nie tylko) w naszym kraju wydaje się być z socjologicznego punktu widzenia zjawiskiem marginalnym, aczkolwiek niewątpliwie bardzo ciekawym. Działalność wielu Kościołów i Wspólnot kościelnych w Polsce nie doczekała się, jak do tej pory, głębszych analiz naukowych. Rzetelne opracowania naukowe i popularnonaukowe dotyczące wyznań mniejszościowych należą do rzadkości, a brak takich publikacji sprawia, że wiedza przeciętnego Polaka na ten temat utrzymuje się na żenująco niskim poziomie. Nie potrafi on z reguły odróżnić sekt od Kościołów mniejszościowych, powszechnie uznawanych w innych krajach za ortodoksyjnie chrześcijańskie. Do Kościołów takich należą w Polsce m.in. Kościoły (i Wspólnoty kościelne) wywodzące się z tzw. ruchu zielonoświątkowego. Jeden z nich to Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej.

Zielonoświątkowcy – ruch wolnokościelny

Większość badaczy dziejów Kościoła uznaje dychotomiczny podział Kościołów chrześcijańskich na tzw. Kościoły historyczne i tzw. Kościoły wolne (ang. *Free Churches*, niem. *Freikirchen*). Przy zachowaniu takiego podziału, do Kościołów historycznych zaliczane są z reguły te Kościoły, które powstały do czasów i w wyniku Reformacji (Kościół Rzymskokatolicki, Kościół Prawosławny, Kościół Ewangelicko-Augsburski, Kościół Anglikański, Kościół Ewangelicko-Reformowany), Kościoły wolne natomiast to te, które

powstały po Reformacji, wylaniając się najczęściej z Kościołów historycznych¹. I tak, na łonie katolicyzmu będą to np. Kościoły starokatolickie (w Polsce: Starokatolicki Kościół Mariawitów, Kościół Katolicki Mariawitów, Kościół Polskokatolicki, Kościół Starokatolicki), na łonie prawosławia np. staroobrzędowcy/bezpopowcy (w Polsce: Wschodni Kościół Staroobrzędowy – Bezpopowcy), a na łonie protestantyzmu m.in. baptyści (w Polsce: Kościół Chrześcijan Baptystów), metodyści (w Polsce: Kościół Ewangelicko-Metodystyczny), Uczniowie Chrystusa (w Polsce: Kościół Zborów Chrystusowych*), Bracia Plymuccy (w Polsce: Kościół Wolnych Chrześcijan), ewangeliczni chrześcijanie (w Polsce: Kościół Ewangelicznych Chrześcijan), zielonoświątkowcy (w Polsce: Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, Chrześcijańska Wspólnota Zielonoświątkowa, Ewangeliczna Wspólnota Zielonoświątkowa, Kościół Zielonoświątkowy, Kościół Boży w Chrystusie). Na marginesie należy dodać, że niektórzy historycy Kościoła do Wspólnot kościelnych typu wolnego zaliczają również ruchy religijne związane z radykalnym skrzydłem Reformacji: mennonitów, Braci Morawskich itp. (czyni tak np. prof. Blanke², badacz z Zurychu, związany z Kościołem Ewangelicko-Reformowanym).

Inny podział Kościołów proponuje anglikański teolog – Lesslie Newbigin, który dzieli chrześcijaństwo na trzy nurty:

1. katolicyzm i prawosławie (wraz z całą ich specyfiką liturgiczno-teologiczną),
2. protestantyzm,
3. „zielonoświątkostwo”.

Uzasadniając taki podział, L. Newbigin stwierdza, że katolicki nurt chrześcijaństwa

(do którego teolog ten zalicza również prawosławie) akcentuje przekazaną strukturę kościelną, świadcząc przede wszystkim o tym, że Kościół jest Ciałem Chrystusowym, do którego ludzie zostają włączeni przez sakramentalną partycypację w historycznej instytucji. Nurt protestancki z kolei chce być nosicielem przekazanego przesłania, podkreślając, że Kościół jest zgromadzeniem wierzących, zjednoczonych z Chrystusem, przez słuchanie i uwierzenie Ewangelii. Natomiast nurt zielonoświątkowy szczególnie akcent kładzie na fakt, że życie chrześcijańskie jest sprawą przeżywania obecności i mocy Ducha Świętego, i dlatego Kościół to przede wszystkim *koinonia*, czyli społeczność w Duchu Świętym³.

Tak więc jeden z protestanckich ruchów wolnokościelnych jest traktowany przez L. Newbigina jako autonomiczny nurt „tradycji” chrześcijańskiej. Oczywiście pojęcie „tradycji” rozumiane jest w tym przypadku wyłącznie w sensie przekazu doświadczeń wiary i świadectwa o przeżywaniu Boga, nie zaś w znaczeniu jurysdyczno-hierarchicznym (monarchiczny episkopatizm, sukcesja itp.)⁴.

Należy podkreślić, że wylaniające się ze swych macierzystych Kościołów nowe społeczności kościelne traktowane były przez te pierwsze, z reguły, jako sekty (przynajmniej w początkowym etapie rozwoju). Dopiero po pewnym czasie zaczynano nazywać je Kościołami lub wolnymi Kościołami.

Według Mieczysława Kwietnia decydującą rolę w powstaniu społeczności określanej mianem „wolny Kościół”, odgrywają następujące czynniki:

1. wytworzenie się nowych form duchowości lub nowego rodzaju pobożności oraz nowe sposoby ich praktykowania;
2. świadome i dobrowolne uczestnictwo w takiej nowej społeczności chrześcijańskiej⁵.

¹ Zwolennikiem takiego podziału jest np. polski teolog zielonoświątkowy Mieczysław Kwiecień. Zob. M. Kwiecień, *O wolnych Kościołach*, „Chrześcijanin” 1977, nr 7-8.

² Blanke do grupy wolnych Kościołów zalicza m.in.: mennonitów, baptystów, herrnhutów (Bracia Morawscy), kwaków, darbystów i braci wolnych, metodystów, salutystów (Armia Zbawienia). Na jego liście brak jednak zielonoświątkowców. Podaje za: M. Kwiecień, *op. cit.*, s. 5.

³ L. Newbigin, *The Household of God. Lectures on the Nature of the Church*, London 1953, s. 30.

⁴ M. Kwiecień, *op. cit.*, s. 5.

⁵ Ibidem, s. 6.

Można by zatem – zdaniem M. Kwietnia – przyjąć następujące określenie społeczności uznawanej za wolny Kościół: „Jest to nowa wspólnota chrześcijan, która [...] powstała z autentycznego pragnienia wykonania całkowitej woli Bożej i trwania w posłuszeństwie i wierności w stosunku do jedynego Pana, Jezusa Chrystusa i Jego uniwersalnego Królestwa; a w swoim świadectwie wiary manifestuje nowy rodzaj duchowości chrześcijańskiej, składając się z ludzi, którzy swoje uczestnictwo w niej realizują – dobrowolnie, odpowiedzialnie i świadomie”⁶.

Nowe społeczności chrześcijańskie, określone mianem „wolne Kościoły”, przynoszą ze sobą nowe zwyczaje kościelno-społeczne (formy nabożeństwa i pobożności), nowe rodzaje aktywności i uczestnictwa w życiu. Czasami, a nawet zgoła nierzadko, to „nowe” jest pośrednio lub bezpośrednio powrotem do podstawowych, a więc starych, zasad ewangelicznych, które przez rozwój tzw. „kościelności” zostały zepchnięte na margines życia starej konfesji. Nowy wolny Kościół jest z reguły opozycją wobec zinstytucjonalizowanej struktury „starego Kościoła”. Poczyna się on do obowiązku wobec Pana Kościoła – Jezusa Chrystusa, by przypomnieć sobie i wszystkim ludziom, że podstawowe prawdy Ewangelii obowiązują dzisiaj i na wieki⁷.

Ruch zielonoświątkowy – powstanie, rozwój, doktryna

Aż do lat osiemdziesiątych wierni rzymskokatolicy i prawosławni stanowili dwa największe ugrupowania chrześcijańskie na świecie, zaś w latach osiemdziesiątych naszego stulecia zielonoświątkowcy zaczęli przewyższać liczbowo prawosławnych i są teraz drugą, co do wielkości, „tradycją” chrześcijańską.

Bezpośrednim poprzednikiem ruchu zielonoświątkowego (ang. *Pentacostal Movement*) i jednym z jego głównych korzeni był ruch uświęceniowy (ang. *Holiness Move-*

ment), który na swój sposób akcentował sprawę tzw. „drugiego błogosławieństwa” (ang. *second blessing*), czyli chrztu w Duchu Świętym. Główny wpływ na ruch uświęceniowy wywarli tacy mężowie Kościoła, jak Asa Mahan, Dwight L. Moody, Charles G. Finney, Reuben A. Torrey i inni. Pragnęli oni ożywić wesleyańskie⁸ rozumienie dwóch kolejnych i odrębnych przełomowych doświadczeń religijnych w życiu człowieka. Pierwsze z tych doświadczeń religijnych nazywali odrodzeniem (ang. *regeneration*), a drugie chrztem w Duchu Świętym (ang. *baptism with the Holy Spirit*). Jednakże czynnikiem wyróżniającym ruch zielonoświątkowy – choć nie stanowiącym jego istoty – w odniesieniu do ruchu uświęceniowego, i określającym jego tożsamość jest *glossolalia*, czyli mówienie innymi językami⁹.

Jeżeli chodzi o początek klasycznego ruchu zielonoświątkowego (ang. *classical pentecostalism*), to powszechnie w literaturze przedmiotu wskazuje się dwie daty i dwie miejscowości: Topeka 1901 i Los Angeles 1906.

Studenci założonego przez Charlesa F. Parhama (1873-1929) – kaznodziei związanego z ruchem uświęceniowym – Bethel Bible College w Topeka, w stanie Kansas, analizując nowotestamentowe relacje dotyczące chrztu Duchem Świętym, stwierdzili, że znakiem owych „głębszych” doświadczeń był dar modlitwy w obcych językach. Postanowiono więc modlić się i oczekiwać przeżycia, które byłoby podobne do przeżyć opisanych w *Dziejach Apostolskich*¹⁰. 1 stycznia 1901 roku zostali oni potężnie „dotknięci” mocą Ducha Świętego i zaczęli modlić się w obcych językach.

Za drugiego, obok Ch. F. Parhama, współtwórcę klasycznego ruchu zielonoświątkowe-

⁶ Ibidem.

⁷ Ibidem.

⁸ J. Wesley (1703-91) – teolog, duchowny anglikański. Wraz ze swoim bratem Charlesem (1707-88) doprowadził do przebudzenia w Kościele Anglikańskim i w rezultacie do powstania Kościoła Metodystycznego.

⁹ E. Czajko, *Zielonoświątkowcy*, Warszawa 1995, s. 6-7.

¹⁰ Z. Pasek, *Ruch zielonoświątkowy. Próba monografii*, Kraków 1992, s. 20.

go uważa się Williama J. Seymoura (1870-1922), który głosił (choć sam tego jeszcze nie doświadczył) potrzebę przeżycia chrztu w Duchu Świętym. Za swe przekonania został wyłączony z ruchu uświęceniowego. Jednakże ci, którzy pragnęli doświadczyć tego przeżycia, spotykali się z nim na wspólnych modlitwach w mieszkaniu prywatnym, mieszczącym się przy ulicy North Bonnie Brae 214, w Los Angeles. Tam właśnie, 9 kwietnia 1906 r., siedmiu z nich przeżyło napełnienie Duchem Świętym i mówiło innymi językami. Po tym wydarzeniu cała grupa przeniosła się do budynku należącego uprzednio do Kościoła Metodystycznego, położonego przy Azusa Street w Los Angeles¹¹.

Dla Williama J. Seymoura, Pięćdziesiątnica, chrzest Duchem Świętym, była czymś więcej niż tylko mówieniem innymi językami. Dla tego czarnoskórego chrześcijanina, w odróżnieniu od białego rasisty (niestety taka jest smutna prawda) Charlesa F. Parhama, Pięćdziesiątnica oznaczała miłość w miejsce nienawiści, pojednanie w Chrystusie ras, klas społecznych i płci. Podczas duchowego przebudzenia w Los Angeles biali biskupi i czarnoskórzy robotnicy, mężczyźni i kobiety, Azjaci i Meksykanie, biali profesorowie i murzyńskie praczki – wszyscy byli sobie równi. I dopiero z Los Angeles ogień przebudzenia rozniósł się na cały świat.

Apostołem ruchu zielonoświątkowego w Europie był Thomas B. Barratt (1862-1940), pastor metodystyczny z Oslo (Norwegia), który podczas pobytu w USA pod koniec 1906 roku, po kontakcie z zielonoświątkowcami z Azusa Street, doznał przeżycia chrztu w Duchu Świętym i po powrocie do Norwegii stał się gorliwym propagatorem pentekostalizmu zarówno w swoim kraju, jak i w innych krajach naszego kontynentu. Odwiedził również Polskę¹².

Należy podkreślić, że ruch zielonoświątkowy, w różnych krajach przyjmował odmienne rozwiązania strukturalne; w Polsce, w pierwszym etapie, był to Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, później ruch zielonoświątkowy w naszym kraju rozwijał się jako jeden z ewangelicznych nurtów w ramach Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego (ZKE), a dzisiaj istnieje cały szereg różnych wspólnot zielonoświątkowych, które powstały po oficjalnym rozwiązaniu tego ostatniego¹³. Tak więc, analogicznie jak na całym świecie, również w Polsce ruch zielonoświątkowy nie osiągnął jedności organizacyjnej. Stało się tak przede wszystkim z powodu różnic w interpretacji podstawowych elementów doktryny oraz ze względu na odmienną niż w katolicyzmie eklezjologię, zgodnie z którą (podobnie jak w innych wolnych Kościołach i ruchach wolnokościelnych) podkreśla się wystarczalność tzw. „jedności duchowej” wszystkich wyznających Jezusa jako Pana.

Kim są zielonoświątkowcy, owa druga obecnie co do wielkości „tradycja” chrześcijańska?

Zielonoświątkowcy odwołują się do wydarzenia biblijnej Pięćdziesiątnicy – zwanej po polsku Zielonymi Świątkami – i zjawisk temu wydarzeniu towarzyszących, oraz do doświadczeń duchowych Kościoła apostołskiego, jakim daje wyraz 1 List do Koryntian. Uważają się za rzeczników odnowy elementu charyzmatycznego w Kościele chrześcijańskim, nawiązując do słów z Dziejów Apostolskich: „A gdy nadszedł dzień Zielonych Świąt, byli wszyscy razem na jednym miejscu. I powstał nagle z nieba szum, jakby wiejącego gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, gdzie siedzieli. I ukazały się im języki jakby z ognia, które się rozdzieliły i usiadły na każdym z nich. I napełnieni zostali wszyscy Duchem Świętym, i zaczęli

¹¹ H. R. Tomaszewski, *Wyznania typu ewangeliczno-baptystycznego wchodzące w skład Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w latach 1945-1956*, Warszawa 1991, s. 31-32.

¹² E. Czajko, *op. cit.*, s. 7-8.

¹³ *Duch rozdziela dary każdemu, tak jak chce* – rozmowa z pastorem Ryszardem Kwoką, Zastępcą Prezbitera Naczelnego Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Rzeczypospolitej Polskiej, „Scriptores Scholaram” 1998, nr 4 (21), s. 183.

mówić innymi językami, tak jak im Duch poddawał” (Dz 2, 1-4 – Biblia Warszawska).

Zielonościatkwcy są chrześcijańską wspólnotą, która wierzy w nieomylną kanoniczną całość Pisma Świętego, Biblii, jako Słowa Bożego, natchnionego przez Ducha Świętego, które stanowi jedyną normę wiary, doktryny i etyki, czyli nauki o moralności. Innymi słowy, zielonościatkwcy stoją mocno na gruncie reformacyjnej zasady: *sola Scriptura* (tylko Pismo). Jeśli chodzi o naukę o Bogu, stoją na gruncie trynitarnym. Wierzą w Boga – Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Kręgi antytrynitarne są wśród zielonościatkwców stosunkowo niewielkim marginesem, a w Polsce bardzo wąskim. Jeśli chodzi o chrystologię, to również wyznają reformacyjną zasadę: *solus Christus* (tylko Chrystus). Jezus Chrystus – w nauce zielonościatkwców – jest jedynym pośrednikiem zbawienia. Zielonościatkwcy wierzą w Jego boskie Synostwo, Jego poczęcie z Ducha Świętego i narodzenie z Marii Dziewicy. Wierzą w śmierć Chrystusa na krzyżu za grzechy świata i Jego zmartwychwstanie w ciebie, wniebowstąpienie i powtórne przyjście. Zielonościatkwcy wierzą, że droga do pojednania z Bogiem – na podstawie krzyża i zmartwychwstania – prowadzi przez upamiętanie i wiarę w Ewangelię. Wierzą także w zmartwychwstanie ciała i życie wieczne. Jeśli chodzi o rzeczy doczesne, to wierzą również w uzdrowienie chorych przez wiarę w uzdrawiającą moc Boga. Czynnikiem wyróżniającym zielonościatkwców jest wiara w chrzest Duchem Świętym, w doświadczanie Jego pełni i w dary łaski, dary duchowe, czyli charyzmaty.

Czym jest chrzest Duchem Świętym? Prawie wszyscy zielonościatkwcy stoją na stanowisku, że chrzest Duchem Świętym jest wzmocnieniem, wyposażeniem w moc Ducha Świętego (takim nadprzyrodzonym bierzmowaniem), potrzebną odrodzonemu przez tegoż Ducha Świętego chrześcijaninowi do służby i świadectwa¹⁴. Zielonościatkwcami są ci, którzy nauczają co najmniej

o dwóch następujących po sobie i odrębnych doświadczeniach religijnych w życiu chrześcijanina – chodzi o: (1) odrodzenie, (2) chrzest w Duchu Świętym. Drugie przeżycie jest zazwyczaj, choć nie zawsze, łączone z mówieniem innymi językami¹⁵.

Zielonościatkwcy praktykują także chrzest wodny ludzi świadomie wierzących. Chrzest jest wykonywany w Imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego przez całkowite zanurzenie w wodzie. Zielonościatkwcy nauczają, że chrzest jest przykazaniem Pańskim oraz złożeniem świadectwa przed Bogiem i ludźmi, iż przez wiarę w Jezusa Chrystusa katechumen doświadczył przeżycia zbawienia i odpuszczenia grzechów, i że ślubuje dożgonną wierność Bogu. Wieczerza Pańska (Komunia Święta, Eucharystia) jest obchodzona pod dwiema postaciami: chleba i wina, na pamiątkę śmierci Jezusa Chrystusa poniesionej dla nas i za nas. Wyznawcy spowiadają się bezpośrednio Bogu, ale rozmowa duszpasterska, często z wyznaniem grzechów, ma również miejsce. Małżeństwo jest zawierane przez ślubowanie i modlitwę nowożeńców oraz modlitwę i błogosławieństwo przywódców lokalnego zboru (parafii). Chorzy bywają namaszczeni olejem ku uzdrowieniu. Niemowlęta nie są chrzczone, lecz podczas zgromadzenia zborowego są „ofiarowywane Panu” i błogosławione¹⁶.

Największymi przedstawicielami ruchu zielonościatkowego w Polsce na dzień dzisiejszy są: Kościół Zielonościatkowy, Chrześcijańska Wspólnota Zielonościatkowa, Kościół Boży w Chrystusie, Ewangeliczna Wspólnota Zielonościatkowa oraz Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej.

Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej – historia i dzień dzisiejszy

Instytucjonalne narodziny Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Polsce to zjazd

¹⁴ E. Czajko, *op. cit.*, s. 4-6.

¹⁵ W.J. Hollenweger, *Handbuch der Pfingstbewegung*, Zurich 1965, vol. I, s. VI.

¹⁶ E. Czajko, *op. cit.*, s. 6.

w Starej Czołnicy k. Łucka (woj. wołyńskie), w maju 1929 roku, na którym doszło do formalnego zjednoczenia działających dotąd samodzielnie zborów z Polski centralnej i z kresów. Powstały Kościół nosił nazwę Związek Zborów Chrześcijan Wiary Ewangelicznej i był, jak sugerowała nazwa, organizacją konsekwentnie przestrzegającą zasad kongregacjonalizmu (autonomia poszczególnych zborów). Geneza obu połączonych w Czołnicy ośrodków ruchu zielonoświątkowego, z Polski centralnej i z kresów, była odmienna.

Odrodzona Polska w swych granicach pozostawiła znaczne skupiska ludności niemieckiej na terenach województw: poznańskiego, Prus Wschodnich i Śląska, wśród których znajdowały się niemieckojęzyczne zbory zielonoświątkowe. Aktywny udział w krzewieniu ewangelicznego protestantyzmu miały także różne anglosaskie organizacje religijne prowadzące charytatywną działalność w Polsce po pierwszej wojnie światowej. Łączono pomoc dla zniszczonego kraju z działalnością misyjną. W latach bezpośrednio po zakończeniu wojny pojawiły się w Rzeczypospolitej misje metodystyczne, YMCA, powstawały pierwsze zbory Kościoła Chrystusowego, wzrosła aktywność wielu ewangeliczno-baptystycznych grup. W 1924 roku, popierany przez różne misyjne organizacje Ameryki Północnej i Wielkiej Brytanii William Fetler utworzył w Warszawie Stowarzyszenie Wzajemnej Pomocy Ewangelicznych Chrześcijan.

W Łodzi i okolicach działalność W. Fetlera wspomagał Gustaw H. Schmidt (1891-1958), dyrektor wschodnioeuropejskiej misji zielonoświątkowej, której siedziba znajdowała się w Gdańsku, a centrala w Chicago. Od 1928 roku przyłączył się do nich wychowanek szkoły zielonoświątkowców w Londynie – Artur Bergholc. W kręgu ich pracy znaleźli się przede wszystkim luternie i baptysci z wielkoprzemysłowych śródmieści Łodzi. Powstała tam centrala zaczęła koordynować z czasem działalność pozostałych ponemieckich zborów z po-

znańskiego i z Prus Wschodnich wraz z nawróconymi Polakami z tych terenów.

Natomiast na Ukrainie działał ewangeliczny ruch szundystów¹⁷ (zapoczątkowany jeszcze przez niemieckich protestantów osadzanych tam przez carycę Katarzynę). Był on gruntem, na którym pojawił się i wyrósł kresowy ruch zielonoświątkowy. W bogatej religijnej mozaice, i przede wszystkim na prawosławnym tle wyznaniowym, wyrastały poszczególne wspólnoty wierzące w chrzest Duchem Świętym. Praktykę chrztu Duchem przynieśli na te ziemie reemigranci z Ameryki, wracający do swych rodzinnych stron po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. Szerzył ją także, w latach dwudziestych, ukraiński ruch zielonoświątkowy (poprzez Odessę). W 1926 roku powstał Wszechukraiński Związek Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, na którego czele stał, przybyły z Ameryki, Iwan E. Woronajew¹⁸.

W pierwszym numerze polskojęzycznego kwartalnika zielonoświątkowego „Przystęp” Artur Bergholc pisze: „Już od kilku lat możemy zauważyć, jak osobliwa chmura łaski unosi się po wschodnich połaciach naszego kraju. (...) Miejscami zdarzało się, że ludzie wywędrowawszy przed wojną światową do Ameryki, tamże się nawrócili. Cudowne, przewspaniałe objawienia Boże w tej części świata nie mogły ich zatrzymać w tym bogatym kraju, i gdy droga do ich rodzinnej ziemi była wolna, spieszyli do Ojczyzny, aby zwiastować swym rodakom zbawienie w Jezusie”¹⁹.

Na wschodnich terenach Rzeczypospolitej, gdzie rodził się Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej, jego głównymi twórcami i kaznodziejami byli m.in. Grzegorz Kraskowski, Stanisław Niedźwiecki, Jan Pańko, Józef Czerski, Grzegorz Fedyszyn.

¹⁷ Sztundyści – od niemieckiego słowa *die Stunden* (godziny), gdyż członkowie tego ewangelicznego ruchu spędzali godziny na studiowaniu Biblii.

¹⁸ Z. Pasek, *op. cit.*, s. 154-155.

¹⁹ A. Bergholc, *Z pola pracy*, „Przystęp” 1936, nr 1, s. 10.

W maju 1929 roku w Starej Czołnicy wybrano władze nowego Kościoła, który połączył grupy zielonoświątkowców z Polski centralnej oraz z kresów. Na czele zarządu stanął Artur Bergholc z Łodzi, która stała się siedzibą władz naczelných. A. Bergholc był także redaktorem wydawanego w Łodzi wspomnianego pisma „Przystęp” (1936-1939). W Tarnopolu wydawano w języku ukraińskim „Ewangeliskij Hołos” (1936-1939), pod redakcją Grzegorza Fedyszyna, a w Gdańsku – Gustaw H. Schmidt wydawał po rosyjsku „Primiritiela” (1929-1939).

W Kiwercach pod Łuckiem utrzymywano Dom Sierot pod kierunkiem Luby Kobiało. Natomiast szczególnie ważnym ośrodkiem ruchu zielonoświątkowego, nie tylko w skali Polski, było Wolne Miasto Gdańsk. Tutaj 2 marca 1930 roku otwarto założony przez Gustawa H. Schmidta Instytut Biblijny, który kształcił „duchownych” i kaznodziei Kościoła na specjalnych kursach biblijnych. Oprócz mieszkańców Polski kształcili się tutaj Bułgarzy, Rumuni, Węgrzy, Estończycy i Niemcy. Należy zaznaczyć, że Instytut obejmował swą działalnością nie tylko wiernych z Kościołów zielonoświątkowych. Instytut został zamknięty w 1938 roku na wyraźne życzenie rosnących we wpływy hitlerowców. Przez jakiś czas wykładowcą w tym Instytucie był słynny zielonoświątkowy kaznodzieja Donald Gee (1891-1966), który wywarł znaczny wpływ na formację religijną wielu działaczy chrześcijan wiary ewangelicznej²⁰. Wspominając swoją pracę w Instytucie Biblijnym w Gdańsku, Donald Gee pisał: „Pamiętam, jak dawno temu, w czasie mej służby nauczycielskiej w Gdańsku [...], uczyłem w języku angielskim, mając po jednej stronie kogoś, kto to objaśniał po niemiecku, a po drugiej kogoś, kto to tłumaczył na rosyjski”²¹.

Dodać należy, że przed II wojną światową chrześcijanie wiary ewangelicznej utrzymywali ożywione kontakty z amery-

kańskimi *Assemblies of God* (największa denominacja zielonoświątkowa w USA) oraz ze Szwajcarską Misją Zielonoświątkową.

Na wschodzie najliczniejsze zbory chrześcijan wiary ewangelicznej znajdowały się na terenie województw: wołyńskiego i tarnopolskiego. Mniejsze skupiska można było odnaleźć w województwach: wileńskim, nowogrodzkim, poleskim, lwowskim, stanisławowskim i lubelskim. Po wojnie tylko część wiernych wyemigrowała na Ziemię Zachodnie i Północne, większość pozostała nadal na Wschodzie, gdzie znajdują się do dziś znaczne skupiska zielonoświątkowców (np. zbór w Równem liczy aktualnie kilka tysięcy członków).

Po wojnie pierwszy zjazd Chrześcijan Wiary Ewangelicznej zwołano do Bytomia już w 1945 roku, a następny, który powołał Zarząd Kościoła, odbył się w Łodzi. Na czele Zarządu stanął Józef Czerski. Na zjeździe tym opracowano m.in. nowy statut Kościoła. Czołowymi działaczami Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w tym okresie byli: Kazimierz Czepieluk, Franciszek Januszewicz, Mieczysław Suski (senior), Stefan Osadca, Teodor Maksymowicz, Aleksander Rapanowicz, Walenty Dawidow i od 1947 roku Sergiusz Waszkiewicz. Większość z nich w latach 1950-1953 była więziona przez władze PRL w ramach ówczesnej akcji represyjnej wobec wspólnot religijnych w Polsce. Szczególnie inwigilowano wówczas te społeczności kościelne, które posiadały stałe kontakty z Zachodem²².

W 1953 roku chrześcijanie wiary ewangelicznej, ulegając naciskom władz politycznych, przystąpili do Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, który skupił większość działających wcześniej niezależnie wspólnot wyznaniowych typu ewangeliczno-baptystycznego.

Rok 1988 przyniósł kres temu sztucznemu tworowi, jakim był niewątpliwie Zjednoczony Kościół Ewangeliczny. Funkcjonujące na jego łonie poszczególne nurty

²⁰ Z. Pasek, *op. cit.*, s. 155-156.

²¹ D. Gee, *Dary duchowe a służba kościelna*, Warszawa 1970, s. 40.

²² Z. Pasek, *op. cit.*, s. 156-157.

ewangeliczne mogą znowu rozwijać się w ramach swoich autonomicznych struktur²³.

Od 1988 roku, tj. od zatwierdzenia rozpadu ZKE przez władze, Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej posiada niezależną rejestrację (decyzja Urzędu do Spraw Wyznań z 1 lutego 1988 r.). Jego zbory znajdują się głównie w rejonie Polski południowo-wschodniej.

Przed II wojną światową Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej liczył około 20 tys. wiernych i mniej więcej 500 zborów (parafii). Po drugiej wojnie światowej jego liczebność, m.in. w związku ze zmianą granic, znacznie zmalała²⁴ i obecnie (2000 r.) Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Polsce liczy 28 zborów, skupiających około 5 tys. członków i sympatyków.

Obradujący w marcu 1988 roku Synod Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej wybrał Naczelną Radę Kościoła, na której czele, jako Prezbiter Naczelny Kościoła i Przewodniczący Rady Kościoła, stanął Władysław Rudkowski. Po jego śmierci, w styczniu 1990 roku pełnienie obowiązków Prezbitera Naczelnego powierzono Krzysztofowi Czechowskiemu.

Główną zmianę strukturalną Kościoła przyniósł Synod obradujący w Lublinie pod koniec 1992 roku. Opracowano zasady wiary, nowy statut z prawem wewnętrznym Kościoła, powołano Kolegium Pastorów, Naczelną Radę Kościoła (od Synodu obradującego w 1996 roku funkcjonuje Kancelaria Kościoła) i wybrano Prezbitera Naczelnego w osobie Edwarda Rutkowskiego. Siedziba Kościoła znajduje się w Lublinie przy ul. Rusalka 17.

Kościół prowadzi zakrojoną na szeroką skalę działalność misyjno-ewangelizacyjną, wydawniczą, charytatywną²⁵ oraz edukacyjną.

Działalność misyjno-ewangelizacyjna urzeczywistniana jest przez poszczególne zbo-

ry (parafie), jak i różne agendy kościelne, do których należą m.in.: Akcja Społeczna „Ewangelia dla Każdego”, ostatnio z siedzibą w Świdniku (oferuje ona korespondencyjne kursy biblijne, w których uczestniczyło do tej pory ponad sto tysięcy Polaków), Misja „Barnaba” z Gdyni (organizator wielu konferencji biblijnych), Polska Misja „Świat dla Chrystusa” z siedzibą w Świdniku (prowadzi działalność ewangelizacyjną w Europie [trzy podróże misyjne na Ukrainę: Lwów, Odessa; osiem podróży misyjnych na Litwę: Wilno i okolice; trzy podróże misyjne do Niemiec; po dwie podróże misyjne do Francji, Wielkiej Brytanii, Holandii i Danii; trzy podróże misyjne do Słowenii; dwie podróże misyjne na Słowację; jedna podróż misyjna do Chorwacji] i Azji [pięć podróży misyjnych do Kazachstanu: Koksztetu, Astana, Karaganda, Alma-Ata; jedna podróż misyjna do Chin]; na przełomie lipca i sierpnia br. planowana jest szósta podróż misyjna do Kazachstanu i druga podróż misyjna do Chin), Misja Więzienna „Fylake” z Łęcznej (dociera z poselstwem Ewangelii do pensjonariuszy zakładów karnych na terenie całej Polski).

Działalność wydawnicza prowadzona jest zarówno przez własne agendy, takie jak Instytut Wydawniczy dra Dereka Prince’a w Lublinie, Instytut Wydawniczy „Odpowiedź Ewangelii” w Świdniku (wydający kwartalnik pod tym samym tytułem), Misję „Barnaba” w Gdyni, jak i przez, współpracujące z Kościołem, Towarzystwo Ewangeliczno-Społeczne w Lublinie.

Działalnością charytatywną zajmują się poszczególne zbory oraz współpracujące z nimi fundacje, np. Fundacja Chrześcijańska „Petros” w Lublinie, Fundacja „Miłosierny Chrześcijanin” w Świdniku²⁶.

Celem Fundacji Chrześcijańskiej „Petros” jest m.in.: „udzielanie pomocy osobom niepełnosprawnym, chorym, uzależnionym, udzielanie pomocy placówkom służby zdrowia, organizowanie ośrodków rehabilitacji, organizowanie i prowadzenie różnych form zbiorowego wypoczynku dla

²³ *Duch rozdziela dary każdemu, tak jak chce*, op. cit.

²⁴ Z. Pasek, op. cit., s. 157.

²⁵ Z. Rutkowski, *Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Polsce. Historia i organizacja*, [w:] *Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Polsce. Informator*, b.m.w., br.w.

²⁶ Ibidem.

dzieci i młodzieży, organizowanie i prowadzenie jadłodajni [...]”²⁷.

Zgodnie ze Statutem Fundacji „Miłosierny Chrzecijanin” jej celem jest „powołanie i prowadzenie domów opieki, organizowanie i rozdzielanie pomocy (np.: odzież, żywność, leki, sprzęt medyczny itp.) dla opuszczonych, bezdomnych, chorych i uzależnionych patologiami społecznymi (alkoholizm, narkomania itp.)”²⁸.

Działalność edukacyjna realizowana jest przez powołane do życia w 1998 roku Kolegium Teologiczne Kościoła Chrzescijan Wiary Ewangelicznej z siedzibą w Lublinie przy ul. Rusalka 17. Kolegium otwarte jest dla wszystkich chętnych (mężczyzn i kobiet), bez względu na przynależność kościelną. O przyjęciu decyduje kolejność zgłoszeń. Zajęcia odbywają się w systemie zaocznym.

Kościół Chrzescijan Wiary Ewangelicznej utrzymuje i rozwija stosunki z bratnimi Kościołami w Polsce i na całym świecie, poprzez wspólnotę modlitwy, wiary i obrzędów kościelnych, wzajemne kontakty, wymianę infor-

macji i wydawnictw oraz wzajemną pomoc²⁹. Płaszczyznę do takiej współpracy stanowi w ostatnim czasie, powołany do życia w roku 1999, Alians Ewangeliczny w RP.

Zakończenie

Większość podręczników historii Kościoła pisanych jest zazwyczaj z perspektywy widzenia określonej konfesji wyznaniowej. Powstają w ten sposób książki, które tak naprawdę nie są historią Kościoła, a jedynie historią poszczególnych Kościołów i wyznań chrześcijańskich, co łączy się z kościelnymi i wyznaniowymi zawężeniami. Prawdziwa, pełna historia Kościoła to nie tylko historia katolicyzmu, prawosławia lub protestantyzmu. Historia Kościoła jest zawsze większa od historii Kościoła katolickiego, większa od historii Kościoła prawosławnego, większa od historii Kościołów protestanckich, gdyż „Kościół – jak słusznie zauważa Mariusz Choina – jest zbyt wielki, aby uważać go za podwórko jednej frakcji”³⁰.

²⁷ Odpis aktualny z rejestru Fundacji nr 2569 wydany przez Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy.

²⁸ Statut Fundacji „Miłosierny Chrzecijanin”, paragraf 7.

²⁹ Z. Rutkowski, *op. cit.*

³⁰ M. Choina, *Duch sekciarstwa w Kościele*, „Scriptores Scholarum” 1999, nr 2/3 (23/24), s. 172.



Kaplica Kościoła Chrzescijan Wiary Ewangelicznej w Lublinie, ul. Rusalka 17
fot. M. Orłowski

Opracowania naukowe i popularnonaukowe dotyczące ruchu zielonoświątkowego w języku polskim:

1. Edward Czajko, *Ruch zielonoświątkowy. Przyczynek do zagadnienia nurtu charyzmatycznego w Kościele*, „Rocznik Teologiczny ChAT” 1970, R. XII, z. 1, s. 31-57.
2. Edward Czajko, *Ruch zielonoświątkowy*, [w:] *Kalendarz Chrześcijanina* 1977, red. E. Czajko, M. Kwiecień, A. Lewczuk, Warszawa 1977, 98-113.
3. Edward Czajko, *Ruch zielonoświątkowy*, „Chrześcijanin” 1977, nr 7-8, s. 30-36.
4. Edward Czajko, *Kościół Zielonoświątkowy*, „Chrześcijanin” 1990, nr 1, s. 8-15.
5. Edward Czajko, *Kościół Zielonoświątkowy w Polsce*, Warszawa 1991.
6. Edward Czajko, *Zielonoświątkowcy*, Warszawa 1995.
7. *Dzień z wyznaniem chrześcijańskimi Lubelszczyzny*, red. Marek Garbacz, Lublin- Kraków 1990, s. 31-34 [Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej], 47-48 [Kościół Zielonoświątkowy].
8. Michael Harper, *Tak jak na początku. Z dziejów przebudzenia pentekostalnego w XX wieku*, b.m.w., brw.
9. Walter J. Hollenweger, *Po dwudziestu latach badań nad religią zielonoświątkowców*, „Studia i Dokumenty Ekumeniczne” 1986, nr 4, s. 35-45.
10. Karol Karski, *Ruch zielonoświątkowy*, [w:] tenże, *Symbolika. Zarys wiedzy o Kościołach i wspólnotach chrześcijańskich*, Warszawa 1994, s. 183-186.
11. Andrzej Kominek, *Ruch stanowczych chrześcijan*, [w:] *Kalendarz Chrześcijanina* 1977, red. E. Czajko, M. Kwiecień, A. Lewczuk, s. 115-119.
12. Andrzej Kominek, *Ruch Stanowczych Chrześcijan*, „Chrześcijanin” 1977, nr 7-8, s. 36-37.
13. Celestyn Napiórkowski, *Ruch charyzmatyczny w protestantyzmie*, „Zeszyty Naukowe KUL” 1976, R. 19, nr 3, s. 23-35.
14. Zbigniew Pasek, *Stanowczy Chrześcijanie. Zarys historii i przegląd problematyki badawczej*, „Studia Religiologica” 1988, z. 19, s. 69-81.
15. Zbigniew Pasek, *Ruch zielonoświątkowy. Próba monografii*, Kraków 1992.
16. Zbigniew Pasek, *Związek Stanowczych Chrześcijan. Studium historii idei religijnych*, Kraków 1993.
17. Francis A. Sullivan, *Charyzmatycy i Odnowa Charyzmatyczna. Studium biblijne i teologiczne*, Warszawa 1986.
18. Henryk R. Tomaszewski, *Wyznania typu ewangeliczno-baptystycznego wchodzące w skład Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego w latach 1945-1956*, Warszawa 1991, s. 31-37 [Powstanie ruchu zielonoświątkowego (zarys)], 109-115 [Kościół Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Polsce w latach 1946-1950].
19. Michał Tymiński, *Kościół Zielonoświątkowy w Polsce*, Wrocław 1999.

* W artykule *Kalendarz, jakiego nie było*, który ukazał się na łamach kwartalnika „Scriptores Scholarum” 1999, nr 4 (25), s. 137., podałem błędną informację odnośnie ilości zborów Kościoła Zborów Chrystusowych działających na terenie Lubelszczyzny. Oprócz wymienionego przeze mnie Zboru w Białej Podlaskiej, Kościół Zborów Chrystusowych posiada na Lubelszczyźnie jeszcze dwa zbory w: Międzylesiu (gmina Tucznia) i Muratynie (gmina Łaszczów). Za pomyłkę przepraszam.

Pastor Jacek Duda

Historia Zboru Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Lublinie. W co wierzą chrześcijanie ewangeliczni Anno Domini 2000?

**Paweł Wojnar po
pracy zwiastował
ludziom Ewange-
lię, mówiąc o Panu
Jezusie i cudach,
które czynił. Jedna
ze słuchaczek, Zo-
fia Rybicka, słu-
chając tych słów,
pomyślała o swojej
chorej stryjnence –
Adeli Stephan. Po-
stanowiła zaprosić
Pawła Wojnara,
aby modlił się
o uzdrowienie
Adeli, co też na-
stąpiło. Uzdrowie-
nie stało się po-
czątkiem wspól-
nych spotkań przy
Słowie Bożym.**

Zbór Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Lublinie należy do zborów (parafii) o długiej tradycji. Jego początki sięgają I wojny światowej, kiedy to do Lublina przybył oficer armii austriackiej – Paweł Wojnar, wywodzący się ze Śląska Cieszyńskiego. Jako człowiek biblijnie wierzący, Paweł Wojnar po pracy zwiastował ludziom Ewangelię, mówiąc o Panu Jezusie i cudach, które czynił. Jedną ze słuchaczek, Zofia Rybicka, słuchając tych słów, pomyślała o swojej chorej stryjnence – Adeli Stephan. Postanowiła zaprosić Pawła Wojnara, aby modlił się o uzdrowienie Adeli, co też nastąpiło. Uzdrowienie stało się początkiem wspólnych spotkań przy Słowie Bożym. Na spotkania uczęszczały rodziny: Stephanów, Repszów, Millerów, Bitnerów, Pakulskich, panie: Czarnecka, Sankowska, Paciorowska oraz Karol Wowra, który po wyjeździe z Lublina (w roku 1918) Pawła Wojnara, przejął rolę kaznodziei. Karol Wowra wydawał czasopismo „Łaska i Pokój”. Zbór został zarejestrowany w 1917 r. jako Zrzeszenie Zwolenników Nauki Pierwszych Chrześcijan, a od 1925 r. jako Zbór Wolnych Chrześcijan.

W fabryce samolotów w Lublinie pracował Aleksander Szymanek, który został zaproszony na spotkania przez współpracownika – Józefa Romana, męża Lidii, z domu Bitner. Aleksander Szymanek, po swoim nawróceniu w 1924 roku, stał się jednym z przywódców Zboru. Podczas II wojny światowej nabożeństwa odbywały się wspólnie z baptystami, a przychodzili na nie również wierzący Niemcy i Żydzi. W kwietniu 1944 r. przyjechał do Lublina Stanisław Krakiewicz, późniejszy długoletni

przywódca Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego (w skrócie ZKE), któremu udostępniono na spotkania bibliotekę na plebanii Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Zbór lubelski należał w latach 1948-1988 do Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego, który był największym Kościołem w Polsce o charakterze ewangelicznym.

Po wyjeździe Stanisława Krakiewicza do Warszawy nabożeństwa nadal odbywały się na plebanii, a prowadził je, w latach 1945-1974, Aleksander Szymanek, który został Pastorem Zboru. W 1950 roku, na fali represji, ówczesne władze aresztowały pastora Aleksandra Szymanka i br. Jana Kasperkiewicza – przywódców Zboru.

W 1953 roku odbył się w Lublinie ślub Jadwigi Kancler z pastorem Józefem Mrózkim (jun.) – ogólnie szanowanym nauczycielem Słowa Bożego i jednym z przywódców Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego.

W latach 50. i 60. Zbór lubelski organizował w Kościele Ewangelicko-Augsburskim Konferencje Okręgowe ZKE. „Szkoła Niedzielną” dla dzieci odbywała się w mieszkaniu państwa Kasperkiewiczów, a przyjęcia „Agape” w mieszkaniach państwa Szymanków i Kasperkiewiczów.

W latach 60. Zbór był odwiedzany przez wielu gości z kraju i z zagranicy. W pracę Pańską zaangażowały się rodziny: Różalskich, Długoszków, a później Wołyńczuków.

W roku 1968 grono młodzieży liczyło już 20 osób. Organizowane były Zjazdy Młodzieży. Zborowa młodzież nawiązała kontakt z młodzieżą katolicką, klerykami i księżmi. Pastor Józef Prower ze Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego zaproszony został do jednej z parafii Kościoła Rzymskokatolickiego i do klasztoru ss. Urszulanek, aby wygłosić homilię (!) i grać na skrzypcach. Później Słowo Boże w parafiach rzymskokatolickich głosili m.in. pastory: Stanisław Krakiewicz (Prezes Rady ZKE) i Mieczysław Kwiecień (późniejszy Dyrektor Szkoły Biblijnej w Warszawie). To w Lublinie, w lutym 1968 roku, zapoczątkowane zostały pierwsze w Polsce kontakty pomiędzy chrześcijaństwem ewangelicznym a Kościołem Rzymskokatolickim,

który na fali przemian Soboru Watykańskiego II otworzył się na Słowo Boże. I chociaż w późniejszym okresie sytuacja się zmieniła i często szczere, jak się wydaje, zainteresowanie protestantyzmem, zostało skierowane w innym kierunku, to jednak przez te kilka lat przejęto wiele dobrego. W latach 70. narodził się w Kościele Rzymskokatolickim ruch oazowy, „Odnowa w Duchu Świętym” i inne ruchy przebudzeniowe.

9 marca 1975 roku odbyła się uroczystość poświęcenia własnej kaplicy Zboru przy ul. Szenwalda 30 (obecnie ul. Probstwo). Prowadzenie Zboru przejął po pastarze Aleksandrze Szymanku, przybyły z Warszawy, pastor Józef Siczek. Przybywali nowi członkowie i nowe placówki (filie): w Kasiłanie, Płusach, Krzakach, Leszkowicach, a później w Lubartowie i Radomiu. Powstał chór, który zapraszany był na koncerty poza Lublinem.

Po opuszczeniu, w 1980 roku, ZKE przez ugrupowanie wolnych chrześcijan, Zbór pozostał w ZKE w ramach ugrupowania ewangelicznych chrześcijan. Praca rozwijała się. Do Zboru dołączały kolejne osoby. Zbór lubelski należał w tym czasie do większych zborów Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego.

Od połowy lat 80. Zbór przeżywał trudne chwile. W 1988 roku obowiązki pastora przejął br. Edward Długosz, który po roku został Pastorem Zboru. Edward Długosz prowadził Zbór przez 6 lat. Zbór w tym czasie powoli odradzał się. Kiedy pastor Długosz nie zdecydował się na przedłużenie kadencji, Rada Zboru zwróciła się do Rady Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan o pomoc w znalezieniu pastora. Rada Kościoła zaproponowała tę funkcję pastorowi Jackowi Dudzie, który uzyskał akceptację Zboru i z końcem roku 1995 przybył z rodziną do Lublina.

Od kilku lat w Zborze lubelskim organizowane są konferencje: na początku regionalne, a później specjalistyczne – dla kobiet, młodzieży i dzieci. Zbór stał się siedzibą Okręgu Wschodniego Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan. Organizowane są ewangelizacje. Praca z dziećmi prowadzona jest

w trzech kompletach nauczania. Rozwija się praca z młodzieżą. Zbór posiada placówki w Lubartowie i Leszkowicach, a także opiekuje się Ośrodkiem Katechetyczno-Misyjnym w Kunowie, gdzie organizowane są obozy dla dzieci (w tym z Białorusi) i młodzieży. Dzięki zaangażowaniu „otwartych domów” zborowników, goście i sympatycy Zboru mogą korzystać z gościnności i chrześcijańskiej troski. Co roku odbywają się chrzty; Zbór krok po kroku rozwija się, nawiązując do swojej chlubnej przeszłości.

Przełom tysiącleci charakteryzuje się wybieganiem naszych myśli w przyszłość. Chrześcijanie ewangeliczni cechują się wiarą w Pismo Święte, jako Słowo Boże. Ich wyznanie wiary i poglądy opierają się więc na nauce Pisma, także w sprawach eschatologii, czyli nauki o rzeczach przyszłych.

Pan Jezus Chrystus i apostołowie zapowiedzieli w Ewangeliach i Listach wydarzenia, które niechybnie nastąpią. Będą tak dramatyczne, że trudno będzie je porównać z czymkolwiek, co już miało miejsce na naszej planecie: „Wtedy bowiem nastanie wielki ucisk, jakiego nie było od początku świata aż dotąd, i nie będzie” (Mt 24, 21)*. Te niezwykle wydarzenia poprzedzone będą objawieniem się antychrysta: „Niechaj was nikt w żaden sposób nie zwodzi; bo [Dzień Pański – przyp. J. D.] nie nastanie pierwaj, zanim nie przyjdzie odstępstwo i nie objawi się człowiek niegodziwości, syn zatracenia, przeciwnik, który wynosi się ponad wszystko, co się zwie Bogiem lub jest przedmiotem boskiej czci, a nawet zasiądzie w świątyni Bożej, podając się za Boga [...]. A ów niegodziwiec przyjdzie za sprawą szatana z wszelką mocą, wśród znaków i rzekomych cudów, i wśród wszelkich podstępnych oszustw wobec tych, którzy mają zginąć, ponieważ nie przyjęli miłości prawdy, która mogła ich zbawić” (2 Tes 2, 3-4; 9-10).

Szatan nazwany jest w Biblii „bogiem tego świata” (por. 2 Kor 4, 4). Kiedy Pan Jezus był kuszony, otrzymał ofertę – szatan pokazał mu wszystkie królestwa świata oraz

ich chwałę i zaproponował: „To wszystko dam ci, jeśli upadniesz i złożysz mi pokłon” (por. Mt 4, 8-9). W J 12, 31 zapisane są słowa Pana Jezusa: „Teraz odbywa się sąd nad tym światem; teraz władca tego świata będzie wyrzucony”, a Apostoł Jan pisze – „I wybuchła walka w niebie: Michał i aniołowie jego stoczyli bój ze smokiem. I walczył smok i aniołowie jego, lecz nie przemógł i nie było już dla nich miejsca w niebie. I zrzuty został ogromny smok, wąż starodawny, zwany diabłem i szatanem, który zwodzi cały świat; zrzuty został na ziemię, zrzuceni też zostali z nim jego aniołowie” (Ap 12, 7-9).

Pan Bóg nie zwleka z wypełnieniem się zapowiedzi powtórnego przyjścia na ziemię Chrystusa, „lecz okazuje cierpliwość względem was, bo nie chce, aby ktokolwiek zginął, lecz chce, aby wszyscy przyszli do upamiętania. A dzień Pański nadejdzie jak złodziej; wtedy niebiosy z trzaskiem przeminają, żywioły rozpalone stopnieją, ziemia i dzieła ludzkie na niej spłoną” (2 P 3, 9-10).

Pan Jezus, wyjaśniając podobieństwo o pszenicy i kłolu (por. Mt 13, 24-30), powiedział: „Ten, który sieje dobre nasienie, to Syn Człowieczy. Rola zaś to świat, a dobre nasienie to synowie Królestwa, kłol zaś to synowie Złego. A nieprzyjaciół, który go posiał, to diabeł, a żniwo to koniec świata, żeńcy zaś to aniołowie. Jak tedy zbiera się kłol i pali w ogniu, tak będzie przy końcu świata. Syn Człowieczy pošle swoich aniołów i zbiorą z Królestwa jego wszystkie zgorzienia, i tych, którzy popełniają nieprawość, i wrzucą ich do pieca ognistego; tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” (Mt 13, 37-42).

Apostoł Jan pisze: „I widziałem niebo otwarte, a oto biały koń, a Ten, który na nim siedział, nazywa się Wierny i Prawdziwy, gdyż sprawiedliwie sędzi i sprawiedliwie walczy. Oczy zaś jego jak płomień ognia, a na głowie jego liczne diademy. Imię swoje miał wypisane, lecz nie znał go nikt, tylko on sam. A przyodziany był w szatę zmoczoną we krwi, imię zaś jego brzmi: Słowo Boże. I szły za nim wojska niebieskie na białych koniach, przyobleczone w czysty, biały bisior. A z ust jego wychodzi ostry miecz, którym miał pobić

* Wszystkie cytaty wg Biblii Warszawskiej.

narody, i będzie nimi rządził laską żelazną, On sam też tłoczy kadź wina zapalczego gniewu Boga, Wszechmogącego. A na szacie i na biodrze swym ma wypisane imię: Król królów i Pan panów” (Ap 19, 11-16).

W innym miejscu Pismo Święte podaje: „A gdy przyjdzie Syn Człowieczy w chwale swojej i wszyscy aniołowie z nim, wtedy zasiądzie na tronie swej chwały. I będą zgromadzone przed nim wszystkie narody, i odłączy jedne od drugich, jak pasterz odłącza owce od kozłów [...]. I odejdą ci na kaźń wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego” (Mt 25, 31-32. 46).

Szatan przedstawiany jest w Biblii jako wąż i smok (por. Ap 20, 2). Bóg ustanowił nieprzyjaźń między wężem a kobietą (Ewą), między potomstwem węża a potomstwem kobiety (por. Rdz 3, 15). Znakiem czasów jest obecna fascynacja smokami – dinozaurami i węzami. To, co brzydkie, ohydne, stało się obiektem zainteresowań wielu, w tym dzieci. Dzieci w poprzednich pokoleniach dowiadywały się np. o Szewczyku Dratewce, który podjął słuszną walkę ze smokiem i pokonał go. Przez wieki istniała nieprzyjaźń pomiędzy rodzajem ludzkim a gadami. Teraz obserwujemy zmianę nastawienia. Co się dzieje? O stosunku Boga do smoków (potworów) mówią takie miejsca Biblii, jak: Iz 27, 1 – „W owym dniu ukarze Pan swoim twardym, wielkim i mocnym mieczem Lewiatana, zwinnego węża, Lewiatana, węża skręconego, i zabije smoka morskiego”, oraz Ps 74, 14 – „Tyś rozbił głowę Lewiatana, oddałeś go na żer zwierzętom pustyni”. A proroctwo mówi: „I widziałem anioła zstępującego z nieba, który miał klucz od otchłani i wielki łańcuch w swojej ręce. I pochwycił smoka, węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat. I wrzucił go do otchłani...” (Ap 20, 1-3).

Ale, póki co, „ogromny rudy smok” (por. Ap 12, 3) posiada władzę na ziemi. To z jego inicjatywy objawi się antychryst – człowiek, który stanie się światowym przywódcą. Antychrystowi „dozwolono [...] wszcząć walkę ze świętymi i zwyciężać ich; dano mu też władzę nad wszystkimi plemionami i luda-

mi, i językami, i narodami. I oddadzą mu pokłon wszyscy mieszkańcy ziemi, każdy, którego imię nie jest od założenia świata zapisane w księdze żywota Baranka, który został zabity” (Ap 13, 7-8).

Inna postać, fałszywy prorok, będzie zwodził mieszkańców ziemi przez cuda: „dano mu tchnąć ducha w posąg zwierzęcia, aby posąg zwierzęcia przemówił i sprawił, że wszyscy, którzy nie oddali pokłonu posagowi zwierzęcia, zostaną zabici. On też sprawia, że wszyscy, mali i wielcy, bogaci i ubodzy, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na swojej prawej ręce albo na swoim czole. I że nikt nie może kupować ani sprzedawać, jeżeli nie ma znamienia, to jest imienia zwierzęcia lub liczby jego imienia” (Ap 13, 15-17).

Oddanie pokłonu antychrystowi bądź jego posagowi oraz przyjęcie znamienia antychrysta oznaczać będzie opowiedzenie się po stronie szatana, stąd: „Jeżeli ktoś odda pokłon zwierzęciu i jego posagowi i przyjmie znamię na swoje czoło lub na swoją rękę, to i on pić będzie samo czyste wino gniewu Bożego z kielicha jego gniewu i będzie męczony w ogniu i siarce wobec świętych aniołów i wobec Baranka” (Ap 14, 9-10).

Przed nami wielkie wydarzenia – totalna konfrontacja pomiędzy Bogiem a siłami Złego. Chrystus pokona antychrysta (por. 2 Tes 2, 8). Diabeł zostanie wrzucony do jeziora z ognia i siarki (por. Ap 20, 10). Kto z ludzi nie jest zapisany w księdze żywota, także zostanie wrzucony do jeziora ognistego (por. Ap 20, 15): „I odejdą ci na kaźń wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego” (Mt 25, 46). Sprawiedliwi oglądać będą oblicze Chrystusa na wieki wieczne, a imię Jego będzie na ich czołach (por. Ap 22, 4). Ludzie, którzy pójdą za antychrystem, nosić będą na sobie znak antychrysta (por. Ap 13, 16) i z antychrystem spędzą wieczność (por. Ap 20, 10. 15).

Chrystus zachęca: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni, a Ja wam dam ukojenie” (Mt 11, 28) oraz: „Ja jestem droga i prawda, i żywot, nikt nie przychodzi do Ojca, tylko przeze mnie” (J 14, 6). Decyzja należy do każdego z nas...

Prezb. Ryszard Kwoka

Polska Misja „Świat dla Chrystusa”

**Prezbiterzy:
Jan Dytrych i
Ryszard Kwoka
w lipcu 1995 r.,
wsiedli do
pociągu
jadącego
w kierunku
Kijowa, skąd
zamierzali udać
się do Karagandy
w Kazachstanie.
Nie znali
szczegółów
podróży
ani kraju,
do którego się
udawali.
Opierali się
jednak na
wskazówkach
Ducha Świętego.**

Polska Misja „Świat dla Chrystusa”, istniejąca w ramach Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w RP, od wień at oc era ze S owem Bożym na po a misyjne. Prezbiter Jan Dytrych – Z-ca Dyrektora misji ds. Europy, w latach wojującego komunizmu zajmował się przewożeniem egzemplarzy Pisma Świętego na Ukrainę. Pomagali mu w tym, którzy zakr się dostarczali Biblie narodom ZSRR, przez ówczesną władzę za azane u ru owane grubo poniżej potrzeb.

Znana jest historia z lat 60., która dotyczyła pozwolenia na wydrukowanie przez zarejestrowanych baptystów (notabene, istniało więcej niezarejestrowanych baptystów) około 10 tysięcy egzemplarzy Biblii. Ktoś znacząc w KGB e z al d rektor wyu wnictwa wspomnianych baptystów i oświadczył, że połowa nakładu musi zostać wysłana dla mniejszości rosyjskojęzycznych w krajach zachodnich, gdzie – według jego słów – nie mają oni dostępu do literatury religijnej po rosyjsku. Tak więc baptystom w ZSRR pozostawiono 5 tysięcy Biblii, którymi można było obdzielić jedynie przywództwo wspólnot baptystycznych. Czarnorynkowa cena Biblii dochodziła wówczas do 300 rubli, co stanowiło równowartość kilku pensji „kołchoźnika”. Gdy wierzący na Zachodzie otrzymali Biblie z nadrukiem wydawnictwa z Moskwy, bez chwili wahania zlecili specjalistom druk ponad 5 mln kopii takich Biblii, które następnie „przerzucano” do ZSRR. Wiadomo, że papier był lepszy, a i samo wykończenie introligatorskie również. Ale gdy do prezbitera jakiejś wspólnoty ewangelicznej w ZSRR przychodził funkcjonariusz KGB i pytał czy ma Biblie i skąd, to on pokazywał nadruk i oświadczał, że dostał je od centrali w Moskwie. Polscy kurierzy znali zazwyczaj tylko imiona „braci” i to najwyżej dwóch z ognia. Różne były historie na granicach, miały miejsce konfiskaty (znane są przypadki, że potem sami

celnicy rozprawdzali Biblie po cenach czarnorynkowych), a nawet różnego rodzaju kary dla przewożących, ale zawsze znajdowali się chętni, którzy przemycali Biblie do ZSRR.

W 1995 r. przebiter Ryszard Kwoka otrzymał Boże natchnienie, aby pojechać do Kazachstanu. Wcześniej prowadził on prace misyjne na Litwie, w dużej mierze dzięki pomocy Zboru Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Łęcznej oraz innych wspólnot i osób wspierających. Przebiterzy: Jan Dytrych i Ryszard Kwoka w lipcu 1995 roku wsiedli do pociągu jadącego w kierunku Kijowa, skąd zamierzali udać się do Karagandy w Kazachstanie. Nie znali szczegółów podróży ani kraju, do którego się udawali. Opierali się jednak na wskazówkach Ducha Świętego. Chociaż sprzedano im w Kijowie bilety kolejowe do Karagandy, na stacji stał jedynie pociąg w kierunku Akmoły – miasta, którego nie można było znaleźć na mapie Kazachstanu. Wątpliwości rozwiązała nieznajoma pani, siedząca we wskazanym na bilecie przedziale. Okazało się, że jest to nowa kazachska nazwa dawnego sowieckiego Celinogradu, czy z czasów carów – Akmolińska. Wagon do Karagandy, leżącej około 300 km dalej, miał być po pięciu dniach podróży odczepiony na stacji w Akmole i dołączony do jakiegoś pociągu jadącego do Ałma-Aty. Polscy misjonarze byli początkowo zaszokowani obecnością kobiety w przedziale sypialnym, ale co mieli począć – takie były miejscowe zwyczaje. Nieznajoma, pani Tatiana, miała bilet do Akmoły (nazwę której znowu zmieniono w ostatnim czasie na Astana – nowa stolica Kazachstanu, co dosłownie znaczy po kazachsku: stolica). Zauważyła, że podróżni rozmawiają między sobą po polsku. Jej ciekawość wzmogła się. Kim są? Skąd jadą? Po co do Kazachstanu, i to z takimi bagażami? Rozmowa potoczyła się po rosyjsku, a czasu było wiele. Dziwnym trafem nie było kontroli celnej na granicach ukraińsko-rosyjskiej i rosyjsko-kazachskiej. W pociągu zmieniali się pasażerowie, którym polscy misjonarze ze swojego bagażu rozdawali

literaturę chrześcijańską w języku rosyjskim. Pani Tatiana dostała już na początku podróży dużą Biblię. Drugiego dnia przebiter Ryszard Kwoka przyznał się pani Tatianie, że chcieliby odwiedzić wspólnoty chrześcijańskie w Karagandzie, tylko kłopot w tym, że nie mogli wcześniej dotrzeć do adresów. Jakiś znajomy przebiter z Moskwy dał mu wprawdzie adres pastora z okolic Karagandy, ale nikt nie odpisał na wcześniejsze listy z Polski. Rozmawiano wiele na temat Słowa Bożego. Może czwartego dnia podróży pani Tatiana zaproponowała pomoc polskim misjonarzom, mówiąc, że jako nauczycielka odwiedzała i zna na pamięć adresy pięciu wspólnot chrześcijańskich w swoim mieście Akmole. Ponieważ obecnie jest dyrektorką internatu, zaprasza więc do wolnych w okresie wakacyjnym pokoi, gdzie mogą pozostać, aż znajdą „swoich braci”. Obok internatu jest tania i dobra restauracja, wydająca posiłki składające się z potraw podobnych do polskich. Dodatkowo na stacji można załatwić tygodniową przerwę w podróży. Tak też uczynili. Pod pierwszym z podanych przez panią Tatianę adresów odnaleźli niezarejestrowanych zielonoświątkowców, wywodzących się z ukraińskiego nurtu przebudzeniowego, gdzie znaczącą postacią był przebiter Iwan S. Woronajew. W piątek po południu dotarli do miejscowego przebitera, który oświadczył, iż szczęśliwie się składa, że w sobotę rano wyjeżdża na zjazd około 100 pastorów z terenu, gdzie będą również przebiterzy z Karagandy. Tydzień później na stacji kolejowej w Karagandzie polscy misjonarze ze swoimi pakunkami zostali zabrani przez miejscowych braci do ich domów i wspólnot kościelnych.

W następnych latach, każdego roku, wyjeżdżała grupa polskich misjonarzy, aby wspólnie docierać do kazachskich miast i wiosek, gdzie istnieje duchowy głód Słowa Bożego. Najpiękniejsze były spotkania z miejscową Polonią, pomimo tego, że w większości przypadków rozmawiano po rosyjsku. We wspólnocie, gdzie pastorem jest przebiter Jasza, z pochodzenia Nie-

mieć, stwierdzono obecność „siostry” z Chin – emigrantki, od ponad trzydziestu lat mieszkającej w Kazachstanie. Ma ona w Urumczi (stolica prowincji chińskiej) rodzoną siostrę, która może zaprosić do Chin i pomóc w pierwszych kontaktach. Misjonarze z Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa” byli zdumieni i zachwyceni takim prowadzeniem Ducha Świętego. Dowiedzieli się również wiele na temat represji, jakie musieli znosić chrześcijanie żyjący w Kazachstanie w czasach ZSRR. Na przykład nie wolno było dziecku do lat 18 brać udziału w żadnych nielegalnych zgromadzeniach religijnych. Należy w tym miejscu wyjaśnić, że procedura rejestracji była niezwykle zawiła i skutecznie zniechęcająca. Czasami w celach propagandowych rejestrowano niektóre zgromadzenia chrześcijańskie, lecz tylko w większych miastach. W przypadku stwierdzenia obecności na modlitwie dziecka, jego rodzice byli wzywani do szkoły, dom, w którym odbywało się nabożeństwo doznawał mniejszej lub większej dewastacji, gdy siły porządkowe usuwały „nielegalnie” zgromadzonych, a prowadzący takie zgromadzenie trafiał na kilka lat do obozu pracy. Prezbiter Ryszard Kwoka spotkał w Karagandzie prezbitera Domańskiego (Polak z pochodzenia), który w sumie „zaliczył” ponad 10 lat rozłąki z rodziną i wspólnotą kościelną. Wszystko za sprawą KGB, które miało

swoich informatorów w narodzie. Długi czas nurtowało uczestników pierwszej wyprawy misyjnej do Kazachstanu pytanie: Kim była pani Tatiana, że знаła tak dobrze środowisko mniejszości wyznaniowych w Akmoie?! Dzisiaj jasne jest, że musiała być jednym z informatorów KGB. Niezbądane są nie tylko drogi Boże, ale i zawiłości duszy ludzkiej.

Na 4 lipca 2000 r. planowany jest kolejny wyjazd uczestników Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa” na kontynent azjatycki. Tym razem do Chin, gdzie w 1999 r. prezbiter Edward Kędziera – z-ca dyrektora misji ds. Azji, dotarł do Urumczi. Celem jest 8 mln Ujgurów – nomadów blisko spokrewnionych z Kazachami, których ChRL objęła swoim protektoratem rządowym. Podobno toczy się wojna domowa. Ujgurowie są w większości muzułmanami. Wiele jest niewiadomych, ale wiadoma jest wola Boża wynikająca ze Słowa Bożego zapisanego chociażby w Ewangelii wg św. Mateusza 28, 18-20 i u Proroka Micheasza 4, 1-7. Wyjeżdżający polscy misjonarze z Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa” liczą na wsparcie modlitewne braci i sióstr z Kościołów i Wspólnot chrześcijańskich. Więcej informacji: tel. (0-81) 4622381 (Z-ca Dyrektora Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa” ds. Azji – Edward Kędziera) lub pocztą internetową – ryskwok@vc.pl. Niech Pan Bóg Wszechmogący błogosławi!



Jurty w okolicach Urumczi w Chinach
fot. E. Kędziera

Edward Kędziera

Aż dotąd pomagał na Pan (1 Sm 7, 12).

**Relacja
z I podróży misyjnej do Chin,
zorganizowanej przez
Polską Misję „Świat dla Chrystusa”:
31.05. – 30.06.1999.**

**Choć nie
otrzymałem od
Boga jakiegoś
szczególnego
przesłania
dotyczącego
mej podróży
do Chin, nie
przemówił On
do mnie w tej
sprawie w jakiś
wyjątkowy
sposób, czułem
jednak, że ten
wyjazd jest
Jego wolą.**

*„A pokój Boży, który przewyższa wszelki rozum,
strzec będzie serc waszych i myśli waszych
w Chrystusie Jezusie” (Biblia Warszawska, Flp 4, 7)*

Moją relację zaczynam od słów Apostoła Pawła – Li-tu – Fili ian, mówiących o Bożym pokoju, który przewyższa wszelkie logiczne rozumowanie. Właśnie ten pokojowy towarzyszył mi od pierwszych dni przygotowań do misji, aż do mego powrotu.

Wszystko zaczęło się od telefonu do Ambasady Chińskiej w Warszawie, gdzie zwróciłem się z zapytaniem o możliwość otrzymania wizy. Dowiedziałem się, że mogę ją otrzymać po spełnieniu jednego z dwóch warunków: pierwsza możliwość to zaproszenie, druga – ważny bilet na samolot tam i z powrotem. Ponieważ nigdy wcześniej nie byłem w Chinach, nie miałem nikogo, kto mógłby mi wysłać zaproszenie. Druga możliwość również nie wchodziła w grę, ponieważ nie stać mnie było na przelot samolotem. Pozostawała jedynie nadzieja, że uda mi się zdobyć wizę w Kazachstanie. Byłem w tym kraju wcześniej kilka razy i mam tam wielu znajomych braci w Panu. Ufałem więc, że z Bożą pomocą uda mi się uzyskać wizę i wyjechać. Zadzwoiłem do mojego znajomego w Kazachstanie i poprosiłem go, aby rozeznał się co do możliwości. Po jakimś czasie otrzymałem od niego informację, że wprawdzie nieco drożej, ale wizę da się załatwić. To mnie w pewnym stopniu uspokoiło oraz sprawiło, że coraz bardziej wierzyłem w powodzenie

Świat dla Chrystusa

wyjazdu. Chociaż nie otrzymałem od Boga jakiegoś szczególnego przesłania dotyczącego mej podróży do Chin, nie przemówił On do mnie w tej sprawie w jakiś wyjątkowy sposób, czułem jednak, że ten wyjazd jest Jego wolą. Pewne okoliczności z poprzednich wyjazdów do Kazachstanu wskazywały na to, że Pan chce, abym tym razem pojechał dalej – do Chin. Była to dla mnie wielka próba wiary, gdyż pojawiły się również wątpliwości. Często zadawałem sobie pytanie, czy mój wyjazd rzeczywiście jest wolą Bożą. Wówczas prosiłem Boga o wzmocnienie i utwierdzenie w wierze.

Postanowiłem, że będę się przygotowywał, a jeśli to pochodzi od Boga, Pan da mi powodzenie. Od kwietnia 1999 r. zacząłem gromadzić fundusze na wyjazd, a więc miałem tylko dwa miesiące do zaplanowanego przeze mnie terminu wyjazdu, który ustaliłem na 31 maja 1999 r. W grę wchodziła duża (przynajmniej jak dla mnie) kwota, prawie 4 tys. zł. Miałem więc pewne obawy. Pieniędzy zebrałem dokładnie tyle, ile potrzebowałem, cały czas byłem jednak podekscytowany, gdyż otrzymywałem je z różnych źródeł niemalże do ostatniego dnia przed wyjazdem. Bóg jednak okazał się wierny i wyposażył mnie. Jak już wspominałem, była to dla mnie wielka próba wiary, lecz miałem w tym doświadczeniu szczególny pokój Boży, który był dla mnie znakiem tego, że nad wszystkim czuwa Pan.

Miałem wykupiony bilet wraz z miejscówką na pociąg relacji Berlin – Astana (obecna stolica Kazachstanu) przez Lublin. Kiedy czekałem na dworcu w Lublinie wraz ze 150 kilogramowym bagażem na przyjazd tego pociągu, okazało się, że na peron wjeżdża pociąg relacji Berlin – Kijów, a mego wagonu „po prostu” nie ma. Miałem cztery minuty na podjęcie decyzji... Wsiadłem i pojechałem do Kijowa. W czasie jazdy dowiedziałem się, że pociąg, na który czekałem został odwołany i od dzisiaj nie kursuje. Przez pewien czas byłem przerażony na myśl o tym, jak poradzę sobie sam w Kijowie z tak ciężkim bagażem, ale Pan mi pomógł. Czułem w tych trudnych momentach, jak

Bóg „obejmuje mnie i mówi”: Nie bój się, ja jestem z tobą. Wiozłem ze sobą 170 sztuk Nowych Testamentów i inną literaturę biblijną w języku rosyjskim dla Kościołów w Karagandzie. Podróż miałem dobrą i z pomocą Bożą, po czterech dniach, dojechałem na miejsce.

Kiedy zaczęliśmy załatwiać wizę w Karagandzie, to okazało się, że to wcale nie taka prosta sprawa. Dla mnie, jako dla obcokrajowca, nie było praktycznie żadnych możliwości uzyskania wizy chińskiej bez zaproszenia. Szanse zmalały więc do zera. Byłem naprawdę przygnębiony. Podczas rozmowy z kazachskimi urzędnikami doradzono mi, abym udał się do byłej stolicy Kazachstanu, Ałma-Aty i spróbował szczęścia bezpośrednio w Ambasadzie Chińskiej. Natychmiast podjąłem decyzję. Następnego dnia rano wyjechaliśmy z moim znajomym, Kołą, w 1000-kilometrową trasę z Karagandy do Ałma-Aty. Chociaż było bardzo gorąco (większość drogi to ciągnący się kilometrami step), samochód Koli (Zaporożec), choć już nie młody, spisywał się dobrze i po 24 godzinach byliśmy na miejscu. Mieliśmy adres pewnej rodziny wierzących, których wcześniej nie znaliśmy. Mimo tego zostaliśmy przyjęci bardzo mile. Mąż Chińczyk, żona Rosjanka, na stałe mieszkający w Kazachstanie. Ponieważ w tym samym czasie byli u nich goście z Chin (małżeństwo), czuliśmy się trochę nieswojo, jako niespodziewani, dodatkowi goście. Przedstawiłem się i opowiedziałem po co przyjechałem, trochę porozmawialiśmy. Gospodarz domu zadzwonił do kilku biur turystycznych z pytaniem, czy zechcą mi pomóc. Większość z rozmówców odmawiała, tłumacząc, że to nie jest możliwe, lecz przedstawiciel jednego z biur obiecał, że spróbuje mi pomóc. Mieliśmy czekać na telefon do następnego dnia. Trochę się uspokoiłem, ale świadomość tego, że szanse są niewielkie nie opuszczała mnie. Wiele godzin spacerowałem po mieście, modląc się i „wołając” do Boga o pomoc. To oczekiwanie było dla mnie bardzo trudne, a oprócz tego przychodziło zwątpienie, czy rzeczywiście jest wolą Bożą, abym pojechał. Jednak przez cały czas

byłem również pocieszany przez mego Pana. Zacząłem dostrzegać w sobie podwójną naturę, jedna aż rwała się, by narzekać i płakać, druga – bardzo mocno wierzyła w powodzenie misji.

Minął jeden dzień, potem drugi, a telefon milczał. Podczas kolejnego posiłku gospodarze zauważyli, że się denerwuję. Próbowali mnie więc pocieszać i powiedzieli mi, abym się nie dręczył, gdyż jeżeli jest to Bożą wolą, to wizę dostanę. Pomyślałem sobie: Łatwo wam mówić, ale co ja czuję, to wie tylko Bóg. Po posiłku zacząłem opisywać w moim terminarzu kolejny dzień i w momencie, gdy opisywałem tego człowieka, który postanowił mi pomóc, odczułem potężne dotknięcie Ducha Świętego i jakby głos: Ten właśnie człowiek pomoże załatwić ci wizę. Byłem tym tak bardzo zaskoczony, że nie uwierzyłem. Trzeciego dnia po telefonach naszego gospodarza, okazało się, że nic z tego nie będzie. Mimo szczerych chęci, nie może mi pomóc. Byłem zrozpaczony, nie czekałem nawet na obiad, podziękowałem za wszystko i odjechaliśmy z powrotem do Karagandy. Chciałem płakać i krzyczeć oraz miałem żal do Boga, jednak panowałem nad sobą i myślałem: Panie, jeśli nie jest Twoją wolą, abym tam pojechał, zgoda, nie pojadę. Gotów jestem wrócić do Polski i powiedzieć wszystkim, że się pomyliłem. Ale, Panie, jak mam wytłumaczyć sobie ten pokój, który wlewasz w moje serce odnośnie mego wyjazdu do Chin? Chociaż wracałem do Polski, ciągle wydawało mi się, że to tylko jakieś nieporozumienie. Z jednej strony układałem sobie scenariusz mego powrotu do Polski, z drugiej – byłem myślami w Chinach. Wreszcie dotarliśmy do Karagandy. Kiedy podjechaliśmy pod blok, stała tam żona Koli i rozmawiała z sąsiadką. Podeszła do mnie i powiedziała: Był telefon z Alma-Aty, będzie wiza. Co to była za wiadomość, mówię Wam, jaka radość! Tak bardzo dziękowałem Bogu i cieszyłem się. Umyłem się, zjadłem coś, wziąłem trochę bielizny do torby i za trzy godziny z powrotem jadę 1000 km, do Alma-Aty. Na miejscu byłem w niedzielę rano, a w poniedziałek o 16.00 miałem już

wizę w kieszeni. Kosztowała bardzo dużo, ale to było nieważne. Do Chin wyjechałem pociągiem tego samego dnia o 21.00.

Podróż miałem przyjemną. Pociąg kolei chińskiej był estetyczny, wygodny i z klimatyzacją. Po 36 godzinach dojechałem do Urumczy. Potem jeszcze tylko taksówką pod wskazany adres kościoła i byłem u celu podróży. Przyznam, że miałem dużo kłopotów z nawiązaniem rozmowy z powodu nieznamomości języka. Język rosyjski nie jest tam (w rejonie Urumczy) tak popularny, jak myślałem, jednak Pan stawiał przede mną ludzi, którzy, chociaż niewiele, mówili po rosyjsku. Kościół, do którego się udałem, to duża społeczność wierzących, licząca 10 tys. członków. Jest on zarejestrowany i działa legalnie (w odróżnieniu od wielu nielegalnych zgromadzeń). W budynku odbywają się nabożeństwa jednocześnie na trzech piętrach. W ten sposób razem może modlić się 3 tys. osób. Na parterze budynku kościelnego znajduje się witryna z literaturą chrześcijańską oraz Bibliami w języku chińskim, którą można nabywać bez przeszkód. Próbowalem rozmawiać z ludźmi, którzy sprzedają literaturę, ale nie bardzo mi wychodziło. Szukałem pomocy w słowniku i w końcu zrozumieli mnie. Potem pojechałem do hotelu, gdzie zarezerwowałem jeden z tańszych pokoi i myślałem, że ktoś się pojawi. Czekałem, czekałem, lecz nikt się nie pojawił przez trzy dni. Pojechałem ponownie, znowu rozmawiałem i dowiedziałem się, że w niedzielę o 10.00 jest nabożeństwo. Wróciłem do hotelu i zacząłem zastanawiać się, dlaczego są tacy „chłodni”? Nie miałem im tego za złe, jednak było mi trochę przykro. Następnego dnia, w niedzielę, przyjechałem na nabożeństwo. Musieli między sobą rozmawiać o mnie, bo gdy mnie tylko zobaczyli, to od razu zaprowadzili na środkowe piętro i wskazali krzesło w pierwszym rzędzie. Nabożeństwo przebiegało „normalnie”. Ktoś filmował je kamerą video. Po nabożeństwie wyszedłem na zewnątrz i okazało się, że nikt nie miał ochoty ze mną rozmawiać. Po chwili prawie wszyscy rozeszli się, zostało może 30 osób. Stałem i lży

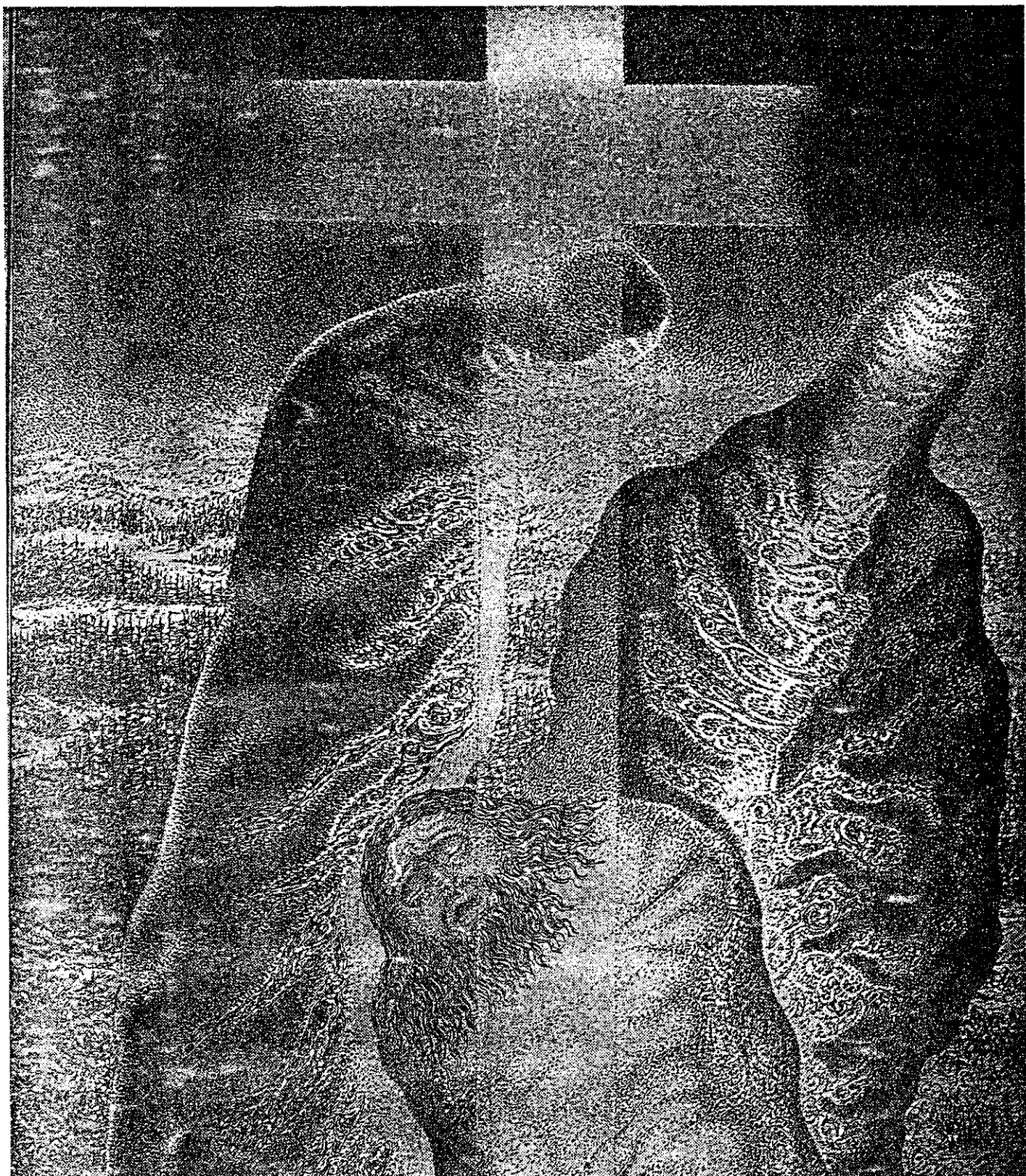
cisnęły mi się do oczu. „Wołałem” do Boga: Panie, przejechałem tyle drogi i nikt nawet ze mną nie chce rozmawiać, czy to ma sens? Pamiętam, za minutę, najwyżej dwie, podszedł do mnie młody, może 30-letni mężczyzna i zapytał o coś w języku angielskim. Odpowiedziałem, że nie rozumiem po angielsku i mogę rozmawiać po rosyjsku. Wtedy on zwrócił się do mnie po rosyjsku. Wprawdzie mówił w tym języku słabo, ale mogliśmy się porozumieć. Byłem szczęśliwy. Kiedy wyjaśniłem mu, po co przyjechałem, natychmiast zaprowadził mnie do swego pastora. Był to starszy człowiek, bardzo ostrożny w rozmowie. Nie przejawiał większego zainteresowania moją osobą. Mówił o trudnych doświadczeniach z przeszłości i o potrzebie ostrożności. Niemniej jednak nasza rozmowa była serdeczna i rozstaliśmy się w pokoju. Luchin-Ping, takie jest imię mojego przyjaciela i brata w Panu, zaprosił mnie do swojego domu. Był to wspaniały czas modlitwy, rozmowy i posiłku. Ten człowiek może być dla nas (Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa”) bardzo wartościowy. Zna język chiński, angielski, kazachski, ujugurski i słabo rosyjski, a więc znakomicie nadaje się na tłumacza i przewodnika. Ponieważ bardzo się zaprzyjaźniliśmy, obiecał mi swoją pomoc. Zauważyłem, że jest szczerym, otwartym człowiekiem i naprawdę kocha Jezusa. Luchin-Ping dał mi nawet klucze do swojego mieszkania, abym mógł wejść, kiedy tylko przyjadę. Zrobił tak dlatego, gdyż często wyjeżdża w interesach i może się zdarzyć, iż nie będzie go w domu, gdy przybędę.

Po sześciu dniach pobytu w Chinach wracałem do Kazachstanu autobusem. Oglądałem miasta i wsie. Chiny to zupełnie inny kraj niż Polska. Inna mentalność ludzi i kultura. Jest to aktualnie kraj prężnie rozwijający się. Wiele się tutaj buduje nowych obiektów, dróg, mostów itp. Dużo ludzi (w większości z krajów byłego Związku Radzieckiego, a także z Polski) przyjeżdża tu i kupuje ogromne masy towarów (najczęściej odzież), zostawiając miliony dolarów. Miasta tętnią życiem: handel, usługi, gastronomia,

praca na budowach, w przemyśle itp. Owszem są też ludzie bardzo biedni. Wielu spotkać można na ulicach, stojących z różnymi narzędziami. Oczekują na propozycję pracy. Jednak ogólny obraz Chin jest o wiele korzystniejszy niż obraz Kazachstanu, gdzie jest ogólny zastój i nic się nie dzieje. Ze szczególnym zainteresowaniem obserwowałem tereny górskie, gdzie zamieszkują jeszcze plemiona koczownicze, pasterskie. Wielu z nich to Ujgurowie, około 40% w tym rejonie Chin, i to właśnie w tym języku oraz w języku kazachskim potrzeba literatury ewangelizacyjnej. Mam kochanego brata w Panu – Waltera w Niemczech, który obiecał powielić dla naszej misji literaturę w języku ujugurskim, i liczę, że uda się nam ją dostarczyć. Pragnę docierać z Ewangelią do małych miejscowości, do wsi, do tych plemion koczowniczych i pasterskich, gdzie z Dobrą Nowiną nie dotarł jeszcze nikt.

Do domu wróciłem zmęczony, ale szczęśliwy, ponieważ cel, który postawiłem przed sobą, został osiągnięty. Moim zadaniem było rozpoznanie sytuacji w rejonie Urumczy w Chinach oraz nawiązanie kontaktów z ludźmi wierzącymi. Dzisiaj jestem bogatszy o doświadczenia, mam lepsze rozeznanie, i co najważniejsze bardzo dobry kontakt z bratem w Chrystusie, którego poznałem.

W lipcu 2000 r. wybieramy się z prezbiterem Ryszardem Kwoką do Chin, aby, jeśli Pan pozwoli, przygotować pole do pracy ewangelizacyjnej. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie dokonałem niczego wielkiego i treścią tego artykułu-świadczenia nie jest podsumowanie jakichkolwiek osiągnięć, jednak to, na co chciałem zwrócić uwagę, to sposób rozpoznawania woli Bożej, uczenie się rozumienia i szukania oblicza Bożego. Nie jest to łatwe, nie przychodzi przez siedzenie w fotelu, ale poprzez konsekwentne działanie oraz przez cierpliwość i wiarę. Korzystając z okazji pragnę z całego serca podziękować Bogu za wszystkich, którzy modlili się o mnie oraz wspierali duchowo i finansowo. Bez tej pomocy nic sam bym nie uczynił.



rys. R. Ruzik

Współczesne ruchy i wspólnoty odnowy w Kościele Rzymskokatolickim

*Mariola Kozubek, Tomasz Mikusiński,
Euzebiusz Bednarz*

Ruch *Focolari*

**Wypowiedzia-
ne «tak» dla
Boga zaowocu-
je powstaniem
szerokiego ru-
chu odnowy
duchowej
i społecznej,
który zostanie
nazwany Ru-
chem Focolari
(od włoskiego
focolare = og-
nisko domowe)
ze względu na
«ogień» ewan-
gelicznej
miłości, który
go cechuje,
i który spowo-
duje jego nie-
zwykły rozwój.**

Początek

Trydent (Włochy) 7 grudnia 1943 roku – Chiara Lubich poświęca swoje życie Bogu. Jest sama. Nic nie wskazuje na to, że aktywność się początkiem czegoś nowego. A jednak „wynośnięte” „tak” dla Boga zaowocuje powstaniem szerokiego ruchu o nowy „ucisk” społecznej, który zostanie nazwany Ruchem Focolari (od włoskiego *focolare* = ognisko domowe) ze względu na „ogień” ewangelicznej miłości, który go cechuje, i który spowoduje jego niezwykły rozwój. Chiara ma 23 lata, gdy rozkochana w swoim doświadczeniu radykalnego odczucia Ewangelii, które wkrótce pociągnie inne osoby. Wśród wojennych zniszczeń, w czasach przemocy i nienawiści, odkrywa z kilkoma przyjaciółkami, że Bóg jest Miłością, a prawdziwym sensem ludzkiego życia jest odpowiadać miłością na tę Miłość.

Duchowość jedności

W słowach Jezusa, czerpanych z Ewangelii i kolejno wcielanych w codzienne życie, a zwłaszcza w przykazaniu miłości wzajemnej: „To jest moje przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali, tak jak ja was umiłowałem” (J 15, 12), odkrywają „zasadę, dzięki której ludzie i rzeczy mogą zyskać nową harmonię”. Płynie stąd zmiana jakości życia osobistego i wspólnotowego, leczone są rany, rozdarcia, podziały i nienawiść. Zrozumiały i doświadczyły, że gdy jednoczy je miłość nadprzyrodzona, Jezus jest obecny pośród nich i realizuje swoje pragnienie – jedność: „Aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojciec we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, aby świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał” (J 17, 21). To zdanie staje się programem ich życia. Jedność między pojedynczymi osobami, warstwami społecznymi, narodami jest rozumiana i przedstawiana przez Chiare jako najważniejszy kierunek zaangażowania, powszechne pragnienie ludz-

kości, cel, ku któremu ona zmierza. Rozumieją, że Jezus umarł na krzyżu, doświadczając opuszczenia przez Ojca, aby podarować nam tę jedność i że droga do jej urzeczywistnienia prowadzi właśnie przez krzyż. Dlatego wybierają Jezusa ukrzyżowanego i opuszczonego jako swój ideał. Duchowość, która z biegiem lat rozwinęła się, z konsekwentnego podążania za inspiracją Ducha Świętego, posiada wyraźnie charakter wspólnotowy i jako duchowość jedności staje się drogą, na której idzie się do Boga razem.

Kościół katolicki rozpoznał autentyczność charyzmatu, otrzymanego przez Chiare Lubich. W 1962 roku papież Jan XXIII aprobuje Ruch Focolari pod oficjalną nazwą „Dzieło Maryi”. W 1990 roku papież Jan Paweł II zatwierdza statuty Dzieła, uwzględniając jego rozwój w ostatnich dziesięcioleciach.

Rozkwit życia

W ciągu ponad 50 lat swego istnienia Ruch rozprzestrzenił się w 182 krajach i liczy dziś ponad 2 miliony członków i drugie tyle sympatyków, osób należących do różnych ras, narodowości, religii i kręgów kulturowych.

Ruch Focolari, który zrodził się w Kościele katolickim jest głęboko zjednoczony z jego hierarchią. W sierpniu 1984 roku Papież Jan Paweł II w czasie swej pierwszej wizyty w Międzynarodowym Centrum Ruchu w Rocca di Papa (Rzym), stwierdził, że w „Dziele Maryi” rozpoznaje charakterystyczne rysy Kościoła posoborowego.

Sercem Ruchu są *fokolariny* i *fokolarini*, prowadzący życie konsekrowane-wspólnotowe, w żeńskich oraz męskich „*fokolare*”, których istotą jest stałe utrzymywanie duchowej obecności Jezusa, zgodnie z Jego obietnicą: „...gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18, 20). W latach 1966-1984 wyodrębniają się z inspiracji Chiary Lubich różne odgałęzienia, w tym tzw. „ruchy szerokiego oddziaływania”: Ruch „Nowa Ludzkość”, podejmujący odnowę obszarów polityki,

ekonomii, pracy, kultury, służby zdrowia itp. Obecnie jest on konsultantem Rady Ekonomicznej i Społecznej ONZ (ECO-SOC); Ruch „Nowe Rodziny”, działający w świecie rodzin; ruchy: „Młodzież dla Zjednoczonego Świata” oraz „Dzieci dla Jedności”, proponujące odpowiedzi na potrzeby nowych pokoleń; ruchy: „Kapłański”, „Zakonników”, „Zakonnic” oraz „Nowe Parafie”, podejmujące nurt odnowy w Kościele. Ich animatorami są głębiej zaangażowani członkowie Ruchu: „*fokolarini*”, „*wolontariusze*”, „księża *fokolarini*”, „*gen*” (od *generazione nuova* – nowe pokolenie).

Dialogi

Duchowość jedności rozprzestrzeniła się najpierw wśród członków Kościoła katolickiego, a w latach sześćdziesiątych zaczęła przenikać między chrześcijan innych Kościołów; do Ruchu należy kilkadziesiąt tysięcy chrześcijan ponad dwustu wyznań. Rozszerzanie się Ruchu doprowadziło do kontaktu z wyznawcami innych religii: żydami, muzułmanami, hinduistami, buddystami i in. Wielu z nich stało się członkami Ruchu. Podjęto też dialog z ludźmi dobrej woli, nie wyznającymi wiary religijnej. Kontakt z nimi oparty na wzajemnym szacunku i pragnieniu głębszego poznania, przeradza się we współdziałanie w budowaniu świata bardziej zjednoczonego.

Apostolat i ewangelizacja

Ruch rozszerza swoje przesłanie głównie poprzez świadectwo życia. Wykorzystuje do jego głoszenia również nowoczesne środki przekazu, organizuje kongresy i spotkania. M.in.: spotkania „Słowa Życia” (raz w miesiącu), otwarte dla wszystkich zainteresowanych, oraz „Mariapoli” – pięciodniowe doroczne rekolekcje.

Prowadzone dzieła

W łonie Ruchu powstało wiele istotnych inicjatyw społecznych, dążących do przewyższania nierówności i niesprawiedliwości. Jedną z nich jest „projekt ekonomii komunii”, sformułowany przez Chiare Lu-

bich w 1991 roku w Brazylii. To nowy sposób prowadzenia działalności gospodarczej, firm i zakładów, zmierzający do bardziej chrześcijańskiego podziału dóbr. Właściciele przedsiębiorstw decydują dobrowolnie dzielić wypracowane zyski na trzy części: na rozwój przedsiębiorstwa, na pomoc dla ubogich, na wspieranie struktur, służących formowaniu ludzi w duchu „kultury dawania”. Do chwili obecnej 670 przedsiębiorstw, na wszystkich kontynentach, przyjęło ten sposób prowadzenia działalności. W Polsce istnieją cztery przedsiębiorstwa oparte na tych zasadach. Projekt budzi żywe zainteresowanie ekonomistów i naukowców, którzy widzą w nim propozycję i szansę nowego ładu gospodarczego, opartego na międzyludzkiej solidarności.

Szczególnym miejscem świadectwa są „miasteczka”, które stają się małymi modelami społeczności odnowionej przez Ewangelię. Powstało ich dotychczas 19 na całym świecie. Polskie „Mariapoli Fiore” w Trzciance, gmina Wilga w woj. mazowieckim, zostało zainaugurowane w czerwcu 1996 roku osobiście przez Chiare Lubich. W tym samym roku, Katolicki Uniwersytet Lubelski przyznał Chiarze Lubich doktorat *honoris causa* w dziedzinie Nauk Społecznych.

W Polsce

W naszym kraju Ruch rozwija się od początku lat siedemdziesiątych i skupia ponad 4 tysiące osób, natomiast z duchowością Ruchu zetknęło się około 14 tysięcy osób. W Polsce istnieje 6 fokolare żeńskich i 5 męskich (Kraków, Lublin, Warszawa, Wrocław, Mariapoli Fiore), a także 2 kapłańskie (Katowice i Zabkowice Śląskie).

Na przełomie lutego i marca br., Chiara Lubich ponownie gościła w Polsce. Zasadniczym powodem tej wizyty stało się uczestnictwo w trzeciej „kongregacji” odpowiedzialnych Ruchu Światło-Życie w Częstochowie, na zaproszenie krajowego moderatora, ks. Henryka Bolczyka. Chiara przedstawiała historię Ruchu Focolari jako „historię jedności”, wskazując Jezusa ukrzyżowanego i opuszczonego, jako wzór dla budowania jedności z Bogiem i między ludźmi. Więzy między Ruchem Focolari a Ruchem Światło-Życie pogłębiły się znacznie.

Podczas swojego pobytu w Polsce, Chiara uczestniczyła w 303. Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski, na zaproszenie ks. Prymasa Józefa Glempa. Wobec 90 kardynałów i biskupów Chiara opowiadała historię działania Ducha Świętego w Ruchu, będącą równocześnie historią Ruchu. Podkreślała w niej zwłaszcza rolę i znaczenie Ruchów i Nowych Wspólnot Kościelnych, mówiąc m.in.: „Ruch Focolari jest jednym z Ruchów kościelnych, o których z ogromną miłością mówił Jan Paweł II w Wigilię Zesłania Ducha Św. w roku 1998, kiedy określił ich miejsce w Kościele, nazywając je «znaczącym przejawem jego aspektu charyzmatycznego [...] wspólnotnego z jego aspektem instytucjonalnym i pozostającym z nim w głębokiej komunii»”.

Możliwość kontaktu:

- fokolare żeńskie: ul. Parysa 66, 20-712 Lublin, tel/fax (0-81)/526 79 57
- fokolare męskie: ul. Laury 8a, 20-711, Lublin, tel/fax (0-81)/526 16 38
- Mariapoli Fiore: Trzcianka 50a, 08-470 Wilga, tel. (0-25)/681 40 76

Zbigniew Kusiak

Ruch Światło-Życie.

O Słudze Bożym

ks. Franciszku Blachnickim

*Jeżeli ziarno pszenicy spadnie w ziemię nie obumrze,
zostanie tylko samo...*

J 12, 24

**Ruch Światło-
Życie powinien
dążyć do
«samo-
unicestwienia»
poprzez prze-
kształcenie
wspólnot Ru-
chu w żywe
społeczności
parafialne,
gdzie każdy
będzie pełnił
diakonię zgod-
nie ze swoim
charyzmatem
i miejscem
w Kościele, dla
dobra całej pa-
rafii, dla dobra
Kościoła.**

Jest piękny, słoneczny dzień, 1 kwietnia 2000 r. W Krościenku nad Dunajcem kilkutysięczna rzesza ludzi związanych z Ruchem Światło-Życie zgromadziła się, aby powitać powracającego „Wygnańca”. Do umiłowanej Ojczyzny powrócił Sługa Boży ks. Franciszek Blachnicki. Kim był ten człowiek, że powrót Jego doczesnych szczątków zgromadził tyle osób, że wywołał takie zainteresowanie ludzi Kościoła w Polsce? Jeśli wśród współczesnych szukalibyśmy świadka, który w swoim życiu realizował słowa Chrystusa o obumieraniu, to na pewno możemy swoją uwagę zwrócić na tego kapłana, którego życie możemy scharakteryzować dwoma słowami: Amen i Magnificat.

Urodził się 24 marca 1921 r. w Rybniku na Śląsku, w wielodzietnej rodzinie. Jego ojcem był Józef Blachnicki, matką Maria Miller. Ukończył gimnazjum typu neoklasycznego w Tarnowskich Górach. Od najmłodszych lat pragnął służyć innym. Bardzo aktywnie działał w harcerstwie. W roku 1938 zdał maturę, po czym jako ochotnik wstąpił do wojska. Brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli niemieckiej. Uciekł i wrócił do Tarnowskich Gór, gdzie podjął działalność konspiracyjną. W 1940 r. jego grupa została zdekonspirowana i musiał uciekać. Aresztowany, po przesłuchaniach został osadzony w obozie oświęcimskim jako więzień nr 1201. W Oświęcimiu przebywał 14 miesięcy. We wrześniu 1941 r. przewieziono go do więzienia w Katowicach i postawiono przed sądem, a w marcu 1942 r. skazano na śmierć przez ścięcie za działalność przeciwko Trzeciej Rzeszy. Ponad cztery miesiące przebywał w celi śmierci, oczekując na wykonanie wyroku. Ułaskawiano go, a karę śmierci zamieniono na 10 lat ciężkiego więzienia po

zakończeniu wojny. Aż do 1945 r. przebywał w więzieniach na terenie Niemiec, gdzie w kwietniu tego roku został wyzwolony przez armię amerykańską w obozie Legenfeld w południowych Niemczech.

Pobyt w celi śmierci katowickiego więzienia wiąże się z najważniejszym wydarzeniem Jego życia. Po latach, w swoim *Testamencie* nazwie to wydarzenie dniem swoich narodzin. Opisuje to w taki sposób:

„Dar wiary, która jako nowa, nadprzyrodzona rzeczywistość została wlana w jednym momencie w owym pamiętnym dniu – jako zupełnie nowe, nie ludzką mocą zapalone światło, które świeci nawet wtedy, gdy nie pada jeszcze na żaden przedmiot i trwa cicho, nieporuszenie jak gwiazda, świecąc w ciemnościach i sama będąc ciemnością. Ta rzeczywistość wiary – od tamtej chwili, bez przerwy określa dynamikę mego życia i jest we mnie źródłem wody wytryskującej ku życiu wiecznemu. Nigdy w tym okresie nie miałem wątpliwości co do wiary i nigdy nie miałem innych celów i dążeń, zainteresowań, poza wynikającymi z wiary i skierowanymi ku Ojcu przez Syna w Duchu Świętym, w realizacji wielkiego planu zbawienia. Wszystkie decyzje były podejmowane w motywacji wiary. Wiarę przy tym zawsze pojmowałem jako decyzję osoby, polegającą na oddaniu siebie, i moje zaangażowanie – przynajmniej na płaszczyźnie intencji było niepodzielne”¹.

Opisywane wydarzenie miało miejsce 17 czerwca 1942 r. Jak bardzo głębokie było to nawrócenie, najlepiej świadczą dzieła tego Sługi Bożego oraz świadectwa osób, które spotkały się z nim na drogach swego życia. Spośród tych dzieł największe to Ruch Światło-Życie oraz Krucjata Wyzwolenia Człowieka.

Po zakończeniu wojny Franciszek Blachnicki wrócił do Polski i wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego. W 1950 r. przyjął święcenia kapłańskie i rozpoczął pracę duszpasterską. Od początku najgłęb-

szy sens widział w pracy w małych grupach duszpasterskich. Jediną możliwość zaangażowania świeckich w Kościele stanowiła wówczas służba liturgiczna. Ks. Franciszek gromadził ministrantów, zabierał ich na kilkudniowe rekolekcje na wzór harcerskich obozów, jednocześnie kształtując ich sumienia w duchu Ewangelii. Nigdy nie bał się stawiać wymagań tym, którzy z Nim byli, i w tym widział szansę powodzenia wszelkich działań. Po latach tak o tym wspomina:

„Odwaga wiary jest szczególnym darem Bożym, darem, który otrzymaliśmy w naszym Ruchu Światło-Życie. Jest to równocześnie dar ogromnie w tej chwili nam potrzebny [...]. W czym się ta odwaga wiary wyraża?

Przed wszystkim w odważnym stawianiu wymagań autentycznej wiary, autentycznej Ewangelii.

Kiedy jako kapłani duszpasterze, katecheci czy katechetki stajemy w obliczu dzieci czy młodzieży, to zwykle towarzyszy nam jakiś podstawowy lęk, czy oni są zdolni zrozumieć to, co do nich mówimy i wtedy uciekamy się do różnych chwytów psychologicznych, pedagogicznych, socjologicznych [...]. A tymczasem ludzie czekają na autentyczne Słowo Boże, na autentyczną Ewangelię. A zwłaszcza ludzie młodzi chcą, aby stawiać im wielkie wymagania.

Zaczął się kiedyś od pracy z dziećmi. Pierwsze odkrycie: kiedy zetknąłem się jako początkujący wikary z duszpasterstwem dzieci, uświadomiłem sobie, że u podstaw naszej pracy duszpasterskiej z dziećmi leży pewien schemat, który zawiera w sobie jakąś zasadniczą kapitulację. Schemat, który zakłada, że życie w grzechu ciężkim, to jest normalny stan życia chrześcijańskiego i to trzeba przyjąć jako punkt wyjścia. Od czasu do czasu można proponować ludziom, żeby wyrwali się z tego stanu z okazji jakiegoś święta, proponuje się ludziom spowiedź, żeby na chwilę odzyskali stan łaski uświęcającej, ale potem jak najszybciej po spowiedzi trzeba dać okazję do Komunii świętej [...] i potem wracają do normy, czyli do życia w grzechu ciężkim. Próbowalem to

¹ Ks. F. Blachnicki, *Testament*, w: tenże, *Gwałtownik Królestwa Bożego*, Lublin 1994.

kiedyś przedstawić dzieciom, konkretnie ministrantom i powiedziałem, że my musimy się zbuntować przeciwko takiej koncepcji życia, bo to jest życie podobne do życia żab, które żyją w błocie i czasem taka żaba wychyli się, żeby zaczerpnąć powietrza i znowu – plums – do błota z powrotem [...]. Okazało się, że wszyscy na taką propozycję czekają, że to jest coś wspaniałego”².

Takie właśnie wysokie wymagania postawił Ojciec (tak Go nazywają wszyscy, którzy stanęli na drodze Ruchu Światło-Życie) w programie formacyjnym, który stworzył dla uczestników wszystkich typów oaz. Ten styl kształtował charaktery setek tysięcy młodych ludzi w czasach zniewolenia komunistycznego. Oazy rekolekcyjne stawały się prawdziwymi oazami wolności w rzeczywistości totalitarnego zniewolenia.

Najcenniejszym owocem Ruchu Światło-Życie jest wspomniana powyżej Krucjata Wyzwolenia Człowieka. Stała się ona odpowiedzią na wezwanie Jana Pawła II skierowane do Rodaków, aby sprzeciwili się wszystkiemu, co uwłacza godności człowieka. W Nowym Targu podczas pierwszej pielgrzymki Papieża do Polski została mu ofiarowana pierwsza *Księga Czynów wyzwolenia*, zawierająca nazwiska osób, które dobrowolnie, jako dar miłości wobec Chrystusa i braci, ofiarują całkowitą abstynencję od alkoholu i wypowiadają walkę wszelkim zniewoleniom zagrażającym człowiekowi. Jako źródło tych zniewoleń wskazywał Ojciec lęk:

„Szczytem wolności w rozumieniu Ewangelii, w rozumieniu chrześcijaństwa jest oddanie życia za prawdę. To jest właśnie martyrium, to jest świadectwo krwi, oddania życia, i to jest równocześnie szczyt wolności chrześcijanina i wolności człowieka zarazem. Jeżeli w ten sposób pojmimy naszą wolność, to zawsze będziemy wolni i zawsze będzie nam towarzyszyła wewnętrzna świadomość wolności, wewnętrzna

radość i pozbedziemy się wtedy lęku. Bo bezpośrednim źródłem niewoli człowieka jest lęk, a nie zewnętrzna przemoc.

Gdyby nie było lęku, to zawsze pozostawalibyśmy ludźmi wolnymi. Dlatego trzeba przezwyciężyć lęk przez wiarę w to, że jesteśmy dziećmi Bożymi”³.

Najistotniejszym faktem jest jednak to, że wszystkie te wymagania najpierw stawały się udziałem Ojca. Odwaga wiary rzeczywiście charakteryzowała całe Jego życie. Jednocześnie nigdy nie uchylał się od konsekwencji swojego działania, nawet najcięższych, najpoważniejszych. Gdy w latach pięćdziesiątych aresztowano biskupów katowickich, nie pogodził się z próbami manipulacji Kościołem przez władze komunistyczne – podjął pracę w tajnej Kurii, co zaowocowało wygnaniem z diecezji. W 1960 r. Służba Bezpieczeństwa brutalnie rozwiązała podjętą przez Ojca Krucjatę Wstrzeźliwości (osiągała zbyt dobre wyniki w walce z pijaństwem). Ojciec najpierw wezwał współpracowników do śpiewu *Magnificat*, a następnie bez sprzeciwu pozwolił się uwięzić w tym samym więzieniu, w którym przetrzymywali Go hitlerowcy.

Lata sześćdziesiąte to czas pracy naukowej w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Jego specjalnością była teologia pastoralna. Był jednym ze współtwórców Instytutu Teologii Pastoralnej KUL. Gdy jednak komuniści z przyczyn politycznych nie zatwierdzili jego habilitacji, odmówił pobierania wynagrodzenia za pracę wykładowcy.

Był bardzo aktywny podczas solidarnościowego zrywu w 1980 r. Przygotowywał program Wielkiej Ewangelizacji *Ad Christum Redemptorem*. Planował, że do 2000 r. we wszystkich parafiach Polski odbędą się rekolekcje ewangelizacyjne, i że całe rzesze Polaków spotkają Jezusa Chrystusa i przyjmą jego Ewangelię.

Wybuch stanu wojennego zastał Go w Rzymie, gdzie brał udział w II Kongresie Ruchów Katolickich. Jego powrót do kraju

² Ks. F. Blachnicki, *Świadectwo niepokornego*, w: *te-nże, Prawda – Krzyż – Wyzwolenie*, Carlsberg 1985, s. 9-10.

³ Ibidem, s. 13.

stał się niemożliwy. Osiadł w Carlsbergu, w Palatynacie, gdzie powstało Międzynarodowe Centrum Ewangelizacji Światło-Życie. Tutaj też tworzył Chrześcijańską Służbę Wyzwolenia Narodów, która miała przygotowywać diakonię i materiały dla wyzwolenia narodów zniewolonych przez system totalitarny.

Zmarł w Carlsbergu 27 lutego 1987 r.

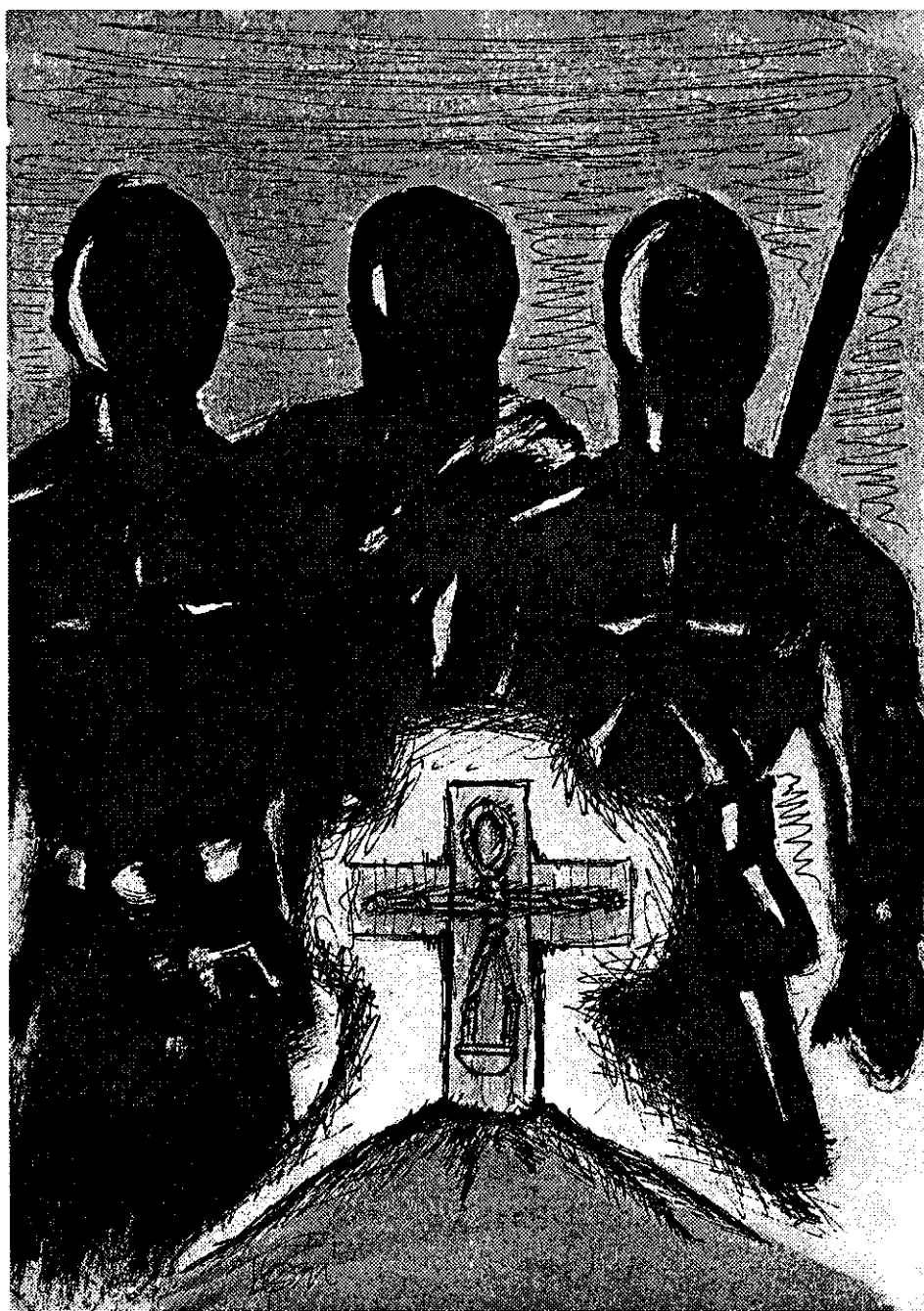
Po latach dostrzeżono Jego zasługi. 17 lutego 1994 r. został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski; 5 maja 1995 r. otrzymał pośmiertnie Krzyż Oświęcimski.

Miłość, którą żył i której uczył swoich braci i siostry, nie mogła zostać bezowocna. Pozostaje ona dla nas przykładem i nauką. 9 grudnia 1995 r. za zgodą Papieża Jana Pawła II rozpoczął się proces beatyfikacyjny Sługi Bożego ks. Franciszka Blachnickiego.

Jan Paweł II napisał o Nim:

„Swoje liczne talenty umysłu i serca, jakiś szczególny charyzmat, jakim obdarzył Go Bóg, oddał sprawie budowy Królestwa Bożego. Budował je modlitwą, apostołstwem, cierpieniem i budował z taką determinacją, że słusznie myślimy o Nim jako o gwałtowniku tego królestwa (por. Mt 11, 12)”⁴.

⁴ Jan Paweł II, Telegram przesłany 28 lutego 1987 r. na ręce bpa Szczepana Wesolego, w: *Biuletyn Nadzwyczajny Ruchu Światło-Życie*, bmrw, s. 1.



rys. D. Grzeszkiewicz

Bogdan Opoń

Neokatechumenat

«Droga
Neokatechumenal-
na» sięga swoimi
początkami roku
1962, kiedy to
Kiko Argüello,
malarz, wraz z
kilkoma podobnie
myślącymi ludźmi,
zapragnął
w mocno
zsekularyzowanym
świecie głębiej
przeżywać swoje
chrześcijaństwo.

U źródeł

Neokatechumenat, od strony terminologicznej, sięga instytucji katechumenatu funkcjonującej w Kościele Powszechnym, choć ze względu na chrzest dzieci niezbyt często spotykanej, przynajmniej obecnie. Katechumenatem (z języka greckiego – powstrzymywać, hamować, trzymać mocno) nazwano w Kościele pierwszych wieków okres, w którym kandydat do przyjęcia chrztu (katechumen) przygotowywał się na ten fakt. Dokonywało się to poprzez udział w katechezie dla katechumenów, ale też przez dawanie świadectwa przyjęcia orędzia głoszonego podczas katechez, co weryfikował biskup gminy chrześcijańskiej w czasie dwukrotnych skrutiniów (od łac. *scrutor* – badać, starać się poznać, przeszukiwać) przed dopuszczeniem katechumena do chrztu. Wiarygodność intencji i postanowień katechumena potwierdzał świadek, który publicznie zapewniał o tym podczas skrutiniów.

Termin „neokatechumenat” wskazuje więc na rzeczywistość, za którą stoją ludzie, wprowadzając ochrzczeni, jednak zdążający do odnowienia i pogłębiania świadomości faktu bycia człowiekiem ochrzczonego, jak i skutków z tego wynikających.

Patrząc od strony sociologicznej, to „neokatechumenat” jest ruchem (słowo raczej nie lubiane wśród członków) we współczesnym Kościele katolickim, który na stałe zadomowił się w ponad 600 diecezjach i 3000 parafii. Członkowie wspólnoty obecni są w ponad 90 krajach całego świata, w 10 000 wspólnot.

Odrobina historii

„Droga Neokatechumenalna” sięga swoimi początkami roku 1962, kiedy to Kiko Argüello, malarz, wraz z kilkoma podobnie myślącymi ludźmi, zapragnął

w mocno zsekularyzowanym świecie głębiej przeżywać swoje chrześcijaństwo. Neokatechumenat narodził się w barakach Palomeras Altas, jednej z najuboższych dzielnic Madrytu. Oddajmy na chwilę głos wspomnianemu człowiekowi, by poznać początki:

„Miałem swoją pracownię malarską blisko Placu Hiszpańskiego i zwykłem spędzać święta Bożego Narodzenia u moich rodziców. Pewnego roku poszedłem na Boże Narodzenie do domu i wszedłem do kuchni, gdzie ujrzałem płaczącą kucharkę. Zapytałem ją: «Berta – tak miała na imię – co się dzieje?». Ona opowiedziała mi, że jej mąż jest pijakiem i chce zabić syna, który sprzeciwił się ojcu... Opowiedziała mi swoją historię, która całkowicie mną wstrząsnęła. Poszedłem zobaczyć, gdzie mieszkała. Było to okropne miejsce, pełne ubogich baraków. Ta biedna kobieta wstała o szóstej rano, aby pójść do pracy. Miała dziewięcioro dzieci. Jej mąż był kławy, wykrzywiony i prawie zawsze pijany. Kijem bił dzieci i krzyczał: «Idźcie bronić swego ojca!». Czasami, będąc pijany, oddawał mocz na swoje córki. Ta kobieta o wdzięcznym wyglądzie, choć już starsza, opowiedziała mi przerażające rzeczy... Przyszło mi do głowy, żeby zabrać jej męża na *Cursillos de Cristianidad* (Kursy Chrześcijaństwa). Biedak, widząc mnie przemawiającego, był pod dużym wrażeniem. W ciągu kilku następnych miesięcy nie pił, ale potem powrócił do picia i znowu zaczęły się awantury. Jego żona wołała mnie: «Panie Kiko, proszę niech pan przyjdzie, bo mąż chce nas wszystkich pozabijać. Niech pan wezwie policję!». Nie dawali mi żyć. W końcu pomyślałem: «A jeżeli Pan Bóg mówi mi, abym wszystko pozostawił i poszedł żyć z nimi, aby im pomóc?». Zebrałem się, zostawiłem wszystko i poszedłem mieszkać z tą rodziną. Spałem w malutkiej kuchni, pełnej kotów. Żyłem tam, i całe to środowisko mną wstrząsnęło. Zobaczyłem wielu ludzi żyjących w straszliwej sytuacji, pełnej cierpienia... Poznałem pewnego opiekuna społecznego, który pokazał mi

rejon Palomeras Altas, gdzie stał wolny barak z desek, który służył za schronienie psom. I powiedział mi: «Ulokuj się tutaj i nie przejmuj się». I tak zaczęło się wszystko. W slumsach chciałem żyć, jak Charles de Foucauld, w kontemplacji. Tak jak ktoś wobec Eucharystii stoi u nóg rzeczywistej obecności Chrystusa, tak ja chciałem być u nóg Chrystusa Ukrzyżowanego, pośród najbiedniejszych i najnędzniejszych ludzi. Pan prowadził mnie w tym duchu: ja byłem ostatni, a oni byli Jezusem Chrystusem... Pewnego dnia, kiedy było okropnie zimno – była to zima i padał śnieg, a psy, które spały ze mną, ogrzewały mnie – nagle wszedł do mnie sąsiad i powiedział: «Przyniosłem ci piecyk, bo umierasz z zimna». Ludzie powoli zbliżali się i zadawali sobie pytanie: «Kim jest ten brodac z gitarą?». Dla jednych byłem kimś, kto podjął jakieś postanowienie, dla innych – jakimś protestantem, bo miałem stale Biblię przy sobie. Cyganie przychodzili z powodu gitary... Nie wiedzieli, kim jestem, i to było znakiem zapytania dla wszystkich...»

Z czasem w tych samych slumsach zamieszkała Carmen Hernandez – doktor chemii i licencjusz teologii, co pozwoliło Kiko dobrze zorientować się w postanowieniach kończącego się Soboru Watykańskiego II, szczególnie tych dotyczących odnowy Kościoła. Tak wspomina dalej:

„Pod naciskiem tego środowiska biednych Pan pozwolił nam znaleźć formę przepowiadania, syntezę, która została przyjęta przez owych braci i stworzyła pewną «koinonię», wspólnotę chrześcijańską. Tak zrodziła się wśród biednych pierwsza wspólnota złożona z Cyganów, analfabetów, żebraków, byłych więźniów, prostytutek itd. Wspólnota, gdzie uwidaczniała się miłość Chrystusa Ukrzyżowanego, stała się znakiem... W barakach odkryliśmy trójnog, na którym później oparliśmy całą Drogę Neokatechumenalną: Słowo, Liturgię i Wspólnotę”.

Z baraków w Palomeras Altas zostali wkrótce zaproszeni do parafii w centrum Madrytu. Casimiro Morcillo, ówczesny ar-

cybiskup Madrytu, kieruje ich do coraz trudniejszych parafii, które pragnęły rozpocząć ten eksperyment. Chciał jednak, aby zawsze w centrum nowego ruchu stał miejscowy proboszcz. Neokatechumenat szybko rozprzestrzenił się w wielu madryckich parafiach, później obejmował coraz więcej hiszpańskich diecezji. W 1968 r., z listem polecającym abpa Morcillo i na zaproszenie kard. Dell'Acqua, wikariusza Rzymu, rozpoczynają ewangelizację w Wiecznym Mieście. Wkrótce powstają tam pierwsze wspólnoty neokatechumenalne.

W roku 1975 „Droga” dociera do Polski za przyczyną jezuitę – o. Cholewińskiego, który zetknął się z ruchem podczas pobytu w Rzymie. Wspólnoty powstają najpierw w Lublinie, a dwa lata później w Krakowie, Łodzi i Warszawie, gdzie w 1990 r. decyzją Księdza Prymasa zostało erygowane Misyjne Seminarium Duchowne *Redemptoris Mater*. Obecnie „Droga” w Polsce liczy ponad 500 wspólnot.

Potrzeba Neokatechumenatu

Neokatechumenat był odpowiedzią na posoborowy entuzjazm, niezwykle czas łaski i działania Bożego Ducha. Współczesna sytuacja ateizmu i sekularyzmu stawia Kościół w pozycji, w której przywrócenie katechumenatu jest nieuniknione. Dlaczego nazywa się Neokatechumenatem? Ponieważ jest propozycją dla ludzi, którzy zostali ochrzczeni, lecz nie posiadają wystarczającej formacji chrześcijańskiej. Tę sytuację zauważył Jan Paweł II, który w *Catechesi Tradendae* stwierdza, że wielu chrześcijan w parafiach znajduje się w sytuacji „jakby katechumenów”. W starożytnym Kościele, rozwijającym się w społeczności pogańskiej, jeśli ktoś chciał przyjąć chrzest, musiał przejść drogę zwaną katechumenatem. Obecnie coraz częściej obserwuje się rozdźwięk pomiędzy wiarą a życiem. Stąd konieczny jest autentyczny proces nawrócenia, który miałby być realizowany w całym życiu. Przez miłość i jedność tych wspólnot cała parafia wezwana jest do nawrócenia.

Trzy etapy

Pierwszym etapem powstania Neokatechumenatu jest zawiązanie wspólnoty. Dzieje się to przez cykl 15 katechez, głoszonych przez grupę katechistów wędrownych, których zaprasza miejscowy proboszcz. On też decyduje się stanąć na czele nowej wspólnoty. Ekipa katechistów składa się z księdza, małżeństwa i młodego mężczyzny – oni tworzą wspólnotę ewangelizacyjną. Katechezy opierają się na trzech elementach: Słowie Bożym, liturgii i wspólnocie. Po powstaniu wspólnoty rozpoczyna się faza tzw. prekatechumenatu. W tym czasie członkowie wspólnoty weryfikują swoją wiarę. Spotykają się dwa razy w tygodniu – raz na liturgii Słowa oraz w sobotni wieczór na wspólnej Eucharystii. Jeden dzień w miesiącu starają się spędzić razem, na dzieleniu się swoimi doświadczeniami z życia i z lektury Pisma Świętego. Po około dwóch latach odbywa się pierwsze skrutinium, związane z przyjęciem do katechumenatu. Dzieje się to w obecności biskupa, a kandydat na Boże wezwanie do doskonałości odpowiada: „Amen”.

Drugi etap to katechumenat, który dzieli się na dwie części. W pierwszej wspólnota wsłuchuje się w Słowo Boże, uczestniczy w Eucharystii. Po roku katechiści przygotowują wspólnotę do drugiego skrutinium, które oznacza decydujące przejście do katechumenatu. Ci, którzy zdecydowali się przejść do tego etapu, uczą się głębokiej modlitwy osobistej. Katechumenat zmierza do tego, aby katechumenów doprowadzić do wewnętrznej prostoty i oddania się woli Ojca. Takie nastawienie prowadzi do postawy dziękczynienia i uwielbienia.

Ostatnia faza katechumenatu polega na wybraniu i odnowieniu przyrzeczeń chrztu św.

W skrócie można Neokatechumenat określić jako drogę trzech podstawowych etapów życia chrześcijańskiego: pokory (prekatechumenat), prostoty (katechumenat pochrzcielny) i uwielbienia (wybranie i odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych).

„Droga neokatechumenalna” pragnie odpowiedzieć na problem obecności tak wielu ochrzczonych, którzy nie przyjęli Ewangelii na serio i nie są wprowadzeni w wiarę i w życie chrześcijańskie. Podstawowym zamierzeniem „Drogi” było zaproponować tym ludziom drogę analogiczną do katechumentatu w prawdziwym tego słowa znaczeniu: drogę, która z jednej strony weźmie pod uwagę szczególną sytuację tego, który jest już chrześcijaninem, z drugiej jednak strony chce być autentycznie „katechumenalna”, nie zakładając niczego, proponując odkrywanie i osobiste przyjęcie, krok po kroku, wszystkich aspektów wiary, liturgii i życia chrześcijańskiego.

Uwagi końcowe

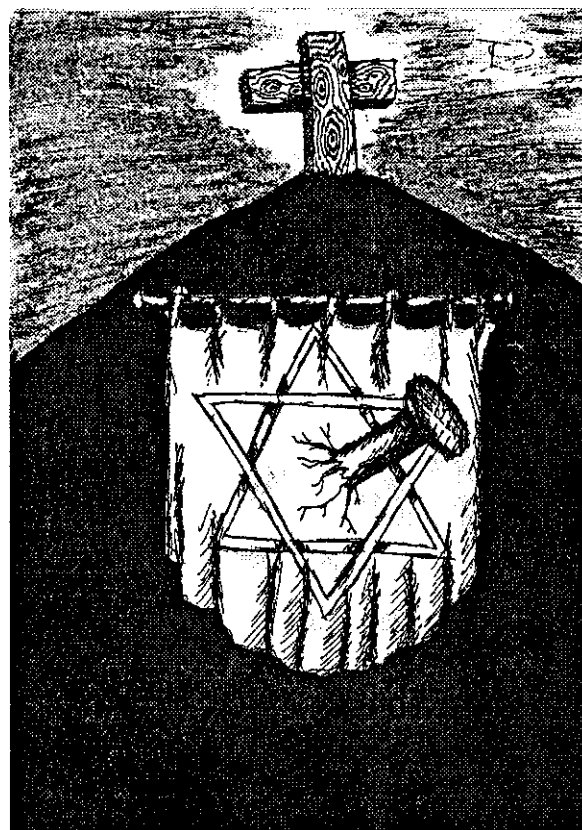
Czas na kilka słów podsumowania. Należy stwierdzić, iż Droga Neokatechumenalna

jest jednym z owoców Soboru Watykańskiego II. Sięgając głęboko w tradycję Kościoła pierwszych wieków, proponując swoim członkom regularne czytanie Słowa Bożego, udział w cosobotniej Eucharystii, przynależność do wspólnoty „rodzi” dla parafii, Kościoła „nowych ludzi”, świadomych swojej godności dzieci Bożych i gotowych do dawania świadectwa swojego nawrócenia.

„Droga”, jako radykalny ruch zmierzający do ożywienia życia religijnego, proponuje odnowę życia chrześcijańskiego, sięgając w najgłębsze pokłady ludzkiej egzystencji, pokazując, że życie człowieka jest miejscem objawiania się Boga, miejscem, w którym On dokonuje wielkich dzieł.

LITERATURA

1. R. Blazquez, *Wspólnoty neokatechumenalne. Ocena teologiczna*, Lublin 1989.
2. List Jana Pawła II do abpa Paula Josefa Cordesa w sprawie Drogi Neokatechumenalnej.
3. W. Nowicki, *Ruchy religijne w Polsce*, „Chrześcijanin w świecie” 1988, nr 117.
4. Ks. E. Weron, *Ruchy odnowy we współczesnym Kościele*, Poznań 1993.
5. Ks. E. Zoffoli, *Czy „droga” neokatechumenatu jest prawowierna?*
6. Polecam też liczne strony internetowe wspólnot neokatechumenalnych, na których można znaleźć dokumenty biskupów włoskich, i nie tylko, dotyczące „Drogi”, katechezy Kiko i Carmen oraz liczne informacje o Neokatechumenacie.



rys. D. Grzeszkiewicz

Jarosław Agaciński

Odnowa w Duchu Świętym

»Odnowa« jest przede wszystkim odnowieniem człowieka przeżywającego doświadczenie osoby Jezusa w swoim życiu, a dopiero w konsekwencji radosnym i pełnym Ducha niesieniem Ewangelii innym.

Jako zjawisko przebudzenia chrześcijan do pełni życia w Tym, którego wyznają swoim Panem, Odnowa w Duchu Świętym jest sięgnięciem do korzeni doświadczenia obecności Boga. Apostołowie, strwożeni odejściem Pana, mało świadomi obietnicy, ale wierni w jej oczekiwaniu, zebrali się w sali „na górze”, pięćdziesiąt dni po Zmartwychwstaniu Jezusa. Duch Święty, który na nich zstąpił, zaskoczył ich swoim działaniem. Jego obecność dała apostołom moc do wyznawania wiary (np. owocne wystąpienie Apostoła Piotra, w wyniku którego nawróciło się około trzech tysięcy osób) oraz siłę do odkrywania charyzmatycznej relacji Boga z ludźmi. Różnorakie dary (charyzmaty) manifestujące Bożą miłość w widzialnej rzeczywistości (uzdrowienia, proroctwa, wskrzeszenia umarłych, dary czynienia cudów, modlitwy w innych językach) stały się codziennym doświadczeniem pierwszej wspólnoty wierzących.

Po dziewiętnastu stuleciach działania Boga, przy większym lub mniejszym otwarciu człowieka, grupa protestanckich studentów szkoły biblijnej w Topeka (USA), niezadowolonych ze swego dotychczasowego życia duchowego, w kontekście potężnej mocy działania Boga opisanej w Dziejach Apostolskich, spotyka się na modlitwie o odnowienie przeżywania mocy Ducha Świętego w swym życiu. W 1901 r. doznają oni tego, co pierwotnie stało się udziałem pierwszych uczniów Chrystusa – chrztu Duchem Świętym połączonego z darem modlitwy w innych językach. Wydarzenie to zainicjowało działalność zborów zielonoświątkowych.

Wiosną 1966 r. dwaj młodzi katolicy – wykładowcy Uniwersytetu Duquesne koło Pittsburgha (USA) – rozpoczynają własne poszukiwania duchowe w celu ożywienia swojej wiary. Natknąwszy się na książki jednego z zielonoświątkowych pastorów – Davida Wilkersona (m.in. autor książki *Krzyż i sztylet*) oraz „przebudzonego”

owoce Soboru

pisarza – Johna L. Sherrilla (m.in. autor książki *Oni mówią innymi językami*) – pragną przeżyć to samo doświadczenie obecności Ducha Świętego, które było do tej pory udziałem jedynie protestanckich zielonoświątkowców. Dochodzi do tego w połowie roku 1967, gdy grupa studentów i młodych naukowców Uniwersytetu Duquesne udaje się na nabożeństwo modlitewne do jednego z Kościołów zielonoświątkowych i prosi o modlitwę nad sobą z włożeniem rąk. W wyniku tej modlitwy dochodzi do przeżyć silnego doświadczenia odnowy duchowej. Niektórzy otrzymują dar modlitwy w innych językach itp. Tenże rok rozpoczyna pewien formalny etap otwarcia się katolików na zawsze istniejącą działalność Ducha Świętego. Owo przeżycie, nazywane chrztem w Duchu Świętym, w ciągu krótkiego czasu staje się udziałem coraz większej grupy ludzi. Studenci z Uniwersytetu Duquesne dzielą się swoją radością z przyjaciółmi z Uniwersytetu Notre Dame w South Bend, Indiana (USA). Wkrótce Uniwersytet ten staje się ośrodkiem „Odnowy”. Niespełna 7 lat później I Międzynarodowa Konferencja Odpowiedzialnych za Katolicką Odnowę Charyzmatyczną zgromadziła 30 000 uczestników, w tym 19 biskupów, 700 księży, zakonników i zakonnic z kardynałem Leonem Suenensem w roli pasterza tego ruchu.

W Polsce Odnowa w Duchu Świętym pojawiła się w roku 1975. Pierwszymi, którzy przyjęli doświadczenie „Odnowy”, byli: ks. Marian Piątkowski (Poznań), ks. Bronisław Dembowski (Warszawa), o. Adam Schulz SJ (Warszawa), ks. Andrzej Grefkowicz (Warszawa), o. Józef Kozłowski SJ (Łódź) i ks. Franciszek Płonka (Kraków).

Główne ośrodki grup modlitewnych Odnowy w Duchu Świętym powstają w Poznaniu, Krakowie, Warszawie, Katowicach, Białymstoku i Lublinie. Z początku doświadczenie osób wchodzących w skład tych wspólnot jest przyjmowane z pewną ostrożnością i nieufnością zarówno przez świeckich, jak i przez hierarchię Kościoła Rzymskokatolickiego w Polsce. Z biegiem

czasu, przekonując się na podstawie dobrych owoców, iż jest to dzieło Boże, Kościół uznaje je za mające źródło w Bogu, a więc dobre i budujące.

Czym jest „Odnowa”? W roku 1982 pewien człowiek na ulicy zadaje mi pytanie: „Czy kochasz Jezusa?”. Intryguje mnie, siedemnastoletniego wówczas chłopaka, postawienie problemu: czy Kocham? Odpowiadam na znanej mi z codziennego życia płaszczyźnie: chodzę do kościoła, spowiadam się, mam kolegę księdza, lecz nie są to odpowiedzi na postawione pytanie. Poszukiwanie odpowiedzi prowadzi mnie do grupy ludzi modlących się w sposób nietypowy – spontanicznie, szczerze, radośnie. Próby naśladowania tej postawy nie dają rezultatu. Dochodzę do wniosku, że Ten Ktoś, kogo uważałem za mojego Boga jest dla mnie zupełnie nieznan. Od tamtej pory zaczyna się moja przygoda z Bogiem, która trwa do dziś. Bóg stał się dla mnie nie tyle jakimś głównym punktem mojego życia, co jego treścią i porządkiem.

Dla kogoś z zewnątrz, „Odnowa” może być postrzegana jako grupa ludzi zaangażowanych, świadomych, spontanicznych, trochę „zwariowanych” i oderwanych od rzeczywistości, którzy mówią ciągle o „prowadzeniu” Bożym. Zewnętrzny ogląd tego zjawiska powinien skłaniać „letnich” chrześcijan do głębszego zaangażowania się w wyznawaną wiarę i próby dojścia do głębszego sensu Ruchu. W wymiarze wewnętrznym „Odnowa” jest ciągłym przyjmowaniem i radowaniem się z powodu daru Ducha Świętego. Jest odkrywaniem bogactwa Boga i napełnianiem nim swojego wnętrza. Odnowa jest „poruszeniem” zainicjowanym przez Jezusa, który ofiarował swoim uczniom Ducha Świętego. Nie jest ona poświęcona jakiejś duchowości lub specyficznemu działaniu, posłudze w Kościele. Jest wewnętrznymżywieniem człowieka, zapraszającego do swego życia osobę Ducha Świętego.

Jaki jest sens i cel tego „poruszenia”? Paweł VI mówiąc do członków „Odnowy”: „Jesteście wiosną Kościoła”, wskazał na

powołanie tego Ruchu do budzenia, odświeżania, doświadczania, radowania, rozkwitania wszystkich Bożych dzieł. Ruch charyzmatyczny jest odpowiedzią na wołanie Jana Pawła II o nową ewangelizację, nową nie w treści, ale w formie, metodzie i zaangażowaniu. „Odnova” jest przede wszystkim odnowieniem człowieka przeżywającego doświadczenie osoby Jezusa w swoim życiu, a dopiero w konsekwencji radosnym i pełnym Ducha niesieniem Ewangelii innym.

Często spotykam się ze stwierdzeniem, że ludzie będący we wspólnotach „Odnovy”, „chodzą metr nad ziemią” lub kiedy indziej: „są rozegzaltowani, nierzeczywiści”. Oczywiście, większość z tych słów wypowiadają ludzie, którzy nie mają żadnego lub prawie żadnego doświadczenia tych wspólnot, albo mówią o ludziach, którzy rzeczywiście próbują swoje problemy emocjonalno-osobowościowe leczyć „lekarstwem” wspólnoty. „Odnova” jest ze swej natury nastawiona na szukanie nie swego zdrowia, nie darów, ale Boga z całą Jego miłością.

Chciałbym wskazać zauważone przeze mnie etapy „drogi” w „Odnowie charyzmatycznej” Kościoła Rzymskokatolickiego:

1. „Zauważ, że Bóg był zawsze blisko ciebie, kocha cię, czeka i zaprasza”. Jest to etap spotkania z ludźmi zakorzenionymi w Ruchu. Charakteryzuje się spostrzeżeniem, że można „tak” wierzyć, „tak” wyrażać wiarę.

2. „Odkrywam sens indywidualnej modlitwy i z radością się modlę”. Przypominam sobie zdziwione twarze moich rodziców obserwujących mnie, siedemnastoletniego chłopaka, modlącego się w środku dnia na kolanach, w pokoju. Zdziwienie, strach...? Jest to etap bardzo radosny, pełen przeżyć, doświadczeń wiary, zarówno osobistych (emocjonalnych), jak i takich, które są realnym kształtowaniem członka „Odnovy” przez Boga.

3. „Duch Święty naprawdę działa”. Jest to doświadczenie tego, co kiedyś nazwano chrztem w Duchu Świętym, czyli doświad-

czaniem mocy Ducha Świętego, jako osoby przemieniającej całe życie człowieka.

4. „Zewangelizuję świat! Alleluja!” Chęć i zapal do działania poparte modlitwą i formacją w konkretnej wspólnotie.

5. „Szukam uczniów”. Pomoc innym ludziom wchodzącym na drogę odkrywania Boga.

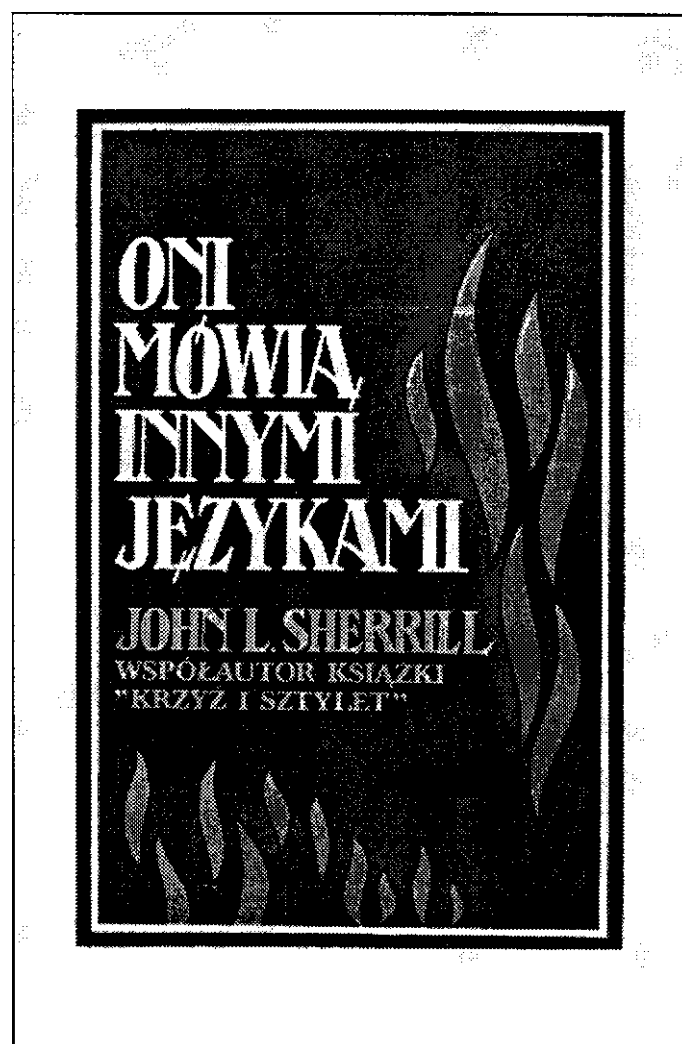
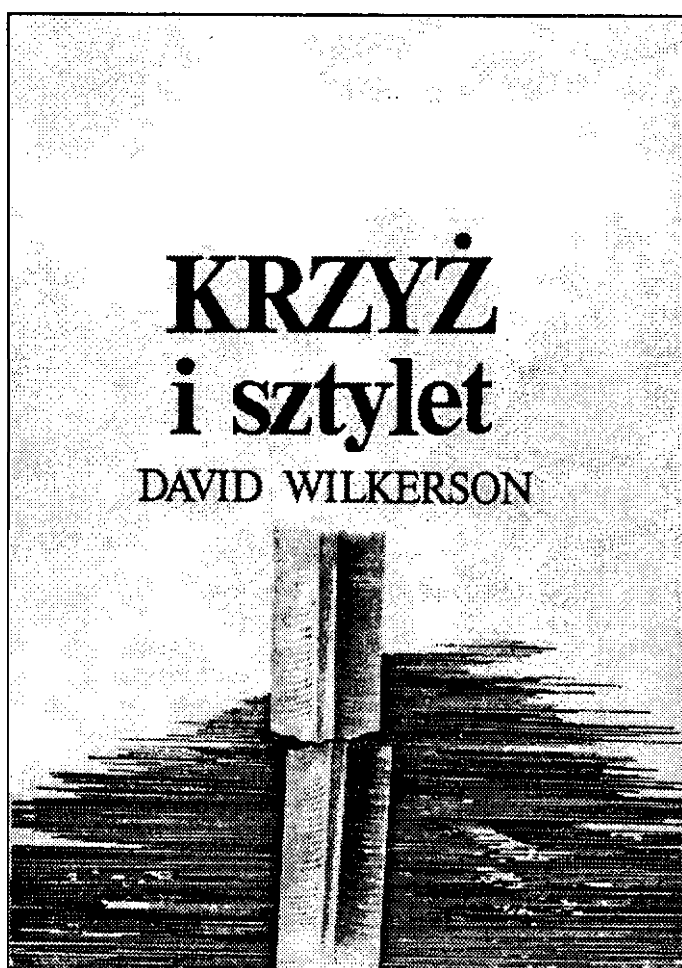
6. „Przemieniam siebie i świat w takiej mierze, w jakiej Duch Święty mi daje”. Pamiętam, jak uczono mnie, że nawet krzesła w kaplicy przed spotkaniem modlitewnym należy rozkładać „w Duchu Świętym”.

7. „Nie wiem, lecz ufam i idę”. Duch Święty biorąc za rękę osobę, która wyciągnęła do Niego dłoń, chce ją prowadzić swoimi drogami. Zachowując swoją osobowość, odpowiedzialność za przemianę siebie, człowiek staje wobec wielu „poruszeń” i natchnień Ducha Świętego, który w ten sposób chce go „prowadzić”. Na tym etapie duży nacisk kładziony jest na „wsluchiwanie się” i posłuszeństwo natchnieniom Ducha Świętego. Oczywiście wszystko to w jedność z nauczaniem Kościoła, opartym na „dziedzictwie apostołów”, gdyż – jak pisze Apostoł Paweł w *Pierwszym Liście do Koryntian* – „ustanowił Bóg w Kościele najprzód [podkr. – J. A.] apostołów, po wtóre proroków, po trzecie nauczycieli, a następnie [podkr. – J. A.] tych, co mają dar czynienia cudów, wspierania pomocą, rządzenia oraz przemawiania rozmaitymi językami” (1 Kor 12, 28). Sformułowania wypowiedziane przez członków Ruchu, takie jak: „Pan mi powiedział”, „Czuję że Bóg...”, „Bóg dał mi Słowo”, nie zawsze muszą być jedynie emocjonalnym nazwaniem aktualnego stanu duszy człowieka. Często są to realne, „małe” spotkania, w ciszy i radości serca, Boga z człowiekiem, a dokładnie „Taty” z dzieckiem. Cóż to za Ojciec, który nie mówiłby do swojego dziecka?! Jako świeckiemu teologowi (choć absolwentów teologii KUL, z moją osobą na czele, wolę nazywać raczej technikami teologii, wobec ogromu zagadnień, którymi zajmuje się ta nauka) wydaje mi się, że współcześnie, w różnych ruchach odnowy

Kościół, zbyt dużo uwagi poświęca się podkreślaniu z jednej strony miłości Bożej, z drugiej – małości człowieka, jego grzeszności itp., zamiast ukazywać prostą relację: „Tato” – dziecko. „Odnowa”, choć postrzegana jako depozytariusz charyzmatycznych działań, chce ukazać prostotę relacji Boga i człowieka, otwartości Boga i jako odpowiedzi na nią – otwartości człowieka. Piszę te słowa jako człowiek, który doświadczył chrztu w Duchu Świętym prawie 20 lat temu.

Fenomen Ruchu charyzmatycznego może być badany jako zjawisko psychologiczne, społeczne itp., lecz ostatecznie na wejście w tajemnicę tej „drogi”, a tym samym jej częściowe zrozumienie, mogą liczyć jedynie ci, którzy ze względu na swoje obdarowanie, osobowość, otwartość, sposób wyrażania relacji z Bogiem i co najważniejsze – z Jego łaski, po prostu wejdą w to doświadczenie całą swoją osobą. Cel mamy wszyscy ten sam, oczywiście to ON.

Współczesne ruchy i wspólnoty odnowy



Anna Błaszczak

Metanoia – Ruch Duszpasterstwa Biblijnego

**Celem Ruchu
Duszpaster-
stwa Biblijnego
jest wewnętrz-
na przemiana
(stąd nazwa
»Metanoia«) i
ukształtowanie
„nowego
człowieka”,
jako warunek
realizacji
autentycznego
braterstwa
i wspólnoty
uczniów
Chrystusa.**

Jan Paweł II w encyklice *Redemptoris missio* pisze o roli wspólnot kościelnych, jako ośrodków formacji chrześcijańskiej i misyjnego oddziaływania Kościoła. Są to grupy chrześcijan, które spotykają się na modlitwie, czytaniu Pisma Świętego, katechezie, by dzielić się problemami ludzkimi i kościelnymi w perspektywie zaangażowania wspólnotowego. „Są one znakiem żywej wspólnoty, narzędziem formacji i ewangelizacji, ważnym punktem wyjścia do nowego społeczeństwa zbudowanego na fundamencie cywilizacji miłości” (Por. enc. *Redemptor hominis* 13).

Wyraźnym przykładem realizacji tych dwóch wymiarów: wspólnotowości i ewangelizacji jest Metanoia – ruch katolików świeckich, którzy odkrywając w swoim doświadczeniu wiarę w Jezusa Chrystusa, jako Zbawiciela i Pana, pragną głosić Go innym przez świadectwo i przykład własnego życia chrześcijańskiego. Posługiwanie swe Metanoia realizuje w ramach nurtu biblijno-ewangelizacyjnego w Kościele katolickim zgodnie z duchem adhortacji Papieża Pawła VI *Evangelii nuntiandi* oraz nauczaniem Jana Pawła II, we współdziałaniu z innymi grupami odnowy życia duchowego w parafiach.

Celem Ruchu Duszpasterstwa Biblijnego jest wewnętrzna przemiana (stąd nazwa Metanoia) i ukształtowanie „nowego człowieka”, jako warunek realizacji autentycznego braterstwa i wspólnoty uczniów Chrystusa. Ruch Duszpasterstwa Biblijnego Metanoia wyrósł w środowisku lubelsko-świdnickim w wyniku poszukiwań pastoralnych grupy katolików świeckich (w znacznej mierze absolwentów Wydziału Teologii KUL), w kontakcie z duchownymi, odnośnie do pracy ewangelizacyjnej wśród młodzieży licealnej i akademickiej, ze szczególnym uwzględnieniem młodzieży zaniedbanej religijnie. Formę strukturalną Ruch Metanoia przybrał w Świdniku, w parafii NMP Matki Kościoła, jesienią 1983 r. W ostatnich

owoce Soboru

kilku latach powstają też kręgi rodzin (Świdnik – parafia Chrystusa Odkupiciela, Lublin – kościół pw. Wieczerzy Pańskiej). Duszpasterzem jest ks. dr Jan Sergiusz Gajek MIC (KUL). Odpowiedzialnym – absolwent i licencjusz teologii pastoralnej Ryszard Modrzejewski.

15 kwietnia 2000 r. odbyło się jubileuszowe spotkanie Metanoi w Ośrodku Wypoczynkowym Marina nad Zalewem Zemborzyckim, którego gospodarzami są członkowie Metanoi – Mirek i Agata Augustyniak. Ośrodek Marina jest ośrodkiem rodzinnym, gdzie w weekend albo na kilka letnich dni mogą przyjechać rodzice z dziećmi, aby odpocząć od miejskiego gwaru i codziennej gonitwy za dobrami materialnymi. Dzieci chętnie bawią się na ciekawie urządzonej placu zabaw, dorośli mogą pograć w plażową siatkówkę lub pospacerować. To wprost wymarzone warunki do realizacji kolejnych punktów programu święta, które rozpoczęło się uroczystą Mszą św. dziękczynną za 20 lat istnienia Ruchu, celebrowaną przez bpa Mieczysława Cislę. Ks. Biskup mówił, że Metanoia zrodziła się z powiewu Ducha, który ogarnął Kościół katolicki od Soboru Watykańskiego II, i który w dalszym ciągu porywa ludzkie serca ku Chrystusowi. To On także gromadzi wszystkich na dokonaniu bilansu wspólnoty z Bogiem i innymi ludźmi. Wiele młodych, zbuntowanych ludzi przeżyło religijne olśnienie, dzięki któremu odnajdywali prawdziwy sens życia. Tak było z tymi, którzy założyli ten Ruch. Potem ich świadectwo zafascynowania Chrystusem zapalało podobne światło w innych sercach. Ciepło i atmosfera akceptacji, skłanianie do samodzielnego myślenia, zainteresowanie drugim człowiekiem, fantazja, radość życia przyciągały rzesze licealistów i studentów. Ksiądz Biskup podziękował członkom Metanoi za wieloletnią działalność i życzył im dalszego rozwoju w kierunku celu ostatecznego, jakim jest Bóg.

Po obiedzie odbył się spektakl teatru pantomimy Metanoia, był również czas na wspomnienia dawnych i nowych członków

Ruchu, którzy próbowali odtworzyć początki wspólnoty. We wspomnieniach współtwórców Ruchu historia Metanoi przedstawia się następująco:

Ryszard: Zaczęło się od tego, że wynajęliśmy jeden, drugi, potem trzeci dom, żeby wspólnie mieszkać. Kiedy mieszkaliśmy przy ul. Kalinowej, ks. prof. Szafrński zapoznał mnie z ks. Piotrem Tarnowskim, który poprosił mnie, abym poprowadził spotkanie ze studentami w kościele Świętego Ducha. Tam, w małej salce z półokrągłym stołem zaczęły się pierwsze spotkania. Na początku było 6 osób, potem było nas na tyle dużo, że przenieśliśmy się do biblioteki. Zaczął przyjeżdżać Świdnik. Pod koniec roku ks. Piotr przestraszył się i podzielił nas na trzy grupy: w Świdniku, przy kościele na ul. Staszica i u salezjanów. Pierwszy obóz odbył się koło Tomaszowa Lubelskiego w 1980 r.

Lucjan: Byłem bardzo niezadowolony, kiedy skierowano mnie do pokoju 6-osobowego, gdzie chłopcy grali na gitarach i śpiewali kościelne piosenki. Z czasem przekonałem się, że oni potrafią samodzielnie myśleć i czytają Pismo Święte. Wkrótce grupa rozrosła się do ok. 70 osób, a nasze spotkania odbywały się u salezjanów. Później było trochę kłopotów z wieczornym powrotem do bursy, szczególnie w czasie stanu wojennego.

Ks. Jan Gajek: Mirek i Jacek zaprosili mnie, po moim powrocie do Lublina z Rzymu, na dzień skupienia w domu rekolekcyjnym na Podwalu. Była w tym jakaś zasadzka, ponieważ okazało się później, że mieli mnie zamykać z Metanoją na dłużej. Z tamtych czasów utkwił mi w pamięci jeden z pozytywnych momentów *image'u* Metanoi – w każdą sobotę grupa świdnicka myła posadzkę w dolnym kościele. To był wyraźny przykład wpisania się w życie parafii. Chciałbym także wspomnieć ks. Bazylego z Linii i jego gościnność. Tam odbywały się przecież nasze obozy letnie.

Tadzio: Jako młody chłopak, który przyjechał z Podlasia, aby uczyć się w Lublinie, miałem nagle szansę i możliwość rozma-

wiać o problemach, o których wcześniej z nikim nie rozmawiałem. Największe wrażenie wywarło na mnie spotkanie w bibliotece u Świętego Ducha. Było nas 50 osób. Wszyscy siedzieliśmy na podłodze i była niepowtarzalna atmosfera. Tam jakby ześrodkowało się w moim wyobrażeniu wszystko, co uważałem za najcenniejsze: książki, ludzie i Słowo Boże oraz niezwykle skupienie połączone z oczekiwaniem. Kiedy wyszliśmy po spotkaniu, zrozumiałem, że istnieją dwa światy: świat ciemnej nocy „jaruzelskiej” i światło tego spotkania. Metanoia była dla mnie punktem przebudzenia, aby stawać się osobowością.

Potem wspólnota rozchodziła się po różnych miejscach w kraju (Warszawa, Biskupiec, Bartoszyce, Kraków, Gdańsk, Szczecin), idąc za członkami tych pierwszych grup w Lublinie i Świdniku.

Świat na styku tysięcy nie opiera się tylko na słowach. Pragnie przykładów, bo tylko one pociągają. Świadectwa życia konkretnych osób, jak Ryszarda, Dany, Lucjana, Beaty, Moniki i innych, są najlepszym argumentem, aby świeccy aktywnie angażowali się w życie Kościoła. Dzięki temu stają się bardziej dojrzały religijnie i czują zadowolenie z życia. Kościół natomiast zyskuje siłę i żywotność, którą może dzielić się z innymi chrześcijanami – młodymi w wierze.

Grzegorz Gołoś

spotkanie

spotkanie
środek ulicy
Bóg
miłość najwyższa
człowiek
upadły grzesznik
pytanie
sens śmierci
odpowiedź
pęd życia
drogowskaz
strona właściwa
idź
i już nie pytaj



Joanna Marczevska

w kołysce twych ramion

*w kołysce twych ramion Panie
ułożyłam swoją głowę
otoczyłeś mnie miłością
twój pokój przepelnił mnie
i objął we władanie
jesteś tylko ty i ja
moja dusza odpoczywa w tobie
ukojona i szczęśliwa*

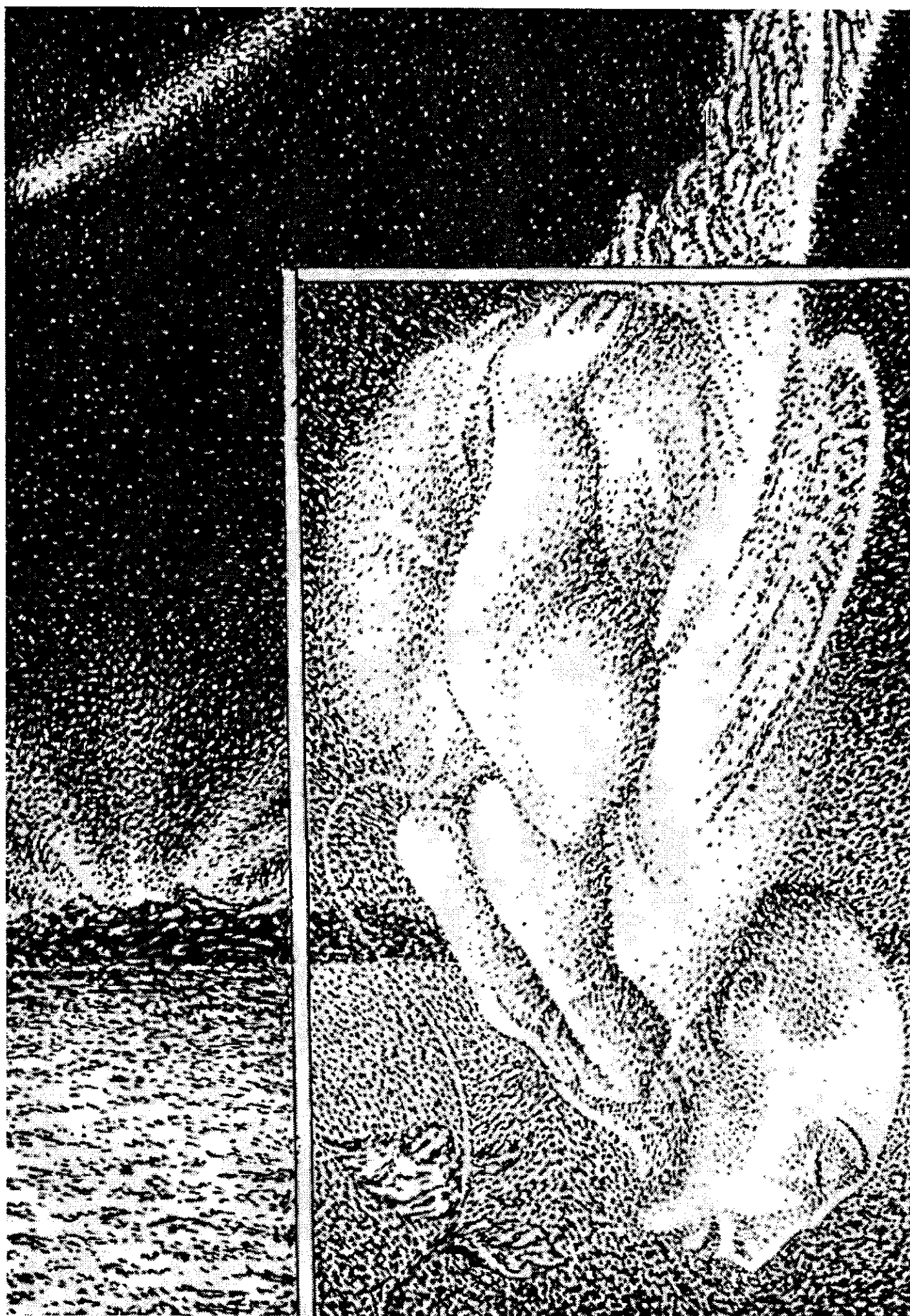
Regina Smoła-Grzeszkiewicz

wykonało się

mówił syn ojcu
jeśli mnie kochasz
podaruj karę niezawinioną
i cisza
tylko ciemność dookoła się snuła
umierał Jezus na krzyżu...

z m a r t w y c h w s t a ł





rys. R. Ruzik

Chrześcijaństwo w sztuce

Tomasz Ziemowit Pieńkowski

Mennonici na Żuławach Wiślanych

**Dzisiaj
cmentarze
i inne zabytki
kultury to
niestety
wszystko, co
pozostało z
fascynującego
mikrokosmosu
żuławskich
mennonitów.**

„[...] wszyscy ci mennonici bez wyjątku są nieposzlakowanie rzetelni, zapamiętale poczcwi, ale zarazem samolubnie bezinteresowni, grzeczni i poufali wzajemnie, o gościnności nie słyszeli nawet z nazwiska, lecz też i pochopu na cudze nie znają ani z nazwiska. Na Żuławach podróżny może [...] bezpiecznie z rana zawiesić swój płaszcz, matelzak lub sakwy na drzewie przy drodze, udać się dalej, gdzie mu interes każe, wrócić wieczorem, w nocy, na drugi, na trzeci dzień z pewnością, że jego płaszcz, matelzak, sakwy nietknięte czekają na tymże samym sęku wierzby, na którym były zawieszone. [...] Z tych krótkich wyrazów potrafi każdy łatwo osądzić, jak pięknie ukształca serca i sumienia wyznanie mennonickie, nie potrzebujące tam gdzie się zagnieździ ni policji, ni sądów, ni żandarmów, lubo nie znające ni mszy, ni sakramentów, ni spowiedzi, ni niesporów, ni procesji, ni olei świętych, ni święconej wody, ni ciała, ni krwi Pańskiej” – pisał w latach trzydziestych dziewiętnastego stulecia podróżujący przez Żuławę Wiślaną Tadeusz Józef Chamski¹.

Korzenie ruchu społeczno-religijnego, który później nazwany został mennonityzmem, tkwią w szesnastowiecznym Zurychu. Ulrich Zwingli (1484-1531), który początkowo odrzucił chrzest dzieci jako nie mający uzasadnienia w Biblii, niebawem, pod wpływem Rady Miasta, zmienił stanowisko. Mimo to kilku młodych teologów – jego niedawnych stronników – m.in. Conrad Grebel, Felix Manz i Jakob Jörg Blaurock, pozostało wiernych antypedobaptystom, wspominając słowa Jezusa: „Idąc na cały świat, głoscie ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzczony zostanie, będzie zbawiony, ale kto nie uwierzy, będzie potępiony” (Mk 16, 15-16). W styczniu 1525 r. w Zollikon grupa ta ochrzciła się

¹ T.J. Chamski, *Opis krótki lat upłynionych*, Warszawa 1989, s. 257.

a niebawem chrzest przyjęło kilkadziesiąt kolejnych dorosłych osób. Stało się to pomimo restrykcji ze strony władz miejskich Zurychu, które już kilka miesięcy wcześniej nakazały dostarczenie do kościoła wszystkich nowo narodzonych dzieci w celu ich ochrzcenia. W roku 1526 ogłoszono rozporządzenie, według którego za powtórny chrzest groziła obywatelom kantonu śmierć przez utopienie, pozostałym zaś – banicja. Mimo tego ruch zyskiwał nowych członków. 24 lutego 1527 r. na synodzie w Schleithem zebrano w siedmiu artykułach zasadnicze zasady ruchu. W roku 1534 anabaptyści – stronnicy Melchiora Hoffmana doszli do władzy w westfalskim Münster, gdzie pod przywództwem Jana z Lejdy próbowali stworzyć idealne, teokratyczne państwo. Jednak wojska biskupie krwawo rozprawiły się ze zwolennikami nowego porządku².

Ocalali z tej rzezi zjednoczyli się z pokojowo nastawionymi grupami anabaptystów, wyrzekając się wszelkiego przymusu i przemocy. Na ich czele stanął ksiądz rzymskokatolicki z zachodniej Fryzji – Menno Simons (1496-1559). To właśnie od jego imienia utworzono nazwę dla tego wywodzącego się z anabaptyzmu ruchu. W roku 1536 Simons zrzekł się urzędu proboszcza w Witmarsum, przyjął chrzest, a następnie wstąpił w związek małżeński. „Oto ja, nędzny wielki grzesznik zostałem oświecony przez Pana i nawrócony na nową wiarę. Uciekłem z wieży Babel, udałem się do Jeruzalem i wreszcie jako niegodny wstąpiłem na tę trudną i zaszczytną służbę” – pisał wówczas, uświadamiając sobie dotychczasowe błędy³. Przez resztę życia musiał się ukrywać, ścigany na polecenie Rady Cesarskiej, jednak udało mu się uniknąć zasadzek. W roku 1539 wydał

dzieło *Fundamentboek*, które stało się główną wykładnią doktryny mennonitów⁴.

Dla będących fundamentalistami zwolenników Menno Simonsa, najważniejszy i jedyny autorytet w sprawach wiary i rygorystycznie przyjmowanej etyki stanowiła Biblia. Sakrament chrztu miał dla mennonitów bardzo duże znaczenie. Udzielano go wyłącznie dorosłym członkom społeczności jako świadomego i dobrowolnego aktu, który poprzedzały: nauczanie, nauka i wiara. Eucharystia natomiast postrzegana była wśród mennonitów wyłącznie jako pamiątka Ostatniej Wieczerzy. Ponadto w swojej nieco anarchizującej doktrynie stronnicy Menno Simonsa mieli ledwie tolerancyjny stosunek do zwierzchności państwowej: kategorycznie odmawiali służby wojskowej, nie pełnili też żadnych urzędów. Nie składali przysięgi. Ubierali się w skromne, czarne stroje, zapinane na haftki i pozbawione kieszeni, co symbolizowało wyrzeczenie się dóbr materialnych i zwrócenie ku Bogu. Ponadto mennonitów cechował ściśle przestrzegany ikonoklazm, według starotestamentowego zakazu: „Nie czyn sobie podobizny rzeźbionej czegokolwiek, co jest na niebie w górze i na ziemi na dole...” (Wj 20, 4-6), zatem sztuka o tematyce religijnej, w tym również dydaktycznej, nie istniała.

Niderlandy około połowy XVI w. stały się miejscem zdecydowanie nie sprzyjającym mennonitom. Po upadku Królestwa Nowego Syjonu Jana z Lejdy spotkali się oni z prześladowaniami i praktycznie zostali zepchnięci poza nawias społeczeństwa. Wojny religijne wpłynęły ponadto na zahamowanie tempa osuszania terenów pod uprawę, co znacząco pogorszyło sytuację ekonomiczną ludności utrzymującej się przede wszystkim z pracy na roli. Toteż wielu skwapliwie skorzystało z zaproszenia do Prus Królewskich przez księcia Albrechta. Pierwsi mennonici dotarli tam w latach czterdziestych i pięćdziesiątych XVI w. Rzemieślnicy i kupcy osiedli na przedmieś-

² G.R. Potter, *Zwingli*, Warszawa 1994, s. 183-213; H.S. Bender, *Menonici i ich dziedzictwo*, bmr, s. 16 nn.

³ Cyt. za: R. Ludwig, *Menno Simons*, w: *Heretycy. Panorama dziejów myśli kacerskiej i ruchu dysydenckiego w chrześcijaństwie*, red. A. Holl, Gdynia 1997, s. 134.

⁴ Bender, *Zwingli*, s. 31-34.

ciach Gdańska, później w Elblągu i w innych ośrodkach miejskich; rolnicy zaś na Żuławach Wiślanych, które po powodziach latach czterdziestych XVI wieku były niemal wyludnione⁵. Zbudowane jeszcze przez Krzyżaków wały przeciwpowodziowe przestały wystarczać, odkąd na polecenie Zygmunta I nadano nowy bieg Wiśle przy Cyplu Mątowskim. Spowodowało to bowiem skierowanie przeważającej masy wód ku Gdańskowi. Dzięki dużej wprawie w gospodarowaniu na podmokłych terenach depresyjnych mennonici mogli z powodzeniem uprawiać żyzne pola żuławskie, a także zająć się budowlami inżynieryjnymi. Mennonitom żuławskim zagwarantowano całkowitą wolność osobistą. Byli niezależni od pana, mogli dowolnie dysponować własnym majątkiem oraz sprzedawać płody rolne. W końcu XVI w. nastąpił podział w łonie mennonitów żuławskich na dwojaki rodzaj gminy: fryzyjskie oraz flamandzkie⁶. Dość szybko określenia te przestały być łączone z rzeczywistym pochodzeniem ich członków. Chodziło raczej o przywiązanie do tradycji oraz stopień otwartości na otoczenie. Wspólnoty fryzyjskie stanowiły enklawy zdecydowanie bardziej zamknięte i surowe, bardzo krytyczne wobec kontaktów ze światem zewnętrznym.

Autonomiczna gmina wyznaniowa, zwana braterską stanowiła podstawową i jedyną formę organizacji Kościoła mennonickiego. Gmina utrzymywała szkoły, domy starców oraz fundowała pogrzeby ubogim zmarłym. W razie wypadku losowego każdy jej członek mógł być pewny, że pozostali pośpieszą mu z pomocą. Do tradycji należało wspólne wykonywanie prac polowych.

Na czele gminy stał starszy, wybierany jako najgodniejszy spośród wszystkich

członków. Kaznodzieja, tzw. pasterz, przewodniczył nabożeństwom odbywającym się w domach modlitwy. Te skromne budynki z zewnątrz przypominały raczej budowle mieszkalne, nie posiadały wież ani innych cech architektury monumentalnej. W centrum obszernego wnętrza stała kazalnica otoczona prostymi ławami. Nabożeństwa mennonickie, które trwały zazwyczaj kilka godzin, składały się z kazania i modlitwy, a poprzedzało je i kończyło wspólne odśpiewanie pieśni. Jedynie kilka razy w roku liturgia połączona była z eucharystią. Latem udzielano chrztu członkom gminy, najczęściej poprzez zanurzenie w pobliskim zbiorniku wodnym⁷.

Sytuacja mennonitów żuławskich pogorszyła się znacznie po roku 1772. Za uwolnienie od obowiązku służby wojskowej musieli początkowo płacić 5 tysięcy talarów rocznie, wkrótce restrykcje ze strony władz pruskich stały się jeszcze bardziej dotkliwe. Wówczas 5 tysięcy mennonitów wyemigrowało do doliny Dniepru. Po Rewolucji Październikowej wielu zdecydowało się na dalszą emigrację – z Rosji Radzieckiej do Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz do Meksyku. Jednak w północnej części dawnej Rzeczypospolitej żyło ich nadal kilkanaście tysięcy. W roku 1929 na obszarze Wolnego Miasta Gdańska zamieszkiwało 6500 osób tego wyznania. Niestety, po drugiej wojnie światowej wszyscy, którzy pozostali na Żuławach z tej bardzo licznej niegdyś społeczności, zostali uznani za Niemców i wysiedleni. Obecnie ruch mennonitów liczy około 1 miliona członków na całym świecie.

Świadectwem trwającej czterysta lat obecności mennonitów na Żuławach Wiślanych są nadal liczne pomniki kultury materialnej, które budują specyficzny klimat kulturowy tego regionu. Już sam krajobraz: szerokie połacie pól gęsto pociętych rowami melioracyjnymi, jest w dużej mierze dziełem osadników z Niderlandów. Wśród nich rozłożyły się wsie o charakte-

⁵ E. Kizik, *Mennonici w Gdańsku, Elblągu i na Żuławach Wiślanych w drugiej połowie XVII i XVIII wieku. Studium z dziejów małej społeczności wyznaniowej*, Gdańsk 1994, s. 23 nn.

⁶ Ibidem, s. 37-63, 121 nn.

⁷ Ibidem, s. 120, 130-136, 144-149.

rystycznej, rzadkiej zabudowie, wśród nich Tropy Elbląskie – osobliwa „żuławska Wenecja”, której główną oś komunikacyjną stanowiła nie droga, ale kanał. Obszerne, wzniesione w konstrukcji szkieletowej budynki mieszkalne, zestawione w jednym ciągu z oborą i stodołą, umiejscowione na sztucznie usypanych wzniesieniach – tzw. terpach, są także właściwe tylko Żuławom. Coraz mniej liczne są już żuławskie młyny wiatrowe. Natomiast z setek wiatraków, które niegdyś przepompowywały wodę do kanałów, nie zachował się już na Żuławach ani jeden. Gdzieniedzie stoją jeszcze dawne domy modlitwy. Najciekawszy tego rodzaju obiekt, wzniesiony w roku 1768, znajdował się we wsi Niedźwiedzica. Niestety, spłonął w zimie 1989 r. Inny dom modlitwy zachował się szczęśliwie we wsi Jezioro. Jest to skromny, ceglany, kryty dwuspadowym dachem budynek. Jeszcze niedawno użytkowany był jako magazyn zbożowy. Za zbożem, w jednej osi znajduje się cmentarz, tworząc unikalne w skali Żuław założenie.

Cmentarze właśnie należą do najciekawszych zabytków proveniencji mennonickiej. Zachowały się w niewielu wsiach, między innymi Stalewie, Szaleńcu, Rozgarcie, Węglach-Żukowie, Orłowie czy Jezierniku⁸. W większości są niestety znacznie zdewastowane i zarośnięte. Największa nekropolia istnieje we wsi Stogi Malborskie (niem. Heubuden). Mennonici osiedlili się tutaj około roku 1635. Po roku 1768 powstała gmina flamandzka, siostrzana względem gminy w Rózewie. Stogi stały się wkrótce jedną z najlepiej prosperujących i najbogatszych gmin na Żuławach. Cmentarz powstał około połowy XVIII w. Wkrótce ustawiono na nim kaplicę, która dotrwała do połowy obecnego wieku, kiedy została wyburzona. W latach siedemdziesiątych część nagrobków sprzedano kamieniarzowi z województwa lubelskiego⁹. Od

lat dziewięćdziesiątych cmentarz jest sukcesywnie porządkowany przez przybywających tutaj na specjalne zjazdy mennonitów z całego świata. Spośród zachowanych na nekropoli 90 nagrobków dominują stele, najczęściej z XIX w. Są to pionowe, wykonane z piaskowca płyty o wysokości około 2 metrów i szerokości około pół metra, osadzone na postumentach i zwieńczone tympanonami. W ich surowej i powściągliwej formie dekoracja ogranicza się do skromnych elementów architektonicznych oraz przedstawień symbolicznych. Tematyka tych ostatnich jest zazwyczaj związana ze śmiercią i życiem wiecznym. Najczęściej spotykane motywy to: skrzyżowane gałązki palmowe, klepsydra, zachodzące słońce, gasnąca pochodnia, księga, motyl czy gołębia. W kompozycji nagrobka wyraźnie dominuje część inskrypcyjna: na awersie umieszczano obszerne informacje o zmarłym, natomiast na rewersie – wierszowane sentencje lub cytaty z Biblii. Najstarsza stela na cmentarzu w Stogach ustawiona została na grobie Abrahama Regehra, zmarłego w roku 1808. Przez wiele lat pełnił on funkcję starszego gminy. W zamkniętym łukiem zwieńczeniu nagrobka znajdują się inicjały zmarłego: „A R” zwieńczone koroną. Jest to aluzja do „wieńca żywota”, o którym mówi przytoczony na rewersie fragment Nowego Testamentu – wers dwunasty pierwszego rozdziału listu św. Jakuba.

Dzisiaj cmentarze i inne zabytki kultury to niestety wszystko, co pozostało z fascynującego mikrokosmosu żuławskich mennonitów. Żyli oni szczęśliwie w Prusach Królewskich, zachowując dystans wobec zepsutego przez materializm świata ale bez zgubnego popadania w sekciarstwo. Jednak fale oceanu wielkiej historii przyniosły kres społeczności Żuław Wiślanych. A były to „Żuławy, mogące się śmiało nazywać rajem...”¹⁰.

⁸ Zob.: E. Filipowska, *Cmentarze mennonickie na Żuławach i w dolinie dolnej Wisły*, Toruń 1978 (maszynopis inwentaryzacji w zbiorach PSOZ w Elblągu).

⁹ R. Klim, *Śladami mennonitów na Żuławach Wiślanych*, Gdańsk 1994, s. 28.

¹⁰ Chamski, *Opis krótki*, s. 259.

Jolanta Szafrńska

Mit a rzeczywistość. Rozważania nad sztuką luterzańską okresu baroku

**Wielki
reformator
doktor Marcin
Luter postrze-
gał twórczość
artystyczną ja-
ko konieczną
ilustrację
wydarzeń
opisywanych
w Piśmie
Świętym,
czynnik
ułatwiający
wiernym
percepcję
Słowa.**

Sztuka protestancka, protestantyzm a sztuka – już samo osłabienie kwestii może wzbudzać szereg pytań, chociażby natury dogmatycznej. Jak powszechnie wiadomo, Kościoły protestanckie przywiązują wagę do istoty wiary, a nie do wizualnej oprawy miejsca, w którym następuje spotkanie z Bogiem. Mit ten znajduje odbicie chociażby w poglądach Paula Frankla – niemieckiego historyka i teoretyka sztuki, określającego protestantyzm „kultem dla ślepców”. Frankl nie widzi w nim miejsca dla wizualnego przekazu, jako współdziałającego w liturgii Słowa. Mniemanie to jest dość popularne wśród niektórych rzesz społeczeństwa. Przyczyną tego mogły być zasady propagowane przez ortodoksyjny ruch pietystyczny, który w protestantyzmie luteranizmu w XVII w., dla którego architektura i wystrój kościoła nie miały najmniejszego znaczenia, a dekoracje były konsekwentnie zwalczane, jako niesprzyjające modlitwie. A jednak nie jest tak do końca.

Naturalna, zakorzeniona w człowieku od najdawniejszych czasów chęć o „bioru bądź reaktywowania się na polu estetycznym jest głęboko osadzona w człowieku. Jedną z wyższych potrzeb społecznych, toteż wyeliminowanie jej z życia na dłuższy czas jest wręcz niemożliwe. Sztuka w ramach poszczególnych wyznań protestanckich uzyskiwała różne pozycje pod względem znaczenia dla realizowania kultu. Kościół luterancki przeznaczył jej znacznie mniej uprzywilejowaną rolę niż ma to miejsce w wyznaniu katolickim, lecz bez porównania większą niż w Kościele reformowanym. Rola sztuki jako czynnika wspomagającego wiarę w rozumieniu Kościoła ewangelickiego jest niewątpliwa. Już wielki reformator doktor Marcin Luter postrzegał twórczość artystyczną jako konieczną ilustrację wydarzeń opisywanych w Piśmie Świętym, czynnik ułatwiający wiernym percepcję Słowa. Co prawda w pismach swoich nie wypowiada się on w sposób

jednoznaczny o estetycznych funkcjach dzieła sztuki, podkreśla jedynie jego rolę praktyczną. Jest ona według niego zbiorem znaków pamięciowych tworzonych „dla oglądania, dla świadectwa, dla pamięci”. Najpoważniejszym zagrożeniem widzianym przez reformatora jest niebezpieczeństwo bałwochwalstwa, jakie mogą wnosić ze sobą wizerunki w postaci rzeźb czy obrazów, stanowiące wystrój świątyni. Sztuka natomiast sama w sobie nie jest ani dobra, ani zła. Jest ona moralnie obojętna.

Luter zdając sobie sprawę z ówczesnego niskiego poziomu wykształcenia religijnego społeczeństwa – nieznajomości Biblii, także przez duchownych, często ze względu na nieumiejętność czytania i pisanie – podkreśla edukacyjną rolę sztuki w procesie poznawania Pisma Świętego. Warto w tym miejscu poświęcić kilka słów programowi ikonograficznemu preferowanemu przez doktora M. Lutra. Przedstawienia powinny być, jego zdaniem, wierną ilustracją „Słowa”. Motywem mającym największe znaczenie dla odzwierciedlenia istoty wiary ewangelickiej jest „ukrzyżowanie”, ponieważ wyobraża ono cały ogrom poświęcenia się Boga dla ludzi, dla ich zbawienia. Podobnie, wyobrażenie „Zmartwychwstania” powinno być, zdaniem reformatora, wiodącym tematem rzeźb czy obrazów, jako symbol nowego życia w Chrystusie, życia, które będzie udziałem chrześcijan za darmo, jako akt Łaski Bożej. Kolejnym przedstawieniem znajdującym poczesne miejsce na ołtarzach kościołów luterąskich, jest „ostatnia wieczerza” spożywana na pamiątkę i jako znak sakramentu ołtarza, tak istotnego w życiu zborów. Często również można napotkać motywy alegoryczne, obrazujące cnoty prawowiernego chrześcijanina. Przedstawienia tego typu popularyzowały ideologię protestancką i były niezwykle pomocne w szerzeniu się kultu.

Bardziej skomplikowany jest stosunek luteran do architektury sakralnej. Kościół rozumiany jest jako miejsce zbierania się wiernych w celu oddania się wspólnej

modlitwie. W związku z tą funkcją, budynek musi spełniać określone wymogi. Do czasów wyodrębnienia się typowej architektury protestanckiej, o czym możemy mówić dopiero po wojnie trzydziestoletniej (1618-1648), adaptowane na cele kultu gotyckie kościoły halowe w zasadzie zaspokajały potrzeby gmin ewangelickich. Jednakowej wysokości nawy, duże, przestrzenne pomieszczenia, skupiające znaczną ilość wiernych, możliwość ustawienia ławek tworzyła ze starych budowli jak najbardziej odpowiednie miejsce służące wsłuchaniu się w głoszone Słowo, które jest podstawą liturgii. W pismach Lutra, jak również u innych reformatorów, brak jest wskazówek, w jaki sposób powinien zbudowany być kościół luterński. Jedyną wypowiedź dotyczącą wyposażenia świątyni znajdujemy w *Deutsche Messe*, gdzie mowa jest o pozostawieniu ołtarza, obrusów i świeczników, natomiast brak jest jakichkolwiek zapisów odnośnie do wyglądu budynku sakralnego. Ponieważ kościół staje się miejscem szczególnym jedynie wówczas, gdy odbywa się w nim wspólna modlitwa, nie służy przechowywaniu hostii, nie jest więc konieczna żadna szczególna jego oprawa. W wyznaniu luterńskim przywiązuje się natomiast znacznie większą uwagę do strony funkcjonalnej. Preferowane są wnętrza centralne, możliwie bez podpór dzielących przestrzeń i uniemożliwiających jednakową widoczność ambony i ołtarza ze wszystkich miejsc. Ponieważ nie ma potrzeby akcentowania różnicy pomiędzy przestrzenią przeznaczoną dla duchownych celebrujących nabożeństwo i osobno dla świeckich, rezygnuje się z wyodrębnionego prezbiterium. Podyktowane jest to faktem, że w luteranizmie nieznana jest różnica pomiędzy duchownym a resztą zboru. Stanowią oni całość, więc wszelkie sztuczne podziały są tu nie na miejscu. Ołtarz i kazalnica powinny być usytuowane jak najbliżej wiernych, by ułatwić słuchanie kazań i uczestnictwo w eucharystii.

Założenia te realizowane były w sposób konsekwentny przy nowo powstających

kościółach luterzańskich po zakończeniu wojny trzydziestoletniej i podpisaniu pokoju westfalskiego. Koncepcje architektoniczne nie były jednolite. W najprostszej formie bryła budynku oparta mogła być na planie prostokąta, często zakończonego półkolistym chórem. Ambonę i ołtarz umieszczano na osi wzdłużnej, niekiedy łącząc je w całość lub rozmieszczając osobno, lecz blisko siebie. Koncepcja połączenia ołtarza i ambony w jeden element wystroju, nadania im najwyższej rangi i usytuowania w ich pobliżu chrzcielnicy ma głębokie znaczenie symboliczne. Chrzest, sakrament ołtarza i kazanie są przecież istotą wyznania ewangelickiego. Rezygnacja z umieszczenia kazalnicy bezpośrednio nad ołtarzem i przybliżenie jej do słuchających podyktowane było względami akustycznymi.

Charakterystycznym rozwiązaniem dla kościołów ewangelickich są budynki orientowane poprzecznie. Są to świątynie budowane na planie kwadratu, krzyża greckiego lub niekiedy litery T, rzadziej elipsy lub koła. Spotyka się też formy pośrednie, np. pomiędzy krzyżem greckim a elipsą. W przypadku tego rodzaju założeń niezwykle istotnym problemem jest odpowiednie rozplanowanie wnętrza, by mogło ono prawidłowo spełniać poprzednio omówione wymogi. Z wymienionych wyżej rozwiązań to właśnie krzyż grecki stał się najczęściej wykorzystywanym planem w budownictwie luterzańskim XVII i XVIII w. Nawet najbardziej centralna forma elipsy czy koła stosowana jest znacznie rzadziej. Spowodowane to jest trudnościami w odpowiednim ustawieniu ambony, a co za tym idzie, z przesunięciem punktu centralnego, co pociągało za sobą problemy z akustyką wnętrza. W takim przypadku usytuowanie organów, instrumentu, który w liturgii odgrywa wielką rolę, nastrocza niejake trudności.

Otoczenie wewnątrz świątyń luterzańskich kondygnacjami empor umożliwia zwiększenie widoczności i słyszalności, a także umożliwia pomieszczenie zazwyczaj znacz-

nej ilości osób. Wyposażenie kościołów w empory aż do XIX w. było regułą. Oprócz istotnych wartości funkcjonalnych obecność empor w szczególny sposób kształtuje wnętrze, nadając mu niepowtarzalny charakter, przyrównywany niekiedy do *Theatrum Anatomicum*. Dzięki wprowadzeniu balkonów uzyskuje się poziome rozczłonkowanie ścian, a ponadto dodatkową centralizację i koncentrację na osi głównej, ukierunkowując wzrok na ołtarz i ambonę. Elementem kształtującym wnętrze jest także rozmieszczenie ławek. Są one nieodzownym sprzętem w kościele ewangelickim. Ustawiane w kierunku ołtarza i kazalnicy, pozwalają na wysłuchanie w skupieniu niekiedy dość długich kazań. Często zdarzają się przypadki rozstawienia siedzisk zgodnie z planem krzyża równoramienne- go, co ma na celu polepszenie słyszalności i widzialności.

Cały przedstawiony powyżej program ma do dzisiejszego dnia odbicie w wyglądzie kościołów ewangelickich. Zarówno sposób budowy, jak i dekoracja wnętrz kościelnych wyraźnie wskazują na obecność wartości estetycznych w działalności budujących kościoły luterzańskie. Oczywiście w różnych epokach akcenty (estetyka, funkcjonalizm) rozkładały się w różny sposób, z różnym nasileniem, niemniej zwykle na korzyść drugiego elementu. Przykładem tego są poszczególne świątynie ewangelickie, z których na uwagę zasługują przede wszystkim dwa z trzech wybudowanych na Śląsku po pokoju westfalskim kościoły Pokoju w Jaworze i Świdnicy.

Powstały one w niezwykle trudnej dla ludności ewangelickiej Śląska sytuacji. Ultrakatolicki rząd Habsburgów realizując z pełną konsekwencją wytyczne Soboru Trydenckiego, podjął szczególne represje wobec zamieszkujących tam luteran. Akcja restytucji religii katolickiej objęła swym zasięgiem księstwa świdnickie, jaworskie, głogowskie, a także Wrocław. Powstała z mocy edyktu cesarskiego komisja rewindykacyjna odebrała ewangelikom w okresie kilku miesięcy, na przełomie lat 1650

i 1651, aż 1100 obiektów sakralnych. Dopiero po trzykrotnym przedłożeniu petycji i interwencji rządu szwedzkiego, powołującego się na paragraf 40. rozdziału 5. traktatu pokojowego, zezwolono luteranom na budowę trzech kościołów: w Głogowie, Jaworze i Świdnicy. Zezwolenie to opatrzone jednakże warunkami mającymi na celu uwidocznienie niższej pozycji, jakie zajmowała w strukturze społecznej ludność ewangelicka. Pierwszym warunkiem było określenie miejsca lokalizacji. Kościoły te miały być budowane na zewnątrz murów miejskich, co umiejscawiało je poza miejską organizacją społeczną. Budulcem możliwym do wykorzystania było drewno i glina, w związku z czym nie należało spodziewać się po budynkach wzniesionych z tych materiałów wielkiej trwałości. Zezwolenie opatrzone również zakazem budowania wież, które miały wówczas znaczenie zarówno propagandowe, jak i symboliczne. Kościoły powinny być wystawione w ciągu roku od rozpoczęcia budowy. Wszystkie trzy kościoły zaprojektowane zostały przez architekta wojskowego, specjalistę od fortyfikacji miejskich – Albrechta Saebischa. Do dzisiejszego dnia zachowały się jedynie dwa z nich, a mianowicie w Jaworze i Świdnicy. Pierwszy z wybudowanych – w Głogowie, ze względu na nietrwałość materiałów runął w pożarze podczas burzy w 1654 r. Budynki zostały wzniesione w oparciu o konstrukcję ryglową, popularną wówczas na ziemiach śląskich. Drewniane pręty owinięte słomą i pokryte gliną opierały się na szkieletach z bali dębowych. Konstrukcja ta nadaje zewnętrznym elewacjom szczególny charakter. Brak detali architektonicznych, ornamentów czy innych ozdób stwarza wrażenie prostoty, wręcz prymitywizmu, co też było założeniem władz miejskich. Elementem przyciągającym uwagę patrzącego jest szereg barokowych epitafiów wmurowanych w lica ścian. W okresie powstania obu kościołów nie przywiązywano wagi do walorów estetycznych elewacji, ukazujących elementy konstrukcyjne. Obecnie budynki tego typu oceniamy ina-

czej. Pomimo swojej prostoty mają dla nas niepowtarzalną wartość.

Wchodząc do środka jesteśmy zaskoczeni rozbieżnością pomiędzy skromnym wyglądem zewnętrznym a wnętrzem świątyni. Ze względu na ilość osób zjeżdżających się z okolicy na nabożeństwa, oba kościoły pod względem powierzchni należą do największych w Europie. Kościół w Jaworze przewidziany jest dla 6 tysięcy osób, natomiast w Świdnicy dla 7500 wiernych. Projekty obu budowli oparte są na założeniu centralnym. W Jaworze – na planie prostokąta o proporcjach 3:2, natomiast w Świdnicy na planie krzyża greckiego. Przestrzeń wewnętrzna okolona jest w obu przypadkach emporami, pierwotnie dwukondygnacyjnymi. W wyniku przebudowy w Jaworze zwiększono ich ilość do czterech. W związku z koniecznością przemieszczania się tak dużej ilości osób, przewidziano odpowiednio zaprojektowane ciągi komunikacyjne poziome – przejścia między emporami, jak i pionowe – schody.

Dekoracja wnętrz obu świątyń nie jest zgodna z postulatami twórców reformacji, lecz jest charakterystyczna dla architektury diasporalnej. Poprzez wielość malowideł i snycerki sprawia wrażenie niebywałego przepychu. Przedstawienia malarskie znajdują się na parapetach empor, na częściach konstrukcyjnych, wreszcie na stropach. W Jaworze wszystkie cztery kondygnacje balkonów są pokryte obrazami. Malowidła na parapetach piętra II i IV wykonane zostały przez Georga Fligela z Kowar. Na emporze IV przedstawione jest 71 scen ze Starego Testamentu – ilustracje do Pisma Świętego od Księgi Rodzaju do Księgi Machabeuszów, natomiast na II – Nowy Testament – od Zwiastowania po Apokalipsę. Przedstawienia te mają charakter Biblii *pauperum*, z której nie umiejący czytać członkowie zboru, zgodnie z nauką Lutra, mogli poznawać treści Pisma. Każdy z obrazów zaopatrzony jest w złote napisy, wskazujące na źródło ilustracji i komentarz do przedstawionej akcji. Parapety empor I i III dekorowane są pejzażami lub moty-

wami heraldycznymi. Pochodzą one z początku XVIII w. i są dziełem twórców anonimowych. Również kasetonowy strop wykonany przez snycerzy Richtera i Schneckenbacha jest bogato pokryty ornamentami rozetowymi. Każda z rozet jest niepowtarzalna, dzięki czemu kompozycja posiada swoją rytmikę, a nie powoduje u patrzących wrażenia monotonii. Całość wnętrza utrzymana jest w tonacji biało-niebieskiej.

W Świdnicy barokowy charakter wnętrza podkreślają dwie kondygnacje balkonów z 47 obrazami o tematyce biblijnej. Także tam oprócz przedstawień ilustrujących Pismo Święte widzimy dekoracje o charakterze świeckim, a mianowicie widoki miast i herby, wszystko w bogatej, rzeźbionej w drewnie oprawie. Kolorystyka empor utrzymana jest w tonacji czerwono-zielonej. Dekoracje stropu wykonane są przez Krzysztofa Suessenbacha przy współpracy Krzysztofa Kalickiego. Prócz typowych dla okresu powstania świątyni przedstawień aniołów, w nawie poprzecznej umieszczono pięć znacznych rozmiarów kompozycji obrazowych. Przedstawiają one kolejno Tróję Świętą, otwarcie siódmej pieczęci, upadek Jerozolimy, wieżę Babel, Sąd ostateczny. Malarstwo to odbiega w sposób wyraźny od kanonów „wielkiej sztuki”. Przejawia ono bardziej charakter twórczości ludowej. Linearyzm i płaskość przedstawień wskazują na wykonawcę znającego swoje rzemiosło, lecz nie przejawiającego większych aspiracji artystycznych. Ambicją okolicznej szlachty, jak i patrycjatu miejskiego, było posiadanie własnej loży. Są one również bogato zdobione herbami, gmerkami lub pejzażami miejskimi, odpowiednio do stanu zamożności właściciela. Na stropach łóż widoczne są alegoryczne motywy świeckie, ornamenty roślinne lub atrybuty. Do najciekawszych malowideł należy niewątpliwie personifikacja pokoju umieszczona na stropie w loży Hochbergów. To właśnie loże tej rodziny są najbardziej wystawne, zarówno w kościele jaworskim, jak i w Świdnicy. Na tego rodzaju wyróżnienie zasłużyli sobie dostar-

czając ze swoich lasów drewno dębowe, jako podstawowy budulec konieczny przy wznoszeniu świątyni. Loże szybko odzyskującego pozycję społeczną mieszczaństwa cechowego niewiele im ustępują pod względem wystroju. Najbogatsze należą do cechu krawców, kuśnierzy, stolarzy i szklarzy. Społeczna pozycja ich właścicieli podkreślona jest obrazami nobilitującymi rodzaj wykonywanej przez nich pracy. W przeciwieństwie do łóż szlachty znajdują się one na wyższych kondygnacjach. Oba kościoły Pokoju wyposażone są w barokowe ołtarze pochodzące z warsztatów śląskich. W kościele w Jaworze ołtarz pochodzi z 1672 r. i wykonany jest przez Michaela Schneidera z Kamiennej Góry. Po obu jego stronach usytuowane są postacie Mojżesza – jako symbolu prawa, i św. Jana – jako symbolu łaski. W części środkowej znajduje się obraz *Modlitwa w ogrójcu oliwnym* pędzla prof. Sohna z 1855 r. Całość zwieńczona jest wkomponowanym w tondo symbolem Ducha Świętego – gołębicą. Wnętrze kościoła świdnickiego zdobi ołtarz dłuta G. A. Hoffnana z 1752 r., przedstawiający Tróję Świętą w otoczeniu aniołów i dwunastu apostołów. Interesujące są cechy iluzjonizmu widoczne szczególnie przy przedstawianiu elementów architektonicznych. Całość kompozycji odznacza się elegancją i lekkością podkreśloną przez doskonałe oddanie ruchu rzeźbionych postaci. Zarówno oba ołtarze, jak i ambony są obiektami o znacznej wartości artystycznej, wykazującymi cechy rozwiniętego baroku, bez naleciałości regionalnych, jak ma to miejsce w przypadku dekoracji malarskich. Całościowy obraz wnętrza kościołów jaworskiego i świdnickiego stwarza wrażenie przeładowania elementami dekoracyjnymi, wynikłego ze strachu przed pustą przestrzenią (*horror vacui*). Zdobienia te są niejednolite stylistycznie, o różnej wartości estetycznej. Wrażenie jednak, jakie robią na patrzących, jest niepowtarzalne. Przy ich różnorodności, natłoku i szczególnej grze światła i cieni, wręcz porażają odwiedzających swoją ekspresją, miast skłonić ich ku skupieniu i modlitwie.

Opisane tu, z konieczności w wielkim skrócie, oba obiekty sakralne są niewątpliwie unikalne w skali europejskiej. W większości opracowań podkreśla się ich odrębność i niemożliwość zaklasyfikowania do określonej grupy stylistycznej. Wykazują one silne cechy stylu barokowego, jednakże znaczne naleciałości sztuki ludowej nie pozwalają na jednoznaczne ich zaszeregowanie. Przepych, z jakim się tu spotykamy, daleki jest od wyobrażeń Lutra o miejscu wspólnej modlitwy, lecz jest on bliski ludziom, którzy w sytuacji represji i upokorzeń, w ten, sobie właściwy sposób pragnęli dowartościować wyznawane przez siebie idee, swoją wiarę, podkreślić swoją tożsamość. W znaczny sposób sprzyjały temu panujące w okresie powstawania obu świątyń ogólne tendencje artystyczne, preferujące bogactwo dekoracji, patos, efekty iluzjonistyczne i światłocieniowe. To właśnie między innymi te środki stosowała kontrreformacja w walce z ruchem protestanckim. Czy wobec tego możemy być

dzisiaj zdziwieni dążeniem ówczesnych ewangelików, by miejsca ich spotkań, ich modłów, nie ustępowały bogatym wnętrzom kościołów katolickich. Należy jednak w tym miejscu podkreślić fakt, że pomimo poddania się duchowi epoki, panującym tendencjom estetycznym, ewangelicy śląscy potrafili zachować własną odrębność, co wyrażnie widoczne jest w charakterze omawianych kościołów. Wrażenie, jakie odnosimy wstępując w mury obu świątyń, powoduje u nas odczucie, że jest to sztuka autentyczna, łącząca elementy twórczości wzniosłej z rzemiosłem, a także z ludowością. Jak często bywa w takich przypadkach, i tu na pierwszy plan wysuwają się zagadnienia treści i funkcji, natomiast walory artystyczne pozostają elementem drugorzędnym, podporządkowanym. Jednakże poprzez swoją autentyczność i komunikatywność przekazu stała się ona zjawiskiem niepowtarzalnym, a oba kościoły są niewątpliwymi perłami architektury na naszych ziemiach zachodnich.

Wybrana bibliografia:

1. Banaś P., *Studia nad śląską architekturą protestancką II połowy XVII w.*, „Roczniki Sztuki Śląskiej” 1971, t. VIII.
2. Hanulanka D., *Świdnica*, Warszawa 1973.
3. Kalinowski K., *Architektura doby baroku na Śląsku*, Warszawa 1977.
4. Koch T., *Der luterische Kirchenbau in der Zeit des Baroks*, „Kerygma und Dogma” 1981/2, 27 Jahrgang.
5. *Kościół pokoju w Jaworze*, red. B. Skoczyłaś, Stadnik 1994.
6. *Świątynia. Rzecz o drewnianych budowlach sakralnych różnych wyznań w Polsce*. Warszawa, brw.

Małgorzata Mazur

„Sztuka cenniejsza niż złoto”.

Wystawa w Muzeum Narodowym w Warszawie

Zaprezentowany na wystawie zespół dzieł jest wyborem z kolekcji polskiej w dziedzinie dawnej sztuki europejskiej. Wystawa stanowi zarazem hołd złożony pamięci prof. Jana Białostockiego [...]

Sztuka cenniejsza niż złoto – *ars auro prior* – sentencja ta została przywołana w nazwie wystawy zorganizowanej ku czci wielkiego uczonego – Jana Białostockiego, która miała miejsce w Muzeum Narodowym w Warszawie, w dniach: 27 marca – 16 maja 1999 r.

Jan Białostocki był jednym z niewielu przedstawicieli polskiej humanistyki, którym udało się osiągnąć prawdziwie światowy rozgłos. Z jego niezwykle rozległych zainteresowań naukowych został wybrany tylko jeden zakres badań – sztuka zachodnioeuropejska od XIV do XVIII w. Przez całą wystawę przewija się idea zestawiania, porównywania bądź zderzania twórczości wielkich mistrzów z tego właśnie okresu. Następują zatem po sobie „gabinety i galerie”, w których wyznacznikami w układzie dzieł są funkcje i treści, a nie chronologia.

Pierwszy gabinet – *Sacrum sztuki XIV-XVI wieku* – zawiera zespoły retabłów* ołtarzowych, zestawionych z malowidłami i obrazami, służącymi do indywidualnej, pozaliturgicznej, cichej medytacji i modlitwie w domach, kościołach prywatnych i publicznych. W sali pierwszej jest pięć tryptyków, a wśród nich *Ecce Homo* Maertewa van Heemskercka, przedstawiający w części centralnej: ukrzyżowanego Chrystusa, na skrzydle lewym: donatora – Jana van Dreukwarte i św. Jana Ewangelistę, a na skrzydle prawym: żonę donatora i św. Małgorzatę. *Ecce Homo* charakteryzuje się dynamizmem, ostrością i surowością w przedstawieniu postaci świętych, natomiast postacie donatora i jego żony są statyczne i pobożne. Postać Chrystusa, przedstawionego w części centralnej, charak-

* *retabulum* (łac.) – nastawa ołtarza, zdobiona rzeźbami i malowidłami, spoczywająca na mensie lub tworząca dekoracyjną ścianę parawanową za ołtarzem.

teryzuje się surowością, cierpieniem, samotnością. Jako jeden z niewielu tryptyków przedstawionych na wystawie, dzieło to ma na prawym i lewym skrzydle rewersy (św. Małgorzata i św. Jan Ewangelista).

Na obrazie Aerta van Den Bosschea – *Męczeństwo św. Kryspiana i Kryspianina*, dzięki zastosowanej scenie symultanicznej, śledzimy koleje życia świętych – czyny prowadzące ich do męczeńskiej śmierci. Cechami charakterystycznymi obrazu są: wielowątkowość, dynamizm, szczegółowość. Zwraca uwagę sposób przedstawienia aureoli (nie jest to typowa aureola, lecz blask delikatnie rozświetlający tło dookoła głowy świętych).

Szczególną uwagę zwróciłam na obraz Quentina Massysa – *Madonna z dzieciątkiem i barankiem* (olej, deska dębowa). Szeroka równina, w oddali miasteczko, w którym toczy się zapewne zwyczajne życie (mężczyzna na drabinie zrywający jabłka z drzewa). W tej oto scenerii znajduje się, wprowadzona ze skalistych wyżyn, boskość zamknięta w rozległym niderlandzkim krajobrazie. Madonna przedstawiona jest tak, jak gdyby była zwyczajną kobietą z pobliskiego miasteczka, a dzieciątko tylko zwyczajnym chłopcem, pragnącym zabaw. Obraz charakteryzuje się brakiem dynamiczności i „nadludzkości”, która jest zwykle cechą sakralnego przedstawiania Madonny i dzieciątka.

Zamknięciem tego ciągu jest *Sąd Ostateczny* Hansa Memlinga. Tryptyk był zamówiony przez Angelo Tani, przedstawiciela Medyceuszów, w niderlandzkim Bruges i przeznaczony dla jednego z kościołów florenckich. Zbiegiem skomplikowanych okoliczności tryptyk ten zawędrował na ścianę kościoła Panny Marii w Gdańsku, stając się dziełem malarstwa staroniderlandzkiego na terenie Polski. Obraz charakteryzuje symbolika, centralne przedstawienie postaci głównych – Chrystusa opierającego stopy na kuli, odbijającej sferycznie świat, i Archanioła ważącego postacie ludzkie. Część górna obrazu, przedstawiająca

świętych zgromadzonych wokół Chrystusa, charakteryzuje się harmonią, świętością, powagą, bezpieczeństwem i spokojem. Część dolna natomiast, przedstawiająca Archanioła ważącego zmartwychwstających ludzi, charakteryzuje się dynamizmem, oczekiwaniem, dramatyzmem. Postacie ludzkie stanowią łącznik ze skrzydłami tryptyku. Ludzie zbawieni przechodzą na prawe skrzydło, natomiast potępieńcy są strącani do otchłani piekielnych, umieszczonych na lewym skrzydle. Skrzydło prawe charakteryzuje się oczekiwaniem, harmonią, przyjaźnią, radosną atmosferą, natomiast skrzydło lewe – dramatyzmem, grozą, mrocznością, strachem, dynamizmem.

Świecki świat renesansu to gabinet ukazujący portrety, akty i obrazy o tematyce rodzajowej. Znajdują się w tej części wystawy obrazy m.in. Cranacha, Baldunga, Griena i Aertsena.

Galeria reprezentująca zespół dekoracyjnych obrazów gabinetowych oraz grupę niderlandzkich pejzaży artystów późno manierystycznych nosi nazwę *Manierizm północy: Praga – Niderlandy ok. 1600 r.* Znajduje się tam m.in. obraz Jana Breughla Starszego – *Pejzaż z rozbójnikami dzielącymi łup* (olej, deska). Obraz „zdominowany” jest przez przyrodę, trudno dostrzec w nim cokolwiek innego prócz przeogromu zieleni „wyrrywającej się” z zamkniętej formy. Po chwili „buszowania” po obrazie widz odnajduje martwego człowieka, a nieopodal niego grupę ludzi dzielących łup. Obraz charakteryzuje się brakiem napięcia, dynamizmu oraz dramatyzmu. Przyroda sprawia wrażenie spokojnej, wręcz obojętnej na to, co się dzieje (tak, jakby była zajęta swoimi sprawami). Breughel kieruje wzrok widza ponad ludzi, ponad hojną roślinność, spojrzenie sięga nieskończonych dali.

Gabinet pejzażu XVII-XVIII wieku zawiera krajobrazy wiejskie, leśne, widoki ruin rzymskich. Ich twórcami są mistrzowie holenderscy, flamandzcy, włoscy, niemieccy – m.in. van Goyen, Pannini. Zamknięciem tego gabinetu jest szczególnie

wyeksponowany *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* Rembrandta. Patrząc na obraz, widz ma wrażenie, że kontempluje chwilę, w której zamarło życie. Nie słychać śpiewu ptaków, żaden liść nawet nie drgnie, wiatr, który zgromadził kłęby chmur – ustał, pozostało tylko oczekiwanie. Obraz jest kadrem, w którym została zamknięta cała groza „ciszy przed burzą”. Charakteryzuje się napięciem, dramatyzmem, pewnego rodzaju zawieszeniem, jakim jest oczekiwanie na potężny huk, będący jej rozpoczęciem.

Piąty gabinet zawiera rysunki oraz grafiki. Ze względu na mały – z reguły – format rysunków oraz specjalne warunki konserwatorskie ich ekspozycji (ograniczenie światła), oddzielony został od innych sal i gabinetów. Zgromadzone prace ukazują różne typy i funkcje rysunków (szkic przygotowawczy do większej kompozycji, projekt do ryciny, *modello*, autonomiczny rysunek wykonywany dla kolekcjonerów) oraz rycin – autorskich, stanowiących dzieła same w sobie oraz reprodukcyjnych, powielających kompozycje malarskie. W gabinecie tym znajdują się dzieła m.in. Hansa Holbeina Starszego – *Projekt ołtarza do katedry w Augsburgu*, Gulia Campagnoliego – *Pochód słoń*, Rembrandta – *Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny*, Święty Hieronim piszący przy pniu, Wierzby, Dürera – *Głowa brodatego mężczyzny*, Babilońska ladacznica, Petera Breughela Starszego – *Pejzaż z miastem w dolinie*, Św. Hieronim. Szczególną uwagę zwróciłam na miedzioryt Jana Hadmensza Müllera – *Alegoria sztuk*. Charakteryzuje go dynamizm, nagromadzenie szczegółów, symbolika przedstawionych postaci.

Kontynuacją gabinetu pejzażu jest Gabinet „niskich” gatunków malarskich XVII-XVIII wieku: portretu mieszczańskiego, martwej natury, sceny rodzajowej. Przedstawione w tej sali typy tematyczne uznane były w ówczesnej teorii za niskie w hierarchii gatunków, lecz dziś są wysoko cenione za doskonałość artystycznego wykonania. Zgromadzono tu dzieła m.in. Ludolfa Bakhuyzga – *Burza morska*, Huberta Roberta – *Kuchnia chłopska w ruinach*. Mar-

two natura z czaszką Gerarda Dou (olej, deska) przedstawia stół, a na nim rozłożone książki, obok nich czaszka i globus. Obraz namalowany został w ciemnych barwach (dominuje brąz, ciemny granat, fiolet wpadający w czerń), charakteryzuje się mrocznością, „ciężkością” nastroju, niepokojem, refleksyjnością.

Sale Portretu dworskiego XVII-XVIII wieku stanowią główny zespół reprezentacyjnych portretów o dużych formatach takich malarzy, jak: de Champaigne, Graff, Mengs. Uzupełniają je mniejsze wizerunki tak, by całość ukazywała różne tendencje ówczesnego malarstwa. Dominuje w tym zespole *Portret konny Stanisława Kostki Potockiego* pędzla Jean-Louisa Davida, będący własnością Muzeum-Pałacu w Wilanowie. Przedstawiona na obrazie postać Stanisława Kostki Potockiego charakteryzuje się statycznością, władczością, dostojeństwem, pewnością siebie. Kontrastem dla statycznej postawy Potockiego jest przedstawienie postaci dosiadanego przez niego konia, którego cechuje dynamiczność, napięcie związane z dwuznacznością sytuacji (widz nie wie, czy pies atakuje konia, czy też tylko – na przykład – próbuje się z nim bawić).

Dwie ostatnie sale wystawy zajmuje Galeria barokowych „historii”. Zgromadzone tu obrazy związane są z tematyką religijną i mitologiczną – zaczerpniętą z historii antycznej lub z poezji. Są tu obrazy mistrzów holenderskich, flamandzkich, niemieckich, austriackich – m.in. Ludwica Carraciego, Dolciego, Guercina, Cavallina, Jardaensa, Fabritiusa, Rottmayra, Maubertscha.

Zaprezentowany na wystawie zespół dzieł jest wyborem z kolekcji polskiej w dziedzinie dawnej sztuki europejskiej. Wystawa stanowi zarazem hołd złożony pamięci prof. Jana Białostockiego i myślę, że każdy jej uczestnik oddaje go zarówno zmarłemu uczonemu, jak i dziełom zgromadzonym w galeriach i gabinetach – dziełom, które będą żyć wśród nas i w nas, miejmy nadzieję, jeszcze długo.

Krzysztofa Krajewska

Sztuka sakralna z lamusa.

Wystawa w Muzeum Archidiecezji Lubelskiej

**„Eksponaty są
bardzo
zniszczone,
odrapane
z polichromii,
pozbawione
niektórych
elementów.
Wydaje się, że
mogłyby
opowiedzieć
wiele
ciekawych
historii, których
były
świadkami.
Stoją jednak
cicho
i pokornie...”**

Już po wejściu do wnętrza Wieży Trynitarzkiej w Lublinie, wspinając się po kręconych schodach, których poręczą jest gruba konopna lina, odnosi się wrażenie wyjątkowości tego miejsca i jego atmosfery. Wyjątkowość ta polega na współgraniu zabytkowego charakteru wnętrza, jego monumentalnej drewnianej konstrukcji, z umieszczonymi w nim dziełami. Zgromadzona tu jest stała ekspozycja sakralnej rzeźby barokowej i rzemiosła artystycznego. Wyjątkowy nastrój wewnątrz wieży – surowe ceglane ściany i pełne zakamarków drewniane konstrukcje – jest doskonałym miejscem dla tego typu wystawy. Jej ekspresję potęguje dodatkowo oświetlenie i muzyka.

Na wystawę składa się ponad osiemdziesiąt rzeźb, lichtarzy i innych eksponatów (dzwony, obrazy, ikony). Są to obiekty wycofane z kultu, poddane jedynie konserwacji zachowawczej.

Wystawę rozpoczynają dwie ikony: Chrystusa i jego matki oraz obraz olejny przedstawiający wykup chrześcijan z niewoli tureckiej, które umieszczone są w sali zwanej „białą”. Jednak właściwa ekspozycja znajduje się na kolejnej kondygnacji, gdzie prowadzą dębowe schody pamiętające jezuitów. Tu w niszy przycupnął barokowy aniołek, tuż obok niego św. Antoni w lewą kibelkę wody na małątki kościółek. Osłupiałowicz-y anioł tkwi skulony w załomie muru, jakby zmęczony, że gdzieś po drodze zgubił skrzydła. Św. Antoni wyciąga ramiona... bez dłoni. Widać po wyłobionym przez wodę „ciele”, że stał w kapliczce z dziurawym dachem. Dzieciątka Jezus czas stał z twarzyczki ufny uśmiech...

Anioły obsiadły wieżę w wielkiej obfitości. Czas poodrąbywał im skrzydła lub zachował tylko ich fragmenty. Anioły ołtarzowe mają twarze poważne i zamyślane,

choć czas stał z nich polichromie i teraz spoglądają niewidzącymi oczyma.

Anioły „trumienne” (kiedyś zasiadały na katafalkach) są inne. W ich twarzach widać cień zrozumienia, jakby uśmiech człowieczy – bliski cierpieniu i dający pocieszenie. Anioły przy dźwiękach chorału gregoriańskiego prowadzą nas do części zwanej „ciemnicą”.

Figury płaczek, które „służbowo” załamywały dłonie i płakały z żalu po stracie bliskiej komuś osoby, stoją w wieży bezgłośnie, jakby zabrakło im łez. Za barokową balustradą figury czterech Frasobliwych, w różny sposób portretujące człowiecze cierpienie Syna Bożego. Niżej figury Ukrzyżowanego. Centralne miejsce zajmuje wstrząsająca rzeźba Jezusa, zniszczona przez czas tak, że ogromu cierpienia można się tylko domyślać. W dole Chrystus leżący i bezbronny, po mistrzowsku oświetlony, szepczący do płaczek słowa pełne cierpienia i żalu.

Trzecia kondygnacja. Tu również spotykamy, ukryte między potężnymi belkami, anioły. Na belkach przysiadły zegarowe orły. Niezdolne do lotu, bo im także czas utracił skrzydła. Jest też zakonnica, wyglądająca jakby była w ekstazie, kobieta płacząca z żalu, święci Piotr i Paweł, anonimowy zakonnik, anonimowy biskup, a także papież bez imienia i nazwiska. „Trumienne” anioły z katafalku schowały się (na ironię losu) przy chrzcielnicy. Ponad tym teatrem, w którym główne role obsadzone są przez życie i śmierć, wysoko w górze zawisł Bóg-Ojciec z katedry, spoglądający na ziemskie królestwo.

Czwarta kondygnacja nazywana jest „dzwonnową”, bo spoczywają tu na postumentach piękne dzwony z nieistniejącego już kościoła farnego. Gdyby je zawiesić i zadzwonić, rozległaby się zapewne pieśń żalu po wspaniałej świątyni. Najwyżej umieszczono figury Chrystusa Zmartwychwstałego, który wieńczy ekspozycję.

Odbывая wędrowkę po kolejnych kondygnacjach łatwo spostrzec, że wystawa prowadzi nas od najniższego, „ziemskiego”

poziomu, przez śmierć Chrystusa, jego Zmartwychwstanie, do poziomu królestwa niebiańskiego Boga-Ojca. Wszystkie ekspozyty, nadszarpnięte przez ząb czasu, stoją tu spokojne, bo ocalone od zapomnienia.

Wystawa jest szczególna, gdyż dzieła tu przedstawione są inne niż te, z którymi mamy kontakt w świątyniach. Tamte – piękne, gdyż wielkie, bogato zdobione, zadbane – uosabiają samego Najwyższego, budzą trwogę i podziw. Te stoją cichutko, skromnie, odrapane przez czas, wyrażają przemijanie... Choć twórcy dzieł pozostają anonimowi, wiemy jednak, że tworzyli je w określonym kontekście społeczno-kulturowym. Na przykład barokowe aniołki z pulchnymi twarzyczkami – tworzone dla pełnych przepychu barokowych świątyń – w pełni odpowiadają epoce, w której powstały. Skromne natomiast figury Frasobliwego charakterystyczne są dla sztuki ludowej. W tej ekspozycji nie ma monotonii. Zaskakuje nas zarówno jej kompozycja (prześlądana chronologia ekspozycji oraz wykorzystanie budowy architektonicznej wieży dla wkomponowania w nią ekspozatów), jak i same dzieła – odarte z dawnej świetności. Zazwyczaj dzieła sztuki sakralnej jawią się nam jako monumentalne, pełne przepychu. Wizerunki świętych i Boga napełniają nas trwogą, wzbudzają nasz podziw, tęsknotę za bytem absolutnym. Tutaj zobaczyłam je zupełnie inaczej. Ocalone od zapomnienia (jakby w ostatniej chwili), „zmęczone” figury wzbudzają raczej litość, nie podziw... Ekspozyty są bardzo zniszczone, odrapane z polichromii, pozbawione niektórych elementów. Wydaje się, że mogłyby opowiedzieć wiele ciekawych historii, których były świadkami. Stoją jednak cicho i pokornie...

Szczególnie zafascynowała mnie figura Chrystusa Ukrzyżowanego. Leży na swoim krzyżu, wokół płaczki. Rzeźba, tak jak inne, bardzo zniszczona, wykonana z drewna pomalowanego na ciemny kolor. Figura nie ma rąk, a „ciało” tak podrapane, że prawie widoczne jest w tych rysach drewno. Jest jednak przez to piękniejsza niż wszystkie

inne rzeźby Chrystusa, jakie widziałam. Wydaje się, że Jezus krzyczy: „Ja cierpię!” Człowiek pozostawiony sam sobie, któremu nikt nie jest w stanie pomóc. Tylko płaczki stoją, jakby zabrakło im już łez. Bezgłośnie oplakują ciało przybite do krzyża. Wyraz twarzy umierającego świadczy o pełnej zgodzie na to, co się stało: spokój i cierpienie. Ciało młodego mężczyzny rozpostarte na drzewie krzyża. Jego krwawe rany to niewątpliwie znak tragedii. Sytuacja jest tak poruszająca, że mam ochotę paść na kolana i cichutko, ze spuszczoną głową, wyszeptać: „Przepraszam...”.

Idąc po kolejnych stopniach schodów, czułam wielki ciężar winy. Lecz wspinając się coraz wyżej, doszłam do figury Chrystusa Zmartwychwstałego. Dopiero wtedy poczułam ulgę, bo ta tragiczna historia

zakończyła się szczęśliwie. Śmierć stała się drogą do życia. A wszystko to opowiedziała mi właśnie ta wystawa. Od smutku w ciemnicy, coraz wyżej w górę, gdzie coraz więcej zachwyty i radości.

Ekspozycja w Wieży Trynitarskiej godna jest uwagi ze względu na niepowtarzalność oraz nietypowość zebranych dzieł. Skromność eksponatów podkreślona jest dodatkowo przez kompozycję wystawy. Surowe, ceglane ściany, drewniana konstrukcja wieży, w której mieści się ekspozycja, nadają dziełom posmak tajemniczości i niezwykłości. Światło i pobrzmiwający (jakby zza ściany) chorał gregoriański nasycają uśpione przez czas dzieła ekspresją, wyrazistością, dynamizmem. Wszystko to sprawiło, że oglądając wystawę, zostałam pochłonięta nią bez reszty.

Mariusz Orłowski

Całkiem Ciekawa Muzyka

”Charakterystycznym wyróżnikiem nurtu CCM są jedynie teksty utworów, oparte na przesłaniu biblijnym, oraz deklarowany przez wykonawców światopogląd chrześcijański.”

W Ameryce Północnej (USA, Kanada) i Europie Zachodniej od ponad trzydziestu lat rozwija się tzw. *Contemporary Christian Music* (w skrócie CCM), która tworzy niezależny nurt muzyki komercyjnej. Przez komercyjną muzykę chrześcijańską rozumieć profesjonalnie wykonywaną (a w przypadku nagrań fonograficznych również realizowaną i wydawaną) szeroko rozumianą muzykę rozrywkową, przekazującą w swej warstwie słownej treści biblijne (w przypadku nagrań instrumentalnych inspirowaną tymi treściami), którą tworzą i wykonują autorzy deklarujący światopogląd chrześcijański. Spośród wiodących w świecie firm fonograficznych wydających muzykę z nurtu CCM wymienić należy: *Integrity, Hosanna, Word, GMI, Alliance, Brentwood, Sparrow, Spark, Kingsway*. Nagrywają dla nich m. in. tacy wykonawcy jak: Amy Grant, John M. Talbot, Phil Keagy, Graham Kendrick, Michael W. Smith, Ron Kenoly, Petra, Take 6, Iona.

W Polsce rynek komercyjnej muzyki chrześcijańskiej zaczął kształtować się na przełomie lat 80. i 90. Podłożem dla rozwoju tego zjawiska w naszym kraju był:

- amatorski ruch muzyczny rozwijający się w obrębie młodzieżowych wspólnot katolickich, takich jak Oaza i Odnova w Duchu Świętym (z tego ruchu wywodzi się m. in. grupa Teofil);

- działalność tzw. „grup uwielbiających” w łonie protestanckich Kościołów typu wolnego¹ (na tym gruncie powstał np. zespół Jafia Namuel);

- angażowanie się zawodowych muzyków jazzowych i rockowych w działalność chrześcijańskich wspólnot modlitewnych (np. Mieczysław Szczepniak, Marcin Pospieszalski, Jan Budziaszek, Tomasz Budzyński, Dariusz Malejonek);

¹ Na temat Kościołów typu wolnego zob. np. M. Kwiecień, *O wolnych Kościołach*, „Chrześcijanin” 1977, nr 7-8, s. 5-11.

■ lansowanie muzyki spiritual&gospel przez artystów profesjonalnych, takich jak Stanisław Sojka czy zespół Spirituals Singers Band.

Pierwszym w Polsce wydawnictwem fonograficznym programowo nastawionym na promocję chrześcijańskiej muzyki komercyjnej była firma *DEOrecordings* z Wisły (Beskid Śląski), która otrzymała licencję komercyjną w 1988 r. W będącym własnością firmy Studiu DR (skrót od *DEOrecordings*) pierwsze nagrania zrealizowały zespoły *DEOdecyma* i *Universe*².

Ponieważ wyrażenie „muzyka chrześcijańska” budziło skojarzenia pejoratywne³, twórcy „*DEOrecordings*” dokonali adaptacji angielskiego skrótu CCM (*Contemporary Christian Music*) dla potrzeb polskiego rynku. Na określenie kształtującego się w Polsce nowego zjawiska muzycznego stworzono nazwę „Całkiem Ciekawa Muzyka”. Ze względu na fakt, że nazwa ta nie została, jak dotąd, powszechnie zaakceptowana w środowisku związanym z tworzącym się nurtem muzycznym, w dalszym ciągu swych rozważań będę posługiwał się wyrażeniami terminami „Całkiem Ciekawa Muzyka” (w skrócie CCM), „muzyka religijna”, „muzyka chrześcijańska” oraz „komercyjna muzyka chrześcijańska”, jako różnymi określeniami tego samego zjawiska.

Na wstępie należy podkreślić, że nurt CCM jest zróżnicowany pod względem gatunkowym. Zalicza się do niego wykonawców reprezentujących tak odmienne style muzyczne, jak: jazz, gospel, blues, soul, funk, rap, reggae, dance, pop, praise, country, folk, rock, trash, punk itd. Charakterystycznym wyróżnikiem nurtu CCM są jedynie teksty utworów, oparte na przesłaniu biblijnym, oraz deklarowany przez wy-

konawców światopogląd chrześcijański. Zjawisko komercyjnej muzyki chrześcijańskiej w Polsce ma charakter progresywny. Wyznacznikami jego rozwoju są:

- powiększające się z roku na rok grono wykonawców;
- powstawanie nowych studiów nagrań i wytwórni fonograficznych specjalizujących się w nagrywaniu płyt kompaktowych oraz kaset magnetofonowych wykonawców z nurtu muzyki chrześcijańskiej;
- wzrastająca liczba festiwali piosenki chrześcijańskiej;
- warsztaty dla wykonawców CCM;
- ukazywanie się specjalistycznych periodyków;
- wzrastająca liczba rozgłośni radiowych, które nadają komercyjną muzykę chrześcijańską;
- pojawianie się wykonawców nurtu CCM w telewizji publicznej;
- powstawanie stowarzyszeń promujących rozwój kultury chrześcijańskiej (w tym muzyki).

Scharakteryzuję teraz pokrótce wszystkie wymienione powyżej wyznaczniki rozwoju zjawiska CCM w naszym kraju.

Wykonawcy

Można podzielić ich na dwie kategorie.

Po pierwsze – wykonawcy, którzy wykonują i nagrywają zarówno muzykę religijną, jak i świecką (np. Mieczysław Szczepiak, Józef Skrzek, Krzysztof Krawczyk).

Po drugie – wykonawcy, którzy wykonują i nagrywają wyłącznie muzykę religijną. Należą do nich m. in. Beata Bednarz, New Life Music, 2 TM 2,3, Amenbend, Teofil.

Często spotykaną praktyką jest, że poszczególni członkowie zespołów nurtu CCM nie ograniczają się tylko i wyłącznie do wykonywania i nagrywania muzyki chrześcijańskiej, ale współpracują również z wykonawcami muzyki świeckiej (np. członkowie takich zespołów, jak New Life Music i Amenbend). Podyktowane jest to zazwyczaj względami finansowymi.

² Na temat początków działalności *DEOrecordings* zob. wywiad z Henrykiem Królem, *Magazyn Muzyczny „Ruah”* 1998, nr 3, s. 8-10.

³ Termin „muzyka chrześcijańska” kojarzy się przeciętnemu Polakowi z niskim poziomem artystycznym i technicznym. Zob. dyskusja: *Czy istnieje muzyka chrześcijańska?*, *Magazyn Muzyczny „Ruah”* 1998, nr 2, s. 6-7.

Studia nagrań i wytwórnie fonograficzne

Do najlepszych studiów nagrań realizujących komercyjną muzykę chrześcijańską zalicza się wspomniane powyżej Studio DR w Wiśle oraz Studio *Psalm* w Warszawie. Nagrywają w nich najpopularniejsi w wykonawcy nurtu CCM w Polsce.

Najprężniej działającymi wytwórniami fonograficznymi są DEOrecordings z Wisły (do tej pory ok. 2000 tytułów polskich i zagranicznych), Edycja Świętego Pawła z Częstochowy i Wydawnictwo M z Krakowa.

Festiwale

W Polsce odbywa się co roku kilkadziesiąt mniejszych lub większych festiwali piosenki chrześcijańskiej. Ich organizatorami są:

- instytucje związane z Kościołem (np. parafie i zbory, chrześcijańskie rozgłośnie radiowe, redakcje chrześcijańskich czasopism, chrześcijańskie centra kultury, stowarzyszenia chrześcijańskie),

- instytucje świeckie (np. Wydziały Kultury Urzędów Miejskich, Urzędy Gminne, ośrodki i domy kultury, towarzystwa muzyczne, szkoły, fundacje),

- indywidualni animatorzy kultury religijnej.

Najczęściej spotykaną praktyką jest, że festiwale muzyki chrześcijańskiej organizowane są przy współpracy instytucji związanych z Kościołem z instytucjami świeckimi.

Podczas poszczególnych festiwali odbywa się zazwyczaj wiele imprez towarzyszących, takich jak: wystawy, kiermasze, warsztaty muzyczne itp.

Największym festiwalem muzyki chrześcijańskiej w naszym kraju, pod względem liczby biorących w nim udział wykonawców, jest *Song of Songs Festival* w Toruniu. Ma on charakter międzynarodowy i ekumeniczny. W pierwszej edycji *Song of Songs Festival* w 1998 r. wystąpiło trzydziestu wykonawców z pięciu krajów (Polska, Niemcy, Słowacja, Wielka Brytania, USA), którzy reprezentowali różne Kościoły chrześcijańskie. Festiwal trwał

dwa dni, a obejrzało go około trzech tysięcy widzów.

Warsztaty muzyczne

Mogą towarzyszyć poszczególnym festiwalom (np. warsztaty muzyki gospel prowadzone podczas Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gospel w Osieku) lub być prowadzone niezależnie od nich (np. Warsztaty Gitarowe Muzyków Chrześcijan w Kołobrzegu). Zajęcia warsztatowe prowadzą najlepsi polscy muzycy nurtu CCM.

Czasopisma muzyczne

Istnieją trzy specjalistyczne periodyki poświęcone w całości muzyce chrześcijańskiej: Magazyn Muzyczny „Ruah”, Magazyn Muzyczny „Brzmienia” oraz „Magazyn CCM”. Wszystkie trzy wydawnictwa mają charakter ekumeniczny, tzn. promują muzykę chrześcijańską, której twórcami są zarówno katolicy, jak i protestanci⁴.

Magazyn Muzyczny „Ruah” to kwartalnik, którego redaktorem naczelnym jest Janusz Kotarba. Wydawcą periodyku jest Firma Menadżerska *Paganini* z Krakowa. Na łamach czasopisma ukazują się relacje z festiwali (krajowych i zagranicznych), wywiady z twórcami nurtu CCM, recenzje płyt, kaset i książek; drukowane są nuty piosenek, poezja religijna, listy od czytelników itp. Wkładkę do gazety stanowi tzw. „Fonorama”, w której drukowane są odpłatnie ogłoszenia drobne firm związanych z muzyką chrześcijańską. Do każdego numeru Magazynu Muzycznego „Ruah” dołączana jest aktualnie płyta CD, na której usłyszeć możemy, mniej lub bardziej znanych, wykonawców nurtu CCM.

Podobny charakter posiada również Magazyn Muzyczny „Brzmienia”. Jest on miesięcznikiem wydawanym przez Towarzystwo Muzyczne Gospel z Poznania. Funkcję redaktora naczelnego „Brzmień” pełni Krzysztof Wodniczak. W ramach pre-

⁴ Ponieważ zjawisko CCM charakterystyczne jest dla zachodniego kręgu kulturowego, nie spotykamy tu wykonawców związanych z prawosławiem.

numeraty rocznej czytelnicy magazynu otrzymują bezpłatnie płytę CD, zawierającą wybór utworów różnych wykonawców reprezentujących nurt muzyki chrześcijańskiej.

Nieco odmienny od dwóch ww. periodyków jest „Magazyn CCM”. Jego celem jest promocja wydawnictw Studia DR. W związku z powyższym oprócz wywiadów z muzykami, recenzji koncertów i nowości fonograficznych, można znaleźć tutaj również ofertę wydawniczą Studia DR. W oparciu o ilość sprzedanych egzemplarzy płyt i kaset na łamach „Magazynu CCM” ogłaszana jest *Lista przebojów DR*. Od sześciu lat działa również klub kasetowy i kompaktowy. Jego członkowie w zamian za regularne nabywanie produkcji Studia DR otrzymują je po cenach promocyjnych. Wydawcą miesięcznika jest Stowarzyszenie *DEOrecordings*, a obowiązki redaktora naczelnego pełni Henryk Król.

Rozgłośnie radiowe

W Polsce działa około trzydziestu lokalnych rozgłośni radiowych promujących komercyjną muzykę chrześcijańską. W większości są to rozgłośnie o charakterze katolickim, ale zdarzają się od tej reguły wyjątki (np. *Radio Mazury* z Ostródy posiada charakter ekumeniczny). Muzyka chrześcijańska prezentowana jest w poszczególnych rozgłoszeniach w formie list przebojów, audycji specjalistycznych lub emitowana w ciągu całego dnia. Wśród rozgłośni radiowych nadających komercyjną muzykę chrześcijańską warto wymienić: sieć rozgłośni *Radia Plus*, *Radio Arka* z Łazisk Górnych (nadaje 50% muzyki chrześcijańskiej, głównie zachodniej), *Radio Ave* z Radomia, *Radio Puls* z Gliwic.

Wykonawcy nurtu CCM w TVP

W *Muzycznej Jedynce* pojawili się: Grupa *Mojego Brata* z piosenką „Oj, czarno widzę”, Tomasz Żółtko, który wykonywał utwór „Kochaj mnie i dotykaj” (przez siedem tygodni na pierwszym miejscu), Antonina Krzysztoń z piosenką „Perłowa łódź”

oraz Mieczysław Szczśniak wykonujący utwór „Twoja miłość”.

Dla potrzeb TVP programy muzyczne zrealizowali m.in. Beata Bednarz z zespołem *Heavy Blues*, Antonina Krzysztoń, grupa *Manitou*, a ostatnio zespół *Arka Noego*.

Stowarzyszenia.

Wśród stowarzyszeń promujących muzykę chrześcijańską najprężniej działającym jest Stowarzyszenie *DEOrecordings* z Wisły. W oświadczeniu opublikowanym przez ww. Stowarzyszenie czytamy, że celem jego działalności jest „propagowanie muzyki, sztuki i posłannictwa chrześcijańskiego we wszystkich aspektach oraz – w miarę możliwości – prowadzenie również działalności charytatywnej. Wspomniane cele są realizowane przez prowadzenie działalności wydawniczej i filmowej w sferze twórczości religijnej, w szczególności w zakresie nagrywania płyt kompaktowych, kaset magnetofonowych, kaset video, filmów i innych nośników (zadania te wykonuje Studio DR), a także publikowanie materiałów drukowanych (m.in. «Magazynu CCM»). Wykonywaniem celów Stowarzyszenia jest też dystrybucja wydawnictw własnych i materiałów o podobnych treściach, a ponadto stymulowanie [podkr. – M. O.] powstawania wypożyczalni i punktów sprzedaży. Stowarzyszenie *DEOrecordings* pragnie ponadto prowadzić działalność kulturalną, szkoleniową i edukacyjną [podkr. – M. O.] w zakresie upowszechniania wiedzy o sztuce chrześcijańskiej we wszystkich aspektach, organizować bądź współorganizować festiwale twórczości religijnej, a także przygotowywać inne imprezy kulturalne o charakterze religijnym (w tym – między innymi – koncerty, konferencje i kursy), a także propagować twórczość o tematyce religijnej w środkach masowego przekazu [podkr. – M. O.] (stąd współpraca z licznymi lokalnymi rozgłoszeniami radiowymi i ośrodkami telewizyjnymi, a także utworzenie własnego radia – *Radia CCM* – które,

działając w Polsce południowej i funkcjonując przez 24 godziny na dobę, nadawać będzie głównie muzykę CCM). Stowarzyszenie propaguje twórczość o inspiracji chrześcijańskiej, służącą popularyzowaniu wartości ewangelicznych – i czyni to w duchu ekumenicznym, ponadwyznaniowym, nie unikając współpracy z istniejącymi Kościołami i społecznościami”⁵. Oświadczenie Stowarzyszenia *DEOrecordings* kończy się zaproszeniem zainteresowanych do aktywnego uczestnictwa w jego pracach oraz wspierania jego działalności przez członkostwo⁶.

Podjmując się próby oceny rodzącego się w Polsce zjawiska społeczno-kulturalnego⁷, jakim jest komercyjna muzyka chrześcijańska, należy stwierdzić, że uzasadnione wątpliwości budzić musi fakt prezentacji głębokich treści o charakterze religijnym w konwencji kultury popularnej, co zawsze związane jest z niebezpieczeństwem ich deformacji i spłycenia. Budzić kontrowersje może także to, że odpowiednio przystosowane do wymogów kultury popularnej wartości ewangeliczne, zaczynają podlegać od tej pory prawom rynku, jak każdy inny towar. Z drugiej jednak strony podkreślić wypada, że zjawisko komercyjnej muzyki chrześcijańskiej zawiera w sobie wiele elementów pozytywnych.

Po pierwsze – komercyjna muzyka chrześcijańska stanowi alternatywną ofertę w stosunku do innych produkcji lansowanych przez mass media.

Po drugie – twórcy nurtu muzyki chrześcijańskiej (nawet gatunku trash!)

opowiadają się za trwałymi wartościami, takimi jak: prawda, dobro i piękno. Są zwolennikami moralnego radykalizmu⁸ oraz przeciwstawiają się wszelkim patologiom życia społecznego (np. narkomania, alkoholizm) i ruchom społecznie destrukcyjnym (satanizm, rasizm, antysemityzm, faszyzm itp.). Opowiadają się za ideą ekumenizmu, czego praktycznym wyrazem są ekumeniczne festiwale oraz składy personalne poszczególnych zespołów, w których grają ze sobą chrześcijanie różnych wyznań (np. *Missio Musica*, *New Life Music*, *Amenbend*).

Po trzecie – redakcje chrześcijańskich czasopism muzycznych podejmują wiele działań o charakterze animacyjnym. Wyróżnia się w tej dziedzinie szczególnie *Magazyn Muzyczny „Ruah”*, który zachęca swych czytelników do współredagowania kolejnych numerów pisma, poprzez nadsyłanie recenzji płyt, kaset i koncertów oraz wszelkich uwag dotyczących odbioru muzyki chrześcijańskiej.

Inną formą zachęcania czytelników do twórczej aktywności jest ogłaszanie konkursów muzycznych dla debiutantów. Najlepsze z nadsyłanych nagrań są nagradzane przez umieszczanie ich na dołączanych do czasopisma płytach CD.

Po czwarte – komercyjna muzyka chrześcijańska pełnić może rolę wstępnego etapu wtajemniczenia, z którego przechodzi się do obcowania z arcydziełami muzyki sakralnej (np. *Pasja wg św. Mateusza* Bacha, *Mesjasz* Haendla) i świeckiej.

⁵ Stowarzyszenie *DEOrecordings*, „*Magazyn CCM*” 1996, nr 8, s. 2.

⁶ Ibidem.

⁷ Na temat zjawisk społeczno-kulturalnych zob. Antonina Kłoskowska, *Kultura masowa*, Warszawa 1983, s. 42-48.

⁸ Zob. *Radykalni. Z Budzym, Dzikim, Maleo i Stopą* rozmawia Marcin Jakimowicz, Katowice 1997.

Barbara Bartoszek

Gospel Rain



**”Połączyła nas
droga,
modlitwa,
a także
wspólne
śpiewanie.
To ostatnie
robiliśmy
szczególnie
chętnie,
zwłaszcza
że niosło
ze sobą radość
i szalone
emocje.”**

*Jeżeli Pan domu nie zbuduje,
na próżno trudzą się ci, którzy go wznoszą.
(Ps 127, 1)*

Istnieje wiele ciekawych stylów w muzyce. Każdy artysta w swojej twórczości poszukuje i dąży do tego, który duchowo odpowiada mu najbardziej, w którym realizuje siebie i swoje fascynacje muzyczne. Stylem, który umiłowaliśmy sobie szczególnie, który porusza nie tylko nasze ciała, ale zmusza do refleksji i duchowych poszukiwań, jest *gospel*.

Gospel – znaczy po angielsku „Ewangelia”. To połączone ze sobą dwa słowa – *God* i *spell*, czyli Słowo Boże, lub jak tłumaczą to inni: „Bóg mówi”. *Gospels* – to pieśni nawiązujące do Nowego Testamentu i nauki Chrystusa, pieśni religijne amerykańskich Murzynów (*American Negro Spirituals*).

Geneza *negro spirituals*, to muzyka brytyjska, hymny, psalmy, ballady i tańce, ale także pieśni-kazania, z którymi czarni zetknęli się już w XVII w. Przez 150 lat nasycali się nią; była dla nich atrakcyjna przez prostą formę, a oni sami nie czuli potrzeby modyfikowania tego materiału. W 1800 r. nastąpiło Wielkie Przebudzenie religijne białych Amerykanów, którzy zaczęli organizować *Revival Camps Meetings*. Biali plantatorzy często zabierali na te spotkania swoich niewolników, a ci poruszeni śpiewem i kazaniami budzili w sobie drżące dotąd siły twórcze. Kościół był jedynym miejscem, w którym czarni mogli rozwijać swoją kulturę bez ingerencji białych; był sercem społeczności, natomiast sercem Kościoła była muzyka. Dla afroamerykanów bardzo ważny był głos Ducha Świętego. Jego słowa należało poczuć i przeżyć, a nie tylko usłyszeć. Dlatego też, w czasie nabożeństw, wielu z nich krzyczało, klaskało w dłonie, śpiewało i tańczyło, bo poruszał ich Duch Święty; czuli się przez

muzyka chrześcijańska?

Niego natchnionymi. Uważali, że biali tego nie czują, że ich religia jest tylko wyczytana z Ksiąg, bez głębszych przeżyć.

Okazało się, że czarni, bardziej niż jakakolwiek rasa ludzka, mają ucho do muzyki i szczególnie emocjonalne podejście do Psalmów. Znali hymny angielskie, ale tworzyli także własne pieśni, czerpiąc wiele ze Starego i Nowego Testamentu. Często opierali się na starotestamentowych opowieściach o prostych ludziach, nękanych przez zło tego świata, którzy z pomocą Boga pokonywali ziemskie potęgi. Murzyńskie spirituals mówiły o otchłaniach ludzkiej samotności, lęku i bólu, lecz z triumfującą wiarą w Jezusa. Nigdy nie kryły cierpienia i nigdy nie wstydziły się swej nadziei na nadejście lepszej przyszłości. Były to autentyczne pieśni odkupienia, wybiegające zawsze poza ziemski ból i obecne życie.

Dopiero w latach dwudziestych naszego wieku biali zaczęli doceniać muzyczną sztukę afrykańską – gospel, jazz i ragtime. Wpływ tych dwóch pierwszych stylów muzycznych na siebie był bardzo silny, a zawocował w latach pięćdziesiątych powstaniem soulu. Jazz dał muzyce gospels instrumentarium i zachętę do wspaniałych improwizacji. W tym samym czasie jedną z najpopularniejszych czarnych wokalistek była nieżyjąca już Mahalia Jackson. Równie wybitnymi wykonawczyniami były wtedy: Queen C. Anderson i Marion Williams. Okres ten nazwano później „złotą erą gospel”. Wspominając wielkie sławy tego rodzaju muzyki, nie można pominąć Arethy Franklin. Nie sposób wymienić tu wszystkich, którzy wykonywali ten i pokrewne jemu style muzyczne. Stanowi to bowiem obszerny materiał na dodatkową pracę.

W Polsce pomimo tego, że *gospels songs* nie są tak popularne, jak w Ameryce, istnieje wielu naśladowców tego kierunku. Jeśli nie wykonują oni ortodoksyjnych pieśni spirituals, to czerpią nieprzerwanie z tego źródła, tworząc wiele własnych odmian tego gatunku. Należałoby tu wspomnieć o najbardziej popularnym w latach 70. i 80.

zespole Spirituals Singers Band. Innymi, którzy zasługują na uwagę, są: Ewa Uryga, Marek Bałata, Beata Bednarz, Mieczysław Szcześniak, Amenbend, New Life M., Communio, Monk, Deus Meus, Trzecia Godzina Dnia, Teofil i inni.

Choć gatunek ten kojarzy się głównie z czarnymi wykonawcami, uważam, że równie dobrze prezentują go biali muzycy. Biały *spirituals singer* nigdy nie osiągnie tej głębi i brzmienia murzyńskiego głosu, ale ktoś, kto z wielkim sercem wykonuje ukochany przez siebie gatunek, tworzy ciekawą jego odmianę. Nie musimy być czarni, aby poruszać serca, dawać z siebie radość, robić to z pasją i żarliwością wiary. Jeśli śpiewamy i modlimy się z wiarą, a płynie to prosto z naszego serca i rozpala naszą wyobraźnię, jesteśmy autentyczni i prawdziwi, bez względu na kolor naszej skóry. Dlatego powstał *Gospel Rain* – grupa ludzi wielbiących Boga swoją muzyką i śpiewem.

Poznaliśmy się w sierpniu 1991 r. w czasie pielgrzymki do Częstochowy na Światowe Spotkanie Młodzieży. Połączyła nas droga, modlitwa, a także wspólne śpiewanie. To ostatnie robiliśmy szczególnie chętnie, zwłaszcza że niosło ze sobą radość i szalone emocje. Im więcej bawiliśmy się swoimi głosami, tym bardziej słyszeliśmy, że zupełnie niechcący nadajemy tej harmonii pewien specyficzny charakter. Przez swobodnie rodzące się głosy chcieliśmy oddać chwałę Temu, który nas nimi obdarzył. Wiedzieliśmy, że nie połączył nas przypadek, a to, co powstało tego lata, nie mogło wraz z nim się skończyć. Zaczęliśmy spotykać się na próbach (przynajmniej raz w tygodniu) i tak przez kilka lat pracowaliśmy przy klasztorze oo. Kapucynów na „Poczekajce” w Lublinie, gdzie nasza działalność wiązała się głównie z oprawą liturgiczną.

Dopóki śpiewaliśmy wyłącznie podczas Mszy Świętej, nazwa nie była nam potrzebna. Problem powstał dopiero przed naszym pierwszym festiwalem, organizowanym na „Poczekajce” – *W stronę Stwórcy*. Praktycznie od samego początku istnienia grupy głów-

nym obszarem muzycznej inspiracji, a także ideałem, była muzyka gospel. Nadając tę właśnie nazwę zespołowi (początkowo był to po prostu Gospel), chcieliśmy podkreślić styl, w jakim gramy i do jakiego dążymy wokalnie.

Podczas kolejnych festiwali organizowanych na „Poczekajce” zdobywaliśmy wyróżnienia i nagrody publiczności. Następny, na którym odważyliśmy się wystąpić, był lubelski *Studencki Festiwal Piosenki Religijnej „Żakeria”*, na którym w 1995 r. otrzymaliśmy trzecią nagrodę. W międzyczasie zdobyliśmy także drugą nagrodę na *Przełądzie Piosenki Religijnej* w Świdniku.

Dobre i kreatywne (dla nas) było to, co robiliśmy. Skromna gitara akustyczna, przestała nam jednak w końcu wystarczać, i małymi kroczkami, sukcesywnie rozwijaliśmy swoje zaplecze instrumentalne. W obecnym składzie, z tradycyjnymi instrumentami (instrumenty klawiszowe, gitara elektryczna, gitara basowa, perkusja oraz instrumenty perkusyjne) i pod nazwą Gospel Rain, gramy od czerwca 1998 r.

Nie ograniczamy się do wykonywania jedynie standardów gospel; staramy się grać głównie własne utwory, inspirowane muzyką gospel i oparte na tej estetyce. Bogatym źródłem, z którego czerpiemy, są również filary współczesnej muzyki, style: soul, jazz i rock. Nazwa zespołu – Gospel Rain – wskazuje na nasze muzyczne fascynacje. Bliska jest nam bowiem „czarna” muzyka gospel, a także – jak już wcześniej wspomniałam – jej pokrewne style (nawet rytmy latynoamerykańskie). Cechą łączącą te gatunki jest ogromny ładunek emocjonalny, pasja, zaangażowanie i dynamika. Ale nazwa zespołu, ma dla nas również swoje duchowe odniesienie. Gospel Rain to również wspólna droga duchowej przemiany. W tej nazwie nie chodzi wyłącznie o style muzyczne, do których się odwołujemy, ale także o Ewangelię, czyli Dobrą Nowinę, Słowo Boże, które przychodzi do nas, tak po prostu. To fundament, wobec którego nie można pozostać obojętnym. Święty Paweł powiedział, że Bóg pragnie,

aby zbawienie świata przyszło przez głupstwo przepowiadania, a muzyka i śpiewane teksty Ewangelii są właśnie tą drogą, którą Bóg przychodzi do nas. Jeśli przez nasze granie ktoś spotka Chrystusa, a my bylibyśmy narzędziami w Jego ręku, to za to – chwala Panu.

Chcielibyśmy, aby widz przychodzący na nasze koncerty, nie był tylko widzem. Staramy się wciągać publiczność do wspólnej zabawy i modlitwy, nie tylko pieśnią, ale także tańcem, przez gorące rytmy latynoamerykańskie.

W lipcu 1999 r. w składzie:

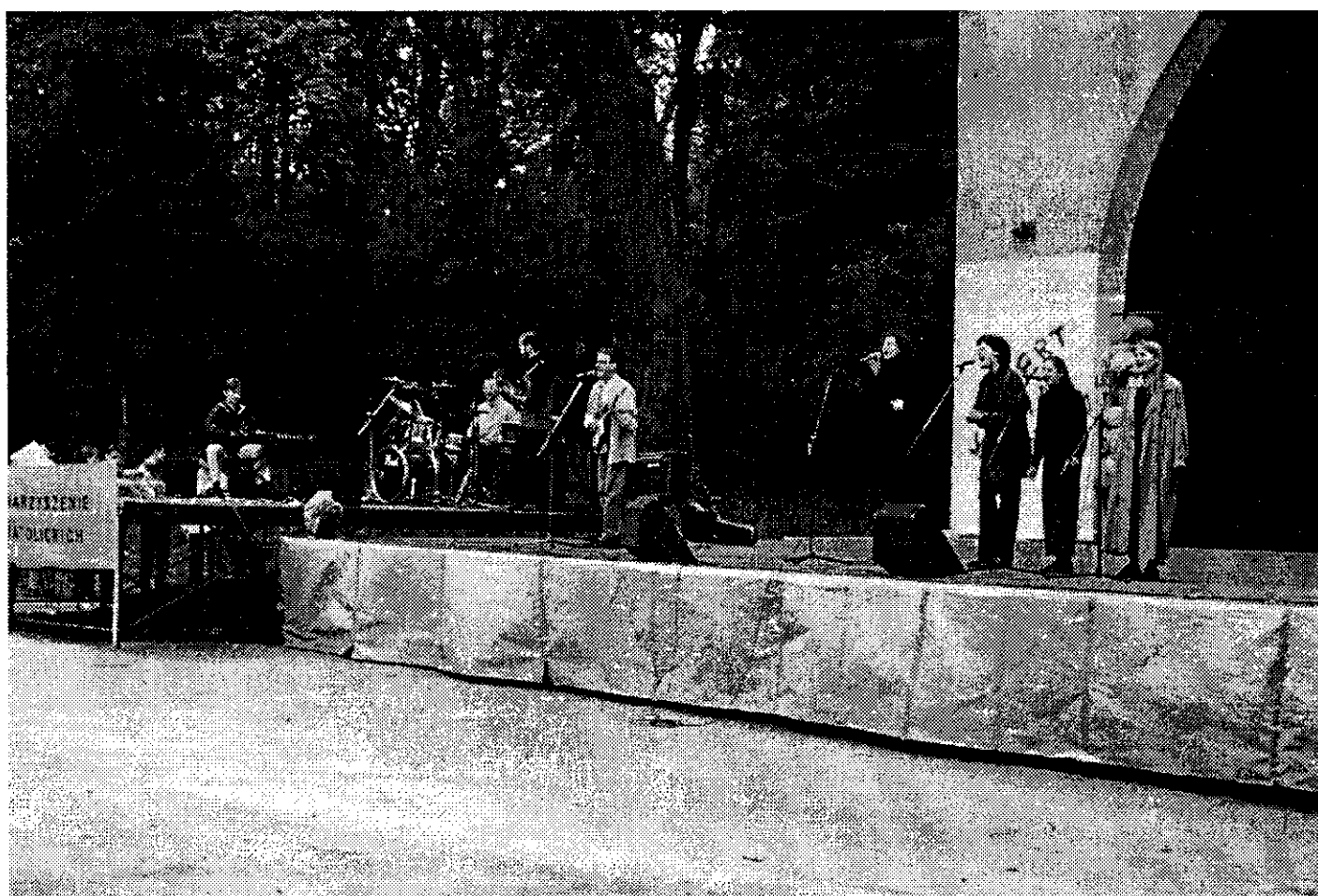
Małgorzata Bartosiewicz – śpiew,
Barbara Bartoszek – śpiew,
Barbara Bojarska – śpiew,
Krystyna Waseńczuk – śpiew,
Agnieszka Wielgus – śpiew,
Agnieszka Wojciechowska – śpiew,
Marek Fedor – perkusja,
Grzegorz Głuch – gitara, śpiew,
Marcin Kojder – instr. perkusyjne,
Piotr Michnikiewicz – instr. klawiszowe,
Bogdan Opoń – gitara basowa,

zarejestrowany został materiał na naszą pierwszą płytę. Znajdują się na niej, w dużej mierze, własne, premierowe utwory, a także mniej znane standardy muzyki chrześcijańskiej w aranżacji Grzegorza Głucha, który także, podobnie jak Marek Fedor, jest autorem tekstów i muzyki. Płyta nosi tytuł: *Ten, kto przychodzi* i ukaże się już na początku lipca 2000 r.

Nagranie zarejestrowano w Studiu *Psalm* w Warszawie. Realizatorem materiału był Edward Sosulski, znany i doświadczony realizator oraz producent muzyki chrześcijańskiej w Polsce (m.in. Teofil, New Life M., Houk, 2 Tm 2, 3, Arka Noego, Antonina Krzysztoń i inni). Masteringiem nagranych materiałów zajął się Grzegorz Piwkowski. Na płycie znalazły się następujące utwory: *Bogiem jest, Wznies swą dłoń, Dokąd (Ten, kto przychodzi), Chwal Go, Pieśń nad Pieśniami, Wnet nadejdzie dzień, Śpiewajmy wszyscy Alleluja, W dłoniach Twych, Tyś jest Bóg, Zjednoczeni w Duchu, Modlitwa o pokój*.

Kiedy płyta zespołu ukaże się, będziemy promować ją przede wszystkim na koncertach. W najbliższej przyszłości planujemy wystąpić na toruńskim *Song of Songs Festival* w lipcu. W tym samym miesiącu zagramy koncert w lubelskim Domu Kultury Kolejarza podczas „Festiwalu Kultury Chrześcijańskiej”, w Wołczynie koło Częstochowy, a pod koniec sierpnia prawdopodobnie w Osieku. Dalsze plany obejmują małą trasę koncertową na Śląsku, na początku września.

Na pewno nigdy nie będziemy brzmieć, jak typowa murzyńska grupa, reprezentująca negro spirituals, ale przecież nie o to chodzi. Kochamy to, co robimy, czerpiemy jak najwięcej z ulubionych przez nas stylów muzycznych, a przede wszystkim staramy się robić to jak najlepiej. Wiemy, że to co osiągnęliśmy nie jest jedynie naszą zasługą i dopóki nie będziemy poszukiwali w tym chwały dla siebie, otrzymamy błogosławieństwo od Tego, który jest podwaliną wszystkich rzeczy.



fot. M. Orłowski

Maciej Krawczyk

Jesus is our friend.

**Recenzja występu zespołu Teofil
podczas
III Międzynarodowego Festiwalu
Muzyki Gospel – Osiek '99**

**”Nazwa Teofil
oznacza w języ-
ku greckim
„miły Bogu”,
odczytywana
zaś jako Teo-fil,
charakteryzuje
skład zespołu,
powołanego do
życia w 1986 r.,
w Lublinie,
przez ówczes-
nych studentów
teologii i filolo-
gii (angielskiej,
germańskiej
i polskiej)
Katolickiego
Uniwersytetu
Lubelskiego.”**

Skład grupy:

Jarosław Agaciński – śpiew
Beata Kamińska – śpiew
Marta Siczek – śpiew
Piotr Michnikiewicz – instrumental. klawiszowe
Andrzej Bielecki – gitara
Bogdan Opoń – gitara basowa
Marek Fedor – perkusja
Mariusz Orłowski – manager, tel. 0-604 636 007

Prezentowane utwory:

1. *Steal away* (traditional)
2. *Swing low* (traditional)
3. *Oh, I want two wings* (traditional)
4. *Wade in the water* (traditional)
5. *Jesus is a friend* (C. Fountain – J. Bowden)
6. *Sometimes I feel like a motherless child* (traditional)
7. *Amazing grace* (traditional)
8. *Oh, happy day* (traditional)
9. *Jeden duch* (G. Grochowski – św. Łukasz)

Słucham kasety, na której zarejestrowano występ zespołu Teofil, podczas III Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gospel *Camp Meeting – Osiek '99* w dniu 20 sierpnia 1999 r. Nazwa Teofil oznacza w języku greckim „miły Bogu”, odczytywana zaś jako Teo-fil, charakteryzuje skład zespołu, powołanego do życia w 1986 r., w Lublinie, przez ówczesnych studentów teologii i filologii (angielskiej, germańskiej i polskiej) Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Na repertuar zespołu składają się: psalmy, pieśni oparte na tekstach ze Starego i Nowego

Testamentu, muzyka *gospel*, *praise & worship* oraz inne formy muzyczne. Grupa wydała dotąd dwie autorskie kasety: *Zacznijcie pieśń* i *Aniele Boży*.

Zanim przystąpię do recenzji występu Teofila, kilka słów o samym festiwalu w Osieku. Jego organizatorzy stawiają sobie za cel propagowanie wartości duchowych i moralnych muzyki negro spiritual i *gospel*, prezentowanie różnych stylów i konwencji *gospel*, ukazywanie ekumenicznej treści tej muzyki oraz wymianę doświadczeń pomiędzy uczestnikami i animatorami życia muzycznego, a także pomoc repertuarową.

Na początku był blues. Blues, jako świecka forma spiritualsu, lub na odwrót – *gospel songs* i spirituals, jako religijne formy bluesa. Nieżyjąca już, znakomita śpiewaczka bluesowa Alberta Hunter mówiła, iż bluesy są dla niej niemal religią, są jak spiritualsy – niemalże czymś świętym, gdyż śpiewając bluesy – śpiewamy z głębi serca, wyśpiewujemy z siebie wszystko, co czujemy. Uczyniłem ten wstęp, by lepiej uzmysłwić zarówno sobie, jak i czytelnikom, iż wokaliści i muzycy Teofila, chociaż biali, próbują zbliżyć się i poczuć tę „czarną” estetykę i emocjonalność płynącą z bluesa i *gospel*. I trzeba przyznać, że nieźle im to wychodzi.

Jak można się zorientować już po samych tytułach utworów, są to pieśni religijne typowe dla formy *gospel*. Gatunek ten czerpie z różnych rytmów i brzmień, jak chociażby hillibily, mamba, walc, rytm’n’-blues czy boogie-woogie, ale przede wszystkim jest w nim obecny mocny jazzowy beat. Tak właśnie jazzowo zaaranżowane i wyśpiewane są utwory wykonywane przez Teofila. Członkowie zespołu sprawnie i z wyczuciem poruszają się w stylistyce bluesowo-jazzowej, nieźle przy tym swingując. Na uwagę zasługuje gra pianisty Piotra Michnikiewicza, nadająca kompozycjom niezbędny feeling. Co do strony wokalne, to należy docenić umiejętności Beaty Kamińskiej i Marty Siczek, które dosyć swobodnie i z poczuciem frazy wyśpiewują *gospelowo-soulowo-jazzowe* nuty. Również niezły głos męski Jarosława Agacińskiego jest przeciwwagą, bardziej bluesową, dla poczyńań wokalnych pań.

I na koniec generalna refleksja. Moim zdaniem, *gospel*, jako prawdziwa, bujna, pełna siły i witalności sztuka „czarnej” Ameryki, trafnie oddaje charakter muzyki i przesłanie członków zespołu Teofil: „Nie tyle prezentować piosenkę religijną, ile przez śpiew przekazywać Żywe Słowo Boga, które ma moc zmienić życie każdego człowieka”.



fot. M. Orłowski

Julita Adamiuk

Europa śpiewa w Hajnówce. O Festiwalu Muzyki Cerkiewnej

**„Prawosławny
lud, który tak
ukochał śpiew,
otacza się nim
zawsze i wszę-
dzie. Modlitwy,
które są przez
wyznawców
wznoszone do
Boga, wygła-
sza się też
w formie
śpiewu.”**



fot. z filmu G. Linkowskiego „Bracia
tego samego Boga”

Już od dziewiętnastu lat raz do roku wszyscy, ci, którzy w sposób szczególny ukochali sobie śpiew prawosławnych chrześcijan, zbierają się w małym miasteczku Hajnówka, aby tam usłyszeć najpiękniejsze głosy, jednocześnie tworząc w wielogłosowe chóry. Tu wszyscy zostają wysłuchani.

Niewielka miścinka, nazywana „bramą do Puszczy Białowieskiej”, jest miejscem niezwykłym. Obecnie usytuowana tuż przy granicy z Białorusią, często zmieniała swoją przynależność państwową. Granice zmieniały się tu tak często, że najstarsi mieszkańcy mówią o sobie po prostu „tutejsi”. Trudno jest się określić. „Wiadomo, że mieszkamy w Polsce, ale i język polski nie jest najbliższy naszym sercom, i kultura i obyczaje tu u nas odmienne.” Mieszkańcy okolicznych wioseczek, jak również niektórzy z hajnowiaków mówią w swoim rodzinnym narzeczu, tzw. „huterzy”. W ten sposób uzyskują łatwość kontaktów między sobą. I choć budzi to czasami kontrowersje lub gniew ze strony tych, którzy próbują się „odciąć” od swych korzeni, lub tych, którzy boją się, aby nikt ich samych nie pomylił z rozmawiającymi „po swojemu” sąsiadami, to siłę tego języka widać na całym Podlasiu. W tym też języku śpiewa się tu okolicznościowe pieśni i przyśpiewki na chrzcinach czy weselach. Tu nikt nie milczy. Na Podlasiu zawsze się pamięta o prawosławnych świętach. A to praznik św. Anny w Morzu, a to *Uspienie Preświatoj Bohorodicy* w Czyżach. Zawsze jest okazja do rodzinnego spotkania. Zaraz po porannej liturgii całe wielopokoleniowe rodziny wraz z przyjezdnymi z odleglejszych i mniej odległych miejscowości, ciociami, dziadkami i sąsiadami stryjów, zasiadają przy – jak to nakazuje tradycja – suto zastawionym stole i śpiewają.

Pamiętam takie spotkania z mojego dzieciństwa. Te śpiewy trwały od południa do późnej nocy. Przy dziadkach i ja nauczyłam się śpiewać regionalne pieśni. Tak tu już jakoś jest, że wszyscy kochają śpiew.

Tak bardzo rozpiłam się o mojej pasji, że nieomal zapomniałam o problemie tożsamości. Czasami jest to zbyt prosty podział, a jego prostota potrafi być wręcz prymitywna i drażliwa. Jakoś tak się na naszym pograniczu uitało, że katolicy to Polacy, a prawosławni są nazywani „ruskimi”. Niektórzy nie dzielą ich nawet na Ukraińców czy Białorusinów. Był taki czas, kiedy bardzo ostro walczyłam z mylnym utożsamianiem ze sobą pojęć wyznania i narodowości. Teraz mój zapal nieco przysnął i trudno mi po raz tysięczny tłumaczyć nieuświadomionym obywatelom państwa polskiego, że ci ludzie z pogranicza mówiący w „obcym” języku to też Polacy, tyle tylko, że kulturowo związani bardziej z obyczajami i tradycją Wschodu. Niektórym najbliższa jest kultura Białorusi, innym – Ukrainy. Losy rodzin jeszcze innych są tak skomplikowane, że ich rodzinne korzenie wywodzą się zarówno z Ukrainy, jak i z Białorusi czy Polski. Jedno jest pewne, obszar ten emanuje egzotyką wyznania, jakim jest prawosławie. W ciemnozielony krajobraz puszczy wkomponowują się małe wioseczki, których centralnym miejscem jest zazwyczaj prawosławna świątynia – cerkiew. Tu odbywają się najbardziej znaczące w życiu każdego spotkania – spotkania z Bogiem. Czas zabawy i postu jest wyznaczany przez kalendarz świąt cerkiewnych. Lecz nie sam krajobraz oddziałuje na zabląkanego turystę. To, co najcenniejsze dla każdego prawosławnego chrześcijanina, i co powinno towarzyszyć mu przez całe życie, to modlitwa. Sztuka modlitwy to jedna z najbardziej wymagających i najtrudniejszych sztuk. Każdy może zostać jej twórcą, a najważniejsze to otwarte serce.

Prawosławny lud, który tak ukochał śpiew, otacza się nim zawsze i wszędzie. Modlitwy, które są przez wyznawców

wznoszone do Boga, wygłasza się też w formie śpiewu. Dziewiętnaście lat temu przy dogasającym już ognisku na Starej Białowieży powstał pomysł zebrania w jednym miejscu wszystkich, którzy modlą się śpiewając. Podczas gwieździstej nocy zrodził się pomysł *Festiwalu Muzyki Cerkiewnej*. O pierwszym festiwalu opowiadała mi jeszcze babcia. Wszystko odbyło się w nowo wybudowanym soborze Świętej Trójcy w Hajnówce. Jego białe, nie wykończone jeszcze wnętrza nadawało szczególnego dostojęstwa niosącym się po świątyni głosom zjednoczonym w modlitwie. Początkowo w festiwalu brały udział przede wszystkim chóry parafialne śpiewające muzykę cerkiewną tylko ku chwale Pana.

Minęło wiele lat, a festiwal wciąż się odbywa. Przetrwał wszystkie niedogodności i zdaje się, że rozkwitł. Obecnie jest on zaliczany do zabytków klasy zerowej. Jego uczestnicy to nie tylko przyjezdni z Polski, ale również z Europy, i od paru lat z innych kontynentów.

Muzyka cerkiewna posługuje się tylko jednym, najdoskonalszym instrumentem – głosem ludzkim. Stanowi ona w historii europejskiej kultury muzycznej zupełnie odrębny świat o niezwykłym pięknie i uroku. Muzyka ta zadziwia bujnością melodii, zachwyca przepychem brzmienia, wzrusza głębią i bezpośredniością ekspresji.

Śpiew cerkiewny korzeniami sięga początków chrześcijaństwa. Już w pierwszym wieku układano hymny ku chwale Bożej. Ich intonacja na jednym dźwięku przypominała melorecytację. W IV i V stuleciu, w okresie rozkwitu bujnego życia zakonnego na pustyniach Palestyny, Egiptu i Synaju, pojawiła się psalmodia wykorzystująca pewną liczbę dźwięków. Zwyczaj melodyjnego śpiewu psalmów wprowadził św. Atanazy Aleksandryjski. Podczas kolejnych wieków wprowadzone zostały kanony, według których utworzył się wzorzec śpiewu, jednocześnie zróżnicowały się typy melodyczne i poszerzyła liczba śpiewanych tekstów.

Najstarsze zabytki muzyki cerkiewnej pochodzą z IX w. Są to jednogłosowe utwory o płynnej melodyce. W XIII stuleciu prymat nad kulturą muzyczną objęła Moskwa. Przy carskim dworze zorganizowano chór złożony początkowo z trzydziestu pięciu śpiewaków. Niebawem jednak podwojono jego liczbę i mianowano carską kapelą śpiewaczą. Chór uświetniał uroczystości świeckie, jednocześnie służąc cerkwi. Jednym z jego członków był sam założyciel Iwan Groźny. W owym okresie jednogłosowe śpiewy cerkiewne przekształciły się w śpiewy wielogłosowe. Była to wielogłosowość dość szczególna i polegała na oplataniu głównej melodii splotami głosów pobocznych – górnych i dolnych. Wielogłosowe śpiewy cerkiewne przeobraziły się z końcem XVII w. w koncerty religijne, to jest w szeroko rozbudowane kompozycje o wysokim stopniu skomplikowania technicznego i formalnego, przeznaczone na dużą liczbę głosów, bo aż od 8 do 24.

Kościół prawosławny używa wielu systemów melodycznych. Wszystkie one współtworzą nabożeństwa i są bardzo istotne w całokształcie życia religijnego. Organicznie nierozzerwalny związek słowa i muzyki sprawia, że oba te elementy odgrywają szczególną rolę w śpiewie cerkiewnym. Nie bez znaczenia jest dobór odpowiednich melodii do tekstów liturgicznych. Prawosławna tradycja głosi, iż modlić się lub zwiastować można tylko słowem i tylko głos ludzki, jako jedyny żywy i ciągle dostępny instrument, może odpowiadać na Słowo Boże. Ten rodzaj muzyki wokalne stosowanej w czasie obrzędów, w której właśnie słowo odgrywa pierwszoplanową rolę, nazywany jest śpiewem liturgicznym (*bogosłuzebnoje pienje*). Przechodząc przez południowosłowiański „filtr”, przyjął on różne formy: hymny, psalmy, antyfony, kanyony, tropariony, stychyry, ektenje oraz śpiewy allelujatyczne, które rozwinęły się w postaci słowiańskich melodii liturgicznych (*raspjewów*). Do najważniejszych należą: śpiew neumatyczny, kijowski, grecki,

bułgarski, a także rodzime: śpiew halicki, chełmski, supraski i podlaski.

Sposób doboru śpiewu liturgicznego często zależy od składu i możliwości chóru, i tak np.: chóry katedralne działają w miastach będących siedzibą biskupów. W ich skład wchodzi głosy mieszane: żeńskie (soprany i alty) i męskie (basy i tenory). Chóry te są formowane ze śpiewaków o dobrych predyspozycjach wokalnych i zdolnościach muzycznych. Swym śpiewem i bogatym dorobkiem upiększają uroczystości cerkiewne. Drugą kategorię chórów stanowią chóry mieszane, które – podobnie jak chóry katedralne – również skupiają dobrych śpiewaków i wykwalifikowanych dyrygentów. Analogicznie sytuacja wygląda w chórach młodzieżowych, które zazwyczaj biorą udział w liturgiach porannych, przeznaczonych dla młodzieży, ale z powodzeniem śpiewają również nabożeństwa centralne (liturgie i całonocne czuwanie).

Zupełnie odmiennie przedstawia się sytuacja w chórach wiejskich. Tworzą je starsze pokolenia gorliwych parafian. Dyrygentem w takim chórze jest zazwyczaj najstarsza osoba. Repertuar tych chórów stanowią najczęściej melodie śpiewane przez poprzedników i przekazywane metodą pamięciową. Dzięki temu powstają niepowtarzalne, regionalne „napjewy”: halickie, chełmskie, podlaskie. Jeszcze inaczej sytuacja przedstawia się w chórach klasztornych, męskich i żeńskich. Śpiewy liturgiczne są tam w wielkiej mierze jednogłosowe.

Wszystkie te kategorie chórów i nie tylko spotykają się co roku w Hajnówce. Festiwal gości również chóry świeckie, kameralne i zawodowe. I mimo różnic w wykształceniu występujących ich członków, jest coś, co jednoczy je wszystkie: to chęć śpiewania Bogu, wznoszenia modlitw i wychwalania Go pięknym brzmieniem ludzkiego głosu. Jest to chyba jedyny na świecie festiwal, gdzie ocenie jurorów, obok typowych kryteriów, jak: prezencja chóru, repertuar, rozśpiewanie, aktualizacja dźwięku, dynamika itp., bierze się pod uwagę siłę

duchową, umiejętność kreowania nastroju modlitewnego itp. Niejednokrotnie zdarzało mi się usłyszeć, jak publiczność po wyjściu z występu jednego z perfekcyjnie śpiewających chórów zawodowych wygłaszała takie opinie: „Chór bardzo dobry, wszystko wyśpiewane z największą dokładnością, ale oni nie wiedzą, co śpiewają, modlitwy w nich nie ma”. Tu właśnie uwidacznia się przewaga śpiewających drżącym głosem, ale z bojaźnią Bożą i ogromną wiarą, małych chórków parafialnych.

W tym roku Hajnówkę odwiedziło prawie 40 chórów z Polski, chórów sąsiedzkich

ze wszystkich stron, a także z dalekiej Korei, Indii i Macedonii. Wszystkie one przyjechały właśnie do tego małego miasteczka, w którym musi być ogromna siła, jaka pozwala pokonać wielu ludziom tysiące kilometrów tylko po to, by przez krótką chwilę móc słać imię Pana w niezwyklej, przepełnionej Duchem Bożym cerkwi pod wezwaniem Świętej Trójcy w Hajnówce. Mam nadzieję, że za rok chórów tych będzie jeszcze więcej, a te, które już tu były, będą godnie roznosić po świecie wielkość śpiewu cerkiewnego, chwając i czcząc w ten sposób Imię Boże.



fot. z filmu G. Linkowskiego „Bracia tego samego Boga”

Maciej Krawczyk

Dobry żołnierz

Chrystusa Jezusa

Recenzja płyty 2 TM 2, 3



2 TM 2, 3 jest drugą płytą zespołu o tej samej nazwie (pierwszą była *Przyjdź*). Pierwotnie 2 TM 2, 3 miało być okazjonalną supergrupą, złożoną ze znanych i uznanych w środowisku „ciężkiej muzy” wykonawców (Tom Budzyński – A.mia, Darek Malejonek – Houk, Maleo Reggae Rockers, Lica – Acid Drinkers). Wspomniani wykonawcy, otwarcie podkreślający swą chrześcijańską wiarę, postanowili wydać płytę mieszczącą się w nurcie tzw. chrześcijańskiego rocka. Projekt ten przekształcił się

Utwory zawarte na płycie 2 TM 2, 3 oscylują pomiędzy dwoma dominującymi w roku lat 90. trendami. Z jednej strony jest to ciężkie postpunkowo-metalowo-grunge’owe granie, przywodzące na myśl takie formacje, jak np. Bad Brains, Tool czy Kyuss, a z naszego podwórka – Armia, Illusion, Acid Drinkers, Houk, z drugiej zaś folkowo-reggaeowe i uduchowione dźwięki, kojarzące się z dokonaniem grup tzw. gotyckiego rocka spod znaku wytwórni 4AD. Oryginalności i smaczków muzyce 2 TM 2, 3 dodają urozmaicone aranżacje. Jest to zasługą znakomitych, wspomagają-



Zawartość:

Szema Izrael, Adonai Elohenu, Adonai Ehad; Druga pieśń sługi Pańskiego; Psalm 13; Shlom lech Mariam; Jahwe, Tyś Bogiem mym; Psalm 34;

Psalm 103; Psalm 18; Czwarta pieśń sługi Pańskiego; Bądź wola Twoja; Amen; Kim jest ta; Stabat Mater; Z tą samą miłością, w tym samym duchu; Psalm 51.



Skład:

Lica – git., voc.; Marcin Pospieszalski – git., kontrabas; Angelika Górny – voc.; Stopa – drums; Beata Kozak – drums; Ślimak – drums; Dr Kmieta – git. bas.; Drężmak – git.; Paweł Klimczak – git.; Tomasz Goehs – drums; Jozsko Broda – drumla, fujarki, dudy; Budzy – voc.; Tomek Bielecki – harmojka; Michał Pruszkowski – trąbka; Michał Kulenty – saksofon; Mateusz Colesław Miłosiński – dzidziridu.

Produkcja: Lica, 1999 r.
Dystrybucja: Metal Mind Records.

cych gościnnie zespół, instrumentalistów, takich jak: Marcin Pospieszalski (Voo Voo) – kontrabas, konga, instr. smyczkowe, saksofonista Michał Kulenty – znany ze współpracy z doskonałym basistą jazz-rockowym Krzysztofem Scierańskim, oraz specjalista od wszelkiego rodzaju fujarek, piszczałek i dud – Jozsko Broda. Dodatkowej dynamiki i mocy przydają nagraniom dwa zestawy perkusyjne.

Najważniejszym jednak atutem płyty jest umiejętne i spójne z muzyką wykorzystanie tekstów z Biblii. Zdecydowaną większość stanowią fragmenty pieśni i psalmów ze Starego Testamentu. Pierwsze dwa numery to ciężkie, „czadowe” granie do słów pieśni *Szema Izrael* (Pwt 6, 4-9) oraz *Drugiej pieśni sługi Pańskiego* (Iz 49, 1-16). *Psalm 13* to przebojowe połączenie rytmów *reggae* z mocnym, niemalże punkowym refrenem. Poza tym zwracają uwagę odmienne stylistycznie kompozycje *Jahwe, Tyś Bogiem mym* (Iz 25, 1-8; Iz 45, 8; J 3, 8) i *Psalm 103*. Pierwsza jest utrzymanym

w klimacie *reggae*, „rozbujanym”, z nostalgiczną partią fletu, wołaniem o obecność Pana, natomiast w *Psalmie 103* kobiecy głos przypominający śpiew gregoriański, podkreślany przez nieco mroczną i niepokojącą muzykę, dziękuje Bogu za okazywaną łaskę i miłosierdzie. W podobnym klimacie utrzymane są również kolejne utwory. Instrumentalnie i wokalnie wyróżnia się nastrojowo-liryczna i nieco melancholijna, gregoriańska ballada utrzymana w stylistyce *Dead Can Dance* (*Stabat Mater*).

Muzycy 2 TM 2, 3 raz jeszcze udowadniają nam, jak zaskakująco dobrze współgrają ze sobą tekst Ewangelii i ciężka muzyka rockowa. Św. Augustyn w IV w. po Chr. napisał: „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”. Szesnaście wieków później Bruce Springsteen zaśpiewał: „Każdy ma w sobie głód”. Takiego właśnie nieustającego głodu życzę muzykom 2 TM 2, 3.



rys. D. Grzeszkiewicz

Maciej Krawczyk, Agnieszka S. Miś

„Chociażby

na koniec świata...”

Dwugłos o płycie

Marty Siczek & The Company



Maciej Krawczyk: Zespół The Company powstał w 1998 r., w Lublinie. Wcześniej jego członkowie zdobywali doświadczenie w rozmaitych formacjach muzycznych związanych z diakonią uwielbienia różnych Kościołów chrześcijańskich. W sierpniu 1999 r. wystąpili podczas III Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Gospel w Osieku, na którym zostali entuzjastycznie przyjęci przez publiczność. We wrześniu tego samego roku byli gośćmi I edycji Ogólnopolskiego Festiwalu Muzyki Chrześcijańskiej w Rygmatowie. Oprócz utworów własnych wykonują również standardy muzyki praise & worship oraz gospel.

Debiutancki album grupy – *Chociażby na koniec świata...*, ukazał się pod koniec 1999 r. The Company prezentują dobry warsztatowo pop-rock, umiejętnie nawiązując do bluesowo-soulowo-jazzowych korzeni. Gdzieś tam pobrzmiewają także elementy ballady folk-rockowej oraz gospel. W najbardziej „jazzujących” piosenkach, takich jak np. *Nie troszczę się* czy *Nadzieja*, widać fascynację śpiewem Krystyny Prońko. I bardzo dobrze, że Marta bierze przykład z najlepszych wzorców krajowych.



Zawartość:

Potrzeba kogoś (M. Siczek), *Nie troszczę się* (M. Siczek), *Send your fire again* (P. Marczewski, M. Siczek), *Nadzieja* (P. Marczewski, M. Siczek), *Aby pokochać* (P. Marczewski, M. Siczek), *Chociażby na koniec świata* (M. Siczek), *W jakim celu* (M. Siczek), *Friendship* (M. Siczek), *Sens* (P. Marczewski, M. Siczek), *Wszystko Tobie dziś oddaję* (J. Van der Venter), *You are* (M. Siczek).

Marta Siczek – śpiew, skrzypce, instr. perkusyjne; **Paweł Marczewski** – instr. klawiszowe, gitary: basowa i akustyczna, perkusja (8. utwór); instr. perkusyjne, chórki; **Andrzej Mokusiński** – perkusja, bongosy; **Andrzej Bielecki** – gitara elektryczna; **Krzysztof Pachla** – saksofon; **Tomasz Jasiński** – śpiew (6. utwór); **Sylwia Błaziak i Malina Podkościelna** – chórki; **Mariusz Orłowski** – manager, tel. 0-604 636 007.



Skład:

Realizacja nagrań – Włodzimierz Surdacki, Zbigniew Poleszak (nagrań dokonano w BNR Studio, w Lublinie)

Projekt okładki – Aneta Krzywicka

Wydawca – REMA, P. O. Box 209,
20-950 Lublin 1, Poland

W innych utworach słyhać odniesienia do soulu i gospel (wyraźny wpływ Whitney Houston), np. w *Send your fire again* oraz w *You are* - najbardziej „rozbujałym”, bluesowo-gospelowym kawałku tej płyty. Ciekawie zaaranżowana i wyróżniająca się jest piosenka „Friendship”, utrzymana w poetyce ballady folk-rockowej, z delikatną nastrojową partią skrzypiec. Głos Marty odznacza się dużym feelingiem, wyczuciem rytmu i frazy, trafną interpretacją i dobrą dykcją. Jest świeży i niezmanierowany. Myślę, że w przyszłości Marta nieźle powinna radzić sobie w repertuarze jazzowym.

Przechodząc do tekstów utworów - *Nadzieja* powstała w wyniku przeżyć i refleksji autorki z podróży misyjnej do Afryki Zachodniej. Jest to poruszający utwór o bezradności wobec choroby, głodu, nędzy i cierpienia najbiedniejszych i bezbronnych „naszych braci”. Jak mówi Marta, receptą na życie jest dla niej sam Bóg, jako Droga, Prawda i Życie. Jego miłość i miłość do Niego jest dla autorki inspiracją do tworzenia i dzielenia się z innymi poprzez muzykę.

Debiutancka płyta Marty Siczek & The Company pełna jest młodzieńczego zaangażowania, zwraca uwagę szczerością i żarliwością w głoszeniu ewangelicznego przesłania; nawiązuje do prostych i ważnych dla każdego prawd, takich jak: dobro, miłość, przyjaźń czy współczucie.

Agnieszka S. Miś: *Chociażby na koniec świata...* to debiutancka płyta Marty Siczek & The Company. Przyznaję, że słucham jej z ogromną przyjemnością. Magnesem przyciągającym jest kalejdoskop brzmień, stylów i rytmów muzycznych, począwszy od rozśpiewanego gospel, poprzez elementy jazzu i country.

Płyta zawiera jedenaście utworów, w tym trzy anglojęzyczne oraz śpiewaną po polsku pieśń autorstwa J. Van der Ventera. Album otwiera *Potrzeba kogoś*, utwór utrzymany w tonacji gospel. Zawiera on prostą, lecz jakże praktyczną radę: sukces i pieniądze mogą wprawdzie zaspokoić nasze po-

trzeby materialne, ale będąc bogatymi, często zatracamy i nie doceniamy tego, co naprawdę wartościowe. Utwór ten wprowadza nas w klimat całej płyty. Słuchając kolejnych piosenek, przekonujemy się, że każda z nich jest pochwałą Czegoś, co najwyższe, najlepsze – Boga, Jego doskonałości i hojności. Płyta stanowi w pewnym sensie zbiór modlitw. Teksty utworów są proste, wydawać by się mogło wręcz oczywiste, a jednak wypełnione głęboką mądrością i powagą.

Słowa do piosenek napisała Marta, oprócz tekstu wspomnianej już pieśni autorstwa J. Van der Ventera – *Wszystko Tobie dziś oddaję*, bardzo dobrze zresztą zaaranżowanej i wyśpiewanej przez wokalistkę. Inspiracją dla Marty była podróż misyjna wzdłuż wybrzeży Afryki Zachodniej, o której wspomina w krótkiej informacji na okładce płyty. Podczas tej podróży spotkała „[...] ludzi o wielkim potencjale i różnorodności talentów [...]. Widziałam – pisze Marta – ich życie, bezradność rodzin [...], głód, choroby i śmierć[...]”. Ta ogromna wrażliwość na ludzkie cierpienie i fakt, iż oglądała to wszystko na własne oczy, pozwoliły jej inaczej spojrzeć na świat, który nas otacza. Wokalistka podjęła się trudnego zadania, pragnąc przekazać ludziom, że tak naprawdę jedynym oparciem dla człowieka jest Bóg, który wszystko rozumie i który przebacza, bo kocha człowieka stworzonego na własne podobieństwo.

Wspomniane wcześniej utwory anglojęzyczne, to opowieść o tęsknocie do Najwyższego, do Jego dobroci oraz o pochwalę Jego Majestatu. Wprawdzie zawsze byłam przeciwna umieszczaniu tekstów w obcych językach na polskich płytach, ale widzę, że coraz więcej wykonawców bardzo dobrze sobie z tym radzi. Również i Marta, wyśpiewując dość dobrze anglojęzyczne „intruzy”, sprawiła, że tym samym nie razi one zachodnią komercją, a wręcz przeciwnie, stanowią ciekawe akcenty całego albumu. Część utworów została zaaranżowana przez autorkę, która nadała każdej z piosenek swój niepowtarzalny charakter. Słu-

chając poszczególnych „kawałków”, wyraźnie można dostrzec relację rysującą się pomiędzy wokalem a muzyką. Owa muzyka, dzięki wykorzystaniu szerokiej gamy instrumentów (na przykład: skrzypiec, na których gra sama Marta, lub bongosów), stanowi odpowiednie tło dla stanowczego głosu wokalistki. Miłe wrażenie sprawiają również żeńskie chórki, które podkreślają wyrazistość głosu piosenkarki. Linia melodyczna harmonizująca z wokalem pozwala uchwycić właściwy artystce styl lekkiego swingującego jazzu. Po kilku przesłuchaniach wyraźnie unaocznia się fakt niezwyklej siły przyciągania mocnego kobiecego głosu. Jej charyzma, górująca nad stonowaną muzyką, powinna przyciągnąć i zainteresować wielu słuchaczy, tak mocno przecież już „przekarmionych” pseudo-wokalami wielu znanych, ale niestety pozbawionych talentu piosenek rodzimej estrady. Marta niewątpliwie ów talent posiada i kroczy właściwą drogą ku zdobyciu naprawdę dużej grupy wiernych słuchaczy. Całość ogólnie prezentuje się bardzo dobrze, chociaż podczas słuchania niektórych piosenek miałam wrażenie, jakby zostały one „prześpiewane”.

Najbardziej przypadły mi do gustu dwa utwory. Pierwszy z nich – *Nie troszczę się*, ze względu na obecność bardzo lubianego przeze mnie saksofonu i ogólnie dzięki optymistycznemu charakterowi całej piosenki. Natomiast drugi utwór to tytułowy *Chociażby na koniec świata*. W tym to właśnie utworze po raz pierwszy i jedyny pojawia się towarzyszący wokalistce głos mężczyzny – Tomasza Jasińskiego. Przesłaniem utworu jest próba uświadomienia ludziom, iż Krzyż Chrystusowy jest nie tylko symbolem, ale przede wszystkim zbawieniem.

Godna uwagi jest także okładka płyty, którą ilustruje owiane mgłą, rozgałęzione drzewo. Kiedy po raz pierwszy wzięłam płytę do ręki, absolutnie nie przyszło mi do głowy, iż tematyka piosenek na niej nagranych porusza problemy głęboko egzystencjalne, zadając pytanie o sens życia. Zmylił mnie chyba

tytuł *Chociażby na koniec świata...*, który zawiódł mnie w stronę melancholijnych ballad o ludzkich marzeniach. Jednak pozory mylą! Zresztą będąc w zgodzie ze staropolskim przysłowiem, przestrzegającym przed pochopnym ocenianiem ludzi tylko ze względu na ich wygląd, należy stwierdzić, iż nie okładka zdobi zawartość płyty. Zresztą szatę graficzną wydawnictwa również należy ocenić bardzo pozytywnie: wielość odcieni purpury, a także jasność i przejrzystość tekstu cieszą oko miłym i schludnym widokiem. Okładka albumu zawiera, oprócz różnorodnych informacji, małe fotki, które przedstawiają wokalistkę z afrykańskim dzieckiem i w trakcie sesji nagraniowej w studiu BNR, w Lublinie. Ogólnie należy stwierdzić, że okładka nie rażąc nachalnością, przyciąga wzrok. Z krótkiej notatki dowiadujemy się o tematyce utworów, o tym, co stanowiło inspirację do ich napisania oraz o recepcie wokalistki na życie.

Muszę przyznać, że Marta Siczek, jako debiutujący żeński wokal, bardzo miłe zaskoczyła mnie swoją płytą – przyjemnym dla ucha kobiecym głosem oraz tekstami piosenek. Utkwiły one we mnie na tyle mocno, że sama zaczęłam zastanawiać się nad swoją postawą wobec Boga i jego miłości, którą przecież obdarza On każdego z nas. Przyznaję, iż słucham tej płyty bardzo często, szczególnie wtedy, gdy jest mi źle. Kojący głos Marty i proste, ale mądre teksty są dla mnie „lekiem na całe zło”. Myślę, że w pewien sposób pielęgnują one wrażliwość każdego, kto słucha płyty debiutantki. Teksty piosenek przybliżają nam wartości tak bardzo ważne w życiu wszystkich ludzi, jak: prawda, dobro, miłość itp. Osoba Marty naprawdę zaintrygowała mnie. Z tekstów jej piosenek emanuje niezwykła dojrzałość i odpowiedzialność, a „świeżość” wokal podsyca niezwykły klimat płyty. Ciekawe, wpadające w ucho melodie oraz głęboki, dziewczęcy głos nadają nagraniem zawartym na płycie *Chociażby na koniec świata...* oryginalny i niepowtarzalny charakter.

Rafał Borowski

„Uzdrowiając świat, uzdrów siebie”.

O poezji
ks. Bogusława Wołyńskiego

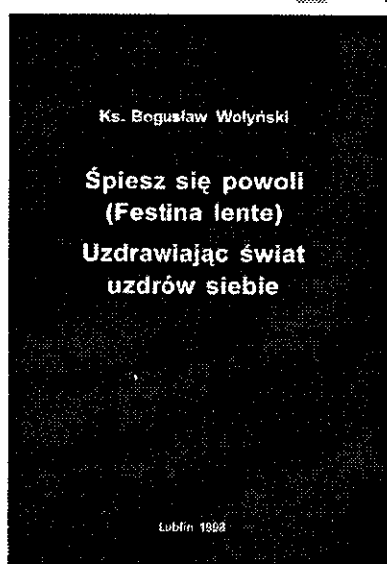
„Bogusław
Wołyński
daleki jest
w swojej
twórczości od
pisania »pod
publiczkę« lub
dla wąskiego
kręgu
odbiorców,
tylko dlatego,
że jest on
księdzem.”

„Wszystko jest poezją...” – pisał Edward Stachura, ja na omi... t... n... w... edz... lby...: poezją jest... co się wy... a, lecz to, co się wówczas czuje. Powyższe zdanie dosyć dokładnie określa wartość twórczości ks. Bogusława Wołyńskiego o, t... m bardziej, że jest to twórczość natchniona miłością do: Boga, Ojczyzny, życia oraz bliźniego; jest ona przepełniona duchem czasu, gdzie niezwykle precyzyjnie splata się sens istnienia człowieka z wiarą w istnienie Najwyższego.

Autor komentuje rzeczywistość odbieraną z jego punktu widzenia, lecz nie jako rzeczaw obecne o stanu rzeczy, nie w taki sposób, że „jest tak, jak jest”; poeta, obserwując, dochodzi do wniosku, iż to człowiek sam sobie stwarza takie, a nie inne warunki bytowania. Często jest za to odpowiedzialny pęd za pieniądzem, któremu już bez reszty oddaje się część społeczeństwa, innym razem jest to brak miłości do ludzi (o którą poeta bardzo często i wyraźnie prosi), jest to również związane z rozbieżnościami poglądów i interesów, a także brakiem zjednoczenia ludzi w Bogu, który zawsze daje nam „...-p-szenie” naszego życia:

Nowy Ro' Pańs' i każ'ego dnia
Wielka Noc każdego dnia
Boże Narodzenie każdego dnia
jeżeli Twoje życie
przez Chrystusa
z Chrystusem
w Chrystusie
każdego dnia.

Pierwszy tomik poezji ks. Bogusława Wołyńskiego – *Zatrzymaj się. Uzdrowiając świat, uzdrów siebie*, jest ciekawie podzielony na rozdziały. Wszystkie wiersze opowiadają o osobistych refleksjach, które są wynikiem kontemplacji



życia codziennego. Niezwykle interesująca jest interpretacja poetycka np. pór roku, sakramentów czy roku liturgicznego.

Wołyński posiada niesamowitą i rzadko spotykaną umiejętność budowania nastroju miejsc, w których umieszcza „akcję” swoich poezji. Tak np. w wierszu *Nieszpory* – „słyszemy” „psalmy śpiewane skrzypiącymi ławkami”, natomiast w *Dożynkach* – „widzimy” „kłosy zginające kolana ciężkim ziarnem”. Czytając wiersze Wołyńskiego, z łatwością przenosimy się w świat w nich ukazany. Wzruszenie wywołują w nas wspomnienia świąt – „kolorowe łąki niesione w rękach” w Niedzielę Palmową (*Niedziela Palmowa*), a „udręczone Wykonało się ma tak wielką wartość” w Wielki Piątek (*Wielki Piątek*). Pamiętamy dobrze, jak co roku niesiemy „przeplatane zadumą koszycki z kolorową codziennością” w Wielką Sobotę (*Wielka Sobota*), niesiemy je czym prędzej, aby móc skosztować święconego chleba. Bez wątplenia takim „duchowym chlebem święconym” jest poezja księdza Bogusława Wołyńskiego, która działa kojąco na smutek, rozterki, samotność, bowiem zawsze, kiedy nie możemy odnaleźć się w ludziach, możemy odnaleźć się w Bogu.

Innym aspektem wierszy Wołyńskiego jest, jak sam zresztą ją określił, filozofia teologiczna. Według mnie polega ona na ciągłym poszukiwaniu: Boga, jego przejawów, znaków, które tkwią we wszystkim, co otacza nas dookoła. Poeta zrozumiał zadanie, jakie spoczywa na nim i rozpoczął wędrówkę po zakamarkach wyobraźni, po rejonach, których zapewne sam w sobie wcześniej nie odkrywał. Owocem tych wypraw jest poezja przejmująca i ciekawa, a jeżeli niekiedy brak w niej doskonałości warsztatowej, rekompensuje nam to z pewnością jej treść.

Drugi tomik poezji ks. Wołyńskiego – *Śpiesz się powoli* (*Festina lente*). *Uzdrowiając świat, uzdrów siebie*, zachowuje formułę pierwszego. Jest podzielony na rozdziały

w podobny sposób, jak tomik pierwszy, co daje pewien komfort czytania. Dotyczy co prawda innych tematów, mimo to nadal nie przestaje mieć charakteru pewnej „pomocy” w trudach życia codziennego. Wiersze zawsze dotyczą podstawowych prawd życia, znowu zaskakują prostotą, odkrywają, niemalże obnażają istotę bytu, objawiają prawdziwego Boga. Jednym z najciekawszych utworów w tomiku jest wiersz *Adwent*, ukazujący człowieka zbłąkanego, zagubionego pośród zgiełku życia. Inny utwór – *Wigilia*, dotyka z kolei jednej z najbardziej radosnych, lecz ujmowanej z nutą pewnego niepokoju, prawd o cieple domowego ogniska.

Poezja Wołyńskiego nie hołduje określonym trendom i modom. Bogusław Wołyński daleki jest w swojej twórczości od pisania „pod publiczność” lub dla wąskiego kręgu odbiorców, tylko dlatego, że jest on księdzem. Autor wyznacza swej poezji zadanie jednoczenia, skupiania wokół niej szerokich kręgów czytelników, zawiera w niej pewne mądrości, które mogłyby nadać sens niejednemu życiu. Osobiście cenię Wołyńskiego za to, że zawsze spogląda na świat okiem młodzięcym, pełnym zapału, świeżym, nie skażonym żadnymi uwarunkowaniami, modami czy trendami literackimi. Wydaje się, że przed napisaniem każdego wiersza, poeta staje się dzieckiem, które po raz pierwszy w życiu dotyka przedmiotu i opisuje swe wrażenia. Trudno jest więc przecenić walory tej poezji, która pełna jest refleksji oraz filozoficznej zadumy nad życiem i jego sensem, a nade wszystko stanowi wyraz i świadectwo głębokiej wiary jej autora.

Ks. Bogusław Wołyński, *Zatrzymaj się. Uzdrowiając świat, uzdrów siebie*, Lublin 1997.

Ks. Bogusław Wołyński, *Śpiesz się powoli* (*Festina lente*). *Uzdrowiając świat, uzdrów siebie*, Lublin 1998.

Joanna Pruszkowska

„Jestem tu tylko przelotem”.

Recenzja tomiku Haliny Sitarskiej-Ruzik

* * *

Wiersze
Sitarskiej są
doskonałym
repetitorium
poetyckim na
temat Boga,
jego
doskonałości
i wielkodusz-
ności. W coraz
bardziej
zatracającym
się w materia-
lizmie świecie
współczesnym,
poezja
Sitarskiej
skłania do
refleksji
i zadumy.

Boże jesteś
nie cę
nazywać Cię
wieloma słowami
spadasz deszczem
cichniesz słońcem,
uśmiechasz się człowiekiem

Boże jesteś
i swoją lekcję życia
zaczynam od

początku

(Halina Sitarska-Ruzik, z tomiku *Jestem tu tylko prze-
lotem*)

Życie w dzisiejszym świecie toczy się w iście zawrotnym tempie. Pęd za sukcesem, pieniądzem, za dobrem doczesnym doprowadził do dewaluacji dotychczasowych wartości etycznych. Świat zapomniał, że „człowiek to brzmi dumnie”, że człowiek myśli, czuje, kocha, wierzy i ma nadzieję. Ale czy tak naprawdę zapomniał o tym świat? A może to właśnie sam człowiek tak się zapędził, że triada cnót ewangelicznych, do których należą: wiara, nadzieja i miłość, zginęły mu gdzieś po drodze i stoi teraz na rozdrożu swojego krótkiego żywota sam na sam ze świadomością przemijalności. Podświadomie czuje więc, że musi się zatrzymać, odnaleźć twardy grunt pod stopami, wesprzeć się mocno na czymś, a może na Kimś!

Halina Sitarska-Ruzik – autorka tomiku *Jestem tu tylko przelotem*, zachęca nas do próby odnalezienia opoki w Bogu. Wszak już wieki temu Stwórca niósł ludziom pocieszenie, „koni... niepokojące, dawał siły duchowe. Począwszy od Kochanowskiego w epoce renesansu czy Naborowskiego w epoce baroku, głoszone bezgraniczną dobroć, wielkoduszny humanizm i mistrzowski artyzm

największego architekta świata – Boga. Sitarska czerpie wiele od swych poprzedników – głosi swe uwielbienie dla Jahwe, tworząc tym samym program, a nawet fundament swojego życia. Bohaterowie jej wierszy nie są wolni od wad, ułomności; doznają trwogi, strachu, bywają niepokorni, wiedzą, co to smutek i rozpacz, dostrzegają zło życia codziennego, lecz poszukują wewnętrznej harmonii w Bogu.

Cały tomik Sitarskiej nawiązuje wprost do przesłania zawartego w trenie XIX Jana z Czarnolasu:

Tego się, synu, trzymaj, a ludzkie przygody

Ludzkie noś; jeden jest Pan smutku i nagrody.

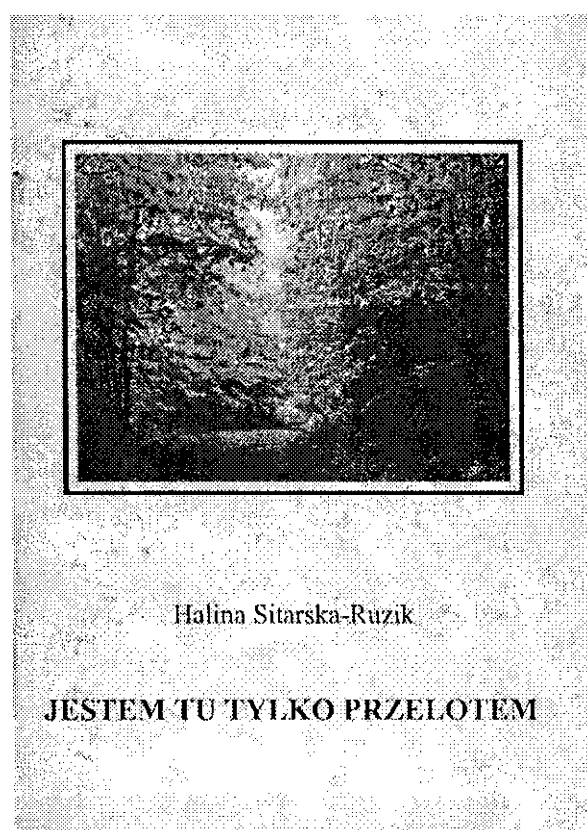
Gdy czytam wiersze poetki, uporczywie nasuwa mi się również na myśl utwór *Marność* (nawiązujący do biblijnej *Księgi Koheleta*) wspomnianego wcześniej Daniela Naborowskiego:

Świat hołduje marności
I wszystkie ziemskie włości;
To na wieki nie minie,
Że marna marność słynie.

Chociaż Halina Sitarska-Ruzik widzi marność w wadach i ułomnościach człowieka, a barokowy poeta dostrzega ją raczej w bogactwie, zbytku i zabawie, to dla obojga poetów wyznacznikami wieczności są: pobożność, uczciwość, oczyszczenie w Bogu. Co ciekawe, dostrzeganie marności nie prowadzi ich w stronę mistycyzmu, oboje potrafią widzieć i odczuwać również uroki doczesności.

Biorąc pod uwagę, z jaką niechęcią współcześnie żyjący sięgają do twórczości naszych najwybitniejszych poetów: Kochanowskiego czy Naborowskiego, wiersze Sitarskiej są doskonałym repetytorium poetyckim na temat Boga, jego doskonałości i wielkoduszności. W coraz bardziej zatracającym się w materializmie świecie współczesnym, poezja Sitarskiej skłania do refleksji i zadumy, a przede wszystkim próbuje uświadomić nam, że „jesteśmy tu tylko przelotem”...

Halina Sitarska-Ruzik, *Jestem tu tylko przelotem*, Poniatowa 1999.



Joanna Szubstarska

Znów Cię proszę o dar...
W moim ziemskim królestwie
wiele Twoich dóbr,
wszystkie należą do Ciebie.
W królestwie mego ciała
ślady twoich palców.
Przestrzenie mego umysłu
zawierają Twoje pierwiastki,
a dusza – cała Twoja.

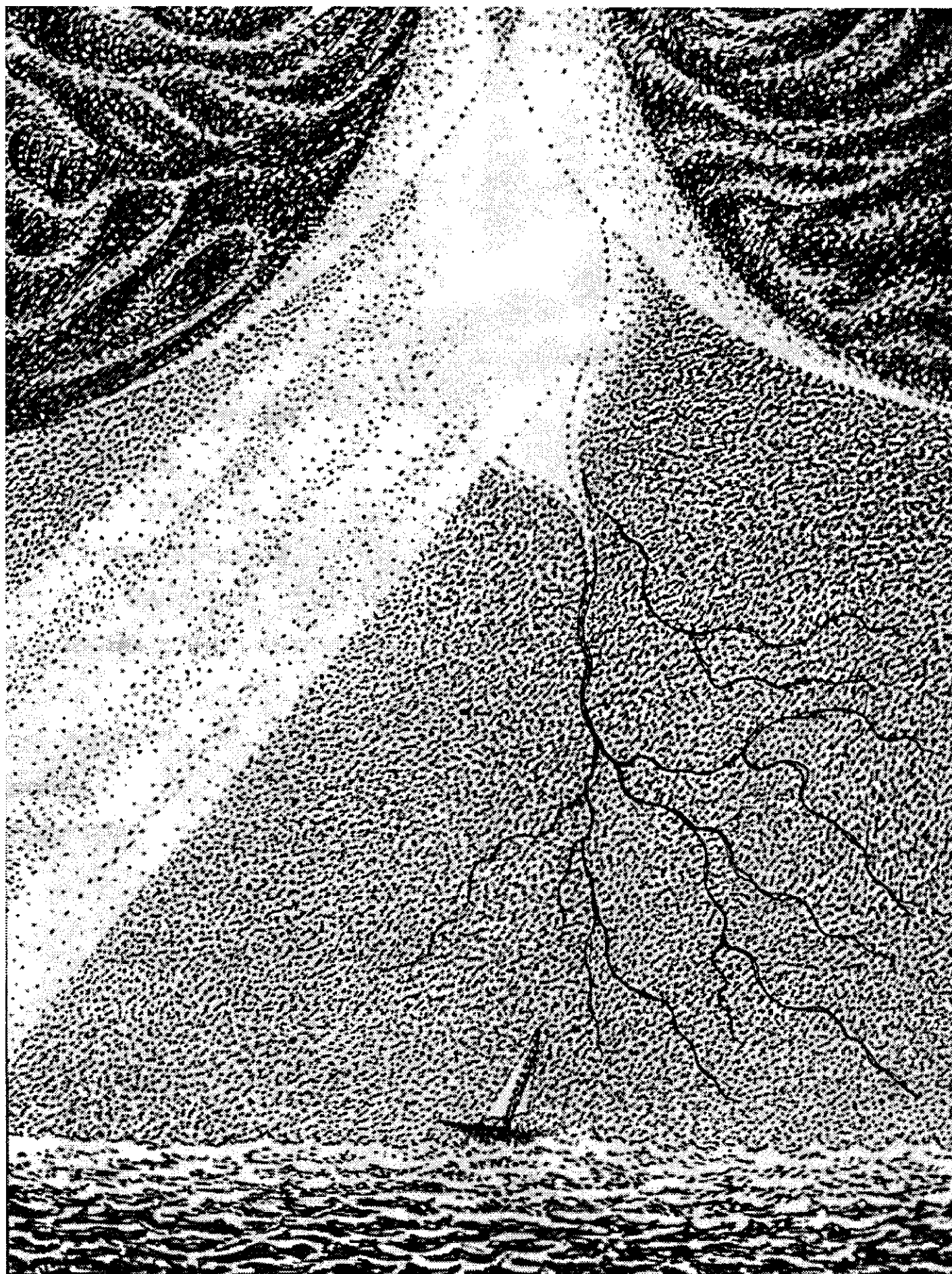
Dzisiaj, zanim otworzę oczy
i strzepnę z powiek Twój dobry sen
– daruj mi
po raz kolejny
dar przeżycia.
Pragnę istnieć dla Ciebie,
aby moje królestwo stało się częścią Niebieskiego.
Daruj mi dzień,
będę włodarzem mych włości
– Twoich dóbr.



Aleksandra Kujawska

nie wystawać z za drzew

ukropem zszedł na ziemię Bóg
pochowaj zdarzeń kolec
w naj 'alszym obcym kraju
wróć do dni gdy placki z
piasku smakowały jak cukier
gdy cielęcą dłonią
zamiatał liście wierząc w
złote ich korytarze
... był outaj i m sen
mój Boże



rys. R. Ruzik

Strony przyjazne reformie oświaty

Bogdan Opoń

O nauczaniu religii w szkole – refleksje katechety

Większość
katechizowa-
nych, to ludzie
nie związani
bliżej
z Kościołem,
a jedyną ich
wizytówką jest
otrzymany
chrzest lub
przyjęty
sakrament
bierzmowania.

Zamiast wstępu

Każda rocznica skłania do refleksji, tym bardziej 10-lecie, a tyle właśnie mija lat, odkąd katecheza wróciła do szkół. Nie będę robił żadnych bilansów ani podsumowań z tej okazji, ponieważ niewiele z nich musi wynikać. Chciałbym raczej podzielić się skromnym, choć już ponad pięcioletnim, doświadczeniem nauczyciela-katechety.

Witaj w szkole

Zdażyłem ostatnio poczytać kilka artykułów na temat powrotu katechezy do szkoły, gdzie ów powrót konsekwentnie był nazywany „wprowadzenie”, a nie każde *novum* jest mile widziane, zwłaszcza takie, które wiąże się ze zmianami w organizacji pracy szkoły, finansowania itp. Stąd też należało się spodziewać, że wydarzeniu temu będą towarzyszyć różne trudności, i tak też się stało. W różnej formie pojawiają się one i dzisiaj. Trzeba jednak stwierdzić, że powrót religii do szkoły ma swój głęboki sens z wielu powodów. Dążyła się go przede wszystkim integralność procesu nauczania i wychowania, potrzeba współprzenikania się realiów życia wiarą i życia codziennego. (Może zabrzmiało to dziwnie, ale polskie społeczeństwo w ogromnej większości utożsamia te dwie rzeczywistości od siebie). Widzę też co najmniej jedną zaletę wręcz namacalną: znak, jakim są uczniowie poważnie traktujący katechezę, a także osoba katechety, o której kilka słów poniżej.

Katecheta w szkole

W wybitnie zlaicyzowanym środowisku, jakim jest szkoła, nie jest łatwo prowadzić zajęcia z przedmiotu, który stoi jakby w opozycji do mentalności „tego świata”. Może tym bardziej potrzeba ogromnego zaangażowania katechety w pracę w szkole, i to nie tylko w wymiarze religijnym. Te inicjatywy (rekolekcje, pielgrzymki, różne

uroczystości), dobrze animowane, są wspaniałą okazją do pogłębiania wiary. Ogromna jednak większość katechizowanych to ludzie nie związani bliżej z Kościołem, a jedyną ich wizytówką jest otrzymany chrzest lub przyjęty sakrament bierzmowania. I tutaj jest ogromne pole do uprawiania w myśl słów piosenki *Musimy siać*. Sam niejednokrotnie przeżywałem umocnienie, przypominając sobie te słowa (niemniej nośne jest dla mnie sformułowanie, którego użył Wojciech Młynarski – piosenkarz, nazywając jeden ze swoich programów *Róbmy swoje*). Oczywiście same te hasła nie pomogą tym, którzy chcą katechizować, ale za to pomoże im 100 % asercji, tj. przekonania, że jest tak, jak głoszą (czytaj: pomoże im bycie świadkami życia, śmierci i zmartwychwstania Jezusa Chrystusa). To wystarczyło Apostołom, żeby głosić Dobrą Nowinę, co więcej, głosić ją skutecznie, a w końcu oddać życie za wiarę. Czy mieli coś takiego, czego my nie moglibyśmy mieć? A może mieli coś takiego, czego nam brakuje?! Całkiem nieźle w tym kontekście brzmiałyby słowa ks. Jana Twardowskiego, poddane lekkiej parafrazie: „Kiedyś jedna katecheza była w stanie nawrócić trzy tysiące osób (jestem świadomy faktu, że dziś trudniej o takie audytorium), dzisiaj trzy tysiące katechez nie są w stanie nawrócić jednego człowieka”. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na pewien szczegół – ową katechezę wygłosił świadek – Apostoł Piotr.

Wróćmy teraz do początku tego punktu. Jakże owocną może być praca katechety, angażującego się w życie szkoły, w projekty nie związane wprost z nauczaniem przedmiotem, w pracę o charakterze pozalekcyjnym, który nie łamie nadłamaniej trzciny i nie gasi knotka o nikłym płomieniu (por. Mt 12, 20).

Katechizowani

Chylę czoła przed wszystkimi, których objałem tą nazwą, świadomy tego, że bez nich nie dokonałoby się wiele wspaniałych rzeczy. Cieszę się z faktu interaktywności, sprzężenia zwrotnego w katechezie, dzięki czemu sam niejednokrotnie jestem katechizowany. To wspaniałe, że ci ludzie są tak niesamowici, że mają tyle sił i odwagi, aby bronić swoich, może nie zawsze „ortodoksyjnych”, przekonań, a najwspanialsze jest to, że Duch Święty przez nas może tę ortodoksję w nich rodzić. Smutny jest jednak fakt, że wielu z nich już zaspokoilo swój „głód” hałaśliwymi modami, muzyką bez treści i innymi odpadkami cywilizacji, zamykając dostęp Słowu Życia, czyniąc się obojętnymi na wspaniałe obietnice Boga, niszcząc wrażliwość na dobro, piękno i miłość, zadowalając się ich podróbkami. Dobrze, że są zawodowcy „wykształceni przez Ducha Świętego”, którzy nie boją się zadań specjalnych i znajdują sposoby na głoszenie Dobrej Nowiny w specyficznych warunkach. Wierzę, że to ci, o których Chrystus mówi: „Ojciec sam was miłuje, bo wyście Mnie umiłowali i uwierzyli” (J 16, 27). Dotyczy to tych głoszących z racji funkcji-zawodu, ale też tych wiernych Chrystusowi w trudnościach codziennego życia, nie związanych *ex professo* z katechezą, a jednak katechizujących swoim życiem.

Zamiast zakończenia

To właśnie szkoła jest miejscem, gdzie wyraźnie stykają się element dydaktyczny z wychowawczym, gdzie dokonuje się na naszych oczach przyjęcie lub odrzucenie Boga, gdzie przenikają się pierwiastki: religijny i świecki, gdzie mogą dokonać się narodziny do pełni życia w Bogu. Nie muszą, ale wiem, że muszą siać...

Redakcja Kalendarza Ekumenicznego 2000
Ośrodek „Brama Grodzka - Teatr NN”
oraz
Redakcja Kwartalnika wielowartościowego
„SCRIPTORES”

ogłaszają ekumeniczny konkurs dla uczniów, studentów oraz nauczycieli religii
w szkole podstawowej, gimnazjum i liceum
pod hasłem:

„KATECHETA 2000”

Istnieje obiegowa opinia, że lekcje religii są częstokroć nudne, sztapowe, nijakie. Chcemy zweryfikować ten stereotyp. Dlatego też ogłaszamy konkurs „Katecheta 2000”! Prosimy więc nauczycieli religii, studentów oraz uczniów, by przesłali na nasz adres prace opisujące jedną, Waszym zdaniem naprawdę interesującą, lekcję religii lub cyklu zajęć z tego przedmiotu. Chcemy w ten sposób wyłonić w naszym kraju ekumeniczną grupę katechetów, mogącą służyć swoimi pomysłami innym. Nasz konkurs adresujemy do wszystkich chrześcijan, a także przedstawicieli innych religii.

Szkice metodyczno-interpretacyjne (do 12 stron znormalizowanego maszynopisu) lub scenariusze (do 6 stron znormalizowanego maszynopisu) opatrzone godłem należy przesyłać do 31 grudnia 2000 roku na adres:

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin
lub

scriptor@tnn.lublin.pl

z dopiskiem: „Katecheta 2000”

Najlepsze prace będą opublikowane i nagrodzone!!!

W osobnej (zaklejonej i opatrzonej godłem) kopercie powinny znaleźć się następujące dane:

1. Imię i nazwisko autora
2. Staż pracy w oświacie lub wiek (w przypadku ucznia)
3. Nazwa i adres miejsca pracy (lub nauki)
4. Adres domowy i numer telefonu (ewentualnie e-mail)

- Julita ADAMIUK** – studentka II roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.
- Jarosław AGACIŃSKI** – absolwent teologii KUL, wieloletni animator Ruchu *Odnowy w Duchu Świętym*, wokalista zespołu „Teofil”; pracuje jako katecheta w jednej z lubelskich szkół podstawowych.
- Barbara BARTOSZEK** – wokalistka zespołu „Gospel Rain”; studentka II roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.
- Euzebiusz BEDNARZ** – absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu, pracownik Ogrodu Botanicznego UMCS w Lublinie; członek Ruchu *Focolari*.
- Joanna BETLEJEWSKA** – studentka IV roku teologii KUL.
- Anna BŁASZCZAK** – absolwentka filozofii teoretycznej KUL, Studium Komunikowania Społecznego i Dziennikarstwa KUL oraz marketingu i zarządzania w Centrum Kształcenia Menedżerów Przemysłowych przy Politechnice Lubelskiej; redaktor lubelskiej edycji Tygodnika Katolickiego „Niedziela”.
- Małgorzata BONDARENKO** – absolwentka Wyższej Szkoły Dziennikarstwa im. Melchiora Wańkowicza w Lublinie.
- Rafał BOROWSKI** – poeta, autor tomiku „Jeszcze sześć lat” (1999); student II roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.
- Helena DATNER** – Przewodnicząca Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie.
- Jacek DUDA** – pastor Zboru Kościoła Ewangelicznych Chrześcijan w Lublinie, Prezbiter Okręgu Wschodniego KECh, Sekretarz Rady KECh w RP, redaktor pisma „Głos Ewangeliczny” – organu prasowego KECh w Polsce oraz Przewodniczący Komisji Prawa Wewnętrzznego Aliansu Ewangelicznego w Polsce.
- Grzegorz GOŁOŚ** – prezes Stowarzyszenia „Verum”, przedstawiciel Teatru „Zwierciadło” z Łodzi, student III roku Kolegium Teologicznego Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w Lublinie.
- Regina SMOTER-GRZESZKIEWICZ** – poetka, autorka tomiku „Słów moich obecność” (1999); absolwentka Wydziału Prawa i Administracji UMCS.
- Ks. Krzysztof KAUCHA** – teolog, adiunkt w Katedrze Eklezjologii Fundamentalnej Wydziału Teologii KUL.
- Edward KĘDZIERA** – Dyrektor Misji Więziennej „Fylake” z Łęcznej, Z-ca Dyrektora Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa” ds. Azji z siedzibą w Świdniku.
- Michał KOPACZEWSKI** – student IV roku filozofii UMCS.
- Mariola KOZUBEK** – absolwentka pedagogiki, tłumacz z języka włoskiego; członek Ruchu *Focolari*.
- Krzysztofa KRAJEWSKA** – studentka III roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.
- Maciej KRAWCZYK** – absolwent historii oraz student filozofii KUL, pracownik Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego w Lublinie.
- Aleksandra KUJAWSKA**, uczennica IV klasy LO im. Stanisława Staszica w Hrubieszowie. Autorka tomików „Jajko na twardo” (1996) oraz „Drewniane szczęście” (1998).
- Anna KULCZYCKA** – studentka IV roku teologii KUL.
- Małgorzata KULIK** – uczennica IV klasy I LO im. Stanisława Staszica w Lublinie.
- Zbigniew KUSIAK** – wieloletni animator Ruchu *Światło-Życie*, członek Rady Instytutu im. ks. Franciszka Blachnickiego.
- Ryszard KWOKA** – teolog; Z-ca Naczelnego Prezbitera Kościoła Chrześcijan Wiary Ewangelicznej w RP, pastor Zboru KChWE w Świdniku, rektor Kolegium Teologicznego KChWE w Lublinie oraz dyrektor Polskiej Misji „Świat dla Chrystusa” z siedzibą w Świdniku.
- Grzegorz LINKOWSKI** – autor filmów dokumentalnych.

Joanna MARCZEWSKA – instruktor terapii zajęciowej w Środowiskowym Domu Samopomocy „Roztocze” w Lublinie, studentka I roku pedagogiki na Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie.

Ks. Wawrzyniec MARKOWSKI – pastor Kościoła Ewangelicko-Methodystycznego w RP.

Małgorzata MAZUR – studentka III roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.

Andrzej MICHNIEWICZ – student IV roku teologii KUL.

Tomasz MIKUSIŃSKI – student III roku Studium Menedżersko-Związkowego KUL; członek Ruchu *Focolari*.

Agnieszka S. MIŚ – studentka II roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.

O. Stanisław Celestyn NAPIÓRKOWSKI OFMConv, prof. dr hab. teologii, kierownik Katedry Mariologii na Wydziale Teologii KUL.

Bogdan OPOŃ – absolwent i doktorant Wydziału Teologii KUL, muzyk zespołów „Teofil” i „Gospel Rain”; pracuje jako katecheta w jednej z lubelskich szkół średnich.

Mariusz ORŁOWSKI – pedagog kultury i polonista, nauczyciel języka polskiego w PLO im. Stanisława Wyspiańskiego w Lublinie; doktorant UMCS.

Bartosz PANEK – uczeń III klasy I LO im. Stanisława Staszica w Lublinie.

Tomasz Ziemowit PIENKOWSKI – historyk sztuki, pracownik KUL.

Jan PLESZCZYŃSKI – mgr biologii (UMCS, 1981), dr nauk humanistycznych (KUL, 1997); od 1990 roku dziennikarz „Gazety w Lublinie”.

Joanna PRUSZKOWSKA – studentka II roku kierunku animator i menedżer kultury na Wydziale Pedagogiki i Psychologii UMCS.

Sebastian REJAK – teolog, doktorant Wyższej Szkoły Nauk Społecznych PAN w Warszawie.

Jadwiga Łucja SKIERCZYŃSKA – prof. dr hab. fizyki, emerytowany pracownik naukowy UMCS.

Jolanta SZAFRAŃSKA – historyk sztuki.

Joanna SZUBSTARSKA, absolwentka polonistyki KUL, uczestniczka Warsztatów Teatralnych Leszka Mądzika.

Ks. Romuald Jakub WEKSLER-WASZKINEL – doktor filozofii, wykładowca KUL.

Jacek WOJTYSIAK – filozof, adiunkt w Katedrze Teorii Poznania KUL.

Prezb. Marek WÓLKIEWICZ – pastor Zboru Kościoła Zielonoświątkowego w Lublinie.

Edyta ZARZYCKA – studentka IV roku teologii KUL.

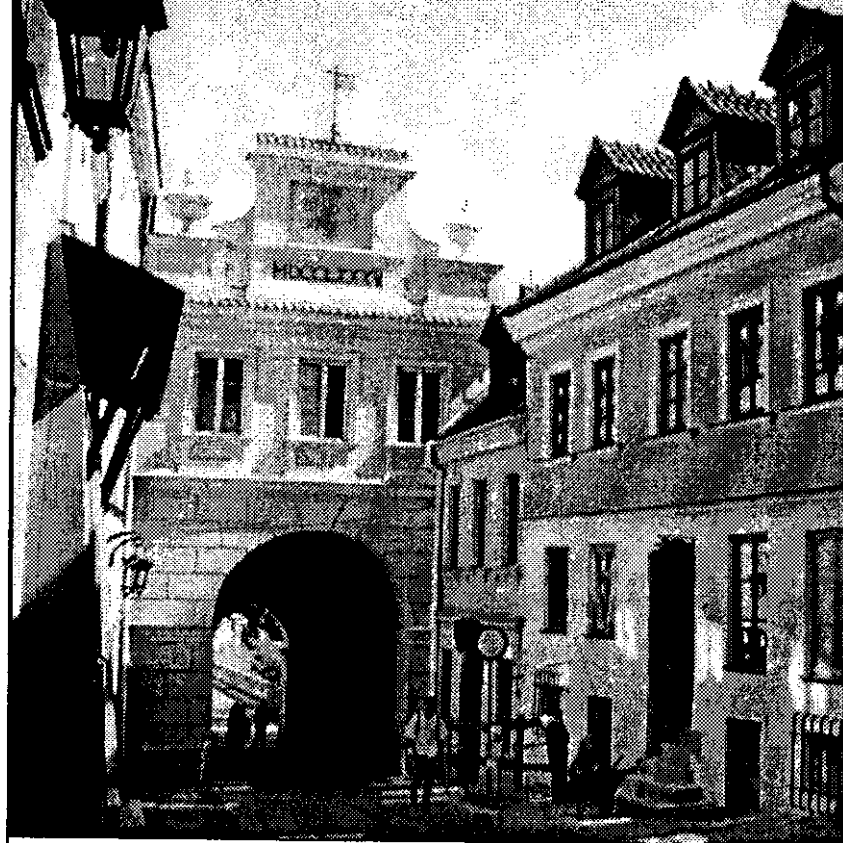
Ireneusz ZIEMIŃSKI – dr hab.; adiunkt w Zakładzie Filozofii i Socjologii Akademii Techniczno-Rolniczej w Bydgoszczy.

Sławomir J. ŻUREK – dr nauk humanistycznych; adiunkt w Katedrze Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego w Instytucie Filologii Polskiej KUL; nauczyciel języka polskiego w PKLO im. ks. Kazimierza Gostyńskiego w Lublinie (szkoła ćwiczeń dla studentów KUL); wykładowca w Nauczycielskim Studium Poddyplomowym KUL; współpracuje z Wojewódzkim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli oraz Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN”.

Abp Józef ŻYCIŃSKI – metropolita lubelski, sekretarz Synodu Biskupów Europy, prof. dr hab. filozofii, kierownik Katedry Relacji między Wiarą a Nauką KUL, wieloletni wykładowca PAT i innych uczelni.

**„Scriptores Scholarum” możesz kupić w całej Polsce w księgarniach
Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki (EMPiK):**

1. Białystok;
 - *ul. Sienkiewicza 3*
2. Bytom;
 - *ul. Dworcowa 32*
3. Czeladź;
 - *ul. Będzińska 61*
4. Chełm;
 - *ul. Lubelska 61*
5. Częstochowa;
 - *ul. Najświętszej Marii Panny 63/65*
6. Elbląg;
 - *ul. 1 Maja 37*
7. Chorzów;
 - *ul. Wolności 26*
8. Gdańsk;
 - *ul. Długi Targ 26-29*
9. Gdynia;
 - *ul. Świętojańska 68*
10. Gliwice;
 - *ul. Rynek 4/5*
11. Gniezno;
 - *ul. B. Chrobrego 11*
12. Gorzów Wielkopolski;
 - *ul. Sikorskiego 126/128*
13. Kalisz;
 - *Rynek Główny 18*
14. Katowice;
 - *ul. P. Skargi 6*
15. Kielce;
 - *ul. Warszawska 5*
16. Koszalin
 - *ul. Zwycięstwa 106/108*
17. Kraków;
 - *ul. Bora Komorowskiego 37*
18. Legnica;
 - *ul. Rynek 33*
19. Lublin;
 - *ul. Krakowskie Przedmieście 59;*
 - *ul. Armii Krajowej 25*
20. Łódź;
 - *ul. Narutowicza 8/10;*
 - *ul. Piotrkowska 51*
21. Nowy Sącz;
 - *ul. Rynek 17*
22. Olsztyn;
 - *ul. 1 Maja 17*
23. Opole;
 - *ul. Czimską 2*
24. Ostrów Wielkopolski;
 - *ul. Kolejowa 24b*
25. Płock;
 - *Pl. Narutowicza 5*
26. Poznań;
 - *ul. Ratajczaka 44*
27. Racibórz;
 - *ul. Rynek 5*
28. Rybnik;
 - *ul. Sobieskiego 18*
29. Słupsk;
 - *ul. Stary Rynek 6*
30. Sopot;
 - *ul. Boh. Monte Cassino 57/59*
31. Sosnowiec;
 - *ul. Małachowskiego 2*
32. Szczecin;
 - *Al. Wojska Polskiego 2*
33. Świnoujście;
 - *ul. Armii Krajowej 8*
34. Toruń;
 - *ul. Wielkie Garbary 15*
35. Wałbrzych;
 - *Al. Wyzwolenia 2*
36. Warszawa;
 - *Al. Zjednoczenia 25;*
 - *ul. Jagiellońska 15;*
 - *ul. Marszałkowska 116/122;*
 - *ul. Mickiewicza 27;*
 - *ul. Nowy Świat 15/17*
37. Włocławek;
 - *ul. Warszawska 11/13*
38. Wrocław;
 - *Pl. Kościuszki 21/23*
39. Zielona Góra;
 - *ul. Bohaterów Westerplatte 19*



Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”, wydawca „Scriptores Scholarum”, mieści się w zabytkowej Bramie Grodzkiej, na Starym Mieście w Lublinie. Dawniej była ona przejściem pomiędzy miastem chrześcijańskim i nieistniejącym już miastem żydowskim. Historyczne i symboliczne znaczenie tej bramy, jako miejsca łączącego różne narody, tradycje i religie, jako miejsce spotkania i dialogu, jest głównym źródłem inspiracji działalności Ośrodka.

U źródeł powstania Ośrodka leży działalność artystyczna Teatru NN, w którym zrealizowane zostały m. in. przedstawienia: „Ziemskie Pokarmy”, „Inwokacja” i „Zbyt głośna samotność”. W miarę upływu czasu Teatr

zaczęli otwierać się na inne – pozateatralne pomysły uzupełniające lub nawet zastępujące ich artystyczną aktywność. W ten sposób rozpoczęła się kulturalna działalność animacyjna Ośrodka oraz remont Bramy Grodzkiej i przyległych do niej kamienic.

Prowadzone przez Ośrodek programy krystalizują się wokół zagadnień związanych z problemem pamięci, edukacji kulturalnej poprzez wszelkiego rodzaju media i kulturalnego ożywiania Starego Miasta. Organizowane są tu m.in. spotkania z filmem dokumentalnym oraz jego twórcami, jesienny festiwal Dni Radia, wystawy fotograficzne (m.in. wystawa „Portret miejsca” połączona z ekspozycją makiety lubelskiego zespołu staromiejskiego), sesje oraz promocje niskonakładowych książek i czasopism kulturalnych. Wydawany jest tu również unikalny na skalę europejską *Kalendarz Ekumeniczny*. Pod koniec czerwca, w sercu Starego Miasta, Ośrodek organizuje widowisko „Noc Świętojańska” z koncertem muzyki folk i plenerowymi spektaklami teatralnymi.

Charakterystycznym rysem działalności Ośrodka jest niestereotypowy charakter i unikalność podejmowanych projektów. Skierowane głównie do ludzi młodych propozycje Ośrodka idą pod prąd masowej kultury i jej gustom, uczą otwartego i tolerancyjnego patrzenia na świat oraz świadomego w nim bycia.

Lubelski
Informator
Kulturalny



www.kultura.lublin.pl

Franer miał swoją premierę w grudniu 1999, kiedy to w sieci pojawiła się strona z kalendarium wydarzeń związanych z szeroko pojętą działalnością kulturalno-społeczno-edukacyjną, ze szczególnym uwzględnieniem imprez małych i średnich, które mają największą możliwość „przebić się” w mediach. Obecnie na stronach serwisu zamieszczane są również repertuary kin, teatrów, programy imprez wielodniowych, informacje o wydawnictwach, ogłoszenia kulturalne i linki do stron WWW.

Jest to pierwszy i jak na razie jedyny taki serwis w Lublinie i regionie. Jego pomysłodawcą i organizatorem jest Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Serwis można odwiedzić pod internetowym adresem: www.fraper.pl.